

MARVEL

POWIEŚĆ UNIWERSUM MARVELA

WOJNA DOMOWA



STUART MOORE

POWIEŚĆ UNIWERSUM MARVELA

WOJNA DOMOWA



STUART MOORE

na podstawie powieści graficznej

MARKA MILLARA i STEVE'A MCNIVENA

przekład

PAWEŁ PODMIOTKO

 **insignis**

MARVEL



Tytuł oryginału

Civil War

First published by Titan Books

A division of Titan Publishing Group Ltd

144 Southwark Street, London SE1 0UP

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakkolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

© 2019 MARVEL

Grafika

Michael Turner oraz Peter Steigerwald

Wydanie oryginalne: Marie Javins (redaktorka), Spring Hoteling (projekt), Jeff Youngquist (wicedyrektor produkcji, projekty specjalne), Caitlin O'Connell (zastępca redaktora, projekty specjalne), Sven Larsen (dyrektor działu licencji), David Gabriel (wicedyrektor działu sprzedaży publikacji drukowanych i cyfrowych), C.B. Cebulski (redaktor naczelny), Joe Quesada (dyrektor kreatywny), Dan Buckley (prezes Marvel Entertainment), Alan Fine (producent)

Wydanie polskie: Paweł Podmiotko (przekład), Julia Diduch (redakcja), Marcin Piątek (korekta), Tomasz Brzozowski (skład), Aleksandra Pieńkosz (konwersja do wersji elektronicznej)

ISBN 978-83-66071-97-1

Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

Spis treści

Dedykacja.....	7
PROLOG.....	9
CZĘŚĆ 1.....	18
1.....	19
2.....	31
3.....	43
4.....	48
5.....	55
6.....	63
CZĘŚĆ 2.....	71
7.....	72
8.....	80
9.....	85
10.....	93
11.....	98
12.....	108
CZĘŚĆ 3.....	117
13.....	118
14.....	131
15.....	141
16.....	147
17.....	151
18.....	162
19.....	169
CZĘŚĆ 4.....	176
20.....	177
21.....	185

22.....	197
23.....	204
24.....	213
25.....	219
CZEŚĆ 5.....	227
26.....	228
27.....	234
28.....	243
29.....	250
30.....	258
31.....	272
32.....	280
EPILOG PIERWSZY.....	293
EPILOG DRUGI.....	297
EPILOG TRZECI.....	301
EPILOG CZWARTY.....	303
PODZIĘKOWANIA.....	306
O AUTORZE.....	308

Dla

*Marka Millara, który zamienił czystą kartkę w złoto,
Steve'a McNivena, który tchnął w pomysł życie,*

*oraz Liz, która znosiła moje głędzenie
o Kapitanie Ameryce i Iron Manie.*



PROLOG

WOJOWNICY

SPEEDBALL ledwo mógł ustać w miejscu. Nie było to nic nadzwyczajnego. Po wypadku w laboratorium jego ciało stało się słabo kontrolowanym generatorem kompletnie niestabilnych pęcherzyków energii kinetycznej. Koledzy, Nowi Wojownicy, zdążyli przywyknąć, że wciąż go nosiło i nie potrafił skupić się na niczym dłużej niż dziewięćdziesiąt sekund. Już nawet nie zawracali sobie tym głowy.

Nerwowe zachowanie Speedballa nie było niczym nowym, w przeciwieństwie do jego przyczyny.

– *Ziemia do Speedballa.* – W uchu zabrzączał mu głos producenta. – *Młody, odpowiesz w końcu na pytanie?*

Speedball uśmiechnął się.

– Proszę mi mówić Robbie, panie Ashley.

– Znasz zasady. Masz mikrofon i jesteś w terenie, więc używamy tylko pseudonimów, Speedball.

– Tak, proszę pana. – Nie mógł się powstrzymać od prowokowania producenta. Ale z niego sztywniak.

– No i... – zaczął Ashley.

– No i?

– Złoczyńcy. Ilu?

Speedball strzepnął chwast z nogawki. Wzbił się w powietrze, mijając znudzoną, opartą o drzewo Namoritę. Odbił się nogami od masywnego ciała Mikroba – zwalisty chłopak chrapał, rozwalwszy się na trawie – i lekko jak piórko wylądował za plecami Night Thrashera, zakapturzonego, ubranego na czarno przywódcy.

Thrash był całkowicie skupiony na zadaniu, oczy skrył za supernowoczesną lornetką. Speedball spojrział zza niego na stary drewniany dom oddzielony od sąsiadów wysokim ogrodzeniem. Wojownicy wraz z ekipą telewizyjną stali jakieś piętnaście metrów dalej, schowani za parą rosnących dębów.

Trzej potężnie zbudowani mężczyźni pojawili się w progu. Mieli na sobie zwyczajne ubrania: dżinsy, robocze koszule. Speedball dotknął przycisku w słuchawce.

– Trzech złoczyńców.

– Czworo – poprawił go Thrasher.

Speedball zmrużył oczy, zdołał dojrzeć muskularną kobietę o ciemnych włosach.

– Ach, tak. Widzę z tyłu Coldheart. Wyrzuca śmieci. – Speedball zachichotał. – Wyrzuca śmieci. Człowieku, ci goście to jest hardkor.

– Prawdę mówiąc, każdy z nich znajduje się na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI. – Ashley brzmiał teraz prawie tak, jakby się niepokoił. – Cobalt Man, Speedfreak, Nitro... Wszyscy uciekli z więzienia na Rikers Island trzy miesiące temu. I wszyscy mają kartoteki obszerne jak twój muskuł.

Przywłókł się do nich Mikrob. Całe jego wążące sto siedemdziesiąt kilogramów cielsko kryło się pod zielono-białym strojem z pasem pełnym przegródek.

– Co tam? – zapytał.

Thrasher dał mu znak, żeby był cicho.

– Coldheart parę razy walczyła ze Spider-Manem – ciągnął Ashley. – I teraz uważajcie. Speedfreak prawie pokonał Hulka.

Thrasher opuścił lornetkę.

– Prawie co?

Mikrob podrapał się po głowie i stwierdził:

– Oni są raczej poza naszym zasięgiem.

– Chyba twoim, spaślaku.

– Zamknij się, Ball.

– Mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał.

– Ball – powtórzył Mikrob z leniwym uśmiechem.

– Dość tego. – Namorita obróciła głowę od niechcienia. – Jaki jest

plan?

Speedball uśmiechnął się z wyższością.

– Taki, że masz jeszcze pięć minut na makijaż, Nita. Myślisz, że ludzie chcą oglądać twój wielki paskudny pryszcz na brodzie?

Pokazała mu środkowy palec i odwróciła się. Pierre podbiegł do niej z pędzelkiem i podkładem.

Namorita była piękną o błękitnej skórze, spokrewnioną z rodem królewskim Atlantydwów. To kuzynka, a może bratanica księcia Namora, władcy podwodnego miasta. Kiedyś Speedball próbował się do niej dobrać – trzymała mu głowę pod wodą przez pięć minut.

– Nie wiem – powiedział Thrasher. Rzucił niespokojne spojrzenie w stronę domu. – Nie jestem pewien, czy powinniśmy to robić.

– Co? – Speedball prawie wzbił się w powietrze, w ostatniej chwili zorientował się, że sprzedałby kryjówkę. – Pomyśl o oglądalności, Thrash. My tu zdychamy. Od pół roku jeździmy po kraju, szukając przygłupów, z którymi moglibyśmy walczyć, a najlepsze, co nam się przytrafiło, to znaleźć jakiegoś żula z farbą w spreju i drewnianą nogą. Ten odcinek naprawdę może wynieść Nowych Wojowników z powrotem na szczyt. Damy wycisk tym błaznom i wszyscy przestaną mendzić, jak to Nova porzucił nasz program i poleciał znów w kosmos.

Kamerzysta Fernandez chrząknął znacząco.

– Chciałbym tylko przypomnieć, że ekipa kończy zmianę za dwadzieścia minut. Potem kasujemy więcej za nadgodziny.

Wszyscy odwrócili się w stronę Night Thrashera.

– Dobra, słuchajcie. – Thrasher wyjął tablet i pokazał na nim profile czterech złoczyńców. – Największe zagrożenia stanowią Nitro i Cobalt Man. Coldheart to specjalistka walki wręcz, więc jeśli to możliwe, powinniśmy zdjąć ją z dystansu. Nie wiem, w jakim stanie jest obecnie pancerz Cobalta, ale...

– Ball – powtórzył Mikrob, nachylając się nad Speedballem, żeby szepnąć mu do ucha: – Ball, ball, ball, ball, balllllll.

Speedball wyjął iPhone'a, wrzucił kawałek Honey Claws. Na szczęście elektroniczne rify i pulsujący bas zagłuszyły zarówno

kpiny Mikroba, jak i nudną pogadankę Thrashera o taktyce.

Speedball był zmęczony i marudny. „Tak jak my wszyscy”, pomyślał. To Thrasher wpadł na pomysł, żeby wrobić Nowych Wojowników w reality show. Na początku wydawało się to ekscytujące. Nadeszły ciężkie czasy dla nastoletnich bohaterów, a program dawał szansę tej, przynajmniej to, trzecioligowej drużynie, by zamieniła się w ekipę gwiazd pop. Teleturniej cieszył się chwilowym zainteresowaniem i Speedball uzależnił się od uznania publiczności, występów w talk show Charliego Rose’a i *The Colbert Report*.

Ale potem odszedł Nova, a o jego zastępczyni – Debrii – lepiej nie mówić. Zmyła się po dwóch odcinkach. Sezon zbliżał się do końca, a rosnące napięcie związane z podróżami i nieustannymi dokrętkami sprawiało, że ich nerwy też były u kresu wytrzymałości. A oglądalność leciała w dół, na samo dno. Drugi sezon był coraz mniej prawdopodobny.

„Szkoda”, pomyślał. „Na początku byliśmy przyjaciółmi”.

Nita dała mu mocnego kuksańca w zębra i Speedball wyjął słuchawki z uszu.

– Co? – zapytał.

– Namierzyli nas – odparła.

Odwrócił się w kierunku domu właśnie wtedy, gdy Coldheart spojrzała prosto na nich. Potem wbiegła do środka, krzycząc:

– Wskakujcie w kostiumy! To nalot!

Wojownicy zerwali się na równe nogi. Fernandez uniósł kamerę, szykując się, by iść za nimi.

– Taktyka standardowego ataku – zawołał Thrasher. – Uformujcie szyk za mną...

Speedball wyszczerzył tylko zęby i wyskoczył w górę, wyrzucając na wszystkie strony pęczeryki energii kinetycznej.

– NAPRZÓD! – wrzasnął.

Znużone westchnienie Thrashera było niemal namacalne.

Speedball zatoczył łuk i wylądował na środku trawnika, zmieniając utwór w iPhone. Program nie był nadawany na żywo, ale z jakiegoś powodu patetyczny temat z czołówki zawsze sprawiał, że skakała mu adrenalina. A Speedball żył dla

adrenaliny.

– SPEEDBALL! – Usłyszał w uchu głos spikera. – NIGHT THRASHER! MIKROB! PONĘTNA NAMORITA! I... CZŁOWIEK ZWANY NOVA!

Nie cierpiał tego ostatniego fragmentu.

– W ŚWIECIE PEŁNYM SZAROŚCI... ISTNIEJĄ JESZCZE DOBRO I ZŁO! SĄ JESZCZE...

– ...NOWI WOJOWNICY! – Speedball krzyknął razem ze spikerem, taranując frontowe drzwi, które rozleciały się w drzazgi.

Pozostali Wojownicy podbiegli do niego, rozglądając się wokół. Salon był ogołocony z mebli niczym melina narkotykowa. Długowłosa mężczyzna ubrany do połowy w egzoszkieletowy pancerz obrócił się w ich kierunku.

– Speedfreak – powiedział Thrasher.

– O cholera. – Speedfreak sięgnął po srebrzysty hełm z czerwonym wizjerem.

Wciąż szczerząc zęby w uśmiechu, Speedball wpadł na przeciwnika, posyłając hełm w powietrze. Przelecieli przez przeciwległą ścianę i wypadli na podwórko. Freetk potknął się o stary pniak otoczony wysoką trawą i chwastami.

– Mówi się, że nie szata zdoła człowieka, Speedfreak. – Speedball posłał mu solidny lewy sierpowy. – Ale ty możesz popisać się tylko wdziakiem!

– Uch. – Speedfreak poleciał do tyłu i padł na trawnik.

Kamerzysta Fernandez stuknął Speedballa w ramię.

– Kolego, dźwięk na chwilę wysiadł. Dałoby radę powtórzyć ten ostatni kawałek?

Speedball skrzywił się i dał znak Namoricie. Ta przewróciła oczami i pomaszzerowała w stronę ogołoczonego Speedfreaka. Uniosła go z łatwością i rzuciła jego bezwładne ciało ku kamerzyście.

Speedball przykucnął, wyskoczył wysoko w powietrze, po czym zanurkował z powrotem, wymierzając potężny kopniak. Kiedy stopą trafił w szczękę Speedfreaka, zawołał wyraźnie:

– Ale ty, głąbie, masz tylko wdziako!

Fernandez opuścił kamerę i ze znużeniem pokazał kciuk w górę.

Speedball rozejrzał się. Night Thrasher i Mikrob zapędzili Coldheart i Cobalt Mana w kozi róg przy ogrodzeniu. Cobalt starał się wcisnąć swoje potężne ciało w hipernowoczesny pancerz, podczas gdy Coldheart kręciła młynki mieczami energetycznymi, trzymając Wojowników na dystans.

Mikrob odwrócił się leniwie i zerknął na Speedballa.

„Pewnie miał nadzieję, że dostanę w łeb”, pomyślał Speedball.

– Zaraz, zaraz. – Coldheart znieruchomiła, trzymając miecze energetyczne w postawie obronnej. – Ja was znam. Jesteście tymi debilami z telewizji.

– Zgadza się – odparł Thrash. – Ale to nie film.

Speedball pokręcił głową. „Straszny suchar, szefie”, pomyślał.

– Nie – ciągnęła Coldheart. – Nie ma mowy. Nie pokonają mnie Żółta Rybka i Królowa Sado-maso.

Zakręciła młynka mieczami ze świstem.

Jednak Namorita przedarła się już przez szyki obronne Coldheart, po czym wbiła niebieską, zahartowaną w głębiach oceanu pięść prosto w szczękę rywalki, rzucając:

– Mam inne zdanie, złotko.

Night Thrasher wsparł ofensywę akrobatycznym kopniakiem wymierzonym w brzuch Coldheart.

– Czy możemy wyciąć ten fragment, kiedy nazywa mnie Królową Sado-maso?

– Jasne. – Nita uśmiechnęła się sarkastycznie. – Bo Night Thrasher brzmi o niebo lepiej: Nocny Młocarz.

Coldheart leżała powalona na łopatki, ale gdzie się podział Cobalt Man? I co, do cholery, robił Mikrob, stojąc w rogu trawnika, odwrócony plecami?

Speedball doskoczył do Mikroba. O dziwo, duży dzieciak stał nad pokonanym i korzącym się złoczyńcą w płaszczu. Opancerzony egzozskielec pod spodem zdawał się rozpuszczać na ich oczach.

– Dorwałem Cobalt Mana! – zawołał Mikrob. – Moje superbakterie właśnie przeżerają jego pancerz. Chyba jednak nie

jestem takim przegrywem, co?

– Naucz się liczyć, przegrywie. – Speedball szukał czegoś. – Gdzie jest czwarty łotr?

Nita wzbiła się w powietrze dzięki wściekle łopoczącym skrzydełkom przy stopach. Zawisła nieruchomo i wskazała za dom, na biegnącą tamtędy ulicy.

– Zajmę się tym.

Odwróciła się i poszybowała nad dachem.

Thrasher i Mikrob błyskawicznie ruszyli do domu. Przeszli przez dziurę w ścianie, podążając za Namoritą.

Speedball poszedł za nimi, potem odwrócił się, słysząc jakiś dźwięk. Leżący na ziemi Speedfreak stęknął, próbując się podnieść. Speedball kopnął go z całej siły, a potem odwrócił się w stronę domu.

Fernandez podążał za nim z kamerą na ramieniu. W połowie drogi przez duży pokój Speedball zwolnił kroku. Fernandez zerknął na niego i Speedball gestem posłał go przodem. Operator potruchtał w stronę drzwi wejściowych.

Speedball długo i dokładnie rozglądał się po pomieszczeniu. Wszędzie wałały się puszki po piwie. Na składanym stoliku rozpływał się ostatni gnijący kawałek pizzy, przesączając się przez tłuste pudełko. Na stercie gier na Xboksa leżała wciąż rozżarzona fajka do metamfetaminy. Stara farba była popękana i odchodziła płatami ze ścian; z wiekowej kanapy wyłaziło wypełnienie.

„Ten dom”, zdał sobie sprawę. „To tutaj się trafia na samym końcu. Kiedy wszystko idzie źle, kiedy sprawy nie układają się tak, jak by się tego chciało. Kiedy podejmuje się same błędne decyzje i trzeba ratować się ucieczką”.

Speedball osiągnął swój szczyt na samym początku walki; teraz poziom adrenaliny spadał mu na łeb na szyję. Nagle poczuł się zmęczony, beużyteczny, jałowy. Cieszył się, że nie było tu pozostałych – paradoksalnie, zużywał mnóstwo energii, by utrzymać swoją dwubiegunowość w tajemnicy. Czuł się kompletnie nierealnie, tak jakby przyglądał się własnym działaniom z pewnej odległości. Jak jakiś znudzony, pozbawiony

twarży telewidz szykujący się, by przełączyć na inny kanał.

– Speedball! – wbił mu się w ucho głos Ashleya.

– Gdzie jesteś, młody? Chcesz przegapić finał?

„Nie”, zrozumiał. „Nie chcę tego przegapić”.

Speedball wyleciał przez roztrzaskane drzwi wejściowe w eksplozji energii kinetycznej. Zatrzymał się na progu, pozując przez moment, na wypadek gdyby brała go któraś z kamer, po czym wyskoczył na ulicę.

Na skraju placu zabaw po drugiej stronie zebrał się tłumek uczniów podstawówki. Niektórzy mieli książki i laptopy, jedno z dzieci trzymało kij baseballowy. Night Thrasher i Mikrob zdecydowanie zakazali im podchodzić bliżej, a Namorita zanurkowała ku zaparkowanemu nieopodal autobusowi szkolnemu.

Niewielka postać przebiegła przez ulicę w stronę pojazdu: miała fioletowo-niebieski kostium, długie siwe włosy. Z okrutnych oczu można było odczytać, że ich właściciel widział – i robił – przerażające rzeczy.

Nita zwała się na niego, rzucając nim z łomotem w autobus i wgniatając karoserię. Roztrzaskana szyba posypała się na nich.

Mężczyzna nie wydał żadnego dźwięku.

– Wstawaj, Nitro. – Namorita przyjęła postawę bojową, stając mocno na nogach i unosząc ramiona do kamery. – I nawet nie próbuj tych swoich głupich eksplozji, bo tylko mocniej ci przyłożę.

Speedball zbliżył się, żeby ją wesprzeć.

Nitro przykucnął na chodniku i oparł się o wgnieciony autobus. Kiedy podniósł wzrok, oczy płonęły mu nienawiścią... i zabójczym ogniem.

– Namorita, zgadza się?

Fernandez zbliżył się, kierując kamerę to na Nitro, to na Nitę.

Nitro uśmiechnął się i oczy rozblęły mu jeszcze mocniej.

– Obawiam się, mała, że nie jestem jednym z tych cieniaśków za dychę, do których przywykłaś.

Świeciło już całe jego ciało. Nita cofnęła się o krok. Night Thrasher obserwował sytuację z napięciem, wahał się. Mikrob po

prostu gapił się z rozdziawioną szczęką.

Przyglądające się im dzieciaki weszły na jezdnię. Jeden z nich z roztargnieniem nerwowo kozłował piłką do koszykówki.

Zaniepokojony Thrasher zbliżył się o krok.

– Speedball... Robbie. Pomóż mi zabrać stąd te dzieci!

Ashley też trajkotał w słuchawce.

Speedball nie ruszył się, nawet nie skinął głową. Po raz kolejny czuł się, jakby oglądał wydarzenia, obrazy przesuwane się w ustalony sposób na ekranie o wysokiej rozdzielczości. „Czy to wszystko ma znaczenie?“, zastanawiał się. „Jeśli coś pójdzie nie tak, niezgodnie z przewidzianym scenariuszem, to czy będziemy mogli po prostu zrobić nowe ujęcie?“

„A może to ujęcie jest ostatnie, jedyne?“

Nitro zamienił się w wielką kulę ognia. Widać było tylko rozpalone, utkwione w Namoricie oczy.

– Teraz grasz z dorosłymi – powiedział Nitro.

Wyleciał z niego błysk energii, w pierwszej kolejności pochłonął Namoritę. Dziewczyna wygięła się w łuk z bólu, wydała z siebie niemy krzyk i zamieniła się w kupkę popiołu. Fala uderzeniowa rozszerzała się, ogarniając kamerę, kamerzystę, autobus szkolny. Zniknął w niej Night Thrasher, potem Mikrob. Następnie dom i trzech złoczyńcy leżący na podwórku.

Dzieci.

Tego dnia zginęło osiemset pięćdziesięcioro dziewięcioro mieszkańców Stamford w stanie Connecticut. Ale Robbie Baldwin, młody bohater zwany Speedballem, nigdy się o tym nie dowiedział. Gdy ciało Robbiego zamieniało się w parę, uwalniając resztki uwięzionej w nim energii kinetycznej, która eksplodowała w pustkę, jego ostatnia myśl brzmiała: „Przynajmniej nie będę musiał się zestarzeć“.

CZĘŚĆ PIERWSZA



W OSTATNIM BLASKU ZMIERZCHU

1

ENERGIA wywołała mrowienie na skórze, tańcząc po milimetrowej grubości powłoce pokrywającej jego ciało. Bezprzewodowe czujniki wysunęły się i dotknęły odpowiednich obwodów na butach, napierśniku, nogawkach. Mikroprocesory rozbłysły życiem, w ekspresowym tempie nabierając mocy. Płyty pancerza otwarły się z trzaskiem, dopasowując do sylwetki; wsunęły się w odpowiednie miejsca, po kolei zamykając wszystkie obwody. Rękawice zatrzasnęły się na palcach, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, dziesięć.

Na końcu hełm lekko wylądował mu na rękach. Nasunął go na głowę i żwawo zamknął wizjer.

Z nadejściem świtu Tony Stark wzleciał w niebo nad Manhattanem.

Wieża Avengers została daleko w dole. Tony spojrzął na nią i wykonał półobrót w pionie. W polu widzenia jawiła mu się majestatyczna, rozległa panorama manhattańskich wieżowców. Na północy, jak zielony kobierzec w morzu szarości, leżał Central Park. Strzelisty labirynt budynków na Wall Street od południa zwężał się, aż tworzył w oddali na wodzie wyraźny punkt.

Nowy Jork był jego domem i Tony kochał to miasto. Ale dziś trudno o spokój.

Kilkanaście lampek rozbłysło Tony'emu przed oczami, zwracając na siebie uwagę, jednak on je zignorował. „Gdzie by tu pójść na śniadanie?”, zastanawiał się. „Cloisters? Szybki wypad do Vineyard? A może dłuższy, do Boca na Florydzie?” Serena, która rozgaszcziała się w hotelu Hyatt w Delray, będzie zachwycona, widząc go ponownie.

„Nie”, stwierdził. Dziś był niespokojny. Dziś będzie inaczej.

Szybką komendą myślową zadzwonił do Pepper Potts. Połączył

się z pocztą głosową.

– Odwołaj moje poranne spotkania – powiedział. – Dzięki, złotko.

Pepper zawsze była w pracy. Poczta głosowa oznaczała, że umyślnie go ignorowała. Nieważne, wykona jego polecenie za kilka minut.

Tony szybko omiótł spojrzeniem Central Park. Potem odpalił silniki odrzutowe w butach i niezwyknięty Iron Man pomknął na drugi kraniec miasta nad East River.

Przed oczami migotała mu dioda esemesa, ale Tony na razie nie chciał zaprzętać sobie tym głowy. Włączył autopilota, upewniwszy się, że wcześniej aktywował specjalny system komunikatów Federalnej Administracji Lotnictwa. Poszybował nad lotniskiem LaGuardia, zrobił przechył w lewo i mrugnął dwa razy, by otworzyć kanały RSS. Przed oczami pojawiło mu się menu z nagłówkami.

Dalej kłopoty gospodarcze w Unii Europejskiej, będzie musiał jeszcze raz sprawdzić portfel akcji. Szykował się wybuch kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie, może nawet dzisiaj. Pepper oznaczyła też artykuł o meksykańskiej filii Stark Enterprises. Tony będzie zmuszony powiedzieć Nuñezowi, dyrektorowi operacyjnemu tamtego oddziału, żeby pamiętał o ścisłym zakazie sprzedaży broni przez firmę.

Media znów informowały o Senackiej Komisji Śledczej do spraw Metaludzi. To przypomniało Tony’emu o kolejnych obowiązkach, więc przełączył się na skrzynkę mailową. Przeskanował kilkaset wiadomości: dobroczynność, kontrakty, starzy znajomi, rzekomi starzy znajomi, którzy chcą pieniędzy, zaproszenia, sprawy Avengersów, sprawozdania finansowe...

Jest! Potwierdzenie daty jego własnego przesłuchania przed komisją do spraw metaludzi w przyszłym tygodniu. Ważna rzecz: tego dnia nie będzie mógł się wyżyć w długodystansowym locie.

Komisja powstała, by zbadać nadużycia nadludzkiej mocy i zalecić normy i przepisy regulujące działania metaludzi. Jak wiele komisji w Kongresie, ta również służyła głównie po to, by jej członkowie mogli zdobywać polityczne punkty. Ale Tony

musiał przyznać, że świat stał się bardziej niebezpieczny i obdarzone supermocami istoty cieszyły się coraz mniejszą sympatią obywateli. Jako najbardziej popularnemu Avengersowi o publicznie znanej tożsamości Tony'emu szczególnie zależało, by wysłuchano obu stron.

Do zatoki Pelham wpływał właśnie statek z pasażerami. Tony pomachał i kilku turystów odpowiedziało tym samym. Potem zwiększył wysokość i wzleciał nad bezkresny przestwór Atlantyku.

Najpierw miał pod sobą chaotycznie rozsiane statki. Potem już tylko fale: ogromne, przewalające się, czysty, niekończący się pokaz sił natury. Ten widok uspokoił Tony'ego, pozwolił mu się skupić. Z wolna, z głębi umysłu zaczął się wyłaniać prawdziwy powód niepokoju.

Thor.

Posłaniec z Asgardu, siedziby nordyckich bogów, pojawił się nagle. Potężny i srogi trzyipółmetrowy przybysz unosił się w obłoku mgły nad Wieżą Avengers. Tony powitał go na dachu. Tuż nad posłańcem unosiła się Carol Danvers, czyli Ms Marvel, członkini Avengersów – wysoka i pełna wdzięku superbohaterka o smukłym, silnym ciele spowitym w zwiewne błękit i czerwień. Towarzyszyli im Kapitan Ameryka w pełnym kostiumie oraz Tigra, kobieta-kot o pomarańczowym futrze.

Przez chwilę posłaniec nic nie mówił. Potem rozwinął pozólkły od upływu czasu zwój pergaminu i zaczął czytać.

– NASTAŁ RAGNAROK – powiedział. – ZOSTAŁEM POSŁANY, BY POWIADOMIĆ WAS, JAKI LOS SPOTKAŁ BOGA GROMU. WIĘCEJ GO NIE ZOBACZYCIE.

Szeroko otwarte oczy Tigry zdradzały przerażenie. Kapitan Ameryka zacisnął zęby i wystąpił o krok.

– Jesteśmy gotowi. Powiedz nam, dokąd mamy iść.

– NIE. DOKONAŁO SIĘ. RAGNAROK NADSZEDŁ I MINAŁ, PUSTOSZĄC CAŁY ASGARD.

Tony wzbił się w powietrze, by znaleźć się z posłańcem twarzą w twarz.

– Posłuchaj – zaczął.

– THOR POLEGŁ NA POLU BITWY. DOKONAŁ ŻYWOTA.

Na te słowa Tony’ego ogarnęło uczucie okrutnej bezsilności. Zakręciło mu się w głowie, niemal spadł na ziemię.

– JESTEM TU PRZEZ WZGLĄD NA TO, ILE DLA WAS ZNACZYŁ. ALE WYSŁUCHAJCIE MNIE: TO OSTATNIA WIADOMOŚĆ OD OJCA ODYNA. OD DZIŚ NIE BĘDZIE JUŻ KONTAKTU POMIĘDZY MIDGARDEM A ASGARDEM, MIĘDZY ŚWIATAMI WASZYM A NASZYM. THOR NIE ŻYJE. EPOKA BOGÓW DOBIEGŁA KOŃCA.

I wraz z głuchym echem gromu posłaniec zniknął.

To było cztery tygodnie temu. Teraz szybujący nad oceanem Tony znów słyszał w głowie te słowa: epoka bogów dobiegła końca.

„Cóż”, pomyślał. „Może. A może nie”.

Tony opłakiwał Thora przez ostatni miesiąc. Avengersi dzielili się smutkiem, ale też frustracją: po dziesiątkach, setkach wspólnych bitew ich przyjaciel i towarzysz najwidoczniej zginął samotnie w wojnie toczonej gdzieś daleko, na zupełnie innej płaszczyźnie istnienia. Avengersi nie tylko nie byli w stanie mu pomóc – prawdopodobnie nie mogli nawet dostrzec bitwy, w której stracił życie.

Ale teraz Tony zaczął zdawać sobie sprawę, że gryzie go coś jeszcze. Thor nie był tylko jego przyjacielem – bóg piorunów stanowił filar, oś, wokół której kręcili się Avengersi. Zarówno Tony, jak i Kapitan byli uparci i każdy z nich miał silne i słabe strony. Kapitan kierował się sercem i instynktem, Tony wiarą w potęgę przemysłu i technologii. Odkąd powstała drużyna, kilka razy prawie się pobili o to, co należy poświęcić lub jaką obrać strategię. I za każdym razem Thor przemawiał tym swoim tubalnym głosem nieznoszącym sprzeciwu. Przypominał o powinnościach albo wyśmiewał głupotę, a jego niepohamowana wesołość zawsze sprawiała, że się godzili. W przeciwnym wypadku po prostu zachodził ich od tyłu i klepał obu po plecach z taką siłą, że zbroja Tony’ego niemal stapała się ze skórą.

Tony próbował kontaktować się z Kapitanem, ale superżołnierz był w ostatnich tygodniach bardzo wycofany. Tony miał okropne

uczucie, że śmierć Thora na zawsze podzieliła Avengersów.

Poza tym wszystko szło dobrze. Stark Enterprises zdobywało liczne kontrakty z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego Stanów Zjednoczonych i chociaż w życiu Tony'ego nie było obecnie tej jednej wyjątkowej kobiety, to kręciło się wokół niego cztery czy pięć niesamowicie seksownych. Ogólnie rzecz biorąc, w ostatnich latach można było tylko pozazdrościć Tony'emu Starkowi.

A jednak nie mógł wyzbyć się obawy. W głębi pokrytego metalem serca czuł, że stanie się coś potwornego.

Zamrugła kolejna dioda. Happy Hogan, szofer Tony'ego.

– Dzień dobry, Happy.

– Mam do pana podjechać, panie Stark?

Na wzburzonej powierzchni wody pojawił się podskakujący kształt ledwie widoczny przez chmury. Tony przyjrzał mu się, na chwilę przerywając rozmowę.

– Panie Stark?

– Hm, nie dziś, Happy. Tu, gdzie jestem, raczej nie dojedziesz samochodem.

– Znów pokój hotelowy? O którą kobietę chodzi tym razem?

Tony zniżył lot pod linię chmur i zatoczył łuk. Dostrzegł mały, siedmiometrowy kuter rybacki. Prawdopodobnie portugalski, ale dryfował bardzo daleko od macierzystego portu. Był przechylony i nabierał wody z niespokojnego morza. Członkowie załogi uwijali się na pokładzie, próbując walczyć z żywiołem, wspomagając się wiadrami, jednak nie nadążali.

– Oddzwonię później, Happy.

Tony zanurkował ku statkowi. Pod kutrem przewaliła się olbrzymia fala, przewracając go na bok. Załoga gorączkowo chwyciła się masztów, szukając podpory. Przyptyw wody był jednak niepowstrzymany. Statek zaraz miał wywrócić się do góry dnem.

Tony, pikując, wyszukał w sieci informacje na temat siedmiometrowych statków. Powinien ważyć między tysiąc pięćset a tysiąc dziewięćset kilogramów, nie wliczając załogi i ładunku. Spory ciężar, ale z nowymi mikrokontrolerami we

wzmacniaczach mięśni naramiennych chyba da radę. Rufa wznosiła się teraz przed nim, skierowana już niemal pionowo w górę. Chwycił ją, poleceniem myślowym włączył mikrokontrolery i zaczął pchać.

Ku jego zdumieniu kuter dalej naciskał, znosząc go w stronę morza. Zdał sobie sprawę, że pancierz nie działa: kontrolery się nie uruchomiły. Niemal dwutonowy statek rybacki napierał teraz na Tony'ego mającego do dyspozycji zwykłe ludzkie mięśnie.

W tej samej chwili zadzwonił telefon – priorytetowy numer z Wieży Avengers. Tony zaklął. Z wysiłkiem aktywował myślowo automatyczną odpowiedź tekstową: „Oddzwonię”.

Rybacy w dole zwisali z masztów, krzycząc w panice. Za kilka sekund znajdą się pod wodą.

Tony nie mógł uruchomić promieni repulsora – z tej odległości rozwaliby kuter w drzazgi. Z trudem nabrał powietrza i wymusił restart mikrokontrolerów. Diody zatańczyły mu przed oczami... Tym razem kontrolery się włączyły. Jego metalowy egzoszkielet wypełniła energia. Tony popchnął, z początku za mocno, po czym chwycił kuter, by skorygować kurs. Potem postawił statek delikatnie na wodzie.

Morze było chwilowo spokojniejsze. Tony uruchomił automatycznego tłumacza, wybrał: PORTUGALSKI.

– Lepiej wracajcie do portu – powiedział.

Pancierz gładko przełożył komunikat, wzmacniając go tak, by usłyszeli go rybacy na dole.

Przemoczony do suchej nitki kapitan odetchnął z ulgą i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Z jego ust dobyły się portugalskie słowa, a Tony usłyszał metaliczny głos pancerza: „Dziękuję, panie Anthony Stark”.

„Oho”, pomyślał Tony. „Znają mnie nawet w Portugalii”.

Wzniósł się na tyle wysoko, by dojrzeć wybrzeże Portugalii i Hiszpanii. Woda zdawała się dość spokojna, mogli wrócili bezpiecznie, więc pomachał rybakom na pożegnanie i pomknął do brzegu.

Z mikrokontrolerami był kłopot. Tony zawsze miał problemy z mikroukładami scalonymi – im mniejsze urządzenia, tym

większe prawdopodobieństwo, że nie odpalą. Powinien to z kimś skonsultować... Może z Billem Fosterem? Zanim został Goliatem, Foster specjalizował się w miniaturyzacji.

– Notatka – powiedział na głos Tony. – Zadzwoń jutro do Billa Fostera.

Usiane plażami wybrzeże Hiszpanii wyłoniło się zza chmur, kusząc go, by zniżył lot. Może zatrzyma się na tapas? Nie. Nie dziś. Otworzył menu telefonu i wybrał ODDZWOŃ NA OSTATNI NUMER. Wskoczyła opcja: WIDEO? Wybrał: TAK.

Przed Tonym pojawiła się koszmarna postać, która wypełniła mu całe pole widzenia. Lśniący, owadopodobny stwór mienił się metalicznymi złotem i czerwienią, miał szczupłe kończyny, wydawał elektryczne trzaski. Jego oczy skrywały się pod podłużnymi złotymi soczewkami, przydając mu złośliwego, nieludzkiego wyglądu. Kształtem przypominał człowieka, nie licząc czterech dodatkowych metalowych macek, które wyrastały mu z pleców, machały we wszystkie strony w przypadkowych, spazmatycznych ruchach.

Tony wywinął koźła w powietrzu, jednak szybko wyrównał tor lotu. Minął już Hiszpanię, zmierzał teraz w stronę Włoch nad Morzem Tyrreńskim.

– Tony? Jesteś tam? – Stonowany ton głosu brzmiał przyjaźnie i znajomo. Tony się roześmiał.

– Peter Parker – powiedział.

– Prawie dostałeś zawału, co? Przepraszam, to nie było śmieszne.

– W porządku, Peter. – Tony skręcił na południe, omijając Bośnię, by zatoczyć łuk wokół Grecji. – Powinienem rozpoznać ten kostium... W końcu sam go stworzyłem. Tyle że nigdy nie widziałem, by ktoś go nosił.

W oknie wideo Tony'ego Peter Parker – niesamowity Spider-Man – wskoczył na stół z lekkością i dużą szybkością.

– No i? – zapytał, przybierając komiczną pozę rodem z „Vogue'a”, twarz okalały mu metalowe macki. – Co sądzisz?

– Cały ty, dzieciaku.

Tony jeszcze raz sprawdził, skąd nadeszło połączenie. No tak,

Wieża Avengers. To wyjaśniało możliwość wideorozmowy. Zrozumiał też, dlaczego Peter dzwonił.

– Serio, Tony... Znasz mnie, nie mówię „serio” zbyt często. Ten kostium... Prawdziwa bomba.

– Na twoim miejscu też nie mówiłbym tak zbyt często.

Spider-Man popukał w złote soczewki.

– Co to w ogóle jest?

– Filtry podczerwieni i ultrafioletu. Słuchawka ma wbudowany nasłuch straży pożarnej, policji i pogotowia. – Tony uśmiechnął się; uwielbiał tłumaczyć, jak funkcjonują jego dzieła. – W powłoce ust są węglowe filtry blokujące toksyny, a w napierśnik wbudowałem cały system GPS.

– Wow! Już nigdy nie zgubię się w West Village. O co im chodzi z tymi ukośnymi przecznicami?

– Cóż... Zaczekaj chwilę, Peter...

Przed nim wyłoniła się Jordania, tuż za nią Arabia Saudyjska. Tony włączył w zbroi pole *stealth*, czując znajome mrowienie w całym ciele. Teraz był niewidzialny dla radarów, satelitów i ludzkiego wzroku z odległości ponad dwunastu metrów.

– ...nigdy nie wiadomo, gdzie człowieka poniesie.

Przywołał szczegółowe dossier Petera, przejrzał je szybko.

– Jak się ma twoja ciotka?

– Lepiej, dzięki. Tamten zawał okazał się niegroźny.

– Cieszę się.

– Tony, jestem ci strasznie wdzięczny. Naprawdę. Ten kostium, który uszyłem, kiedy miałem piętnaście lat... Był już mocno wyswiechtany.

– Wyposażyłem go też w siatkową błonę, która pozwoli ci szybować na krótkie dystanse – powiedział Tony.

– Tony...

– Całość jest z ognioodpornego kevlaru. Żaden pocisk poniżej średniego kalibru go nie przebije.

– Tony, nie wiem, czy mogę to przyjąć.

Tony zbył go, włączył dopalacze. Pustynia – brązowe wzgórze spalone bezlitosnym słońcem – rozmyła się w pędzie.

– Ten kostium to prezent, Peter.

– Wiem. Mam na myśli to drugie.

Macki na plecach Petera drgnęły.

„Nie przyzwyczaił się jeszcze do sterowania myślą”, zdał sobie sprawę Tony.

– Potrzebuję cię, Peter.

– To mi schlebia. Uwierz, niezbyt często to słyszę, w szczególności od lasek.

– Z tym też mógłbym ci pomóc.

– Tony, po prostu nie dam rady zastąpić boga.

„Więc o to chodzi”.

Tony umilkł na chwilę, zbierając myśli. Zrozumiał, że następna minuta będzie decydująca. Może nadać kierunek reszcie jego życia. Petera też.

Peter dodał:

– No i nigdy nie byłem graczem zespołowym. Jestem tylko przyjaznym Spider-Manem z sąsiedztwa. Wy działacie na zupełnie inną skalę.

Tony podkreślił odrobinę poziom czułości w mikrofonie. Kiedy znów się odezwał, jego głos nabrał odrobinę głębszego brzmienia.

– Peter – zaczął – dużo się teraz dzieje. Słyszałeś o Senackiej Komisji Śledczej do spraw Metaludzi?

– Nie, ale brzmi jak świetna zabawa.

– Rozważają wprowadzenie kilku przepisów, które poważnie wpłyną na twoje i moje życie. Era samotnego wilka się kończy, Peter. Twoim sąsiedztwem jest teraz cały *świat*. Jeśli zamierzasz nadal to robić: ratować ludziom życie, pomagać im, wykorzystywać swój dar dla dobra ludzkości, to będziesz potrzebował wsparcia, jakiejś struktury.

Spider-Man milczał. Zza fasady z siatki metalicznej nie dało się odczytać wyrazu jego twarzy.

– Moi Avengersi to silna drużyna – ciągnął Tony. – Kapitan, Tigra, Ms Marvel, Hawkeye, Falcon, Goliat. Nawet Luke Cage zaczyna zgrywać się z drużyną. Ale nie ma nikogo, kto myśli tak jak ja, kto rozumie naukę i technologię i zawsze mimochodem patrzy w przyszłość.

– Ha! Ostatnio nic innego nie robię, jak tylko martwię się przyszłością.

– Peter, nie proszę cię, żebyś zastąpił Thora. Nikt nie mógłby tego zrobić. Ale potrzebne mi twoje zwierzęca siła i bystry umysł. Jesteś teraz kluczowym elementem przedsięwzięcia Avengers.

Spider-Man dał susa w górę, przebiegł nerwowo po suficie sali konferencyjnej. Migoczące macki latały na wszystkie strony. W tej chwili przypominał pajaka najbardziej w swoim życiu.

W dole przemknęły Indie, potem Tajlandia. Indonezja.

– Pełne ubezpieczenie medyczne? – spytał Spidey.

– Lepsze niż Obamacare.

– Wchodzę w to.

– Doskonale. – Szary ogrom Australii majaczył na horyzoncie. – Będę w domu za trzy godziny. Uczymy to drinkiem na Wieży Avengers, może być o drugiej po południu?

– Dla ciebie oczywiście woda sodowa.

– Dobrze mnie znasz – stwierdził Tony, po czym przez chwilę milczał. – Peter, mam mały problem z satelitą. Do zobaczenia po południu.

– Z satelitą? Gdzie ty w ogóle jesteś?

– Nie uwierzyłbyś.

– Wszystko w porządku?

– Mam drobny kłopot z nowymi mikrokontrolerami w pancerzu... Nieważne. Wszystko gra.

– Dobrze. No cóż. Dzięki jeszcze raz.

– Dokonamy razem wielkich rzeczy, Peter. To ja ci dziękuję.

Tony zakończył połączenie.

Spojrzał na przesuwaną się w dole Nową Zelandię. Odbił w lewo, na północ, i włączył pełną moc dopalaczy. Pierwszy grom dźwiękowy ledwo przeniknął przez pancerz, drugi lekko zabrzączał mu w uszach.

Lot znudził Tony'ego. Chciał już wrócić do domu, do pracy. Wkroczyć w kolejną fazę swojego życia.

Zwerbowanie Petera do Avengersów było dla niego priorytetem. Tony szczerze lubił tego młodego człowieka i nie kłamał, kiedy chwalił jego talent naukowy oraz bystry umysł. Nie

mógł się doczekać, aż zacznie być mentorem Petera.

Była też inna kwestia, o której nie wspomniał. Tony'ego nie interesował tylko Peter Parker, wielki umysł naukowy. Interesował go również Peter Parker – Spider-Man – obecnie jeden z najpotężniejszych metaludzi na świecie. To czyniło z niego cenny nabytek... Ale też potencjalne zagrożenie, które należało obserwować.

„Lepiej trzymać go blisko”.

Tony spojrział w dół na Ocean Spokojny, dostrzegając w oddali maleńkie Hawaje. Zwolnił na chwilę, wyobrażając sobie, jak siedzi na tarasie hotelu z bezalkoholowym koktajlem w dłoni i patrzy na piękne kobiety o lśniących ciałach wskakujące do wody i wychodzące z niej.

Nie. Nie dziś.

Zanim dotarł do Kalifornii, miał już osiem wiadomości głosowych od Pepper. Spotkania, telefony, umowy. Z każdą kolejną zostawioną informacją jej głos był odrobinę bardziej rozłoszczony.

„Cóż”, pomyślał Tony. „Skoro tyle już poczekała...”.

Przemknęły pod nim solniska stanu Utah, potem piękne ośnieżone szczyty Colorado. Puste równiny Kansas, bujne lasy Missouri.

„Jakie to wszystko piękne”.

Kiedy na horyzoncie pokazały się Appalachy, zadzwonił do Happy'ego.

– Będę potrzebował podwózki, Happy.

– Wciąż jest pan w tym pokoju hotelowym, szefie? – Happy zachichotał. – Powinni butelkować to, co płynie w pana żyłach, i sprzedawać jak Viagrrrrrrr...

Nagle Tony'ego zalała lawina diod i alarmów, zagłuszając Happy'ego. Zamrugał, zawahał się nad Pittsburghiem i poleceniem myślowym wyczyścił wszystkie powiadomienia.

– Jesteś tam jeszcze, Happy?

– Tak, szefie.

– Bądź w pogotowiu.

Tony wywołał kanały RSS. Ładowały się powoli. Przerzucił

kanały informacyjne z kabłówek. We wszystkich doniesieniach pobrzmiwała dezorientacja, a nawet panika. Coś o setkach zabitych... Olbrzymi krater w samym środku...

Widział już przed sobą Wieżę Avengers wystającą ponad panoramę Manhattanu.

– Happy, spotkajmy się w budynku – powiedział. – Tak szybko, jak tylko...

Nagle jego czujniki optyczne wychwyciły słup dymu wznoszący się w powietrze po lewej. Kilka kilometrów na północ. Nie... Dalej, poza granicami miasta. Co najmniej sześćdziesiąt kilometrów.

Wielki słup dymu.

Stało się coś strasznego.

– Zmiana planów, Happy. Czekaj na instrukcje. Zmieniam kurs na...

Umilkł, ustawił GPS na gęsty, wznoszący się coraz bardziej pióropusz czarnego dymu.

– ...Stamford w stanie Connecticut.

2

PIERWSZA myśl Spider-Mana, gdy tylko znalazł się w Stamford, brzmiała: „To się nazywa premiera w roli Avengersa”.

Na obrzeżach miasta wyły karetki. Ludzie wystawali przed domami, rozmawiając szybko i z przestrochaniem. Kilku biznesmenów z frustracją stukowało w telefony – sieć komórkowa była przeciążona. Wszyscy co chwilę spoglądali na północ, na gęstą czarną chmurę w centrum eksplozji.

Spider-Man przystanął na skrzyżowaniu, podniósł wzrok. Dym trochę się już rozrzedził, ale nienaturalne szare opary nadal przykrywały całe miasto. Szkła w nowym kostiumie mogły zapewne przeanalizować skład mgły, jednak Peter jakoś wcale nie chciał tego wiedzieć.

Spidey wiedział, że musi tu być. Tony nie odbierał jednak telefonu i choć może brzmiało to głupio, bohater nie miał pojęcia, jak połączyć się z jakimkolwiek innym Avengersem. Wskoczył więc na ciężarówkę jadącą na północ i kiedy ulica stanęła w korku, ostatnie pięć kilometrów przebył pieszo.

Należący do Avengers Quinjet ze świstem przeleciał mu nad głową, zmierzając do strefy zero. Spider-Man podniósł rękę, wystrzelił pasmo pajęczyny i owinął je wokół latarni, po czym ruszył śladem swoich nowych towarzyszy.

Kilometr dalej główną ulicę blokowały policyjne barykady, za którymi można było dostrzec efekty zniszczenia: zawalone budynki, migoczące światła pojazdów służb ratowniczych, strzępy materiałów latające po zaśmieconych drogach. Oszalali cywile wyklócali się z gliniarzami, prośbą i groźbą starając się dowiedzieć czegokolwiek o bliskich.

Tuż przed barykadą zebrał się niewielki tłumek i pokazywał palcami gdzieś w górę. Stara czteropiętrowa biblioteka

zwieńczona bogato zdobioną kopułą trzeszczała i chwiała się. Spider-Man użył zbliżenia w soczewkach i dostrzegł przyczynę: w jednej ze ścian tkwił kawał betonu – najwidoczniej doleciał tu aż z miejsca katastrofy. Staruszka i mężczyzna o kulach wyszli frontowymi drzwiami, popędzani przez miejscowych policjantów.

Jednak gapie wcale nie obserwowali biblioteki. Wzdłuż kopuły u szczytu budynku przemykała ciemnoczerwona postać – Daredevil, człowiek nieznający strachu.

Spider-Man wyteżył siły i dał susa. Prawie przestrzelił – w nowym kostiumie automatycznie włączyły się wzmacniacze mięśni. Obrócił się jednak w powietrzu i po niecałej sekundzie miękko wylądował na ścianie. Przyłgął palcami do ceglanej fasady z łatwością charakterystyczną dla pająka.

Daredevil nie pokazał po sobie zaskoczenia. Prawdopodobnie ostrzegł go radarowy słuch.

– Peter – powiedział. – To ty?

– We własnej osobie, Matt. – Spider-Man zrobił pauzę i stuknął palcem w metalowy wizjer. – Chociaż trochę zmechanizowanej.

Budynek w dole wciąż chwiał się i trzeszczał.

– W środku jest dziecko – powiedział Daredevil. – Pomożesz?

– Zawsze.

Daredevil chwycił za klamkę okna i spróbował otworzyć. Zamknięte od środka. Spider-Man klepnął go w ramię, potem skoncentrował się i wyciągnął mackę sterczącą z tyłu kostiumu. Macka zadrżała przed oknem, a potem mocno stuknęła. Szyba roztrzaskała się na kawałki.

Daredevil zwrócił się ku niemu.

– Skąd masz ten kostium?

– Zrobił go dla mnie niejaki Anthony Stark. Może o nim słyszałeś.

Usta Daredevila skrzywiły się ponuro pod maską. Potem bohater odwrócił się i wskoczył do budynku.

Spider-Man wzruszył ramionami i poszedł w jego ślady, mackami wybijając resztkę szkła z okiennej ramy.

W pustym gabinecie panowała cisza. Nie było prądu:

komputery o czarnych ekranach stały na dwóch zawalonych papierami biurkach.

– Wiesz, gdzie jest ten dzieciak? – spytał Spider-Man.

Ale Daredevil był skupiony, wysyłał fale radaru przez podłogę. Wskazał na drzwi i Spidey znów poszedł za nim.

– Jak się w ogóle miewasz, Matt? Wiem, że stresowałeś się tą całą sprawą tożsamości.

Daredevil nie odpowiedział od razu. Pół roku temu pewien brukowiec powiązany ze zorganizowaną przestępczością ujawnił jego tożsamość, informując publicznie, że Avenger nazywa się Matt Murdock i jest zaangażowanym adwokatem. Daredevila zalały pozwy cywilne i spotkało go publiczne nękanie. Matt podjął wtedy ryzykowną decyzję, by wszystkiego się wyprzeć, i oficjalnie przysiągł, że nie jest Daredevilem – co było oczywiście kłamstwem. Spider-Man miał wątpliwości, czy zgadza się z decyzją przyjaciela – dość mętną pod względem moralnym. Jednak Matt przekonał go, że nie miał wyjścia.

– U mnie w porządku – powiedział Daredevil. Nie brzmiał przekonująco. – Hej, ty!

W podzielonym na boksy pomieszczeniu, na podłodze pod ścianką kuliła się siedmioletnia dziewczynka. Budynek zachwiał się i mała pisnęła ze strachu.

Potem zobaczyła Spider-Mana i wrzasnęła.

„Widocznie nie wszyscy przyzwyczaili się do mojej nowej stylówki”, pomyślał Peter.

– Ja to załatwię – powiedział Daredevil.

Pięć minut później byli z powrotem na ziemi. Daredevil przekazał dziewczynkę matce pod czujnym okiem policjantów. Kobieta spojrzała podejrzliwie na Daredevila, potem na Spider-Mana. I uciekła.

– To się nazywa wdzięczność – powiedział Spidey.

Daredevil zwrócił się do niego.

– Winisz ją po tym, co się dzisiaj stało?

– Ja nie wiem, co się dzisiaj stało.

– Coś złego, Peter. Dla nas wszystkich.

Spider-Man zmarszczył brwi.

– Mogę prosić o małą odpowiedź?

– Mówię o ustawie o rejestracji superludzi.

Spidey bezradnie wzruszył dwoma ramionami i czterema mackami.

Daredevil zwrócił twarz ku niebu. Spider-Man poszedł za jego przykładem. Czerwono-złoty Iron Man przemknął nad nimi, kierując się do strefy zero.

– Zapytaj swojego nowego najlepszego kumpla – dokończył Daredevil.

Kiedy Spidey opuścił wzrok, Matta już nie było.

SPIDER-MAN z łatwością pokonał barykadę – gdy przeleciał ponad na pajęczynie, gliniarz krzyknął na niego bez przekonania, po czym wrócił do swoich obowiązków. Policja w Stamford naprawdę miała dziś ręce pełne roboty.

Kawałek dalej za blokadą ulice pograżyły się w chaosie. Niektóre domy zawaliły się do środka, inne leżały pod gruzami. Wszędzie uwijały się ekipy ratunkowe, przenosząc zabitych i rannych do karet, zaś tam, gdzie drogi były zbyt zniszczone, do pospiesznie przystosowanych jeepów.

A niebo... Niebo przestaniały popiół i szara mgła. Słońce – bladoczerwona kula ledwo widoczna przez chmurę pyłu – prześwitywało słabo, nie rzucając cieni.

Uwagę Spider-Mana zwrócił łopot skrzydeł. Falcon – muskularny czarnoskóry mężczyzna w czerwono-białym kostiumie – sfrunął na ziemię przecznicę dalej. Spidey śledził wzrokiem lądowanie i zauważył, że Kapitan Ameryka w pełnym stroju rozmawia z lekarzami.

Kapitan i Falcon bywali partnerami już od wielu lat. Wymienili kilka zwięzłych słów – Spidey był za daleko, by je dosłyszeć – a potem ruszyli biegiem do wciąż dymiącego domu.

– Kapitanie! – zawołał Spidey.

Kapitan Ameryka usłyszał, spojrział na Spider-Mana i zdziwił się na jego widok. Potem znów obrał kurs na płonący budynek.

Spidey pokręcił głową. „A temu o co chodzi?” Podniósł rękę,

żeby wystrzelić nic pajęczyny, ponieważ chciał dogonić Kapitana i Falcona...

– Hej, jesteś Avengersem?

Ratownik opuścił maskę oddechową. Wyglądał na wyczerpanego i zniecierpliwionego.

– Tak – odparł Spider-Man. – Chyba tak.

– Przydałoby nam się pomoc. – Mężczyzna wskazał na stertę kamieni, pozostałości starego budynku administracji miejskiej. – Detektory ruchu wykrywają coś siedem metrów w głąb. Ale nasze koparki jeszcze nie przyjechały.

– Załatwię to. – Spidey wyskoczył w powietrze. – Zrobicie mi miejsce, chłopaki?

„Czas dać temu nowemu kostiumowi wycisk”.

I zaczął kopać, mackami usuwając kamienie i resztki zaprawy murarskiej, fragmenty zniszczonych mebli i ścian, zawalonych sufitów. Dobił się do poziomu ziemi i rył dalej, w końcu dotarł piętro, a potem dwa piętra niżej. Ostrożnie schodził coraz głębiej, podtrzymując się przy pomocy pajęczyn. Omiałał otoczenie mackami, by czyścić je z gruzów i przebijając się przez kolejne poziomy. W dawnych czasach nie poszłoby mu tak łatwo, musiałyby podnosić sufity pajęczyną i pokonywać zablokowane tunele wyłącznie siłą mięśni.

Teraz było łatwiej. Jakby nawet bardziej naturalnie.

Zanim Spider-Man się obejrzał, ratownicy zsunęli się za nim na linach. Rozbiegli się po dolnym poziomie piwnicy, podczas gdy on wzmacniał trzeszczący sufit kolejnymi warstwami pajęczyny. Gdy zlokalizowali wszystkich pięciu ocalałych, zamontowali bloczki ratownicze, po czym zaczęli wyciągać rannych i transportować ich na górę. Cywile mieli w płucach mnóstwo pyłu, jeden złamał nogę. Ale wszyscy przeżyją.

Peter wspiał się z powrotem na poziom ziemi przy wtórnie niemrawych okłasków ratowników. Ale brawo były też dwie inne postaci: Tigra, zmiennokształtna kobieta-kot, i Luke Cage, Power Man.

Tigra wzięła Spider-Mana w ramiona, przytuliła go i wyprowadziła z budynku. Jej pokryte futrem ciało było ciepłe

i muskularne; bikini niemal go nie zasłaniało. Trzymała Spidey'ego w objęciach dziwnie długo.

– Witamy wśród Avengersów. – Tigra uśmiechnęła się i przebiegła zalotnym spojrzeniem po szczupłej sylwetce Spider-Mana. – Nareszcie mamy w zespole jakieś ciacho.

– Dziękuję. Szkoda, że okoliczności nie są mniej... – Powiódł ręką wokół. – Cóż, przerażająco apokaliptyczne.

– Avengersi uratowali mi życie – Tigra spoważniała. – Po mojej przemianie Kapitan i Iron Man... Gdyby nie wsparcie drużyny, nie wiem, co by się ze mną stało.

Cage, bohater klasy pracującej z Harlemu, miał na sobie brudne dżinsy i czarną obcisłą koszulę. Oczy zasłaniał czarnymi okularami. Jego ciemnoskóra twarz była pokryta brudem i sadzą. Klepnął Spider-Mana po plecach.

– A ty? – spytał Spider-Man. – Dobrze ci zrobiło dołączenie do Avengersów?

– Jestem z nimi dopiero od kilku miesięcy. Gdyby to było więzienie, nie mógłbym jeszcze się ubiegać o zwolnienie warunkowe. – Cage zsunął okulary na nos, by lepiej przyjrzeć się Peterowi. – Ciekawe ciuchy.

– Z oryginalnej kolekcji Tony'ego Starka. W butikach będą dopiero w przyszłym sezonie.

– Chodźmy – powiedziała Tigra. – Spróbujmy pomóc Kapitanowi.

Popędziła na czworakach, przeskakując nad przewróconymi sygnalizatorami i słupami telefonicznymi. Cage skinął Peterowi głową i obaj pobiegli za nią.

Na wprost wciąż płonął wolno stojący ceglany budynek. Siedmiometrowy Goliat, ostatni z dawnej linii bohaterów zmieniających rozmiary, zdejmował gruz z dachu. Cofnął się przed buchającym płomieniem, chwycił obłuzowany kawałek papy i wyrzucił go w powietrze. Od razu nadleciała Ms Marvel i wystrzeliła kulę świetlistej energii, która natychmiast spaliła zniszczony fragment dachu.

Spider-Man zdumiał się.

– Czy to remiza strażacka się pali?

– Dawna remiza. – Falcon zapikował i wylądował tuż przed nimi. – Teraz to blok mieszkalny. A właściwie obszar katastrofy.

Cage pospieszył objąć Falcona. Ci dwaj wychowali się w tej samej dzielnicy.

– Kapitan jest w środku?

– A jak. Powiedział, żebyśmy tu zaczekali.

– Gdzie są strażacy? – spytał Spidey.

Falcon wskazał na chaos i błyskające światła.

– Jadą.

Mężczyzna w średnim wieku wyszedł chwiejnym krokiem z budynku, zakasłał i padł na kolana. Falcon wzbił się w powietrze i zagwizdał; po chwili przybiegli lekarze.

W ślad za mężczyzną zjawił się Hawkeye, łucznik wyborowy, w żyłastych ramionach trzymał dwoje małych dzieci. Jego fioletowy kostium był osmalony i podarty; jeden z pasków kołczana całkowicie się przepalił. Oddał dzieciaki w ręce medyków i zatoczył się, jakby kręciło mu się w głowie.

Goliat zdjął kolejny fragment dachu.

– To gaz – rzucił do tych na dole. – Wciąż się pali.

Falcon wylądował obok Hawkeye'a i zaprowadził go do Spider-Mana i pozostałych.

– Dobra robota, Hawk. Gdzie jest kapitan?

Hawkeye kaszlnął, skrzywił się.

– Wciąż w środku. Myślałem, że mamy już wszystkich, ale powiedział... Nalegał...

Znów zaniósł się kaszlem i zgiął wpół.

– Stary, ciebie też powinien obejrzeć lekarz.

Hawkeye powoli się wyprostował z figlarnym błyskiem w oku. Wyjął strzałę z kołczana i stuknął nią Spider-Mana w pierś.

– Mam przegapić otrzęsiny tego świeżaka? – Uśmiechnął się. – Witaj wśród Avengersów, Pajęczaku.

Tym razem Spider-Man nie znajdował słów. Przez dłuższą chwilę po prostu stał...

A potem remizą wstrząsnęła eksplozja. Płomienie wysadziły drzwi. Goliat zrobił olbrzymi krok w tył i prawie się przewrócił. Ms Marvel wycofała się w powietrzu i razem z innymi patrzyła na

budynek ze zgrozą.

– Kapitan – powiedział Falcon.

Nagle w progu na tle szalejącego ognia pojawiła się postać. Wysoki, muskularny mężczyzna w poszarpanym czerwono-biało-błękitnym uniformie. Kapitan Ameryka, żywa legenda drugiej wojny światowej, ostrożnie, krok za krokiem wyszedł z ognistego piekła, niosąc w silnych ramionach nieprzytomną kobietę.

Wokół zaroilo się od ratowników medycznych, którzy zdjęli z niego brzemię.

– Poparzenia trzeciego stopnia – powiedział jeden z nich. – Ale jeszcze żyje.

– Zabierz ją do jeepa.

– Kapitanie! – zawołała Tigra.

Cage, Falcon i Hawkeye pobiegli za nią ku budynkowi. Kapitan pomachał im na powitanie. Uśmiechnął się do Falcona, poklepał Hawkeye'a po plecach i objął szczupłą talię Tigry.

Potem spojrział na Spider-Mana i przybrał mroczną minę.

– Spider-Man właśnie przybył – oznajmiła Tigra. – To jego pierwsza misja dla Avengersów.

Wciąż piorunując Petera wzrokiem, Kapitan podał mu rękę. Spidey ujął ją niepewnie i poczuł silny uścisk.

– Myślałem, że będziesz wyglądał inaczej – powiedział Kapitan.

Za ich plecami wreszcie zawyła syrena. Strażacy rozwinęli węże i wycelowali je w płonący budynek.

Kapitan trzymał dłoń Spider-Mana przez dłuższą chwilę. Cage i Falcon wymienili spojrzenia. Hawkeye potarł kark z zakłopotaniem.

Spider-Man nachmurzył się pod maską. Czuł się, jakby znów był okularnikiem z liceum przestępującym z nogi na nogę pod spojrzeniem jakiegoś klasowego ulubieńca.

– Muszę... zameldować się Tony'emu – wydusił wreszcie. – Ktoś wie, gdzie go znajdę?

KIEDY Spider-Man dotarł do leja po wybuchu, zdał sobie

sprawę z prawdziwych rozmiarów zniszczeń. Obszar wielkości półtora kwartału został całkowicie zrównany z ziemią, zamienił się w popiół i zbity pył. Połowa budynku szkoły stała na krawędzi strefy eksplozji. Druga część spłonęła i osunęła się na martwe, twarde dno leja.

Należący do Avengersów Quinjet stał w okrągłym zagłębieniu obok specjalnego samolotu Fantastycznej Czwórki. Mgła zebrała się tu gęstsza i mimo że było południe, krater po wybuchu zdawał się pograżony w upiornym zmierzchu.

Spidey wskoczył na Quinjet.

– Szefie – rzucił.

Iron Man dał mu znać, żeby chwilę zaczekał. Tony rozmawiał z Reedem Richardsem, Panem Fantastikiem z Fantastycznej Czwórki. Reed zdążył połączyć prowizoryczną siecią kilka laptopów, węzłów wi-fi i czujników w samym centrum leja. Ben Grimm, Stwór, napiął pomarańczowy, kamienny biceps i wyniósł rozbudowany system komputerów z samolotu.

Pozostali członkowie Czwórki – Sue Richards, żona Reeda zwana Niewidzialną Kobietą, i jej brat Johnny Storm, Ludzka Pochodnia – przyglądali się z boku. Johnny na pierwszy rzut oka był w szoku, a na jego rękach i ramionach mimowolnie rozbłyskiwały i gasły małe płomyki.

Uwagę Spider-Mana przyciągnął nagły ruch. Kiedy się obrócił, po przeciwnej stronie leja zobaczył przykucniętego Wolverine'a, który węszył w powietrzu.

– To chyba już wszyscy, którzy ocalili – powiedział Reed, wpatrując się w ekran. – W pobliżu eksplozji niewielu przeżyło.

– Co... – Johnny nie dokończył. – Co było przyczyną?

– Nowi Wojownicy – odparł Tony. – Właśnie obejrzałem nagranie... Transmitowano je do ich studia. Dla oglądalności próbowali pokonać bandę złoczyńców znacznie powyżej swoich możliwości.

– No cóż, zapłacili za to – powiedział Reed z ponurą miną. – Nie wykryłem ocalałych w strefie wybuchu.

– Potwierdzam! – zawołał Wolverine. – Nie czuć zapachu żywych.

– Nawet Nitra? – spytał Tony. – To on spowodował wybuch. Spidey spojrział krzywym okiem.

– Jaki bandzior wysadza się w powietrze, wiedząc, że zginie razem z ofiarami? Czy teraz wśród superzłoczyńców są zamachowcy samobójcy?

Tony po raz pierwszy obrócił żarzące się zmrużone oczy ku Spider-Manowi.

– Zapytałbym go, gdybym mógł. Ale coś mi się zdaje, że się nie da.

– Dzieciaki – powiedział Johnny. Trzymał w ręku strzępek niebiesko-złotej tkaniny, niewielki fragment kostiumu Speedballa. – To były jeszcze dzieciaki.

Spider-Man podszedł do Johnny'ego, położył staremu przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– Wszystko dobrze, Zapałko?

Johnny jednak zignorował go, skrzywił się i stanął w płomieniach. W milczeniu wzbił się w zasnute szarą mgłą niebo.

– Polecę za nim i sprawdzę, czy wszystko w porządku – oznajmiła Sue, patrząc na samolot Fantastycznej Czwórki. – Zabierzesz się z kimś do domu, Reed?

– Jasne – odparł. Wymienili spojrzenie pełne cichego, głębokiego zrozumienia.

„Czy kiedykolwiek mógłbym być tak blisko kobiety?“, pomyślał Spider-Man.

– Będą mi potrzebne wszystkie dane, jakie uda ci się zebrać – zwrócił się do Reeda Tony. – Przesłuchanie w senacie odbędzie się w przyszłym tygodniu... To najgorszy możliwy moment na taką katastrofę.

– Tony! – zawołał Spider-Man. Ale Iron Man był już w powietrzu, właśnie wzniósł się nad brzeg leja.

Spider-Man podążył za nim, utrzymując pewien dystans; nie wiedział, co ma dalej robić. Reed Richards i Stwór zaczęli składać jakiś nowy zestaw elektroniki.

Kapitan Ameryka stał w pobliżu krateru, przyglądając się sanitariuszom niosącym do karetki ostatnią ofiarę. Tony

wylądował obok niego.

– Kapitanie.

Kapitan powoli zwrócił na niego uwagę.

– Wszystkie te dzieci, Tony. – Jego głos był jeszcze bardziej zachrypnięty niż zwykle. – Szef Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego powiedział, że mogło być ponad dziewięćset ofiar. Wszystko to dla programu telewizyjnego.

– Powinni nas wezwać – odparł Tony. – Mówię o Nowych Wojownikach. Night Thrasher wiedział, że tamci byli za silni.

Kapitan wpatrywał się w niego przez chwilę, potem odwrócił wzrok, podszedł do karetki i zaczął rozmawiać z kierowcą.

Spider-Man ruszył za nim.

– Tony – powtórzył. – Jestem do twojej dyspozycji. Powiedz mi, co mam robić.

– Nic już nie można zrobić, Peter... To znaczy Spider-Man. Wyjmij z szafy czarny garnitur i okaż szacunek. Będzie trzeba iść na kilka pogrzebów.

– Ale...

– To nie jest zagadka kryminalna do rozwiązania, przygoda ani walka ze złoczyńcami. To tylko tragedia.

– Albo okazja. Zgadza się, koleś?

Wolverine bezszelestnie się zakradł. Jego twarz wyrażała wrogość, ale bez zwierzęcej dzikości. To było coś głębszego, bardziej osobistego.

– Jedziesz niedługo do Waszyngtonu, mam rację? Będziesz gadał w Kongresie o sytuacji superludzi w tym kraju?

– Zgadza się, Logan.

– Kicham na to, co będziesz robił z tymi pajacami. – Wskazał na unoszących się Falcona i Ms Marvel. – Ale mam wiadomość od X-Menów: zachowujemy neutralność. Społeczność mutantów trzyma się z dala od tej nawałki.

– Należysz też do Avengersów, Logan. – Tony zbliżył się do Wolverine'a. Repulsory żarzyły się.

Mutant natychmiast cofnął się i przyjął obronną pozycję. Z obu jego dłoni wysunęły się niezniszczalne szpony, zatrzymały się o centymetr od napierśnika Iron Mana.

Za Tonym zebrali się inni Avengersi: Goliat, Cage, Hawkeye. Tigra przykucnęła, gotując się do skoku i cicho pomrukując.

Kapitan Ameryka stał w oddali przy karetce pogotowia. Spojrzał na nosze, pokręcił głową na widok martwego ciała.

Tony wznosił się kilkanaście centymetrów nad ziemię tuż przy krawędzi leja i spojrzał na Wolverine'a jak bóg na śmiertelnika. Kiedy znów się odezwał, jego głos przypominał metaliczny syk.

– Może więc powinieneś się wypisać z Avengersów.

– Już dawno to zrobiłem, szefie – rzucił Wolverine na odchodne.

– Uważaj na siebie, Logan.

Mutant warknął w odpowiedzi:

– Tony, jeśli strzeli ci do głowy, żeby mnie zaatakować, to na twoim miejscu uważałbym bardziej.

I ruszył jak dzikie zwierzę, sadząc susami z niewiarygodną prędkością.

Zdawało się, że wszyscy Avengersi wypuścili powietrze jak na zawołanie. Rozejrzeli się z zakłopotaniem i zobaczyli, jak odjeżdża ostatni wóz strażacki.

– Tony – odezwał się Spider-Man. – Co właściwie powiesz przed komisją?

Stark nie zareagował. Stał tylko, wpatrując się w lej po eksplozji. Tymczasem szaroczarna mgła powoli rozwiewała się, ukazując zachodzące słońce.

Spider-Man był przy nim i przy swoich nowo poznanych kolegach. Należał teraz do Avengersów; to miał być jego nowy początek. Ale dla dziewięciuset mieszkańców Stamford w stanie Connecticut...

– ...to koniec – wyszeptał.

Tony gwałtownie zwrócił się ku niemu. Peterowi przemknęła przez głowę szalona myśl, że Tony na niego nakrzyczy. Ale opancerzony superbohater tylko spojrzał w górę, włączył odrzutowe buty i w milczeniu wzbił się w krwistoczerwone niebo.

3

KLUB Blazer z zewnątrz nie wyglądał szczególnie zachęcająco. Upačkane przeszklone drzwi o dwóch skrzydłach i wylewający się na chodnik mały czerwony dywan ze sznurowymi barierkami nie zapraszały do środka. Na szyldzie jak w starym kinie widniał napis z plastikowych liter: DZIŚ WIECZOREM: AKTY ZEMSTY.

Bramkarz zmierzył Sue Richards wzrokiem od butów na płaskim obcasie przez stare džinsy po grzeczną fryzurę z grzywką. Oczy skrywał za ciemnymi okularami, ale na ustach pojawił się lekki uśmieszek. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby pokręcić głową.

Sue skrzywiła się i cofnęła w tłum. Jak na Nowy Jork wśród czekających było niezwykle dużo pozerów. Grupka uchachanych finansistów z Wall Street chwaliła się wielkimi sygnetami. Dwie niemożliwie chude młode turystki obwieszone biżuterią ze wszystkich sił starały się wyglądać cool. Krępy czarnoskóry mężczyzna stał z dwiema dziewczynami w objęciach (po jednej na każde ramię) i gorącym kawałkiem pizzy w dłoni. Ponaddwumetrowa Amazonka prezentowała się w kusej białej sukience z dekoltem, którego zawartość groziła rozlaniem się na ulice Manhattanu.

Blazer był na wskroś kalifornijski, bardziej jak z Los Angeles niż z Nowego Jorku. Może to dlatego Johnny Storm, brat Sue, tak go lubił.

Latynos z bródką i w koszulce bez rękawów przepchnął się obok Sue, ciągnąc za sobą drobną Azjatkę. Bramkarz odpiął sznur i wpuścił ich do lokalu.

Sue zacisnęła pięści. Polowała na Johnny'ego przez całe popołudnie, a to były jedyne cywilne ubrania, jakie trzymała w samolocie. Jeśli nie wyglądała dość efektownie na klub Blazer,

to nie był jej problem.

Zamknęła oczy, skupiła się i zniknęła.

Susan Richards, Niewidzialna Kobieta, wróciła pewnym krokiem do wejścia i z łatwością ominęła bramkę. Obchodząc wykidajkę, lekko rozszerzyła pole siłowe, wpychając go na jakiegoś nerda z awansu, który próbował go zagadać, żeby dostać się do środka. Bramkarz odwrócił się z zaskoczeniem, jednak zobaczył pustkę.

„To było małostkowe”, pomyślała Sue, ale nie bez uśmiechu.

Główna sala była ogromna, co najmniej jak pół boiska futbolowego. Panował półmrok, a dwunastometrowe ściany wieńczyło sklepienie. Ludzie w barwnych strojach tańczyli od niechcenia lub stali w grupkach i próbowali przekrzyczeć łomoczący techno hip-hop. Mężczyźni w garniturach, bogate dzieciaki, modelki od bielizny i fetyszy rozglądali się dookoła umalowanymi oczami w poszukiwaniu właściwego agenta czy fotografa.

Sue precyzyjnie się przez tłum, na razie utrzymując niewidzialność. Na scenie przebrana za Czarną Wdowę domina postawiła stopę w uzbrojonym w wysoki obcas bucie na plecach klęczącego na czworakach „Daredevila”, jednocześnie smagając go lekko biczem. Kostiumy, jak zauważyła Sue, były bardzo efektowne: każda obroża, suwak i pałka policyjna znajdowały się na swoim miejscu. Goście jednak zdawali się nie zwracać na to uwagi.

Sue przystanąła, żeby popatrzeć, była bardziej zamyślona niż podekscytowana. „Dużo mnie ominęło przez ostatnie lata, kiedy wychowywałam Franklina i malutką Valerię”.

Zdała sobie sprawę, że nie rozpoznaje nawet piosenki, która właśnie leci.

Johnny najgorzej zniósł katastrofę w Stamford. Zawsze był wrażliwy, a przecież liczba ofiar śmiertelnych wstrząsnęła nimi wszystkimi. Sue uświadomiła sobie jednak coś jeszcze: Johnny był najbliższy wiekiem Nowym Wojownikom.

I sam popełnił w życiu wiele błędów.

„Mogłam być pływaczką i wystąpić na igrzyskach olimpijskich”,

pomyślała nagle Sue. „Kiedy miałam piętnaście lat, trenowałam codziennie; przeszłam nawet eliminacje. Wszystko szło we właściwym kierunku. Ale rzuciłam to, kiedy tata... się poddał. Rzuciłam pływanie, żeby zająć się młodszym bratem”.

Minęło tyle lat, a ona wciąż się nim opiekuje.

Johnny to nie był typ człowieka, który uważał się nad sobą, gdy kiepsko się czuł. Szukał wtedy kłopotów. A to oznaczało...

Młody mężczyzna z wąskim krawatem wpadł na Sue, niemal wylewając jeden z czterech drinków. Rozejrzał się dookoła ze zdziwieniem. Sue znów stała się widzialna i z zakłopotaniem wymamrotała przeprosiny, które przepadły wśród ryku muzyki. Młodziak zamrugał, przelotnie się zdziwił, a potem wzruszył ramionami i wyciągnął ku niej szklanekę z brązowym koktajlem.

Sue zaczęła już kręcić głową przecząco, ale uśmiechnęła się i przyjęła drinka.

W tym samym momencie muzyka wysiadła. Problem techniczny. Sue poszukała wzrokiem miejsca, skąd dobiegały podniesione głosy.

Po drugiej stronie sali wznosiły się wolno stojące metalowe schody, które prowadziły do platformy i drzwi mieszczących się w połowie ściany. Grupa klubowiczów stała wokół stopni, gapiąc się na kogoś lub na coś powyżej. Na platformie rozbłysnął jaskrawopomarańczowy płomień i tłumek odsunął się z głośnym westchnieniem.

„Johnny”.

Sue zaczęła przeciskać się przez tłum, Wąski Krawat został w tyle. Próbowwała zawołać brata, ale na sali było zbyt głośno. Kiedy dotarła do schodów, dostrzegła, że Johnny stoi przed drzwiami i macha do ludzi płonąca dłońią. Niektórzy wydawali się pod wrażeniem. Pozostali... Cóż, trudno powiedzieć. Na ramieniu Johnny'ego, pijacko gestykulując, wisiła tandetna blondynka.

Bramkarz u szczytu stopni otworzył przed nimi drzwi.

– Pokój dla VIP-ów, panie Storm. Paris i Lindsay czekają.

– Dzięki, Chico. – Johnny wyciągnął pięć dolarów, ale przypadkowo je podpalił. – Ha, ha, przepraszam! Jeszcze raz.

Sue skrzywiła się i ruszyła na schody. Drogę zastąpiła jej wysoka kobieta w obcisłej sukience z odkrytymi plecami, weszła ze stukotem obcasów na najniższy stopień i spytała:

– Jak to? Ten frajer może wejść do VIP-ów?

Johnny stanął w drzwiach i powoli się odwrócił.

„Nie”, pomyślała Sue. „Młody, nie rób tego”.

– Powiem ci coś, piękna. – Czy Johnny’ego rozbłysty. – Jeśli następnym razem to ty uratujesz świat przed Galactusem, będziesz mogła pożyczyć moją kartę wstępu.

– A może jeśli następnym razem wysadzisz w powietrze szkołę? – odparowała.

– Właśnie, pajacu. Może gdy następnym razem zabijesz niewinne dzieciaki? – zapytał towarzysz kobiety, krótko przystrzyżony facet w czarnej koszuli, kładąc jej dłonie na ramionach.

Johnny zatoczył się pijacko, niebezpiecznie zbliżył się do krawędzi platformy.

– O czym ty, do cholery, mówisz, hipsterku?

Bramkarz czujnie przyglądał się sytuacji. Partnerka Johnny’ego uwolniła się z jego objęcia, rzucając mu szybkie, niespokojne spojrzenie.

Sue napięła mięśnie, szykując się, by znów stać się niewidzialna... Ale zatrzymała się, widząc, jak na twarzy Johnny’ego pojawia się wstyd.

– Słuchaj – zaczął. – Chodzi mi o to...

– Człowieku – rzucił jakiś potężny facet. – Masz tupet, że rozbijasz się po mieście po czymś takim. Gdybym był tobą, wstydziłbym się wychodzić z domu.

Johnnym szarpnęła nagle złość i prawie spadł ze schodów.

– Zamknij jadaczkę, spaślaku. Nic mnie nie łączy ze Speedballem ani Nowymi Wojownikami. Ci goście to trzecia liga.

– Morderca dzieci!

Tłum naparł na schody.

Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Sue rozszerzyła pole siłowe, torując sobie drogę w górę metalowych schodów. Ludzie wpadali na barierki, kilkoro z nich przeleciało przez nie

i z niewielkiej wysokości spadło na parkiet. Sue biegła, przeskakując po trzy stopnie naraz. Usłyszała ohydny trzask i wrzask bólu.

Muzyka wróciła, jeszcze mocniejsza i głośniejsza niż wcześniej.

Kiedy Sue dotarła na platformę, Johnny leżał na podłodze, osłaniając rękami zakrwawioną głowę. Obcisła Sukienka stała nad nim z twarzą wykrzywioną wściekłością i stłuczoną butelką w zaciśniętej dłoni. Bramkarz ze skraju platformy ostrzegał gości, by się nie zbliżali.

Dziewczyna Johnny'ego wydała cichy pisk i zniknęła w pokoju dla VIP-ów, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Obcisła Sukienka zdążyła jeszcze raz wymierzyć Johnny'emu solidnego kopniaka w głowę, zanim Sue staranowała ją niewidzialną siłą uwolnioną z dłoni. Siostra Johnny'ego wzniosła się, korzystając z pola siłowego, i przerzuciła napastniczkę przez balustradę, po czym patrzyła, jak przeciwniczka spada w tłum.

Leżący Johnny wił się z bólu. Krew kapiała przez metalową kratownicę platformy, spadając na gości klubu jak deszcz. Jego ramiona, a potem też nogi stanęły na chwilę w płomieniach. Ścisnął głowę w dłoniach i wydał z siebie przerażający gardłowy dźwięk.

Na schody wbiegali kolejni klubowicze. Byli wściekli, stali w ścisku, niektórzy mieli twarze ochlapane krwią Johnny'ego. „Chcą go zabić”, zrozumiała. „Chcą zabić nas wszystkich”.

Bramkarze wkroczyli do akcji, próbując powstrzymać tę ludzką rzekę. Ale klubowicze wciąż napierali jak rozjuszeni dziewiętnastowieczni wieśniacy. Kiedy dotarli do szczytu schodów, Sue przykucnęła przy bracie i wyciągnęła ręce, otaczając oboje nieprzenikalnym polem siłowym. Pierwsi dwaj napastnicy odbili się gwałtownie i spadli na nadciągającą z tyłu falę ludzi.

Johnny przestał się ruszać.

– Mój brat! – zawołała Sue, starając się przekrzyczeć muzykę i wrzaski. – WEZWIJCIE KARETKĘ DO MOJEGO BRATA!

4

– NA WSTĘPIE chciałbym podziękować wszystkim za przybycie. To wiele znaczy... Dla mnie, ale przede wszystkim dla waszych przyjaciół, sąsiadów i członków rodziny, którzy stracili bliskich we wczorajszej zupełnie niepotrzebnej tragedii.

Obiekt: Henry Pym;
Pseudonimy: ANT-MAN, GIANT-MAN, YELLOWJACKET;
Przynależność do grupy: Avengers (dawniej);
Moce: umiejętność zmiany rozmiarów, latanie, żądła;
Typ mocy: zewnętrzna;
Aktualne miejsce pobytu: Nowy Jork.

Tony Stark włączył klawiaturę w iPhone i zanotował: „Na emeryturze. Niegroźny”.

– W takich chwilach jak ta niezwykle istotne jest, by cała wspólnota była razem. Nie możemy sobie pozwolić, by zniżyć się do nienawiści i rozgoryczenia. Osąd należy do Pana, nie do nas.

Obiekt: Robert Reynolds;
Pseudonim: SENTRY;
Przynależność do grupy: Avengers (sporadyczna);
Moce: ogromna siła, odporność, nieznanne inne zdolności;
Typ mocy: wewnętrzna;
Aktualne miejsce pobytu: nieznanne.

Tony zmarszczył brwi, napisał: „Możliwe kłopoty. Znaleźć i zwerbować”.

– Choć pogrążamy się w bólu... – pastor opuścił wzrok i zdjął okulary. – ... nie możemy zapomnieć o przyczynach tragedii ani

wybaczyć jej sprawcom. Również przebaczenie jest zastrzeżone dla Pana.

Obiekt: Robert Bruce Banner;
Pseudonim: HULK;
Przynależność do grupy: brak;
Moce: napędzana gniewem nieograniczona siła;
Typ mocy: wewnętrzna;
Aktualne miejsce pobytu: wygnanie w kosmosie.

Tony zadrzał.

Kościół był ogromny: miał kilkaset ławek, ale wszystkie były dziś pełne. Starsi i młodszy, mężczyźni i kobiety – każdy przyszedł w żałobnej czerni.

Stark siedział w piątym rzędzie, głowa pracowała mu jak oszalała. Ostatniej nocy nie zmrugnął oka. Od wypadku działał na najwyższych obrotach, tak jak wtedy, gdy napotykał uciążliwy problem techniczny. W jego podświadomości trwała nieustanna gonitwa myśli, analiza sytuacji z tysięcy różnych perspektyw.

– Prosimy cię, Panie, o łaskę.

Tylu herosów, całe setki. I kto wie, ilu złoczyńców. Tony miał już akta większości z nich, ale teraz kompulsywnie uzupełniał kartotekę.

„Dużo tu supermocy”, pomyślał. „I dużo potencjalnych Nitrów”.

– Miej łaskę. Nie tylko dla dusz zmarłych dzieci... – pastor zrobił pauzę, rozejrzał się nad głowami tłumu. – Ale też dla tak zwanych „superludzi”, których niedbalstwo doprowadziło do tej smutnej chwili.

Telefon rozbłysł: w narożniku wyskoczyła ikonka wiadomości. Tony szybko obrzucił nawę kościoła pełnym skrucy spojrzeniem i wcisnął do uszu słuchawki. Na ekranie pojawił się łysy mężczyzna na tle logotypu kanału informacyjnego. Jego głos brzmiał w uszach Tony’ego jak brzęczenie.

– ...*jak na przykład Speedball. Nikt nie lubi źle mówić*

o zmarłych, ale ten chłopak, z tego, co o nim mówiono, nie wiedział nawet, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czy taki dzieciak nie powinien zostać sprawdzony, zanim da mu się pozwolenie, by działał w naszych społecznościach?

Tony skrzywił się, przełączył na inny kanał. Ekran telefonu wypełniło zbliżenie nieprzytomnej, zakrwawionej twarzy Johnny'ego Storma; właśnie wnoszono rannego do karetki. Oślepiające światła migotały na tle nocnego Manhattanu.

– ...brutalne pobicie Johnny'ego Storma, Ludzkiej Pochodni, do którego doszło wczoraj wieczorem. To kolejny z serii ataków na nowojorską społeczność superbohaterów. Więcej szczegółów o wydarzeniu, a także o rosnącej presji wywieranej na prezydenta w kwestii reformy superbohaterów, w głównym wydaniu serwisu informacyjnego.

Klik.

– Delegalizacja superbohaterów? – She-Hulk pochyliła się i zdjęła okulary, grając na nerwach gospodarzowi talk-show. – No cóż, Piers, w świecie pełnym superłotrów jest to oczywiście niemożliwe. Ale szkolenie i obowiązek noszenia odznak? Jasne, myślę, że to rozsądna reakcja.

Tony poczuł mrowienie na karku i gwałtownie uniósł wzrok. Dwie kobiety siedzące obok niego przyglądały mu się z dezaprobatą zza żałobnych woalek. Posłał im zakłopotany uśmiech.

Zauważył również, że z drugiego końca rzędu patrzy na niego Kapitan Ameryka.

Wyjął słuchawki z uszu i wsunął telefon do kieszeni.

Po nabożeństwie ruszył prosto do wyjścia. Ludzie zaczęli się już zbierać w grupy, szlochając i pocieszając się wzajemnie. Nie chciał ich niepokoić w tej trudnej chwili. Kilkoro innych Avengersów – jak Tigra i Ms Marvel – też chciało przyjść, ale wszyscy zgodzili się, że najlepiej będzie ograniczyć reprezentację

superludzi do minimum. Nikt nie chciał zamieniać żałoby mieszkańców Stamford w medialny cyrk.

Tony szybkim krokiem opuścił kościół. Nie miał też w tym momencie ochoty na kłótnie z Kapitanem.

Tuż za drzwiami poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał nieśmiały uśmiech Petera Parkera.

– Szefie – zaczął Peter.

– Peter. Chyba się zgodziliśmy, żebym reprezentował Avengersów z Kapitanem.

Peter wzruszył ramionami.

– A kto tu jest Avengersem? Patrzysz na skromnego fotoreportera dziennika „Daily Bugle”.

Tony uśmiechnął się mimo woli i zmierzył Petera wzrokiem. Pożyczony garnitur wyglądał na nim dobrze, ale buty były zdarte. I brązowe.

„Krok po kroku”, pomyślał Tony. „Ten chłopak to projekt długofalowy”.

– Poza tym – ciągnął Peter – po prostu chciałem tu być.

Podjazd przed kościołem tak naprawdę był małą krętą uliczką na skraju pola. Na całej długości zapchały go samochody, które zatrzymywały się po kolei, by odbierać najstarszych żałobników. Tony zauważył, że Happy Hogan opiera się o stojącą w korku limuzynę.

– Chodź ze mną, Peter.

Parker dołączył do Tony’ego. Minęli pastora pocieszającego płaczące wdowy. Była wśród nich bardzo stara kobieta, szlochająca spazmatycznie w koronkową chusteczkę.

Kapitan Ameryka wymieniał uroczyste uściski dłoni ze strażakami.

Pastor uniósł głowę, spojrział Tony’emu w oczy. Ten odwrócił wzrok.

– Chyba powinienem robić teraz fotki – powiedział Peter.

– Ten etap twojego życia się skończył – odparł Tony. – Nie musisz już walczyć o byt.

– To znaczy, że stawiamy wszystko na jedną kartę?

Tony stanął, dotknął jego ramienia.

– Niedługo wszystko przyspieszy, Peter. Cieszę się, że jesteś ze mną.

– Wszystko. Na przykład ustawa o rejestracji superludzi.

Tony zdumiał się.

– Niewiele osób słyszało ten termin.

– Ale to dlatego jedziesz w przyszłym tygodniu do Waszyngtonu, prawda?

– Właściwie to dziś. Komisja zmieniła terminarz ze względu na... – Wskazał na kościół i żałobników. – Prezydent poprosił mnie o spotkanie dziś wieczorem, a jutro odbędą się przesłuchania.

– Co oznacza ta ustawa?

– Że wszyscy metaludzie będą musieli przejść rejestrację i szkolenie, by korzystać ze swojego... daru publicznie. Rząd otrzyma też bardzo szerokie możliwości egzekwowania tego prawa. Jeszcze szersze niż te, które senat rozważał do tej pory.

– I ty to popierasz?

– To skomplikowana ustawa. – Tony zmieszał się. – Jeśli zostanie uchwalona, trzeba będzie stosować ją bardzo rozważnie. Niezwykle ostrożnie.

– Tony Stark?

Tony obrócił się i w tej samej chwili trafił go w twarz strumień śliny.

– Ty śmierdzący gnojku!

Kobieta nie wstydziła się łez, które obficie spływały po jej policzkach. Peter chciał ją powstrzymać, ale Tony mu nie pozwolił.

Happy Hogan stał już za napastniczką.

– Proszę pani, jestem zmuszony poprosić, żeby pani się oddaliła. – Jego mięsista dłoń opadła na jej ramię.

– Oddaliła? Z pogrzebu mojego syna? – Zrzuciła jego łapsko ze złością i wymierzyła palec w Tony'ego. – To jego powinność wyprosić.

Tony skrzywił się i otarł twarz.

– Rozumiem pani zdenerwowanie. Ale nie miałem nic wspólnego z tragicznymi... działaniami Nowych Wojowników...

– Ach, tak? A kto finansuje Avengersów? Kto od lat powtarza dzieciakom, że mogą stać poza prawem, jeśli tylko noszą trykoty? Peter Parker chrząknął.

– Eee, pan Stark chyba niczego takiego nie mówi.

– Gliny muszą zdać egzamin i nosić odznakę – ciągnęła kobieta – ale dla Tony’ego Starka to zbyt nudne. Wystarczy być twardzielem, mieć moc, i bum! Dostajesz miejsce w prywatnym supergangu Jasia Miliardera.

Tony otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale wtedy stało się coś, co przydarzyło mu się wcześniej tylko raz. Miał całkowitą pustkę w głowie.

„Ona ma rację”, zrozumiał.

Happy jeszcze raz wyciągnął rękę ku rozżalanej kobiecie. Ta uchyliła się i zgięła wpool z przesywającym jękiem rozpacz. Wokół nich zaczął się zbierać wrogi tłum.

– Jerome odszedł. – Szlochala. – Kiedy zabrali mu rentę, po prostu... Nie mógł już tego znieść. Został mi tylko mój mały Damien. A teraz... Teraz...

– Happy – rzucił Tony. – Chodźmy stąd.

– To ty, Stark. – Oskarżycielka wyprostowała się i wymierzyła palec w wycofującego się Tony’ego. – To ty finansujesz to plugastwo. Swoimi miliardami. Krew mojego Damiena... Masz ją na rękach. Teraz i na wieki wieków.

Tony szybkim krokiem zbliżał się do limuzyny, Happy i Peter spieszyli po obu stronach. Odprowadzało ich mnóstwo gniewnych, osadzających spojrzeń.

– Świetna zabawa – powiedział Peter. – Tylko trochę przerażająca.

– To oni są przerażeni – odparł Tony. – Wszyscy. Dorastali w przekonaniu, że będą mieli pracę, emeryturę, kilka dolców na starość. Teraz się boją. Czy można ich winić?

– Może mógłbyś im odpalić te kilka dolców?

– Może będę mógł zrobić coś więcej – powiedział Tony. Happy otworzył mu szeroko drzwiczki limuzyny i Stark wsiadł do środka. Szef umilkł na chwilę i spojrzał w pytające oczy Petera. – Może sprawię, że poczują się bezpiecznie.

Peter powoli kiwnął głową.

„On to wie”, pomyślał Tony. „Rozumie”.

Drzwiczki zatrzasnęły się i nagle Tony był sam. Samotny w ciemnej, cichej limuzynie, oddzielony metalem i szkłem od morza smutku na zewnątrz, sam na sam ze swoimi mrocznymi, ciężkimi myślami.

Happy wślizgnął się na przednie siedzenie, zajmując miejsce za kierownicą.

– Do domu, szefie?

– Prosto na lotnisko, Happy. – Tony popatrzył przez przyciemnianą szybę na żałobników w czarnych strojach. – Wiem, co muszę zrobić.

5

BAXTER BUILDING – siedziba Fantastycznej Czwórki – miał za sobą wiele bitew. Złowieszcza Szóstka rozorała kiedyś plac przed wejściem tak bardzo, że F4 przez tydzień nie miała wody. Z dachu wieżowca odparto atak Galactusa, Pożeracza Światów. Doktor Doom wystrzelił kiedyś cały budynek w kosmos.

Co rozumiały, mieszkańcy Środkowego Manhattanu mieli do Fantastycznej Czwórki ambiwalentny stosunek. Podobało im się, że mają u siebie bohaterów – szczególnie tak dostępnych i przyjaznych jak Czwórka – ale ciągłe awantury i niszczenie mienia prowadziły do pozwów cywilnych, protestów, a czasem nawet śmiertelnych gróźb.

A jednak Spider-Man nigdy wcześniej nie widział tu czegoś takiego jak dzisiaj.

Zbity tłum manifestantów utworzył półkole przed Baxter Building, blokując Broadway na skrzyżowaniu z Siódmą Aleją przy północnym krańcu Times Square. Zebrani skandowali gniewnie, machając tabliczkami, na których można było przeczytać:

F4 WYNOCHA Z NOWEGO JORKU!
(NOWI) WOJOWNICY ŚMIERCI
REJESTRACJA OD TERAZ
HEROSI = MORDERCY

I być może najbardziej lakonicznie:

STAMFORD – PAMIĘTAMY

Spider-Man przeskoczył nad tłumem najszybciej, jak potrafił. Kilka osób pokazywało go palcami i okrzyki ustały. Tłum na

chwilę umilkł, jakby popadł w dezorientację.

„Super”, pomyślał Spidey. „Nikt mnie nie rozpoznaje w nowych ciuchach?”

Następnie rozległ się niski pomruk oraz przelała fala buczenia i gwizdów. Obok głowy Spider-Mana przeleciał kamień; Peter uchylił się w łatwością dzięki pajęczemu instyktowi. Potem nadleciał pomidor.

Puścił pajęczynę i szeroko rozłożył ramiona. Na ułamek sekundy wpadł w panikę; jak dotąd tylko raz użył trybu szybowania w swoim stroju i bardzo nie chciał runąć na twarz we wzburzony tłum. Czasami jednak trzeba było czemuś zaufać.

Czemuś albo komuś. W tym przypadku Tony’emu Starkowi.

Nagle Spider-Man poszybował w powietrze, niemal przecinając niebo. Wyciągnął ręce i wylądował na ścianie Baxter Building, po czym popędził w górę jak prawdziwy pająk, okrążając budynek, by ominąć wielką bramę hangaru na górnych kondygnacjach. Buczenie tłumu w dole zdawało się znikać jak zły sen.

Na przedostatnim piętrze dostrzegł ukryte drzwi wbudowane w ceglana fasadę. Sięgnął do nich...

...i odwrócił się z przestachem.

– Zdrastwuj.

Natasza Romanow, rosyjska superszpiezka – zwana Czarną Wdową – siedziała swobodnie na parapecie. W obcisłym kostiumie z czarnej skóry wyglądała jak zawsze bosko. Jadła sałatkę z pudełka.

– Natasza – powiedział Spider-Man. – Co... Jak się tu dostałaś?

– Macie w tym kraju samoloty? – zapytała, rzucając mu miazdzące spojrzenie.

– Co robisz?

– Czekam na ciebie. Albo na kogoś podobnego. Wolałabym wyższego. – Wstała i przeciągnęła się ryzykownie na parapecie. Spidey był gotów pospieszyć jej na ratunek, w końcu ulica była czterdzieści pięter niżej. Na Nataszy chyba nie robiło to wrażenia.

– Właśnie przyleciałam z ojczyzny – mówiła dalej. – Tony był tak miły, że powiadomił mnie o zebraniu, ale najwidoczniej do

Reeda Richardsa informacja nie dotarła. Nie było mnie na liście gości. – Wskazała na ludzi, którzy teraz wyglądali jak małe kolorowe kropki w dole. – A ochrona jest dziś dość solidna.

– Więc po prostu...

– Wcześniej czy później musiał się pojawić ktoś z powietrza.

Spidey milczał przez chwilę, chciał to przemyśleć. Potem wzruszył ramionami i ruszył do tajnych drzwi.

– Johnny Storm dał mi dostęp – powiedział. – Rany, mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

– Tak, tak – skwitowała i ziewnęła.

Dotknięte przez Spider-Mana drzwi rozjarzyły się. Na cegłach pojawiły się holografy, najpierw słowo UWIERZYTELNIANIE, a następnie AUTORYZACJA.

Właz otworzył się do wewnątrz.

Czołgali się przez chwilę przez przewód wentylacyjny, po czym zeskoczyli na korytarz nieopodal głównego centrum operacyjnego F4.

– Czyli jesteś tu jako Avenger? – spytał Spider-Man. – Czy reprezentujesz T.A.R.C.Z.Ę?

Czarna Wdowa wzruszyła ramionami, jakby odpowiedź na to pytanie nie miała żadnego znaczenia.

Rozbrzmiał głośny śmiech i zza rogu wypadła malutka dziewczynka, która potykała się o własne nogi. Nieco starszy chłopiec z gęstą blond czupryną wybiegł w ślad za nią. Oboje zatrzymali się jednocześnie, przyglądając się Czarnej Wdowie. Ta odpowiedziała im gniewnym spojrzeniem.

Potem chłopczyk zauważył Spider-Mana i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hej, wujku Spidey. Fajny strój!

– Dziękuję, Franklinie – odparł Spider-Man. – Jesteś dziś pierwszą osobą, która ma gust.

Dziewczynka – Valeria – podniosła się i spojrzała na nich świetlistymi oczami czarodziejki.

– Wszyscy są w laboratorium tatusia – oznajmiła.

– Fajnie. – Spidey w odpowiedzi zmierwił jej włosy. Valeria stała bez ruchu, obserwując go, jak gdyby przeprowadzali razem

eksperyment.

Potem Franklin pacnął ją w ramię i uciekł. Roześmiana dziewczynka popędziła za nim.

Spider-Man przyglądał się, jak biegli. Franklin i Valeria to świetne dzieciaki. Wiedział, jak wiele znaczą dla Reeda i Sue. Poczł ukłucie żalu, zazdrości. Gdyby tylko wszystko wyszło inaczej z...

– Chodźmy, bo się ściemnia – powiedziała Czarna Wdowa.

Spidey podążył za nią korytarzem.

Zawsze czuł się przy niej jak dwunastolatek.

LABORATORIUM Reeda Richardsa było ogromne, wysokie, pozbawione okien i całkowicie wypełnione specjalistyczną aparaturą: mikroskopami elektronowymi, olbrzymimi laserami, statkami kosmicznymi obcych, które czekały na analizę jak żaby na sekcję. Wszystkie superkomputery, od najnowszych systemów SUN do stareńkich składaków firmy Cray, były połączone w specyficzną, zagmatwaną sieć, którą mógł zrozumieć tylko niesamowity umysł Reeda. Johnny Storm wspomniał kiedyś w rozmowie ze Spideyem, że gdyby coś stało się Reedowi, już nikt nie upiekłby w tym laboratorium nawet tosta.

Zdawało się, że to dziwne miejsce na największe zebranie superbohaterów w historii. Ale Spider-Man szybko zrozumiał, że było to jedyne wystarczająco duże pomieszczenie w Baxter Building.

Hawkeye, Goliat, Falcon, Tigra i Ms Marvel dyskutowali o czymś z ożywieniem. Peter zdał sobie sprawę, że to właśnie był trzon Avengersów, fundament pierwszego zespołu superbohaterów, jaki zbudował Tony. Hawkeye gwałtownie gestykulował, niemal uderzając w jedno z wielkich elektronicznych urządzeń Reeda. Być może wehikuł czasu.

Luke Cage w codziennych ciuchach i ciemnych okularach trzymał się z boku, rozmawiał półgłosem z Cloakiem, młodym afroamerykańskim bohaterem ubranym w wirujący granatowy

strój. Nighthawk i Walkiria reprezentujący incydentalną drużynę Defendersów chodzili z zakłopotaniem po sali z napojami w dłoniach. Spider-Woman, członkini Avengersów zamaskowana w czerwono-żółtym stroju, stała sama pośrodku grupy, stukając w telefon. Młodzi Avengersi – Hulkling, Patriot, Wiccan, Stature i Speed – trzymali się razem, spoglądając podejrzliwie na starszych herosów.

Dagger – smukła młoda dziewczyna obdarzona świetlistymi mocami – tańczyła po całym pomieszczeniu, latając z podnieceniem od jednej maszyny Reeda do drugiej. Sam Reed stał z tyłu nieopodal portalu do Negatywnej Strefy i wyciągał szyję na podobieństwo trzymetrowego węża. Głowa podrygiwała mu na wszystkie strony, kiedy podążał wzrokiem za Dagger. Za każdym razem, kiedy ta czegoś dotykała, Reed krzywił się z bólu.

Spider-Man poczuł się klaustrofobicznie. Tutaj wśród superbohaterskich towarzyszy paradoksalnie czuł się obnażony. Bezbronny.

„Policja już cię nie poszukuje”, przypomniał sobie. „Teraz należysz do Avengersów”.

Zauważył Daredevila rozmawiającego półgłosem z zielonoskórą She-Hulk w kącie. „Gdzie prawników dwóch”, pomyślał... Pewnie właśnie analizowali dalekosiężne konsekwencje prawne ustawy o rejestracji superludzi.

Spider-Man miał zamiar do nich dołączyć, ale Natasza przecisnęła się obok niego, przysunęła do Daredevila i położyła mu dłoń na piersi. She-Hulk dała wyraz swojej niechęci i ostentacyjnie się odwróciła.

Ben Grimm, Stwór, klepnął Spider-Mana po plecach – nie za mocno, gdyż zdążył się już nauczyć, by nie robić ze zwykłych ludzi kalek takimi przyjaznymi gestami.

– Hej, Spider-Man. Fajnie, że przyszedłeś.

– Cześć, Ben.

Spidey oparł się o skomplikowaną maszynę, kratownicę z metalu i szkła. Ben zdumiał się i ostrzegł:

– Lepiej tego nie dotykaj.

– Przepraszam. Reed się wścieknie?

– Gorzej. Przez dwadzieścia minut będzie ci opowiadał, do czego to służy.

Spidey podążył za wzrokiem Bena. Reed energicznie gestykulował wydłużonymi ramionami na drugim krańcu sali, wyjaśniając coś widocznie zdezorientowanej Dagger. Dołączył do niej jej partner, Cloak. Zdawał się równie oszołomiony, co ona.

– Jak się czuje Johnny? – zapytał Peter.

– Lepiej... Jest w stabilnym stanie, przeważnie przytomny. Dogląda go Suzy. – Ben łupnął kamienną pięścią w rozprostowaną dłoń. – Nie powinienem o tym myśleć. Mam wtedy ochotę komuś przywalić.

– No tak. Są już jakieś wieści dotyczące ustawy o rejestracji?

– Jeszcze nie. – Ben wskazał wielki ekran na ścianie, na którym puszczano CNN. Dźwięk był wyłączony, ale napis na pasku głosił: Z OSTATNIEJ CHWILI – TAJNE POSIEDZENIE SENATU WS. URS. – Zaraz powinno być coś wiadomo.

Dołączyła do nich Ms Marvel, wysoka i posągowa, w swoim błękitno-czerwonym stroju. Wraz z nią zbliżyli się pozostali członkowie grupy Avengers.

– Z Tonym od rana nie ma kontaktu – Ms Marvel zwróciła się do Spider-Mana. – Zastanawialiśmy się właśnie, czy nie odzywał się do ciebie.

– Spider-Man jest jego nowym *faworrytem*. – Tigra obnażyła w uśmiechu ostre kły.

– Nie miałem z nim kontaktu – odparł Spidey. – W ogóle się nie odzywał.

Znów poczuł skrępowanie, jak intruz w prywatnym klubie.

– Tony wysyła mi tylko esemesy o laseczkach. A dzisiaj ani jednej fotki. – Łucznik Hawkeye podniósł wzrok znad telefonu. – To mnie martwi.

– Zaraz. – Spider-Man rozejrzał się dookoła. – Gdzie jest Kapitan Ameryka?

– Wezwano go gdzieś. Ściśle tajne. – Falcon wzruszył ramionami. – Tylko tyle powiedział.

– Pewne sprawy T.A.R.C.Z.Y. – powiedział Hawkeye. – Zawsze chodzi o T.A.R.C.Z.Ę.

Nighthawk wpatrywał się w ekran telewizora.

– Składki emerytalne i urlop raz w roku? Czy oni chcą z nas zrobić urzędasów?

Luke Cage nie posiadał się ze zdumienia.

– Chyba próbują nas wysiudać z interesu.

– Albo zapewnić lepsze prawne podwaliny pod naszą działalność – odparła Ms Marvel. – Dlaczego nie mielibyśmy być lepiej wyszkoleni i odpowiadać przed społeczeństwem?

Patriot, przywódca Młodych Avengersów, odezwał się niepewnie:

– Słyszałem, że jeśli się za nas wezmą, powinniśmy zastrajkować. Kto jeszcze myśli, że to dobry pomysł?

Reed Richards wystąpił przed szereg z surową miną.

– Młody człowieku, sądzę, że nikt tu na serio nie poprze strajku superbohaterów.

– Może powinniśmy zostać pracownikami publicznymi – ciągnęła Ms Marvel – jeśli dzięki temu ludzie będą spali spokojnie.

– Nie wierzę własnym uszom. – Goliat nieco urósł, wznosząc się do wysokości dwóch i pół metra, więc wszyscy na niego spojrzeli. – Maski to tradycja. Część naszej tożsamości. Nie możemy zwyczajnie pozwolić rządowi zamienić nas w supergliny.

– Właściwie – zabrała głos Spider-Woman – i tak mamy szczęście, że ludzie tak długo to znosili. Dlaczego mają nam pozwalać się kryć?

Hawkeye cały się zjeżył:

– Bo świat poza twoją wieżą z kości słoniowej wcale nie jest taki miły, złociutka.

– Nigdy nie rozumiałem tego fetyszu ukrywania tożsamości – powiedział Reed. – Fantastyczna Czwórka była jawna od samego początku i to zawsze nam pomagało.

– Może wam. – Spider-Man poczuł, jak znów narastają w nim klaustrofobia i panika. – Ale co jeśli któregoś dnia wrócę do domu i znajdę ciało kobiety, która mnie wychowała, nabite na mechaniczną mackę?

Krępująca cisza.

„Parker” – pomyślał Spidey – „ty to potrafisz porwać widownię”.

Kiedy rozmowa powoli rozkręcała się na nowo, Peter chyłkiem zajął miejsce w kącie laboratorium. Daredevil i Czarna Wdowa stali blisko siebie za mikroskopem elektronowym wielkości lodówki, niemal stykając się wargami. Z początku Spidey nie był pewien, czy się kłóć, czy całują.

– Popadasz w paranoję – powiedziała Czarna Wdowa. – Na razie to tylko spekulacje.

– Nie – odparł Daredevil. – Sprawa wzbiera od dawna. Stamford to tylko ostatnia kropla przelewająca czarę goryczy.

– Wy, Amerykanie. – Wtuliła się w jego klatkę piersiową, jej piękna twarz wyrażała skupienie. – Jesteście tacy zepsuci wolnością. Najmniejsze zagrożenie i od razu wpadacie w furję.

Daredevil błysnął niewidzącymi oczami w stronę Spider-Mana.

– Jeśli ta ustawa zostanie przegłosowana – powiedział – to będzie koniec naszej pracy. Koniec wszystkiego. Klęska wisi w powietrzu.

– Zepsuci – powtórzyła Czarna Wdowa łagodnym szeptem tuż przy jego piersi.

– Wszyscy: cicho!

Spidey zobaczył, jak Reed Richards unosi pilota w kierunku ekranu. Pod surową twarzą reporterki widniał nagłówek: Z OSTATNIEJ CHWILI.

– Zaraz podadzą wyniki głosowania.

W pomieszczeniu narastał gwar z telewizora, zagłuszając spekulacje kilkudziesięciu przebranych w kostiumy bohaterów. Zaszeleściły skrzydła, zastukotały odstawiane szklanki. Wszystkie maski, oczy i wizjery skierowały się na ekran.

Spoglądało na nich puste oblicze Iron Mana wraz z podpisem: PO ZAKOŃCZENIU RELACJI TYLKO U NAS: ROZMOWA Z ANTHONYM STARKIEM, NIEZWYCIĘŻONYM IRON MANEM.

Peter Parker, niesamowity Spider-Man, poczuł w żołądku kolejne ukłucie paniki. „Ech, Tony”, pomyślał. „Chłopie, mam nadzieję, że wiesz, co robisz”.

6

DAWNIEJ świat był prostszy. Kraje prowadziły wojny o granice na mapie, okupując podbite tereny czołgami, wojskami, flotami. Ludzie toczyli boje na lądzie, morzu i w powietrzu. Walczyli, upadali i ginęli.

Oprócz Kapitana Ameryki. W 1945 roku, pod koniec wojny, poległ... ale nie umarł. Szczęśliwym trafem przetrwał w stanie hibernacji i los sprawił, że obudził się kilkadziesiąt lat później w zupełnie innym świecie. Świecie globalnej komunikacji, satelitarnego śledzenia, kamer i komputerów mniejszych od ziarnka piasku. Świecie, w którym konflikty zbrojne prowadzono zupełnie inaczej, z innych pobudek, przy pomocy zdumiewających nowych technologii.

Takich jak Transkopter T.A.R.C.Z.Y.

Skonstruowany podczas zimnej wojny Transkopter służył za stanowisko dowodzenia i punkt tranzytowy wszystkich większych operacji T.A.R.C.Z.Y. Szeroki na kilometr, o rozmiarach niewielkiego miasta, unosił się nad ziemią, napędzały go siły kilku przełomowych wynalazków autorstwa Stark Enterprises. Obecna lokalizacja: dziesięć kilometrów nad Nowym Jorkiem.

Na pokładzie startowym Kapitan Ameryka patrzył, jak do lądowania podchodzi F-22 Raptor. Piękny, niewidoczny dla radarów myśliwiec w ostatniej chwili wypuścił podwozie, wpadając w leciutki poślizg podczas przyziemienia. Kołował do końca długiego pokładu, mijając muzeum dawnych i obecnych statków powietrznych, po czym z gracją się zatrzymał.

„Właśnie przestali je produkować”, pomyślał Kapitan. Miał nadzieję, że nowe modele będą się sprawdzać równie dobrze. Nigdy nie wiadomo.

Wyjrzał za krawędź metalowego balkonu, wystawiając twarz na

smaganie wiatru. Gdzieś w dole zbierali się właśnie ziemscy superbohaterowie. Miasto jednak było niewidoczne. Za dużo chmur.

– Kapitanie, dyrektor chce pana widzieć – zwrócił się do niego opancerzony agent T.A.R.C.Z.Y.

Wprowadzono go do środka przez szare, metaliczne korytarze z wysokimi sufitami i licznymi bulajami. Obowiązki Kapitana Ameryki sprowadzały go na Transkopter wielokrotnie. Ale tym razem było inaczej.

„Czuję chłód. Niemal obcość”.

Korytarz przechodził w szerokie, niskie, pozbawione okien pomieszczenie przecinane pomostami. Naprzeciwko stała dumna, krótkowłosa kobieta o uderzająco pięknych rysach twarzy, w pełnym mundurze galowym T.A.R.C.Z.Y. Przy obu jej bokach tkwili agenci, jeden po prawej, drugi po lewej stronie, trzymali dłonie luźno przy hipernowoczesnych pistoletach. Jeden z towarzyszy miał okrutne spojrzenie i zniszczoną twarz, drugi, wąsaty, nosił ciemne okulary.

– Kapitanie – przywitała go kobieta.

– Komandorka Hill.

Uśmiechnęła się zimnym, gadzim uśmiechem.

– Teraz jestem dyrektorką. No, pełniącą obowiązki.

Kapitan sposepniał.

– Gdzie jest Fury?

– Nie jesteś na bieżąco, co? – podeszła bliżej. – Z przykrością informuję, że Nicholas Fury zginął na morzu cztery miesiące temu. Słyszałeś o Protokole Posejdona?

– Tylko nazwę.

– I więcej nie usłyszysz. Dość powiedzieć, że Nick Fury oddał życie za swój kraj.

Kapitan poczuł ścisk w żołądku. Tracił już towarzyszy broni, jednak tym razem to był wstrząs – zwłaszcza tak szybko po śmierci Thora. Fury podobnie jak Kapitan był tylko człowiekiem, ale niezwykłym. Działał co najmniej tak długo jak Ameryka, walczył w jeszcze większej liczbie wojen i za każdym razem pokonywał wszystkie przeciwności.

„Oddał życie za swój kraj”.

– Doniesiono mi, że dwudziestu trzech twoich kolegów spotyka się właśnie w Baxter Building, by omówić odpowiedź społeczności superbohaterów na ustawę o rejestracji superludzi. Co twoim zdaniem powinni zrobić?

– Ja... – Kapitan umilkł, zaskoczony tym, jak obcesowe było pytanie Hill. – Nie mnie o tym decydować.

– Przestań pieprzyć, Kapitanie. Wiem, że byłeś blisko z Furym, ale teraz to ja dowodzę T.A.R.C.Z.Ą. Spodziewam się, że uszanujesz przynajmniej moje pagony.

Kapitan Ameryka zdumiał się, wziął głęboki oddech. Na chwilę skrył swoje oblicze, żeby zebrać myśli.

– Uważam, że ten plan nas podzieli i doprowadzi do wybuchu wojny.

– Co jest z tymi ludźmi? – Okrutny Wzrok wskazał na Kapitana. – Jak komuś może się nie podobać, że superherosi będą porządnie szkoleni i opłacani?

Kapitan gwałtownie odwrócił się do Hill: „Doprowadź swojego człowieka do porządku”. Ale tamta spojrzała tylko na drugiego agenta, tego z wąsami.

– Ilu buntowników się spodziewasz, Kapitanie? – spytał Wąsaty.

– Jeśli rejestracja wejdzie w życie? Wielu.

– Ktoś znaczniejszy? – dopytywała Hill.

Kapitan się nachmurzył.

– Głównie bohaterowie działający na ulicy. Daredevil, może Iron Fist. Nie jestem pewien.

– Czyli poradzisz sobie z nimi.

– Co?

– Słyszałeś.

Kapitan mimowolnie zacisnął dłoń w pięść. Schował ją za plecami.

– Projekt został właśnie przegłosowany przez senat – ciągnęła Hill. – To przesądzone, Kapitanie. Prawo wejdzie w życie za dwa tygodnie, co oznacza, że jesteśmy w tyle z harmonogramem. Organizujemy tu oddział szybkiego reagowania przeciwko superludziom. Ale musimy się upewnić, że Avengersi są z nami

i że staniesz na ich czele.

– Proszę mnie, żebym aresztował ludzi, którzy codziennie ryzykują życiem dla kraju.

– Nie, Kapitanie. Proszę cię, żebyś był posłuszny woli amerykańskiego narodu.

Zdał sobie sprawę, że do pomieszczenia weszło jeszcze więcej agentów T.A.R.C.Z.Y. Mężczyźni i kobiety w ciężkim rynsztunku, ze sprzętem do tłumienia zamieszek i grubymi przyłbicami. Zgromadzili się wokół Hill, a także za plecami Kapitana. Otaczali go.

– Nie baw się w politykę, Hill. Superbohaterowie muszą być ponad to. Waszyngton nie będzie nam dyktował, kim są superzłoczyńcy.

– Myślałam, że superzłoczyńcy to goście w maskach, którzy nie chcą przestrzegać prawa.

Jej palec ledwie drgnął, jednak ów ruch nie umknął uwadze Kapitana. Natychmiast kilkunastu agentów T.A.R.C.Z.Y. uniosło strzelby, lasery i pistolety z pociskami usypiającymi. Jeden za drugim odbezpieczali broń. *Klik-klak. Klik-klak. Klik-klak.*

Wszyscy wycelowali w jednego człowieka. Człowieka z flagą na piersi.

Kapitan nawet nie drgnął, nie poruszył się żaden jego mięsień.

– Czy to jest ten oddział szturmowy, który szkolisz do radzenia sobie z herosami?

– Nikt nie chce wojny, Kapitanie. – Hill zlekceważyła pytanie i spróbowała się uśmiechnąć. – Po prostu ludzie mają dość życia na Dzikim Zachodzie.

– Zamaskowani bohaterowie należą do historii tego kraju.

– Tak jak ospa – stwierdził Okrutny Wzrok. – Może by tak dorosnąć?

– Nikt nie twierdzi, że źle wykonujesz swoją pracę – powiedziała Hill. – Po prostu poszerzamy zakres twoich obowiązków. To wszystko.

– Pora, żebyście działali legalnie jak my wszyscy. – Wąsaty Agent trzymał karabin wyciągnięty przed siebie, a czerwona kropka laserowego celownika tańczyła wokół gwiazdy na piersi

Kapitana. – *Żołnierzu.*

Kapitan Ameryka zrobił krok ku Hill.

W odpowiedzi kilkunastu agentów wystąpiło naprzód.

– Znałem twojego dziadka, Hill. Wiedziałaś o tym?

Nie odpowiedziała.

– Jego oddział poniósł w bitwie o Ardeny osiemdziesięcioprocentowe straty – kontynuował Kapitan. – Wycofał się wzdłuż kanału La Manche, miał odciętą drogę ucieczki i źródło zaopatrzenia. Panowały straszne warunki: szalejące burze, zamiecie śnieżne, niskie temperatury. Jeden z żołnierzy wykrwawił się na śmierć, inny zginął, powstrzymując dywizję pancerną Wehrmachtu od przekroczenia rzeki. Kapral Francis Hill utrzymał przy życiu swojego ostatniego kolegę. Kiedy ich znaleźliśmy, byli na wpół martwi z głodu i wyziębienia. Kapral Hill obronił jednak most przed Niemcami i ocalił co najmniej jedno życie.

Hill wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Opowiadał ci kiedyś tę historię, dyrektorko Hill?

– Nieraz.

– Był jednym z wielu prawdziwych bohaterów, których spotkałem na tamtej wojnie. – Kapitan przemawiał teraz do otaczającego go kręgu agentów T.A.R.C.Z.Y. – Odłóżcie broń, chłopcy.

– Kapitan Ameryka – powiedziała powoli Hill – tu nie dowodzi.

Zerwała się z miejsca, zaciskając zęby z wściekłością.

– To ich wojna – wysyczała. – Nie moja.

– Odłóżcie broń – powtórzył Kapitan. – Albo nie ręczę za to, co się wydarzy.

– Naboje usypiające. Przygotujcie się.

– To szaleństwo, Hill.

– Możemy to łatwo rozwiązać.

– Niech cię szlag.

– Niech cię szlag za to, że zmuszasz mnie do te...

Kapitan sprawnie wyrzucił tarczę, uderzając w strzelbę agenta w chwili, kiedy ten pociągał za spust. Potem dał susa, wykonał obrót w powietrzu i chwycił drugiego mężczyznę za szyję,

wykręcając ją tylko na tyle, żeby zwalić go z nóg. Agent wydał zduszony krzyk.

– Naboje usypiające! – wrzasnęła Hill. – TERAZ!

Kapitan złapał za pancerz i uniósł w powietrze kolejnego agenta, osłaniając się nim przed gradem strzykawek ze środkiem uspokajającym. Potem cisnął agentem w napastników i popędził ile tchu w płucach.

– Zdjąć go! Zdjąć go! – wykrzykiwała Hill.

Przebił się przez rząd agentów, taranując przeciwników; rozdając ciosy pięścią i odtrącając ich karabiny, powalił bojowników na ziemię. Panczerze miały pewne wady; agenci byli przez nie ciężsi i wolniejsi od niego. Kapitan rzucił niezniszczalną tarczą w dwóch napastników, odcinając końcówki luf ich broni. Kiedy pomoc wróciła do niego jak bumerang, złapał ją w powietrzu bez patrzenia.

Agent T.A.R.C.Z.Y. o okrutnym wyrazie twarzy blokował wyjście na korytarz. Wspierało go czworo ludzi z wielkokalibrowymi strzelbami. To nie były naboje usypiające. Już nie.

– Nawet o tym nie myśl, człowieczku – rzucił Kapitan, uniósł tarczę i ściągnął usta w bojowy grymas.

Potem zaatakował z opuszczoną głową i tarczą wyciągniętą przed siebie niczym taran. Wbił się w agenta, miażdżąc mu szczękę. Machnął tarczą w jedną, potem w drugą stronę, zbijając agentów T.A.R.C.Z.Y. jak kręgle.

– DYREKTORKA HILL DO WSZYSTKICH ODDZIAŁÓW. – Głośniki ryczały teraz niemal ogłuszająco. – ZATRZYMAĆ KAPITANA AMERYKĘ. POWTARZAM: ZATRZYMAĆ KAPITANA AMERYKĘ!

Kapitan wypadł na korytarz wśród świszczących dookoła pocisków. Kule, promienie lasera, kapsułki usypiające. Stał przy małym oknie i trzymał za sobą tarczę, by osłaniać się przed ostrzałem.

Oparty o okno czekał na przerwę w ogniu. Ta nieuchronnie nadeszła.

Mięśnie zahartowane podczas drugiej wojny światowej spięły się, Kapitan Ameryka zrobił zwrot i jednym ciosem wybił szybę przy pomocy tarczy. Potem wyskoczył przez okno. Poleciał za

nim kolejny grad pocisków, przed którym uchylał się i wykręcał, zdając się na czysty instynkt przetrwania.

Poniżej znajdował się pokład startowy, który jednak nie mógł mu w niczym pomóc – będą go tam mieli jak na strzelnicy. Kapitan odbił się od podstawy działka i podciągnął się na wyższe pokłady Transkoptera. Poszukał punktu oparcia na ścianie, chwycił nieruchome śmigło i dźwignął się jeszcze raz.

W wybitym oknie poniżej pokazała się falanga agentów T.A.R.C.Z.Y. Rozejrzeli się, dostrzegli go i zaczęli strzelać.

„Niedobrze”, pomyślał. „Dziesięć kilometrów nad ziemią i nie mam dokąd uciec”.

Wtedy zobaczył, że stary P-40 Warhawk właśnie zataczał łuk, zbliżając się do lądowiska na dolnym pokładzie. Relikt – tak jak sam Kapitan – jakimś cudem wciąż był sprawny. Na dziobie widniały wyszczerzone kły i oczy Latających Tygrysów, pieczołowicie odmalowywane przez te wszystkie lata.

Kiedy wybuchła strzelanina, P-40 zapewne właśnie podchodził do lądowania. Był jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów nad pasem i wciąż schodził. Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia jeden.

Kapitan skoczył.

Spadł na kokpit i roztrzaskał szkło tarczą. Poczuł ból w nogach. Pilot wzdrygnął się i potrząsnął głową, czując nagły podmuch wiatru.

– JEEZU!

Kapitan zacisnął dłoń na jego gardle.

– Leć dalej, synu. I nie wyrażaj się.

Pilot gorączkowo pokiwał głową i przyciągnął drążek do siebie. Pokład zbliżał się coraz szybciej, potem jakby się wydłużył, kiedy samolot wyrównał lot. Do lądowiska pozostało jakieś siedem metrów. Pilot włączył turbodoładowanie i myśliwiec zaczął się wznosić.

Kapitan zachwiał się i prawie upadł. Utrzymał się jednak, zaciskając zęby.

Agenci T.A.R.C.Z.Y. wybiegli na pokład startowy: było ich dwudziestu, może trzydziestu. Wskazali na niebo i zaczęły strzelać.

Samolot Kapitana był jednak zbyt szybki. Pilot poderwał go dalej i wyżej od lotniskowca. Pokład startowy przemknął pod nimi jak rozmyta plama i znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Kapitan zerknął do tyłu. Kanciasta bryła Transkoptera zmniejszała się w oddali na tle chmur. Hill na pewno opracowywała już plan pościgu, ale wiedział, że teraz już na to za późno.

Kapitan usadowił się na pękniętym kokpicie, dosiadając samolotu niczym surfer deski. Spojrzał w dół w chwili, gdy chmury się rozwiały, ukazując wieżowce Manhattanu oraz okoliczne ocean i rzeki. Na wschodzie było morze, na zachodzie góry, farmy i miasteczka.

– Do... do... dokąd lecimy?! – krzyknął pilot.

Kapitan wychylił się przed siebie pod wiatr.

– Do Ameryki.

CZĘŚĆ DRUGA



ZACZĄTEK WIARY

7

MIEJSCE: róg Dwunastej Ulicy i Piątej Alei, Manhattan. Czas: 8.24 – godzina szczytu. Robot: czterometrowej wysokości; ziemia drżała od każdego jego kroku, a zamiast twarzy miał olbrzymi, wykrzywiony wizerunek łotra zwanego Doktorem Doomem.

Tony Stark zawisł w powietrzu pół kwartału od robota. Spojrzał w dół i zobaczył, że policja oczyściła okolicę z ludzi. Gapie stali za barierkami, obserwując i nagrywając zajście telefonami oraz kamerami cyfrowymi.

– To nasza szansa – powiedział Tony.

Ms Marvel podleciała do Tony’ego, czekając na instrukcje. Luke Cage i Czarna Wdowa podbiegli środkiem pustej ulicy. Tuż za nimi Spider-Man przeskakiwał z jednej latarni na drugą, huśtając się na pajęczynie.

Tony włączył kanał radiowy.

– Jesteś tam, Reed?

Robot tupnął tak mocno, że chodnik pod jego stopą pękł. Ludzie wydali stłumiony okrzyk i odsunęli się od barierek, przywierając do witryn barów i sklepów.

– JESTEM DOOM! – ogłosił robot.

Głos Reeda Richardsa rozległ się wśród trzasków w słuchawce Tony’ego:

– Z braku rozstrzygających dowodów – oznajmił – przypuszczam, że jest to Doombot.

Tony zmarszczył czoło. Żartuje czy po prostu stwierdza oczywistość? Z Reedem nigdy nic nie wiadomo.

– Jesteśmy gotowi, Tony – głos Spider-Mana na częstotliwości Starka był czysty i wyraźny. – Przyjazny początkujący Avenger z sąsiedztwa zgłasza się do służby.

Tony dokonał przeglądu wojsk. Czarna Wdowa szybko kiwnęła

mu głową, mina Cage'a była ponura i niepewna. Spider-Man przyłgął do ściany fabryki, był gotowy do akcji. Ms Marvel unosiła się w powietrzu – jak zawsze opanowana i posągowa.

Tony'emu przyszedł do głowy pomysł i ustawił wzmacniacz w swoim pancerzu na pełną moc.

– UWAGA, OBYWATELE – zaczął. – TU IRON MAN, ZAREJESTROWANY SUPERCZŁOWIEK. NAPRAWDĘ NAZYWAM SIĘ ANTHONY STARK. DZIAŁAMY ZGODNIE Z ZATWIERDZONĄ PROCEDURĄ W RAMACH PROTOKOŁU BEZPIECZEŃSTWA USTAWY O REJESTRACJI SUPERLUDZI. PROSZĘ SIĘ COFNAĆ I POZWOLIĆ NAM WYKONYWAĆ PRACĘ. NIE MA POWODÓW DO OBAW.

Ludzie spojrzeli po sobie niepewnie.

Robot wykonał kolejny powolny, ociężały krok wzdłuż Piątej Alei.

– JESTEM DOOM! – Jego stopa spowodowała kolejny wstrząs, włączając alarmy samochodowe w całym kwartale.

– Reed, proszę o krótki raport o tym czymś. Ale naprawdę krótki – podkreślił Tony.

– To prototypowy robot porządkowy skonstruowany przez Doktora Dooma. Wiesz, kto to?

– Tak, Reed.

Victor Von Doom był głównym wrogiem Reeda, genialnym opancerzonym naukowcem, który rządził krajem o nazwie Latweria, całkiem dosłownie żelazną ręką. Doom żywił urazę do Reeda, odkąd studiowali razem w college'u.

– No tak. Doom twierdzi, że bot miał być używany tylko w granicach Latwerii. Wykształcił w sobie jednak podstawy sztucznej inteligencji i uciekł do Ameryki.

Ms Marvel zdziwiła się.

– Czyli Doom ostrzegł cię przed tym czymś? Dlaczego?

– Może widzi, którądy wieje wiatr polityki w naszym kraju. Podejrzewam, że chce przypodobać się Tony'emu. A może ma inny, ukryty plan. – Reed się zawahał. – Nie wiem.

„To dwa słowa, których najbardziej nie cierpi”, zdał sobie sprawę Tony.

– Dzięki, Reed. Bez odbioru.

Tony jeszcze raz sprawdził: Avengersi byli na jego kanale, bez wyjątku.

– Wszyscy za mną – powiedział. – To początek nowej ery. Nasza szansa, by pokazać, jak odtąd będziemy działać. Odzyskamy zaufanie ludzi.

– Moja lubić zaufanie – odparł Spider-Man. – Zaufanie być dobry.

– JESTEM DOOM!

– Najpierw atak z powietrza. – Tony wysforował się przed grupę. – Carol?

Ms Marvel ustawiła się za nim – jej długa czerwona szarfa powiewała, błyszcząc w porannym słońcu. Razem wymierzyli w głowę robota i ruszyli, przecinając powietrze w idealnej symetrii. Doombot obrócił na nich rozżarzone oczy, szarpnął się w bok...

...i wpadł na zaparkowany samochód, kompletnie miażdżąc bagażnik. Jakaś kobieta gwałtownie otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i niemal wytoczyła się z auta, przyciskając do piersi niemowlę. Zachwiała się, wodząc dookoła przerażonym wzrokiem, pobiegła przed siebie i wpadła wprost na nogę robota.

Doom powoli na nią spojrzał.

Tony podleciał w stronę Ms Marvel. Jej ramiona w błękitnych rękawicach były wyciągnięte i zaczynały świecić od mocy. Fizjologia należącej w połowie do rasy kosmitów Carol pozwalała jej generować porcje wysoko naładowanej energii. W walce należała do najpotężniejszych Avengersów.

Ale jeśli strzeli do tego robota teraz...

– Carol – wzmocniony głos Tony'ego był ostry, celowo przenikliwy. – Na pierwszym miejscu stawiamy bezpieczeństwo cywili.

Ms Marvel kiwnęła głową i zanurkowała.

Robot wyciągnął ogromne ramię w stronę przestraszonej kobiety. Ta stała jak sparaliżowana, opierała się o samochód, sztywno zaciskając palce na dziecku. Ms Marvel zatoczyła łuk, wyciągając do niej rękę. Ale kobieta cofnęła się jeszcze bardziej.

„Przerażamy ją tak samo jak Doombot”, zdał sobie sprawę Tony.

– Procedury – powiedział.

Ms Marvel wykonała piruet w powietrzu, zatrzymując się tuż nad zniszczonym pojazdem. Głowa robota raz po raz podrygiwała i opadała z dezorientacją, Doombot spoglądał to na kobietę, to na superbohaterkę.

Tony złapał się na tym, że gapi się na Ms Marvel. „Jest piękna. Posągowa, silna, z gracją tancerki. Stanowi wzór tego, co chcemy osiągnąć”.

Ms Marvel przemówiła do kobiety spokojnym, wyćwiczonym tonem:

– Tu Ms Marvel. Jestem zarejestrowanym superczłowiekiem. Naprawdę nazywam się Carol Danvers. Chcę pani pomóc. Proszę się odsunąć i pozwolić mi...

Tony zdążył wystartować, ale było o pół sekundy za późno. Robot zdążył unieść ogromne metalowe ramię i pacnąć nim Ms Marvel.

– AVENGERSI, ZBIÓRKA!

Silne promienie repulsora Tony’ego trafiły robota w głowę. Fontanna iskier wzbiła się w powietrze.

Stark cofnął się o parę metrów i uruchomił podgląd wielokamerowy. Wewnętrzny wizjer pokazał wszystko naraz:

- Ms Marvel uderzyła w budynek i posłała na chodnik deszcz cegieł. Mimo wyraźnego oszołomienia miała równe tętno. Żadnych poważniejszych urazów.

- Kobieta uciekła z dzieckiem w ramionach. Ludzie byli bezpieczni.

- Czaszka Doombota pękła na dwoje, ukazując serwomechanizmy i obwody elektryczne. Ale robot wciąż stał. Tony poczuł mrowienie, które oznaczało, że został namierzony. Zobaczył, jak z palca robota wysuwa się lufa nieznannej broni.

- Spider-Man huśtał się na pajęczynach, przemieszczając się na miejsca walki. Cage i Czarna Wdowa biegli ulicą tuż za nim.

Broń Doombota wypuściła jasny ksenonowy błysk, chwilowo oślepiając Tony'ego. Starkowi błyskawicznie włączyły się automatycznie szkła filtrujące. Po trzech sekundach zaczął znów wyraźnie widzieć.

Tymczasem robot wciąż był w ruchu, ale Avengersi zdążyli go dopaść. Cage wdrapał mu się na plecy i łupał w nie pięściami jak ze stali. Czarna Wdowa stała na latarni, strzelając przeciwnikowi w pierś elektrycznymi żądłami. Robot szarpał się na boki, prawie jakby te ataki sprawiały mu ból.

– JESTEM... DOOM – powtórzył z chrzęstem.

Spider-Man lekko jak piórko wylądował na ulicy tuż za robotem. Mocno zaparł się nogami, a z wyciągniętych rąk wystrzelił gęsty wachlarz lepkiej pajęczyny. Sieć trafiła robota w plecy, zgrabnie ominąwszy Cage'a, który wspinał się ku głowie. Robot zatrzymał się, pajęczyna ciągnęła go do tyłu.

Cage dostrzegł zdruzgotaną pokrywę mózgu i uśmiechnął się paskudnie. Strzelił stawami w palcach, potem wziął zamach i zaczął grzmocić pięściami w układy scalone.

– Cage – napomniął go Tony. – Procedury.

Luke zignorował te słowa. Sięgnął w głąb głowy robota i zaczął wyszarpywać przewody. Wyładowania elektryczne skrzyły się na jego twardej skórze, nie robiąc mu żadnej krzywdy.

Tony wkroczył do akcji z rozżarzonymi repulsorami.

– Trzymaj go nieruchomo, Pe... ech, Spider-Man.

– Się robi, szefie.

– Przestań tak do mnie mówić.

– Tak, szefie.

Pajęczyna tworzyła teraz gruby sznur rozciągający się od nadgarstków Spider-Mana do szamoczącego się Doombota. Z wyćwiczoną łatwością Spidey chwycił pajęczynę zaraz po tym, jak ostatnia nić opuściła wyrzutnię, i pociągnął.

Doombot uniósł nogę, próbując ruszyć przed siebie. Spider-Man trzymał go mocno, napinając żylaste mięśnie. Przykutyy do miejsca Doombot znieruchomiał.

Tony dumnie uśmiechnął się pod zbroją. To byli nowi Avengersi. Jego Avengersi.

– Trzymaj tak dalej, Peter. Dobra robota.

– Dzięki. Hej, Tony, kiedy to się skończy, chciałbym z tobą porozmawiać o kilku sprawach.

– Mam pełny grafik do wiosny przyszłego roku. Zróbmy to teraz.

Wciąż trzymając splot pajęczyny, zaskoczony Spider-Man podniósł złote metaliczne oczy.

– Teraz?

Tony przełączył się na częstotliwość prywatną.

– To się nazywa wielozadaniowość.

– Wow! Jakbyś był w mojej głowie.

Ms Marvel ponownie wzbiła się w powietrze przed botem. Wystrzeliła z dłoni dwa błyski energii i głowa Doombota zapadła się. Maszyna wydała przenikliwy elektroniczny krzyk.

– Tik-tak, Peter.

– Dobra. No tak, przede wszystkim dostałem pierwsze wynagrodzenie. I...

– Dopilnuj, żeby odliczyli ci składki. To się może potem zemścić.

– Tony, to więcej, niż zarobiłem przez cały zeszły rok.

Tony strzelił do robota raz, potem drugi. Ten zachwiał się, głowa zawisła mu na grubym kablu.

– Pracujesz na te pieniądze, Peter. Właśnie teraz.

– No, sam rozumiesz. Ale dzięki.

Cage łomotał raz za razem w brzuch robota, robiąc coraz głębsze wgniecenie w metalowym poszyciu. Bot zgiął się wpół i padł na kolana.

Tony trzepnął robota z boku. Spider-Man chwycił sznur jedną ręką, drugą zakleił pajęczyną czujniki optyczne maszyny. Głowa dyndała jak szalona na końcu kabla.

– Słuchaj, Peter. – Tony pomachał do Ms Marvel, która wypuściła kolejną przerażającą porcję energii. – Ustawa o rejestracji superludzi wchodzi w życie dziś o północy. Osobiście zapewniłem prezydenta, że zajmę się jej wdrożeniem.

– Ty?

– Ktoś musi. Nikogo nie ucieszyłyby jakiś bezimienny rządowy biurokrata. Lepiej mieć kogoś, kto rozumie naszą społeczność,

sam jest zarejestrowany i działa publicznie.

– Ja... No tak, to ma sens.

– Będę cię potrzebował po mojej stronie.

– Za taką kasę? Jasne.

– To nie jest takie proste, Peter. – Tony przełączył na chwilę kanał. – Natasza, utnij temu czemuś łeb, dobrze?

Czarna Wdowa uśmiechnęła się ze szczytu latarni. Jej żądła błysnęły i głowa Doombota potoczyła się po ulicy. Ale korpus wciąż się ruszał, miotając się na wszystkie strony niebezpiecznie blisko gapiów zgromadzonych za barierkami.

– Peter, będę potrzebował twojej pomocy przy... wprowadzaniu prawa w życie. Już niedługo poznasz szczegóły.

– Dobra. Tak mi się wydaje.

– Jest coś jeszcze. Wiesz, o czym mówię.

– Tony...

– Peter, zrób to, co należy. – Tony zawiesił głos i lekko podkręcił głośność. – Po północy będziesz musiał.

Mina Spider-Mana ukryta za maską była niewidoczna. Odczyty Tony'ego pokazały jednak, że Peter ma podwyższony poziom adrenaliny i przyspieszone tętno.

Cage siłował się z nogą Doombota i miażdżył mu kolano serią potężnych ciosów.

– Ten gość potrafi sporo znieść – powiedział.

– Peter, to nie podlega negocjacom.

– Ja... Chcę, żebyś mi coś obiecał.

– Mów.

– Moja ciotka. Ciocia May. Cokolwiek się wydarzy, musisz zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Peter, przysięgam ci: jeśli to zrobisz, będę osobiście chronił tę uroczą starszą damę aż do śmierci, mojej lub jej. A podejrzewam, że twoja krewna mnie przeżyje.

Spider-Man naprężył mięśnie i stęknął. Włożył całą spotęgowaną przez ukąszenie pająka siłę w szarpnięcie pajęczyny. Cage odpuścił, Czarna Wdowa zeskoczyła na ziemię. Ms Marvel – uosobienie gracji i siły – wzleciała ku niebu.

Doombot padł na chodnik, wzbijając fontannę iskier. Noga

przez chwilę mu drżała, dzwoniąc o właz studzienki. Potem robot znieruchomiał.

Tony dokonał oględzin miejsca walki. Doombot leżał wśród popękanego asfaltu na środku ulicy. Avengersi stali wokół niego, otrzepując się z pyłu. Natasza rozciągała nadwerżone mięśnie.

Tony pokazał kciuk w górę i policja zaczęła usuwać barierki. Ludzie ostrożnie podchodzili. Biznesmeni, kobiety z wózkami, turyści – wszyscy przez dłuższą chwilę wpatrywali się w robota, nic nie mówiąc, niemal nie oddychając.

I wtedy w tłumie rozległ się huragan braw.

Tony ujął dłoń Ms Marvel. Niczym królewska para zlecieli razem na ulicę.

– Słyszycie to? – spytał Tony. – Tak brzmią ludzie, którzy znów zaczynają wierzyć w bohaterów.

– No nie wiem, ziomek. – Cage podszedł, rozcierając grzbiet dłoni. – Czy po tym wszystkim dalej będziemy superbohaterami? Nie staniemy się agentami T.A.R.C.Z.Y. na rządowej pensji?

– Nie, Luke. Jesteśmy herosami. Walczymy z superprzestępcami i ratujemy ludziom życie. – Tony spojrział na Spider-Mana. – Zmieni się tylko to, że wyplenimy z naszych szeregów dzieciaki, amatorów i socjopatów.

Czarna Wdowa uniosła brew z wrodzonym sarkazmem.

– Anthony, do której z tych kategorii należy Kapitan Ameryka?

Tony wzleciał nieznacznie nad ziemię i pomachał ludziom potężnymi rękami, a ci znów zaczęli wiwatować.

Ms Marvel się uśmiechnęła. Cage skrzywił się i odwrócił wzrok. Natasza skinęła tłumowi głową.

Twarz Spider-Mana była ukryta, ale Tony wiedział, że Parker słucha każdego słowa.

Tony przeleciał nisko nad nieruchomym Doombotem. Wyciągnął metalową rękawicę do nastoletniej pary gapiów. Chłopak kiwnął głową i pokazał Tony'emu kciuk w górę.

– Uwierz mi, Nataszo. Tym razem Kapitan się myli.

8

SUSAN Richards miała dość. Dość szpitalnego jedzenia, szpitalnej kawy. Dość prób podniesienia na duchu półprzytomnego brata. Dość wyciągania od lekarzy informacji o tym, jak poszła operacja. Dość ciągłego tłumaczenia pielęgniarkom, że muszą cały czas zbijać Johnny'emu gorączkę, inaczej któregoś ranka znajdą go w zwęglonej na popiół pościeli.

Przeważnie miała po prostu dość.

– Franklin? – Energicznie zdjęła buty i włączyła światła w salonie. – Val? Kochanie?

Cisza.

Wyjęła telefon. Migotała w nim lampka: nowy esemes. Od Bena Grimma.

Suzie, Franklin chciał zobaczyć nową kreskówkę Pixara, więc zabrałem pędraki do kina. Pwnie ty i Mózg chcecie mieć trochę czasu dla siebie.

I druga wiadomość:

Dobra, to ja chciałem isc na kreskówkę. Val nalegała na film dokumentaln ale nadal jestem d niej większy.

Sue uśmiechnęła się. W takich chwilach uświadamiała sobie, jakim szczęściem jest dla nich Fantastyczna Czwórka. Nie byli tylko drużyną jak Avengersi czy Defendensi. Stanowili dla siebie grupę wsparcia, rodzinę, pociechę w trudnych czasach. Przeszła przez pomieszczenia mieszkalne. Sprawdziła pocztę, pogłośniła wyciszony telewizor. Kolejne nagrania wybuchu w Stamford i pyłu wznoszącego się jak gęsta czarna chmura. Czy kiedyś

przestaną to pokazywać?

Sue wypełniła rytuał: przemierzyła jadalnię, kuchnię, wszystkie trzy łazienki. Mały pokój Franklina i jeszcze mniejszy Valerii. W głównej sypialni było ciemno i pusto, łóżko posłane rano przez robota-pokojówkę pozostało nienaruszone.

„Przestań grać na zwłokę”, zganiła się. „Wiesz, gdzie on jest”.

W laboratorium Reeda huczało jak w ulu, dosłownie i w przenośni. W minionym tygodniu pożyczył od Uniwersytetu Columbii kilkanaście dodatkowych komputerów o wysokiej mocy, przetransportował je drogą lotniczą i połączył w sieć z dostępem do jego baz danych. Cała podłoga była zasłana płataniną wijących się jak spaghetti kabli, serwerów, routerów i przełączników sieciowych.

A na samym środku stał sześcioboczny stół zavalony laptopami, papierami i tabletami. Reed siedział po drugiej stronie, wyciągał na boki swoją wydłużoną szyję i zerkał to na tablet, to na plik papierów z hologramową pieczętką: TAJNE.

„Boże”, pomyślała Sue, „jak ja go Kocham”.

Wiedziała, jak trudno było dotrzeć do Reeda, kiedy pochłaniały go badania. Żeby przykuć jego uwagę, musiała powiedzieć co najmniej cztery szokujące rzeczy, czekając, aż zamruga ze zdumieniem po usłyszeniu każdej kolejnej. Czasem trzeba było użyć pięści.

Ku jej zdumieniu Reed natychmiast podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

– Susan! – zawołał. – Nie uwierzysz, co się dziś rano stało.

Odwzajemniła uśmiech i spojrzała na beładne skupisko przewodów.

– Pewnie nie chodzi o rachunek za prąd.

– Powiadomiłem Avengersów o Doombocie i pomogłem im go powstrzymać. A potem wpadł do mnie Tony i długo rozmawialiśmy. Ma mnóstwo planów. Mnóstwo bardzo ważnych planów.

– Mhm.

– To największa rzecz, nad jaką kiedykolwiek pracowałem. – Oczy mu błyszczały, Sue nigdy go takiego nie widziała. – Tony nie

żartował, że zrewolucjonizuje wszystkich metaludzi w Ameryce. Ostatni raz byłem tak podekscytowany, kiedy zobaczyłem swoją pierwszą osobliwość.

– Podzielałabym twój entuzjazm – powiedziała powoli – gdyby genialny plan Tony’ego nie oznaczał więzienia dla połowy naszych gości weselnych.

– Tak, tak, wiem. – Odwrócił się i włączył duży ekran na ścianie. – Ale to ich wybór. Zawsze mogą się zarejestrować.

– Co do tej ustawy...

– To konieczność, kochanie. Spójrz na moje prognozy.

Sue podeszła do ekranu z podejrzliwością. Z góry na dół widziała pismo Reeda: równania, notatki, kółka, strzałki.

– To jakiś bełkot – skwitowała.

– Nie, nie. – Wyciągnął się i wskazał na ekran. – To funkcja wykładnicza liczby superistot. Co roku odnotowujemy więcej: mutantów, wypadków, ludzi w superkostiumach, takich jak Tony. Kosmitów. Nawet podróźników w czasie. To ogromne zagrożenie społeczne.

– Oni wszyscy są ludźmi – szepnęła.

– Jeśli nieuregulowana działalność nie znajdzie się pod kontrolą, grozi nam apokalipsa. – Poczwała na łopatce lekki dotyk jego dłoni. – To nie polityka, kochanie. To nauka. Doszedłem już do wniosku, że plan Tony’ego to najlepszy i najszybszy sposób na uniknięcie katastrofy.

Nie odpowiedziała.

– Szkoda, że nie widziałas dziś rano drużyny w akcji – mówił dalej Reed. – Tony pokazał mi nagranie. Wykonali zadanie perfekcyjnie, i to wedle nowych wytycznych. To może działać, kochanie. Poza tym to dla nas wielka szansa. – Gestykułował żywiołowo, klikając wydłużonymi rękami w ekrany dotykowe w całej sali. – Gdybyś tylko słyszała pomysły, które rzucaliśmy. Czuję się jak maszyna do tworzenia pomysłów.

Ramię Reeda z powrotem się skróciło, palce głąskają teraz dół jej pleców. Powoli przesunął dłoń niżej.

Sue i Reed zawsze prowadzili aktywne życie seksualne, nawet po narodzinach dzieci. Nieraz śmiała się w duchu z tego, za kogo

uważali ich znajomi. Wszyscy postrzegali Reeda jako zimnego, maniakalnego naukowca, a ją jako wesołą mamuszkę. Nie mieli o niczym pojęcia.

Ale teraz...

Coś było bardzo nie tak. Mimowolnie włączyła pole siłowe. Reed odsunął rękę jak oparzony.

– Przepraszam – powiedzieli oboje niemal równocześnie.

Nagle pomieszczenie wypełnił głośny zgrzyt. Sue zerknęła na portal do Strefy Negatywnej. Zamigotały lampki, okrągłe obramowanie zaczęło wirować. Wewnątrz portalu pojawiła się mgławica gwiazd usiana asteroidami i odległymi, szybko poruszającymi się humanoidalnymi kształtami.

– Wszystko w porządku – powiedział Reed. – To tylko test.

Portal zazgrzytał głośniej, o oktawę wyżej. Nad nim, na ekranie pod sufitem rozbłysł napis: PROJEKT 42 PRÓBNE PRZEJŚCIE / UDANE.

– Projekt 42! – zawołała Sue. – Co to?

Reed przekrzywił głowę i spojrzał na nią z niewyraźną miną. Zawahał się.

Wtedy przez hałas przebił się ostry metaliczny głos.

– To ściśle tajne.

Sue patrzyła, jak w portalu pojawia się czerwono-złota postać Iron Mana. Jego odrzutowe buty zabłysły, po czym pomogły mu przesunąć się ku nim. Na chwilę zawisł w pełnej gracji pozie, a potem wleciał do laboratorium.

– Cześć, Susan – powiedział Tony.

– Cześć – odparła, zachowując ostrożnie neutralny ton.

Portal zatrzymał się. Gwiazdy przybladły i brama zamknęła się jak przysłona w aparacie.

Reed uśmiechnął się do Tony'ego i wyciągnął tors, by zrównać się z rozmówcą.

– Jakie warunki były wewnątrz?

– Interesujące. – Tony błysnął świecącymi na czerwono oczami ku Susan i uciszył Reeda. – Myślę, że się uda.

– Zrobię zestawienie danych dotyczących...

– Omówimy to później. Muszę lecieć. – Tony spojrzał w górę,

jakby jego uwagę odwrócił sygnał z pancerza. – Ustawa wchodzi w życie o północy. Przygotowałeś papiery, tak?

Reed nachmurzył się.

– Przecież już działamy publicznie. Wszyscy znają nasze nazwiska.

– Mimo wszystko trzeba wypełnić formularze. Musimy poznać wasze moce, rozpoznane słabości, informacje o odsiadkach i incydentach, jeśli ktoś z waszej drużyny stracił nad sobą kontrolę.

– Oczywiście. – Reed przytakiwał w zamyśleniu. – Chcę też porozmawiać z doktorem Pymem o tym protokole Nifhel, o którym wspominałeś...

– Reed. – Tony nachylił się nad nim, a jego metalowe oczy po raz kolejny rozbłysły na czerwono. – Nie teraz.

Sue zmrużyła powieki. Reed nigdy nie miał przed nią tajemnic.

– Kochanie. – Reed wyciągnął szyję do Sue i uśmiechnął się do niej niepewnie. – Możesz się zająć tymi papierami, o których wspomniał Tony?

– Wszystkie są online – poinformował Tony.

Zauważyła, że Iron Man unosił się nieco nad ziemią, co przydawało mu wzrostu i autorytetu. Wyglądał jak stwór z filmu z lat pięćdziesiątych, kosmiczny władca, który przybył, by miłościwie panować nad Ziemią. Zbroja pokrywała każdy skrawek jego ciała, nie pozostawiając śladu człowieczeństwa.

A Reed zdawał się być kompletnie pod jego urokiem. Jak zafascynowany nastolatek.

– Jasne – powiedziała Sue. – Hej, Reed.

– Tak, kochanie?

– Twój szwagier ma się lepiej. Chirurg zdołał usunąć fragmenty kości z mózgu. Może nawet niebawem go wypiszą.

– To...

– Gdyby cię to przypadkiem obchodziło.

Odwróciła się i z godnością wymaszerowała z laboratorium, czując palące laserowe spojrzenie czerwonych oczu Iron Mana na swoich plecach.

W LIMUZYNIE Tony'ego Starka można było znaleźć wszystkie napoje bezalkoholowe znane ludzkości. Cola, cola light, soki pomarańczowy, winogronowy, owocowy poncz i gatorade, osiem rodzajów wód witaminowych. Kawa zwykła i bezkofeinowa plus niebezpiecznie przeładowane kofeiną wynalazki z Ameryki Południowej. Butelki z rżniętego szkła zdobione japońskimi znakami, każda zakorkowana szklaną kulką. Marki retro takie jak Jolt, Patio i New Coke wygrzebane z magazynów na całym świecie.

Napoje leżały w pojemniku z kruszonym lodem, patrząc na Tony'ego niby szklanymi i metalowymi oczami. Na nic nie miał ochoty.

„Rozerwij się”, pomyślał. Włączył telewizor – nad logiem kanału informacyjnego pojawiła się ufryzowana blondynka.

– ...właśnie dostaliśmy informację o konferencji prasowej zwołanej na jutro przez Tony'ego Starka – powiedziała. – Jest to oczywiście następstwo uchwalenia ustawy o rejestracji superludzi. Prawo wejdzie w życie za kilka minut. Co pan na to?

Kamera przeskoczyła na zaciętą męską twarz. Krzaczaste brwi, siwiejące skronie i za krótki wąsik nad górną wargą. Biała koszula z podciągniętymi rękawami. Nozdrza rozdęte z podniecenia.

Pod twarzą widniał napis:

J. JONAH JAMESON
WYDAWCA „DAILY BUGLE”

– Co ja na to? – powtórzył Jameson. – To wspaniałe, Megan. Oczywiście to tylko pierwszy krok na drodze do opanowania

olbrzymiego problemu z superludźmi, ale dziś o północy wszystko, o co moja gazeta zawsze zabiegała, stanie się prawem.

„Rany”, pomyślał Tony. „Kiedy się uśmiecha, jest jeszcze bardziej przerażający”.

– Myśli pan...

– Koniec z maskami – ciągnął Jameson, przerywając dziennikarce. – Koniec z ukrywaniem się i obrzydliwymi wykrętami od ujawniania prawdziwej tożsamości. Te błazny będą pracować dla T.A.R.C.Z.Y. albo ich dupska w kolorowych rajtuzach czeka odsiadka. I kropka.

– Panie Jameson. Czy naprawdę pan sądzi, że wszyscy superbohaterowie tak po prostu się zgłoszą?

– Nie. – Jameson pochylił się do kamery i spojrzał wygłodniałym wzrokiem. – Tylko ci sprytni.

Tony uśmiechnął się. „Przykro mi, dziadku. Peter nie jest już twoim chłopcem do bicia”.

Tak czy inaczej, dobrze było mieć jedną z głównych gazet po stronie rejestracji. Nawet jeśli prowadził ją facet na granicy psychopatii.

Dziennikarka zadała kolejne pytanie, ale Jameson je zignorował i rozpoczął długą tyradę na temat walki o sprawiedliwość prowadzonej całymi latami przez bohaterski „Daily Bugle”. Tony stracił cierpliwość i zmienił kanał.

Znów ta chmura gęstego dymu wznosząca się nad zniszczoną szkołą w Stamford. „Tak jakbym nie widział jej każdej nocy w snach”. Ściszył telewizor.

W rogu ekranu widniała godzina: 23.53.

– Zatrzymaj się, Happy – powiedział Tony. – Czas na toast.

W głośniku zabrzmiał głos Happy’ego.

– Ma pan dla mnie piwo, panie Stark?

– Prowadzisz, Happy. – Tony znów zerknął na pobojuwisko na ekranie. – Grajmy dziś zgodnie z zasadami.

– MA PAN jakieś wiadomości od Kapitana Ameryki, panie Stark?
Tony wiercił się, przerzucając smartfon z ręki do ręki. Spojrzał

na Happy'ego, który siedział naprzeciwko ze szklanką wody sodowej w dłoni i opierał zwałiste ciało o przegrodę kabiny kierowcy.

„Wygląda tak... beztrosko”, pomyślał Tony. „Czy jeszcze kiedyś będę się tak czuł?”

– Żadnych wiadomości od Kapitana. – Tony był zmartwiony. – Hawkeye też zniknął z radarów i nie mogę się dodzwonić do Cage'a. Myślę, że Kapitan w tajemnicy kompletuje własną drużynę.

Rzucił telefon Happy'emu.

– Jezu, Happy, nie mam siły tam zajrzeć. Powiedz mi, ilu się zarejestrowało.

Happy spojrzął na ekran.

– Wygląda na to, że... trzydzieścioro siedmioro. Zaraz, jednak trzydzieścioro ośmioro. Właśnie wpłynął formularz panny Romanow.

– To całkiem w stylu Nataszy. Tak żebym trochę się spocił. – Tony głęboko zaczerpnął powietrza. – Trzydzieścioro ośmioro.

– Mniej więcej tyłu się pan spodziewał, tak?

– Mniej więcej. Ale... Happy, czy wpłynęły zgłoszenia F4?

– Sekundę... – Happy przesunął grubym palcem po ekranie. – Taa, jest tutaj. Cała czwórka.

Cóż. Przynajmniej tyle.

– Zapisano się właśnie paru nowych. Pewno nie każdy wyrobi się przed terminem. – Happy zerknął na zegarek. – Hej, została minuta do północy. Chce pan zrobić odliczanie jak w sylwestra?

– Nie. – Tony oparł się, zamykając oczy. Zaciskał powieki tak długo, aż zaczął widzieć plamy. – Mam tylko nadzieję, że robimy to, co nale...

Powietrze wypełnił przenikliwy sygnał odbijający się echem w limuzynie. Tony otworzył oczy w samą porę, by zobaczyć, jak zaskoczony Happy podrzuca telefon niczym gorący kartofel.

Tony chwycił smartfon i wyłączył dźwięk.

– Alarm T.A.R.C.Z.Y. – wyjaśnił.

Kiedy się odwrócił, Happy trzymał już hełm Iron Mana.

NALEŻĄCE do T.A.R.C.Z.Y. Mobilne Centrum Dowodzenia 3A mieściło się w ultranowoczesnym poduszku stworzonym specjalnie do operacji miejskich. Tony dogonił pojazd znajdujący się kilka przecznic na północ od Wall Street wśród gęsto upakowanych wieżowców Dolnego Manhattanu. Z początku widział tylko niewyraźną plamę przypominającą falę rozgrzanego powietrza, która przesuwiała się w ciemności na wysokości czwartego piętra. Włączył silniki w butach na pełną moc, na bieżąco korygując kurs. Kiedy zrównał prędkość z pojazdem, spenetrował czujnikami płaszczyzn maskujący T.A.R.C.Z.Y. i zobaczył Centrum Dowodzenia: niski, płaski poduszkiwiec o zastrzonym dziobie, prześlizgujący się między wysokimi budynkami.

– IRON MAN, PRAWDZIWE NAZWISKO: TONY STARK – nadał. – PROSZĘ O POZWOLENIE NA WEJŚCIE NA POKŁAD.

Wnętrze było ciemne, ciasne i pełne ekranów transmitujących obrazy z kamer monitoringu. Wojenne stanowisko dowodzenia z prawdziwego zdarzenia. Cztery agenci T.A.R.C.Z.Y. w pełnym rynsztunku obsługiwali konsole komputera.

– Niezarejestrowany nieletni. – Maria Hill wskazała na monitor. – Przebrany w kostium próbował powstrzymać rozbój. Ewidentne złamanie ustawy.

Tony zdjął hełm i spojrzał na ekran. Zobaczył młodego czarnoskórego mężczyznę w masce, obok widniał sporządzony przez Tony'ego biogram:

Osobnik: Eli Bradley;

Pseudonim: PATRIOT;

Przynależność do grupy: Młodzi Avengersi (grupa nielegalna);

Moce: zwiększona siła, zręczność, gwiazdki do rzucania;

Typ mocy: wrodzona/zewnętrzna (hybrydowa);

Aktualne miejsce pobytu: Nowy Jork.

Tony zdumiał się i zapytał:

– Gdzie on teraz jest?

Hill odwróciła się do jednego z agentów.

– Russell, podłączyłeś już nowy wyświetlacz holograficzny?

– Tak jest.

– Dawaj.

Hill kazała Tony’emu się cofnąć. Pośrodku kabiny zamigotał trójwymiarowy obraz: przerażony Patriot oddychał ciężko, oświetlały go tylko rzadko rozstawione latarnie i skylighty. Biegł i skakał, jakby walczył o życie, sadząc imponujące susy z dachu na dach.

– To supernowoczesny wyświetlacz – wyjaśniła Hill. – Wykorzystuje zwykłe kamery, ale wzmacnia...

– Wiem. – Tony przesunął dłoń przez obraz; ten nawet nie drgnął. – To ja go skonstruowałem.

– Mamy go – powiedział agent. – Kamery monitoringu nowojorskiej policji są ustawione na jego sygnaturę cieplną. Foxtrot-Cztery depcze mu po piętach, to tylko cztery przecznice na południe stąd.

Na holograficznym obrazie tuż za plecami Patriota pojawił się szperacz helikoptera. Chłopak odwrócił głowę, na jego twarzy malowało się przerażenie. Potem zaczął biec jeszcze szybciej.

Hill uśmiechnęła się.

– Uciekaj sobie, mały dziwolągu.

Tony zmieszał się. Nigdy nie był pewien, co sądzić o Hill; sprawiała wrażenie ekstremistki, żołnierki, która zawsze szuka najprostszego, najbardziej brutalnego rozwiązania problemu. Śmierć Nicka Fury’ego pozostawiła pustkę na szczytach T.A.R.C.Z.Y., co stanowiło niebezpieczeństwo w organizacji, która pełniła rolę policji całego wolnego świata. Hill dostrzegła szansę i ją wykorzystała.

I wyraźnie czerpała z tego wiele przyjemności.

– Ustawa o rejestracji obowiązuje od trzydziestu ośmiu minut, pani komandor. Może dałaby pani temu dzieciakowi trochę czasu?

Hill zdumiała się.

– Przede wszystkim, Stark, teraz jestem dyrektorką.

– Chyba raczej pełniącą obowiązki dyrektora.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Patriot i Młodzi Avengersi, grupa, której, nawiasem mówiąc, skrycie pozwoliłeś powstać, przez cały wieczór wrzucają tweety przeciwko ustawie. – Machnęła na agenta, który pokazał ekran pełen tekstu. – Przykłady: „Maski albo śmierć”, „J...ć T.A.R.C.Z.Ę. na 100%”, „Tony Stark: superbohater z sercem z kamienia”. – Uśmiechnęła się. – Pomyślałam, że to ostatnie brzmi nawet trochę poetycko.

– Pani dyrektor – zwrócił się do niej agent. – Mamy sygnał z Foxtrota-Cztery.

Na hologramie widać było, jak Patriot daje ogromnego susa w ciemną lukę między budynkami. Prawie nie doleciał, jednak udało mu się chwycić krawędź dachu i podciągnął się. Śmigłowiec krążył, omiatając dach reflektorem, by przechwycić ściganego. Tony dojrzał uzbrojone wyrzutnie zamontowane po obu bokach latającego pojazdu, tuż ponad podwoziem.

– Foxtrot-Cztery do dowództwa T.A.R.C.Z.Y.: widzę go. Zająłem pozycję. – Centrum Dowodzenia wypełnił trzeszczący od zakłóceń głos pilota.

Hill zareagowała.

– Foxtrot-Cztery, przyjęłam. Pozwolenie na użycie naboju usypiających i minimalnej siły. – Spytała Tony’ego: – Zadowolony?

Ten nie odpowiedział.

Na biegnącą sylwetkę Patriota spadł grad kapsułek i gumowych kul, rozrywając jego kurtkę na plecach. Chłopak krzyknął z bólu, ale biegł dalej.

– Foxtrot-Cztery do dowództwa. Brak obrażeń.

Agent zrobił zdziwioną minę do Hill.

– Czy ten dzieciak jest teraz kuloodporny?

– Cholerna baza danych – zawołał drugi agent. – Myślałem, że nasi ludzie ją uaktualniają.

– Cierpliwości. – Hill znów się uśmiechnęła. – Jak mawia pan Stark, nie siedzimy w branży od wczoraj.

– Dokąd on biegnie? – spytał Tony. – Ucieka z wyspy.

– Według naszych informacji wywiadowczych Młodzi Avengersi

mają kryjówkę gdzieś...

Wciąż ścigany przez śmigłowiec Patriot wyskoczył z kolejnego budynku. Tym razem nie celował jednak w następny dach. Zamachał rękami w locie, a potem przebił się wprost przez okno, roztrzaskując szybę na kawałki. Z krzykiem wpadł do środka.

– ...tutaj – dokończyła Hill.

– Przełączam na widok z helikoptera – oznajmił agent.

Na hologramie pojawiło się drżące ujęcie Patriota z góry. Bohater stał tuż przy wybitym oknie. Pomieszczenie wyglądało na ciemne i opuszczone. Tony nie dostrzegł żadnych innych osób.

– Hej! – krzyknął Patriot. – Musimy stąd spadać! Na... Na miłość boską, chciałem powstrzymać rozbój, a teraz ściga mnie T.A.R.C.Z.A.!

– Czeka go niespodzianka – oznajmiła Hill. – Pół godziny temu zgarnęliśmy resztę Młodych Avengersów.

– W sumie Wiccan wciąż jest na wolności – sprecyzował agent. – Ale miejscowa policja ma na niego zamiary.

– LUDZIE, MÓWIĘ SERIO! – Postać Patriota zadrżała, kiedy śmigłowiec krążył wokół wyrwy w budynku. – T.A.R.C.Z.A. TU... ONI NIE ŻARTUJĄ!

– Foxtrot-Cztery do dowództwa, kapsułki usypiające są nieskuteczne – raportował pilot helikoptera. – A teraz nie mogę wziąć go na cel.

Hill zwróciła się z pytaniem do agentów.

– Czy budynek jest czysty?

– Tak jest. Nie ma śladów życia.

– Foxtrot-Cztery, masz pozwolenie na eskalację.

Tony spojrzał na nią z niepokojem.

– Co to zna...

Agent przełączył z powrotem na widok z dalszej kamery. Z wyrzutni śmigłowca wyleciały dwa pociski zapalające i pomknęły prosto w budynek.

Hologram znów pokazał ujęcie z helikoptera – w samą porę, żeby uchwycić przerażoną twarz Patriota; bohater z otwartymi ustami patrzył wprost w kamerę, podczas gdy zbliżały się do

niego rakiety.

Wtedy budynek eksplodował. Konstrukcja legła w gruzach, a górne trzy kondygnacje wyleciały w powietrze wraz z kawałkami szkła i metalu. Chmura ciemnego popiołu wypełniła ekran, zasłaniając zniszczenia.

Tony chwycił Hill za ramiona.

– Co ty wyprawiasz? Zwariowałaś?

Skrzywiła się, czując jego żelazny chwyt, po czym wyrwała mu się ze złością.

– Ten dzieciak jest prawie niezniszczalny. Czego się spodziewałaś?

– Spodziewałem się, że obędzie się bez niepotrzebnych szkód materialnych. – Wskazał na chmurę pyłu na ekranie. – W tej ustawie chodziło o to, żeby nie wzbudzać paniki!

– Widzę, że nasze metody się różnią.

– Jeśli ten dzieciak nie żyje...

– Żyje. – Agent przycisnął kilka guzików i hologram zamigotał, mieszając szумы z obrazem pyłu. – Nie mogę tego pokazać, wybuch zniszczył kamery policyjne. Ale Foxtrot-Cztery potwierdza: przechwycili go.

– To nie w porządku. – Tony włożył hełm. Systemy zamrugały, wracając do życia. – To jest... Porozmawiam o tym z prezydentem. – Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do wjazdu.

– Stark.

Coś w głosie Hill sprawiło, że się zatrzymał.

– Jesteśmy po tej samej stronie – powiedziała.

Sięgnął do wjazdu, uruchomił służbę powietrzną. Wewnętrzne drzwi otworzyły się z sykem.

– Wiem – odparł.

I wyleciał w noc.

W DOMU ciotki May panował spokój. Stare książki, bibeloty, wakacyjne pamiątki z czasów, kiedy podróże samolotem były znacznie rzadsze. Wszędzie wisiały oprawione w ramki fotografie: Peter, wujek Ben oraz od dawna nieżyjący rodzice Petera dumnie pozujący w wojskowych mundurach. Zdjęcia w sepii z początku dwudziestego wieku, może nawet jeszcze starsze. Zapach naftaliny i środków odkażających sprzed dziesiątków lat.

Peter Parker siedział na łóżku i wygładzał starą kapę w kratkę, która jak wszystko w tym pokoju miała dobre kilkadziesiąt lat. Obok stał wiekowy nieporęczny mikroskop, analogowy aparat, którym robił pierwsze zdjęcia. Dalej był puchar za licealne osiągnięcia naukowe, zyskał wgniecenie, gdy Flash Thompson zrzucił go na ziemię.

Wszystko było po staremu. „Zadbano o to”, zdał sobie sprawę, „ale nie chorobliwie. Z dumą. To różnica”.

W tym pokoju zostawił spory kawałek siebie. A jednak dużego fragmentu, ważnej nici w pajęczynie jego życia, brakowało.

Podszedł do szafy, wyjął obłuzowaną deskę. Chwilę szukał po omacku i zacisnął dłoń na swojej pierwszej materiałowej masce Spider-Mana. Patrzyła na niego ogromnymi białymi oczami, nieco przebarwionymi od upływu czasu.

– Peter?

Słyszając głos cioci, raptem przypomniał sobie, po co przyszedł. Nagle miał atak paniki. Zgniół maskę i wcisnął ją do tylnej kieszeni spodni.

– Tu jestem, ciociu May! – zawołał.

Kiedy Peter odwiedzał ciotkę, ta – niezależnie od pory dnia czy nocy – zawsze przygotowywała dla niego pszenne placuszki. Na

szczęście był głodny.

– Jejku, Peter, już nie śpisz. Nawet słońce jeszcze nie wstało – powiedziała z uśmiechem, stojąc w drzwiach.

Lekko drżała, co nie umknęło jego uwadze. Włosy miała upięte w schludny koczek, a na jej twarzy z roku na rok przybywało zmarszczek. Pocięte niebieskimi żyłkami ręce jednak się nie trzęsły.

Nie pasował jeden szczegół: na tacy, którą trzymała, zamiast placuszków leżały ciasteczka z czekoladą.

– Nie mogłem spać. – Peter uśmiechnął się z wahaniem na widok tacy. – Ciasteczka, ciociu May?

Spojrzała na przekąskę, jakby widząc ją po raz pierwszy. Przez chwilę wyglądała na zagubioną. Peter znów poczuł przypływ paniki. Martwił się.

Ciotka pokręciła głową.

– Sama nie wiem, kochanie. Ten dzień wydaje się inny.

– Nie narzekam. – Poczęstował się ciastkiem i wgrzył się w nie. Jeszcze gorące. Czekolada rozpuściła mu się na języku. Przyjemne uczucie kojarzyło się z domem.

May uśmiechnęła się i odstawiła tacę. Peter skończył jeść, w milczeniu studiując twarz krewnej.

– Jak się czujesz, ciociu?

– Dobrze, Peter. Zawsze dobrze się czuję. – Zlekceważyła jego troskę. – Ale martwię się o ciebie.

– O mnie?

Przysiadła na łóżku, prosząc, żeby usiadł przy niej.

– Twoje szczęście do dziewczyn... Cóż, nie masz go zbyt wiele, mój drogi. Przykro mi to mówić...

– Ciociu May...

– Wciąż myślę, jaka to szkoda, że tak wyszło z bratanicą Anny Watson. Tylko tyle.

– Nie zmieniaj tematu, moja piękna. Bierzesz pigułki?

– Kto tu zmienia temat? – Dotknęła jego kolana. – Peter, nic złego się nie dzieje, naprawdę.

– A jednak się dzieje, ciociu. Mnóstwo złych rzeczy. – Potem, widząc wyraz przestachu na jej twarzy, dodał: – No, nie tutaj.

Nie z tobą. Po prostu... mnóstwo rzeczy na świecie.

Pokiwała głową z powagą.

– Ta sprawa w Stamford.

– Tak. Ludzie naprawdę się boją.

– To niedobrze. – Wstała. Jej spojrzenie wydało się nagle nieobecne. – Kiedy byłam mała, Joseph McCarthy zorganizował wielką kampanię przeciwko komunizmowi. Udało mu się przestraszyć ludzi; zaczęli myśleć, że wszędzie są komuniści: w kongresie, na podwórku, czają się w krzakach, by obalić rząd.

– Tak było?

– Och, może w kilku przypadkach. Ale większość z nich zbyt zajmowała się paleniem marihuany, żeby cokolwiek obalić.

Peter się roześmiał.

– Teraz jest trochę inaczej, ciociu. Ludzie boją się superludzi, ale rzeczywiście wielu bohaterów biega po ulicach. Biega i lata.

– Chodzi mi o to, że ludzie podejmują bardzo złe decyzje w strachu.

Przytaknęła.

– Niecierpliwisz się, kochanie. O co chodzi?

– Ja... Muszę ci coś powiedzieć, ciociu May. I to jest, no, skomplikowane.

„Skomplikowane”, pomyślał. „Mało powiedziane. Ogarnij się, Parker”.

– Posłuchaj mnie, Peter. – Chwyciła go za podbródek i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy. – Cokolwiek dzieje się na świecie, to nas nie dotyczy. Nie może przeniknąć przez ściany. Tutaj jesteśmy tylko ty i ja, możesz powiedzieć mi wszystko.

– Dobra, ale to może być dla ciebie wstrząs.

Wstała szybko, lekko się zachwiała, a potem wlepiła w niego wzrok.

– Więc to prawda.

– Co?

– To... W porządku, Peter. Trochę się tego domyślałam. Syn pani Cardoman właśnie wyszedł z szafy i jest teraz o wiele szczęśliwszy. Mówi nawet o ślubie ze swoim... partnerem, tak się to chyba nazywa. – Położyła sobie dłoń na podbródku. – Teraz

sobie przypominam, że on też umawiał się z modelkami.

– Co? – Peter zerwał się na równe nogi. – Ciociu May, ja nie... Zaraz, Jason Cardoman jest gejem? Ach, no tak. Ale...

– Zrozum, Peter. Moje pokolenie nie dorastało w... Po prostu nie mówiliśmy o takich sprawach. – Dotknęła jego policzka. – Ale czasy się zmieniły. A ty... musisz być tym wyjątkowym, wspaniałym sobą.

– Ciociu May, nie jestem gejem.

– Ach.

Przez chwilę znów miała zagubiony wzrok. Omiotła spojrzeniem cały pokój, potem znów popatrzyła na Petera.

„Teraz”, pomyślał. „To jest ta chwila. Ale nie mogę. Nie mogę tego zrobić”.

May powoli sięgnęła za jego plecy. Jej drobne palce zacisnęły się na skrawku czerwonej tkaniny wystającym z tylnej kieszeni spodni. Pociągnęła go ostrożnie, aż pokazał się wzór pajęczej sieci. Wtedy szarpnęła jednym szybkim ruchem.

Przez dłuższą chwilę oboje stali nieruchomo, patrząc razem na pozbawioną oczu maskę Spider-Mana.

I wtedy ku jego zdumieniu ciocia May się uśmiechnęła. Długim, pogodnym, cudownym uśmiechem.

– Peter – powiedziała. – Wiem o tym od lat.

Poczuł, jak zbiera mu się na płacz.

– Nie jesteś taki przebiegły, jak myślisz, młody człowieku.

– Ciociu... Och, ciociu May...

– Ale dlaczego dziś, Peter? Czemu teraz?

– Bo...

Przytulił ją. Położył jej głowę na ramieniu, jak wtedy, kiedy był małym chłopcem.

– ...bo coś się wydarzy – szepnął. – Coś, co przeniknie te ściany.

Lekko poklepała go po ramieniu.

– Ale to nic – mówił dalej. – Będziesz bezpieczna. Załatwiłem to. Cokolwiek się stanie, będziesz bezpieczna.

– Peter. – Jej głos słabo drżał w jego uchu – Mój kochany. Ufam ci. I cokolwiek się stanie... Jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna.

Przytulił ją mocno i wolno pokołysał. Łzy popłynęły mu po

policzkach.

Przez krótką chwilę czuł pełny spokój.

Potem wróciła panika. Razem z nią myśl: „To była ta łatwa część”.

– MOBILNY Bus Jeden? Mamy go. Syn wiedźmy jest pod kontrolą.

Usłyszawszy głos dyrektor Hill, Kapitan Ameryka zacisnął dłonie na kierownicy. Zapytał cicho:

– Gdzie?

– Na moście brooklińskim – odparła.

Na odznace kradzionego munduru T.A.R.C.Z.Y. można było przeczytać: „Agent Lamont”. Na szczęście Maria Hill zdawała się nie poznawać jego głosu.

Kapitan zerknął na krępego agenta na miejscu pasażera – Axton, to był on. Siedział wyprężony w pełnym rynsztunku, uśmiechając się i stukając pałką z paralizatorem w dłoń.

– To ostatni – powiedział Axton.

– Trzymaj się.

Kapitan obrócił kierownicę najmocniej, jak potrafił. Mobilny Bus Jeden T.A.R.C.Z.Y. – ośmiotonowy wóz policyjny o ścianach wzmocnianych adamantium – rozbłysł migoczącymi lampami i ryknął syrenami. Zatoczył łuk i zawrócił na ruchliwym skrzyżowaniu. Jego ciężkie cielsko usilnie walczyło z siłą odśrodkową, a koła po stronie pasażera uniosły się nad jezdnię. Potem opadły z cichym chrzęstem i bus popędził z maksymalną prędkością, kierując się na południe wzdłuż West Street.

– Bus Jeden do dowództwa T.A.R.C.Z.Y. – powiedział wyraźnie Kapitan. – Jedziemy odebrać delikwenta.

– Przyjąłem, Busie Jeden. Straszny tu bałagan, ale miejscowa policja oczyści ci drogę.

– Taa jest. I o to chodzi. – Axton wychylił się i przywołał na monitorze komputera pokładowego zdjęcie Młodych Avengersów. – Patriot, Hulkling, Stature, Speed. Speed? To imię

bohatera?

Kapitan znów włączył syrenę. Minivan zjechał na pobocze, ustępując mu drogi.

– Te dzieciaki – ciągnął Axton. – Ile mają lat? Szesnaście? Najwyżej siedemnaście. I łążą po ulicach w rajtuzach, śmiejąc się nam w twarz. Czas, żeby ktoś dał im nauczkę.

Przed nimi pojawił się zielony znak, pod wielką białą strzałką widniał napis: MOST BROOKLIŃSKI. Kapitan skręcił ostro w lewo i pokierował busa na Chambers Street.

Z przodu zobaczył błyskające światła. W nocnym powietrzu słychać było echo syren policyjnych.

– Przecież ich nie delegalizujemy. Nikt nie zabrania tym smarkaczom, żeby dalej robili swoje. Rząd nawet zapłaci tym klaunom, żeby zaczęli działać oficjalnie. Ale wiesz co? Oni nie chcą. Nie jara ich działanie na legalu. Tych dziwolągów kręcą maski i wszystkie te bzdety z „tajemniczymi mścicielami”.

Grupa radiowozów na sygnale blokowała po prawej podjazd prowadzący do mostu brooklińskiego. Zbliżając się do nich, Kapitan zwolnił. Siwowłosa oficer dał znak swoim ludziom i samochody rozjechały się na boki, otwierając im pas ruchu.

Axton wciąż mówił.

– Będzie zdziwko, jak zobaczą więzienie, które powstaje dla tych superdziwadeł. Frank z zaopatrzenia mówi, że robią w nim pranie mózgu, tak że nikt nawet nie pomyśli o ucieczce.

Bus podskoczył na wyrwie w nawierzchni, kiedy mijał policyjną blokadę i wjeżdżał na most. Dwa pasy prowadzące na Brooklyn były puste. Kapitan z trudem rozpoznał drobną postać, która leżała w oddali na środku ulicy, otoczona kolejnymi radiowozami.

Wiccan. Ostatni z Młodych Avengersów.

– Uśpiony – wyjaśnił Axton. – Mam nadzieję, że gnojka zabolalo. Wiesz, moja siostra chodziła kiedyś z superbohaterem. Mówił na siebie Turbo. Wydawało mu się, że jest twardy.

Bus podjechał do Wiccana, nieprzytomnego nastolatka w szarym stroju i z obszarpaną czerwoną peleryną owiniętą wokół szyi. Gliniarze otaczali go półkolem i trzymali na

celowniku.

– Ten Turbo to nawet nie miał żadnej prawdziwej mocy. Zawsze chciałem dorwać go na osobności, żeby nie miał na sobie tego całego pancerza. Dałbym mu wycisk życia. Hej, stary, nie powinienes trochę zwolnić?

– Wiesz co, Axton? – Kapitan znów gwałtownie obrócił kierownicę i Axton poleciał na drzwi. Kapitan odblokował zamek i wymierzył Axtonowi kopniaka, celował dokładnie w ramię. Łokieć agenta trafił w klamkę, otworzył ją i poszkodowany wytoczył się z jadącego samochodu. – Za dużo gadasz.

Agent T.A.R.C.Z.Y. poturlał się z wrzaskiem po jezdni i niemal trafił w leżącego na brzuchu Wiccana. Kordon policjantów cofnął się z zaskoczeniem.

Kapitan stuknął palcem w nadajnik ukryty w klapie munduru.

– Falcon! – zawołał. – Ewakuacja. TERAZ!

Odpowiedź Falcona utonęła w zalewie przekleństw na częstotliwości T.A.R.C.Z.Y.

– Do dowództwa! – wrzeszczał Axton. – Mobilny Bus Jeden został porwany!

„Trzeba było walnąć go mocniej”, pomyślał Kapitan.

W lusterku wstecznym zobaczył rozmazaną czerwono-białą plamę pikującą na tle nocnego nieba. Niemal trzymetrowe skrzydła rozpostarły się szeroko, rozpędzając gliniarzy. Policjantom udało się oddać kilka szybkich strzałów, ale Falcon znów był w powietrzu, trzymając w ramionach nieprzytomnego Wiccana.

– Mam go – zabrzmiał głos Falcona.

Kapitan skrzywił się i postukał w radio T.A.R.C.Z.Y. Cisza. Zmienili częstotliwości, by nie dopuścić go do rozmowy.

Droga przed nim była pusta, policja zablokowała ją z obu stron.

– Gdzie jesteś, Falcon?

– Jakieś pięć metrów nad tobą.

Kapitan spojrział w lusterko. Gliniarze kierowali broń w górę, starając się wycelować w unikającego ich kul Falcona.

Jego uwagę zwróciły migające światła. Mostem od strony Brooklynu nadjeżdżały na sygnale dwa kolejne radiowozy,

szybko się do niego zbliżały.

– Nie rozłączaj się, Falcon.

Kapitan wcisnął gaz do dechy, rozpędził busa wprost na spotkanie nowo przybyłych. Policjanci gwałtownie skręcili, starając się zjechać mu z drogi, ale było za późno.

Zacisnął zęby.

Mobilny Bus Jeden uderzył czołowo w pierwszy radiowóz, roztrzaskując mu przednie światła. Gliniarze wyskoczyli z pojazdu, zaliczając twarde lądowanie na jezdni. Patrzyli z przerażeniem, jak ogromne koła busa wspinają się powoli na maskę samochodu, rozbijają przednią szybę, miażdżą silnik i wgniatają go w asfalt. Bus szarpnął, zakołysał się i rozpląszczył cały radiowóz.

Drugi wóz zahamował. Kierowca wychylił się przez okno, oddał kilka strzałów. Kule odbiły się niegroźnie od tyłu busa.

Kapitan jechał dalej.

– *No sleep till Brooklyn* – zarapował Falcon.

Kapitan spojrzał krzywym okiem.

– To jakiś wiersz?

W oddali zobaczył wielkie błyskające lampy ostrzegawcze, mocniejsze od kogutów policji miejskiej. Pojazdy T.A.R.C.Z.Y. wylądowały, by go przechwycić.

Jeszcze raz spojrzał w lusterko. Nowojorscy gliniarze – ci, którzy złapali Wiccana – znów byli w akcji. Szybko skracali dystans.

„Nowe państwo policyjne”, pomyślał Kapitan. „Trzeba przyznać, że jest skuteczne”.

– Kapitanie – powiedział Falcon – masz policję na ogonie i T.A.R.C.Z.E. przed nosem. Nie wiem, jak ty, ale ja widzę tylko dwa końce tego mostu.

Kapitan skrzywił się i stuknął w komputer pokładowy busa, budząc go do życia. Szybko przeleciał kartotekę, a potem kliknął wpis:

Osobnik: William „Billy” Kaplan;

Pseudonim: WICCANA;

Przynależność do grupy: Młodzi Avengersi (grupa nielegalna);
Moce: magia oparta na prawdopodobieństwie; teleportacja;
Typ mocy: wrodzona;
Aktualne miejsce pobytu: Nowy Jork.

Naprzeciw niego na samym środku ulicy ustawiały się oddziały T.A.R.C.Z.Y. Trzy śmigłowce, jeszcze jeden bus i... Tak, to było Mobilne Centrum Dowodzenia 3A. Unosiło się w powietrzu tuż nad pierwszym zjazdem na Brooklyn.

Kabinę wypełnił głos Marii Hill.

– Poddaj się, Kapitanie. Nie masz dokąd uciec.

Nawet nie drgnęli, żeby go zatrzymać. Bez pośpiechu. Wiedzieli, że go mają.

– Falcon – wywołał przyjaciela Kapitan. – Czy ten dzieciak jest przytomny?

– Niestety tak. Właśnie się obudził i zaczął wrzeszczeć.

– Zmiana planów. Spotkanie u mnie. TERAZ.

– Co to znaczy u ciebie?

Kapitan spojrzał na drzwiczki od strony pasażera. Wciąż objały się o samochód, odkąd Axton niezgrabnie opuścił wóz.

– Drzwi stoją otworem – oznajmił.

Wyjazd blokowali teraz żołnierze piechoty, odbezpieczali i przeładowywali broń. Stańli w szeregu na szerokość całej ulicy. Tuż nad nimi unosiły się śmigłowce z wystawionymi na zewnątrz karabinami.

Kapitan spojrzał przed siebie, potem w prawo, znów przed siebie, jeszcze raz w prawo – i tym razem dostrzegł biały błysk skrzydeł Falcona. Potężny mężczyzna stęknął, przerzucił sobie wierzgającego Wiccana na prawe ramię i sięgnął do klamki.

– Jedź równo, co?

Po chwili byli w kabinie. Wiccan skomlał i młócił powietrze pięściami. Falcon spiorunował go wzrokiem i zatrasnął drzwi.

– Synu – zwrócił się do niego z mocą Kapitan.

Wiccan spojrzał na niego i przestał się drzeć.

Falcon odetchnął głęboko i umiejętnie złożył skrzydła na plecach. Potem skrzywił się, wskazując na drogę.

– Tu jest od groma agentów T.A.R.C.Z.Y.

– Synu – powtórzył Kapitan Ameryka. – Potrzebna nam ewakuacja. Wiesz, co to znaczy?

Przerażony Wiccan tylko się na niego gapił.

– Twoi koledzy są na tyłach wozu – ciągnął Kapitan. – Wszyscy: Patriot, Hulkling, Stature i Speed. Sam nie dam rady wyciągnąć ich ani nas. Musisz mi pomóc.

Kapitan wrzucił na ekran mapę Manhattanu. Stuknął palcem w wybrany punkt i przy nazwie „Chelsea” pojawiło się czerwone kółko.

Zbliżali się do blokady T.A.R.C.Z.Y. Kilkanaście miotaczy cząstek błysnęło czerwonymi kropkami celowników laserowych wymierzonych prosto w pojazd bohaterów.

– Potrzebujemy teleportacji – powiedział Kapitan, wskazując na mapę. – I to teraz.

Falcon podciągnął chłopaka, patrząc mu intensywnie w oczy.

– Rozumiesz?

– T-tak jest.

Wiccan zaczął mamrotać coś do siebie. Wydawał się pogrążony w głębokim szoku.

Helikoptery T.A.R.C.Z.Y. zawisły w pobliżu busa, wypełniając niebo warkotem. Zaczęło świtać i pierwsze promienie słońca wychyliły się nad horyzont.

– To musi być teraz, synu – powiedział Kapitan.

Z ręcznego działka T.A.R.C.Z.Y. padł pierwszy strzał. Pocisk trafił w czoło pojazdu, wstrząsając busem i nieznacznie go spowalniając. Na przedniej szybie wystąpiło cienkie jak włos pęknięcie.

– Gdzieśindziej – szeptał Wiccan. – Chcębyćgdzieśindziej... Chcębyćgdzieśindziej... Chcę...

– Kapitanie. – Niewyraźny głos Marii Hill trzeszczał pośród zakłóceń.

I wtedy w kabinie pojawił się jaskrawoniebieski blask. Kapitan zerknął w prawo i zobaczył, że Wiccan świeci od energii. Oszołomiony Falcon odsunął się. Kula niebieskiego światła zaczęła rosnąć, wypełniając wnętrze pojazdu.

– Chcę być gdzieś indziej. – Powtórzył Wiccan, tym razem głośno i wyraźnie.

Kapitan rozejrzał się. Most, droga, agenci T.A.R.C.Z.Y. przed nimi... Otoczenie zdawało się świecić, lśnić od tej samej błękitnej poświaty. Wszystko błysnęło raz, a potem zgasło.

Przez dłuższą chwilę Kapitan widział tylko oślepiające niebieskie światło. Pulsujące, lśniące, tak jasne, że niemal paliło w oczy. Potem rozdzieliło się na kilkanaście nitek wychodzących ze środka kuli. Z kilkunastu zrobiło się sto, tysiąc, a potem miliony promieni świetlnych, każdy wskazywał na inny punkt w przestrzeni.

„Prawdopodobieństwo”, zrozumiał.

A potem spadał, oddalając się od źródła światła i lecąc w stronę jednego z promieni. Do celu wybranego spośród milionów.

– ...gdzieś indziej – powiedział Wiccan słabnącym głosem.

Busem rzuciło, koła dotknęły ziemi i nagle przyspieszenie wepchnęło Kapitana w fotel. Rozglądał się z niepokojem. Ciężarówka pruća przez wielką i pustą halę przemysłową wielkości połowy boiska do futbolu. Prosto na ceglana ścianę. Z prędkością stu kilometrów na godzinę.

– Z deszczu pod rynnę – podsumował Falcon.

Kapitan wcisnął hamulec i szarpnął kierownicą w bok. Opony zawyły i zaczęły dymić. Bus zatoczył w poślizgu łuk, prawie zatrzymał się przed ścianą. Prawie, ale nie do końca. Tyłem zarzuciło i wóz z ogromną siłą uderzył bokiem w ceglany mur. Mocno się przechylił i prawie przewalił, ale potem znów się wyprostował.

Wiccan wciąż gapił się przed siebie.

– Gdzieś indziej – powtórzył niemal niesłyszalnie.

Falcon uśmiechnął się i klepnął go po plecach.

– Udało ci się, młody. Jesteśmy na miejscu.

Kapitan otworzył drzwi szarpnięciem i szybko zeskoczył na ziemię. Tyłne drzwi busa były wgniecione, ale rygiel wciąż trzymał. Dowódca uniósł pilot T.A.R.C.Z.Y. i odblokował zamek.

– Wyjdźcie – nakazał.

Czterej Młodzi Avengersi z wahaniem zeszli po trapie. Stature,

młody blondyn potrafiący zmieniać rozmiary, wyszedł pierwszy, za nim Patriot, Hulkling i Speed. Wszyscy mieli na sobie świecące grube obroże wyposażone w technologię blokującą supermoce. Ręce mieli skute za plecami.

Falcon wyprowadził Wiccana na spotkanie przyjaciół. Wiccan i Hulkling wymienili uśmiechy i podali sobie dłonie.

Kapitan wyciągnął rękę ku Stature, ta jednak cofnęła się o krok. Jej czerwono-czarny strój był zakrwawiony od skaleczenia na policzku. Kapitan zdjął jej kajdanki i obroże, dziewczyna wyprostowała ręce, mimowolnie rosnąc o trzydzieści centymetrów.

– Co się dzieje? – spytała. – Gdzie jesteście?

– Gratulacje, chłopcy i dziewczęta. – Kapitan wskazał na drzwi. – Właśnie dołączyliście do Ruchu Oporu.

Podeszła do nich grupa superbohaterów. Ponury Daredevil w czerwonym kostiumie. Goliat, który w tej chwili mierzył trzy metry. Strzelec wyborowy Hawkeye z łukiem przewieszonym przez ramię. Kobieta-kot Tigra. I Luke Cage.

Falcon uśmiechnął się. Szybkim krokiem podszedł do Cage'a i klepnął go po ramieniu.

– Cage, bracie. Wreszcie się ogarnąłeś.

– Spoko – rzucił Cage. Ale wyglądał na zatroskanego.

– Doktorze Foster, pan tutaj? – Stature zwróciła się do Goliata.

Ten uśmiechnął się, rozpostarł ramiona i odparł:

– Urośnij jeszcze trochę, żebym mógł cię uściskać.

Młodzi Avengersi po kolei zrzucali kajdanki.

– Co to za miejsce? – spytał Patriot.

– Kryjówka T.A.R.C.Z.Y. numer dwadzieścia trzy – odparł Kapitan. – Sięga czasów zimnej wojny. Wiedzą o niej tylko funkcjonariusze T.A.R.C.Z.Y., którzy posiadają uprawnienia na trzydziestym czwartym poziomie.

– Ilu takich jest?

– Po tym, jak przepadł Nick Fury? Zero. Powiedział mi o niej dawno temu.

Kapitan poczuł, że spada mu poziom adrenaliny. Ogarnęła go fala smutku i poczucia straty. Nagle zatęsknił za Furym, za

Thorem też. Thor załatwiłby tych agentów na moście jednym machnięciem młota. Potem by się z tego śmiał.

„Później, żołnierzu”. Kapitan wyprostował się i strzepnął pył z ramienia. „Trwa wojna”.

Członkowie Ruchu Oporu witali nowo przybyłych. Wiccan, Hulkling i Speed rozmawiali z ożywieniem z Daredevilem i Hawkeye’em. Młode dziewczyny zafascynowane Tigrą nieśmiało dotykały jej futra. Falcon opowiadał Goliatowi, Cage’owi i Patriotowi dramatyczną historię przejęcia Wiccana, zamazyście gestykulując.

– Kapitanie?

Odwrócił się. Przed nim stał Wiccan. Trzymał Hulklinga za rękę. Hulkling, potężny zielony chłopak, patrzył na Wiccana zmartwiony. Kapitan dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ci dwaj byli parą.

– Synu – powiedział – dobrze się spisałeś. Ocaliłeś nam wszystkim skórę.

– Dziękuję. Ale... Jaki jest plan? Co zamierzasz robić, kryjąc się w tej bazie?

Kapitan wyprostował się jak struna. Wszyscy ucichli i spojrzeli na niego.

– Zamierzamy pomagać ludziom – oznajmił. – Tak jak zawsze. Będziemy robić to, co do nas należy.

Stature wyglądała na zafrapowaną.

– Ale jak ty... My... Jak damy radę? Jesteśmy poza prawem. Ścigają nas, mają za przestępców.

– Nie będzie łatwo. – Kapitan głęboko zaczerpnął powietrze do płuc. – Tony Stark ma prawo po swojej stronie, T.A.R.C.Z.Ę. w kieszeni i więcej pieniędzy oraz technologii niż większość niepodległych krajów. Stark Enterprises od dekady zgarnia szmal z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Kto wie, jaka nowa broń czeka w jego laboratoriach. Musimy być więc sprytni. Przebiegli. Powinniśmy wykorzystać wszystkie środki, jakimi dysponujemy. Jeśli chcemy zwyciężyć, żyć jak bohaterowie, mieć swobodę działania w najlepszym interesie obywateli, to będziemy musieli wywalczyć sobie wolność. Będziemy musieli

zbudować kraj, w którym chcemy żyć, krok po kroku, kawałek po kawałku. Tak jak to robili nasi przodkowie, imigranci.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Falcon głośno zawołał z radości, a pozostali zaczęli klaskać i wivatować. W wielkiej hali rozbrzmiewało echo braw i okrzyków.

Kapitan prawie uronił łzę. Potem wspominał tę chwilę: prawdziwe narodziny Ruchu Oporu.

Niestety jeszcze wiele trzeba będzie poświęcić.

TONY STARK wszedł na mównicę i od razu poczuł ścisk w żołądku. Rozejrzył się ze zmieszaniem. Zwoływał dziesiątki konferencji, właśnie tutaj, w głównej sali prasowej Stark Enterprises. Znał te białe ściany i szerokie panoramiczne okna niemal równie dobrze jak własny dom czy laboratorium. Dziś pomieszczenie pękało w szwach, przy ścianach wciśnięto dodatkowe składane krzesła, między nimi kłębili się mamroczący cicho reporterzy.

Nagle zrozumiał, o co chodzi. Ostatnim razem sala prasowa była tak pełna dwa lata temu, kiedy – bez planu, powodowany impulsem – ujawnił światu swoje sekretne życie Iron Mana.

Tony odchrząknął i nachylił się do mikrofonu.

– Czy mu już kiedyś tego nie robiliśmy?

Po zebranych przeszedł cichy śmiech. Tony obejrzał się na Pepper Potts, która tkwiła za jego plecami prosto jak trzcina, z profesjonalnie pustym wyrazem twarzy. Po jednej jej stronie stał Happy Hogan, po drugiej sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Stanów Zjednoczonych.

Pepper posłała Tony'emu surowe spojrzenie, dając mu znać, by zaczął.

Wtedy Tony zauważył inne podobieństwa do tamtej konferencji. W pierwszym rzędzie, skrzyżowawszy piękne nogi, siedziała Christine Everhart z „Vanity Fair”. Kiedy spotkali się wzrokiem, zadarła głowę i posłała mu wyzywające spojrzenie.

Przelotnie uśmiechnął się do niej, pobieżnie sprawdził notatki i położył je na mównicy.

– Kiedy staję przed tak dużą grupą ludzi, zwykle zaczynam od: „Mam na imię Tony i jestem alkoholikiem”.

Tłum znów się roześmiał, trochę nerwowo.

„Przynajmniej nie są wrogo nastawieni”.

– Teraz jest oczywiście inaczej. A jednak dziwnie podobnie. – Zrobił pauzę dla większego efektu i szybko pociągnął łyk wody sodowej. – Gdy człowiek wychodzi z choroby, w pierwszej kolejności musi zmierzyć się z tym, jak przyznać się do wszystkiego. Ten proces rozpocząłem dwa lata temu. Moja tożsamość Iron Mana jest publicznie znana; podobnie jak podatki, historia rodzinna i boleśnie szczegółowy zapis osobistych porażek. Moje życie to więcej niż otwarta księga; to praktycznie plik tekstowy w otwartym dostępie na licencji Creative Commons.

Kolejna salwa śmiechu.

– Ale ludzie, którzy nie mają mojego... problemu... często tego nie rozumieją. Alkoholik nie szuka pomocy, jeśli wszystko idzie dobrze. Niektórzy muszą spaść na samo dno. Część dożywa chwili, kiedy styl życia i narastające skutki nałogu stają się nie do wytrzymania dla samego uzależnionego i innych. A pozostali doznają olśnienia. W ułamku sekundy widzą przyszłość, straszliwy los, jaki ich czeka, jeśli nie dokonają zmian. Panie i panowie: takim objawieniem był dla mnie Stamford.

Wielu rzeczy w życiu powinienem się wstydzić, ale jestem bardzo dumny z kariery superbohatera. Ocaliłem tysiące istnień, wsadziłem za kratki setki groźnych przestępców i udaremniłem dziesiątki katastrof. Założyłem Avengers, czołową drużynę superbohaterów na świecie, której długa lista dobrych uczynków mówi sama za siebie.

Nie, proszę, nie klaszczcie. Nie chcę dziś waszego aplauzu, nie po to tu jestem. Bo przyswoiłem też inną lekcję. Gdy alkoholik decyduje się odstawić butelkę, nie jest to koniec jego podróży w stronę światła. To zaledwie pierwszy krok. I dla mnie, dla społeczności superludzi, do której z dumą się zaliczam, moja decyzja, by upublicznić tożsamość i odkryć przed wami swoje życie, była pierwszym krokiem. Dziś stawiam drugi.

Zrobił pauzę – zaschło mu w gardle. Omiótł salę wzrokiem: morze reporterów skrobało po ekranach i stukało zaciekle w elektroniczne notatniki.

– Superludzie, metaludzie, bohaterowie, złoczyńcy. Różnie można nazywać, ale w ostatniej dekadzie ich liczba znacząco wzrosła. Jedni urodzili się z nadnaturalnymi zdolnościami fizycznymi i mentalnymi; drudzy nabywają moce przypadkiem. Inni, jak ja, opracowali technologie potęgujące naturalne możliwości. Są też tacy, którzy bez żadnych supermocy biorą życie we własne ręce, zakładają kostiumy i wychodzą na ulice. Pozostali są prawdziwymi obcymi istotami, w pełni lub częściowo ludzkiej krwi.

Żyjemy w przerażającym, niepewnym świecie. Na Bliskim Wschodzie i w innych regionach szaleją wojny; strach przed terroryzmem nie słabnie. Rodzinom w całym kraju grozi gospodarcza katastrofa, obudzenie się z amerykańskiego snu, choć ten kraj zawsze obiecywał, że spełnią się nasze marzenia. Marzenia, które dla mnie osobiście zawsze były dobre.

Stoję tu teraz samotnie i pragnę złożyć wam obietnicę: zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uczynić ten świat choćby odrobinę mniej przerażającym. Nie naprawię światowej gospodarki i nie jestem w stanie zaradzić walizkowym bombom jądrowym czy broni biologicznej. Ale mogę rozwiązać problem innej broni masowego rażenia: superludzi. I zrobię to.

Od dzisiaj każdy mężczyzna, każda kobieta czy obca istota, wszyscy, którzy chcą walczyć ze zbrodnią na ulicach czy w powietrzu, korzystając z wrodzonych czy nabytych mocy, muszą wykonać następujące kroki. Trzeba zarejestrować się przez internet w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego, co jest szybkim i bezbolesnym procesem. Wśród wymaganych informacji znajdują się prawdziwe imię i nazwisko kandydata, adres, sposób kontaktowania się przez całą dobę, poziom doświadczenia i zakres ewentualnych superludzkich zdolności.

Zgłoszenie zostanie szybko skontrolowane przez mnie i Departament Bezpieczeństwa Krajowego. – Tu sekretarz kiwnął głową. – Dalszy przebieg procesu będzie zależał od wyników naszej oceny. Zgłaszający może uzyskać zgodę na metaludzką działalność zgodnie z przepisami ustawy o rejestracji superludzi. Otrzyma umowę i odznakę współpracownika T.A.R.C.Z.Y. oraz

zapozna się z regułami odpowiedniego zachowania. Będzie też dostawać pensję wraz z ubezpieczeniem medycznym w wysokości proporcjonalnej do doświadczenia i umiejętności – wszystko to pod nadzorem rządu federalnego i zgodnie z międzynarodowym statutem T.A.R.C.Z.Y.

Tony odetchnął.

– Jeśli aplikujący ma mniejsze doświadczenie, możliwe jest wydanie licencji warunkowej. To pozwoli mu używać jego umiejętności, ale tylko po ukończeniu intensywnego ośmiotygodniowego kursu w jednym z kilku ośrodków szkoleniowych tworzonych przez T.A.R.C.Z.Ę. Obiekty są ściśle tajne i położone z dala od większych skupisk ludności, więc trening nie będzie stanowił zagrożenia dla cywili. Po ukończeniu kursu kandydata oceni komisja złożona z doświadczonych superbohaterów. Jeśli zostanie uznany za odpowiedzialnego i kompetentnego w używaniu mocy, otrzyma pełną licencję. Jeśli nie, będzie mógł powtórnie przejść szkolenia lub wycofać się z procedury.

Oczywiście zgłoszą się tacy, którzy są wyraźnym lub potencjalnym zagrożeniem dla społeczeństwa przez brawurę, brak kręgosłupa moralnego czy też po prostu nieokiełznaną naturę swojej mocy. Oni nie będą mieli prawa używać własnych możliwości. Uważamy to za sprawiedliwe posunięcie. Człowiek może wiedzieć, jak skonstruować bombę atomową, ale to nie daje mu prawa, by podkładał ją na środku Times Square. – Tony zrobił pauzę. – Uwierzcie mi, nauczyłem się tego, kiedy miałem dziewięć lat.

Dziennikarze się roześmiali.

„To działa”, pomyślał Tony. „Naprawdę są po mojej stronie”.

– Odpowiem teraz na kilka pytań, a potem będę miał dla was niespodziankę. Ale zanim zaczniecie, chciałbym wam przypomnieć, że to, o czym mówiłem, nie jest wynikiem mojej decyzji. Takie jest prawo, które zostało należycie przegłosowane przez Kongres i podpisane przez prezydenta. Ten ostatni osobiście poprosił mnie, żebym objął nadzór nad wdrożeniem ustawy o rejestracji superludzi, a ja przyjąłem propozycję. To

mój przywilej i obowiązek z wielu względów. Tak, Gerry?

Z krzesła wstał korpulentny mężczyzna.

– Jaka jest sytuacja superzłoczyńców, panie Stark?

– Cóż, jeśli będą chcieli się zarejestrować, trafią oczywiście do trzeciej kategorii i nie dostaną licencji na działanie. Chyba że wyrażą chęć zmiany na lepsze i gotowość przejścia szkolenia. Możecie mi wierzyć lub nie, ale odezwaliliśmy się do kilku znanych przestępców i rozpoczynamy dialog.

– Nawet ze ściganymi za zbrodnie?

– Jest... kilka przypadków... które zostaną potraktowane wyjątkowo. Ale chciałbym podkreślić, że to bardzo rzadkie sytuacje. Spodziewamy się, że większość superzłoczyńców nie zarejestruje się, co automatycznie oznacza złamanie prawa. Nie mogę zdradzać szczegółów naszych planów w tej kwestii, żeby nie dać cynku wspomnianym kryminalistom. Powiem jednak tyle: opracowujemy kompletnie nowe, niezwykle skuteczne metody zarówno chwytania złoczyńców, którzy odmówią rejestracji, jak i ich przetrzymywania. Melisso?

– Co z superbohaterami? Nie łotrami, ale tymi, co w przeszłości powstrzymali niebezpiecznych przestępców i ratowali ludzkie życie? Co się stanie, jeśli i oni się nie zarejestrują? Brzmi to tak, jakby mieli być traktowani tak samo jak złoczyńcy, których właśnie pan opisał. Czy to prawda?

Tony przez chwilę patrzył prosto przed siebie.

– Tak – przyznał.

Sala zagrzmiała od pytań. Reporterzy wyrywali się, żeby zabrać głos, przekrzykując się nawzajem.

Wtedy ktoś przebił się przez harmider. Christine Everhart wstała, świdrując Tony'ego ciemnymi oczami. Ten przełknął ślinę, nagle znów zaczął się denerwować.

– Panie Stark – powiedziała powoli – myślę, że społeczeństwo chciałoby wiedzieć jedno. Dlaczego członek prywatnej milicji, samozwańczy superbohater, ma otrzymywać pensję i federalne świadczenia, skoro tak wielu zwykłych Amerykanów nie ma pracy?

Tony przytaknął; był na to przygotowany.

– To bardzo dobre pytanie, Chris, pani Everhart. Po pierwsze, świadczenia będą dostawać tylko ci bohaterowie, którzy zostaną zaakceptowani i zgodzą się pozostać pod społeczną kontrolą. Po drugie, na pewno pani wie, że senat debatował nad tą kwestią bardzo wnikliwie i uznał, że „marchewka” w postaci pensji i ubezpieczenia to najskuteczniejsze narzędzie szybkiego werbunku jak największej liczby superludzi do programu. Ale co ważniejsze: sądzę, że my, Amerykanie, nie pokazujemy się z najlepszej strony, kiedy pytamy „Dlaczego mój sąsiad coś dostaje?”. Myślę, że znacznie lepiej zadać pytanie: „W jaki sposób więcej Amerykanów może odnosić korzyści jak mój sąsiad?”. Tak stworzymy lepsze społeczeństwo. Taki mam cel dzisiaj i będę go miał na uwadze każdego dnia, kiedy przekroczę próg siedziby Stark Enterprises.

Brawa. Ale Everhart wciąż stała z ustami wykrzywionymi w podkowę.

– Kolejne pytanie. – Wskazała baner z napisem STARK na ścianie z tyłu. – Skoro wspomniał pan o Stark Enterprises: czy ustawa nie spowoduje przypadkiem lawiny nowych kontraktów rządowych dla tej firmy? Firma, której jest pan właścicielem, firma, która już i tak bardzo zyskała na zwiększonych wydatkach na bezpieczeństwo wewnętrzne po jedenastym wrześniu?

Tony czuł wzrok sekretarza Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego na plecach. Pepper nieco się przesunęła, stukając obcasami o podium.

– Pani Everhart – zaczął Tony – jak pani wie, Stark Enterprises nie produkuje już broni. To kolejna obietnica, jaką złożyłem światu, i zamierzam jej dotrzymać. Ale tak, oczywiście, jesteśmy partnerem rządu USA w wojnie z terrorem, superludzkiem i innym. I byłoby z mojej strony naiwnością, gdybym zaprzeczał, że głównie przez wzgląd na ten związek, na to partnerstwo, prezydent poprosił mnie o nadzór nad programem. Spokój i bezpieczeństwo Amerykanów: to priorytet obecnej administracji, Stark Enterprises, a także mój osobisty. Nie widzę tu sprzeczności.

Sekretarz ożywił się, jego mięsiste dłonie zaczęły bić brawo.

Reporterzy przyłączyli się do niego, głośniejsze niż poprzednio.

Everhart usiadła ze wściekłą miną.

„Chyba nie spędzę z nią drugiej takiej nocy”, pomyślał Tony.
„Chociaż nigdy nic nie wiadomo”.

– Jeszcze jedno pytanie. Tak, Dan?

Przyjaźnie uśmiechnięty mężczyzna w wymiętej marynarce wstał i zapytał:

– Ile kosztował ten garnitur, Tony?

Śmiech. Tony uśmiechnął się, dotknął swojej marynarki od Armaniego.

– Bardzo dużo. – Dał znak Pepper, która podała mu aktówkę. – Ale mniej niż ten.

Otworzył zatrząsk i uniósł walizkę nad pulpitem. Ze środka wyskoczyły: lśniący czerwono-żółty hełm Iron Mana oraz starannie złożona metalowa tkanina kombinezonu. Rękawice i buty schludnie mieściły się w rogach walizy.

– Oto moja praca – powiedział Tony. – Oto, co robię i kim jestem. Stworzyłem ten strój własnymi rękami i zajęło mi to wiele lat. Dlatego stoję tu teraz przed wami, dlatego zgodziłem się wprowadzać w życie tę ustawę: żeby każdy w tym kraju miał takie same możliwości, takie same wolność i bezpieczeństwo, i by w pocie czoła budować świetlaną przyszłość, którą mam przywilej się cieszyć.

W związku z tym chciałbym przedstawić wam pewną bardzo ważną osobę. Pani Miriam Sharpe straciła syna w tragicznym wypadku w Stamford i to właśnie ona uświadomiła mi, że ponoszę część winy za tę tragedię. Jestem jej winny zadośćuczynienie. Stała się moim głosem sumienia w całym tym przedsięwzięciu, a także rzeczniką praw obywatelskich. Proszę o duże brawa dla pani Sharpe.

Wywołana wyszła na scenę, pewna siebie i uśmiechnięta. Od czasu pogrzebu przeszła delikatną przemianę: miała świetnie skrojony żakiet i pieczołowicie nałożony makijaż. Ale wciąż wyglądała jak zwykła gospodyni domowa, matka z sąsiedztwa.

Cała sala wstała, głośno klaszcząc.

Kiedy Sharpe podeszła do Tony’ego, wybuchnęła płaczem.

– Dziękuję, panie Stark. Jestem taka wdzięczna.

Tony ujął ją za ramiona i spojrzął jej w oczy.

– Nie, pani Sharpe. To ja dziękuję.

Nad ich głowami rozległ się szelest. Tony zerknął w górę i pospiesznie ustawił panią Sharpe obok siebie.

– Natomiast... – Tony wskazał na sufit – ...jestem pewien, że niesamowitego Spider-Mana nie trzeba przedstawiać.

Spider-Man zeskoczył z gracją, ciągnąc za sobą nić pajęczyny, i wylądował w idealnym przysiadzie z trzema punktami podparcia. Miał na sobie stary strój z czerwono-niebieskiej tkaniny. Omówił to z Tonym i razem doszli do wniosku, że zapewni mu to największą rozpoznawalność.

Tony zrobił mu miejsce i Spidey dał susa naprzód przy akompaniamencie braw. Ale gdy tylko stanął za pulpitem, jego postawa się zmieniła. Zdawał się niepewny, niemal onieśmielony.

– Eee, dzięki. Serio. – Spidey podrapał się nerwowo w kark. – To naprawdę... inspirujące, słyszeć, jak Tony to mówi, i widzieć, jak odbieracie jego słowa. Dzięki temu jest mi o wiele łatwiej. No, trochę łatwiej.

Nerwowy śmiech.

– Widzicie – ciągnął Spider-Man – ustawa o rejestracji daje nam wybór: możemy iść drogą, którą popiera Kapitan Ameryka, i pozostawić ludzi wyposażonych w supermoce bez żadnej kontroli. Albo możemy się zalegalizować i odzyskać trochę zaufania społecznego.

„No, dawaj, Peter”, pomyślał Tony. „Zrób to”.

– Jestem dumny z tego, co robię. Z tego, kim jestem. I przyszedłem tu to udowodnić.

Spider-Man dotknął maski i ją ściągnął. Publiczność wydała stłumiony okrzyk: błysnęły flesze aparatów, składane krzesła zastukotały pod zrywającymi się na równe nogi dziennikarzami. Mężczyzna w pajęczym stroju przez chwilę wyglądał na spłoszonego, potem uśmiechnął się nieśmiało.

– Nazywam się Peter Parker – powiedział. – I jestem Spider-Manem, odkąd skończyłem piętnaście lat.

Tony Stark znów wkroczył do akcji. Objął Petera ramieniem

i posłał młodemu człowiekowi długie, pełne wdzięczności spojrzenie.

Potem stanął twarzą w twarz z tłumem.

– Jakies pytania?

CZĘŚĆ TRZECIA



SREBRNIKI

13

– DOLEWKĘ kawy, panie Hendrick?

Kapitan Ameryka skrzywił się i poprawił krawat. Sztuczne wąsy łaskotały go w usta.

– Panie Hendrick?

Kapitan zobaczył młodą kelnerkę z wyciągniętym ku niemu szklanym dzbankiem z kawą. Szybko pokręcił głową; dziewczyna ofuknęła jego niezdecydowanie i odeszła.

Goliat wybuchnął śmiechem. Poprawił plakietkę z nazwiskiem na uniformie Kapitana.

– Słabo ci idzie podryw, Hendrick.

Przy stole siedziała cała czwórka: Kapitan, Goliat, Luke Cage i Daredevil, każdy z nich w przebraniu. Goliat miał na sobie znoszoną skórzaną kurtkę, Daredevil był niemal nie do rozpoznania w białej koszuli z krótkim rękawem, kamizelce i modnych okularach w kolorowych oprawkach.

Kapitan nachmurzył się.

– Nazywam się Brett Hendrick – oznajmił półgłosem po raz czwarty. – Jestem kierownikiem ochrony w centrum handlowym w Queens.

– Zgadza się – potwierdził Daredevil. – Ja nazywam się Cooper Peyton i jestem inżynierem elektrykiem z Long Island.

– Victor Tegler – powiedział Goliat. – Pracownik opieki społecznej z Harlemu. Stary, jakoś nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Pochodzę z Zachodniego Wybrzeża.

Daredevil wzruszył ramionami.

– Więksi od ciebie zaczynali jako społecznicy.

– Cage?

Luke Cage uniósł wzrok znad notatek. Jego masywne, muskularne ciało było wciśnięte w czarny garnitur, w którym

wyraźnie czuł się nieswojo.

– Co to ma być za nazwisko „Rockwell Dodsworth”? – zapytał. – I, w mordę jeża, konsultant do spraw IT w wiodącej międzynarodowej korporacji finansowej? Mówiłem ci, żebyś załatwił mi coś czadowego, na ten przykład kierowcę wyścigowego. Albo producenta muzycznego.

Daredevil zrobił ponurą minę.

– Mój kontakt miał tylko to.

– Matt dużo ryzykował, żeby załatwić nam te papiery – przypomniał Kapitan. – Mogą go za to wyrzucić z adwokatury.

– O tak. – Daredevil niemal się uśmiechnął. – To właśnie tym się martwię.

– Poza tym dokumenty nie są istotne. Dzięki nim zapadniemy się pod ziemię na czas, kiedy nie robimy tego, co ważne.

– Właściwie to ta nowa ukryta tożsamość zaczyna mi się podobać – oznajmił Daredevil. – Eksperymentuję z nowymi rodzajami kuchni. Zaczynam mieć nowe ulubione filmy. Słucham nowych zespołów.

Kapitan przyglądał się przez chwilę niewidomemu mścicielowi. Zeszli do podziemia niecałe trzy tygodnie temu i przechodzili trudny okres adaptacji. Daredevilowi to doświadczenie najwyraźniej dodało energii. Odkąd kapitan go znał, DD był surowym, ponurym superbohaterem z silnym rysem nihilizmu. Teraz zdawał się pobudzony, miał poczucie celu.

„Może zmiana jest czasem dobra”.

– Dobra, nieważne. – Cage rozprostował ramiona i skrzywił się. – Po prostu dalej wszystko mnie napieprza po tym, jak spuściliśmy wczoraj łomot Żłowieszczej Szóstce.

– Ciebie napieprza? – Goliat klepnął go po plecach. – Chłopie, musiałem urosnąć do pięciu metrów, żeby powalić Nosorożca.

– To był kawał dobrej roboty – powiedział Daredevil. – A dopiero się rozkręcamy. Prawda, Kapitanie?

– Hm? Przepraszam. – Kapitan Ameryka jakby się przebudził. – Myślałem o spotkaniu z chłopcem z fundacji Powiedz Życzenie. Obiecałem mu, że zagramy w baseball na jego podwórku, ale teraz pewnie roi się tam od pogromców bohaterów z ramienia

Tony'ego.

– Kicha – przyznał Goliat.

– Przez ten cały nonsens z rejestracją – ciągnął Kapitan – pozbawili nas właśnie tych małych rzeczy. Małych rzeczy, które sprawiają, że jesteśmy sobą.

– Taajest. – Chytry uśmiech przemknął przez twarz Cage'a. – Hendrick.

– Przymknij dziób, Rockwell.

Kelnerka przyniosła zamówienia. Mężczyźni zabrali się do jedzenia, jakby nie mieli nic w ustach od miesiąca.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w Spider-Mana – powiedział Goliat. – Myślisz, że Tony Stark go kontroluje czy coś takiego? Za pośrednictwem nowego stroju?

– Tony by się do tego nie zniżył – stwierdził Kapitan. – Kontrola nie zaspokoiłaby jego ego. On chce, żeby wszyscy się z nim zgadzali, widzieli w jego działaniach triumf rozumu.

– Znam Petera. Łatwo ulega wpływom. – Daredevil spoważniał. – Tamtego dnia w Stamford widziałem już, że Tony owinął go sobie wokół palca. Strategicznie to świetny ruch. Nikt nie dbał o utrzymanie tożsamości w tajemnicy bardziej niż Spider-Man. Zdejmując maskę, wysłał mocny sygnał do wszystkich superbohaterów, którzy nadal nie podjęli decyzji, co zrobić.

Telefony Kapitana i Goliata zapiszczały jednocześnie. Kapitan spojrział na ekran i natychmiast wstał.

– Co tam? – spytał Cage.

Goliat odczytał na głos:

– Płoną zakłady petrochemiczne nad rzeką. Centrala twierdzi, że w środku jest uwięzionych trzysta, czterysta osób.

Kapitan zaczął w biegu zaskoczoną kelnerkę.

– Reszty nie trzeba, panienko. I dzięki za cudowny posiłek.

Spojrzęła na studolarowy banknot.

– O rany, dziękuję, panie Hendrick.

– Mów mi Brett.

Kapitan przywołał resztę i wszyscy podążyli w stronę tylnego wyjścia. Wybrał numer w telefonie.

- Hawkeye, jak sytuacja?
 - Próbuję właśnie nauczyć czegoś dzieciaki. Chcesz, żebyśmy pojechali do tego pożaru?
 - Ta. Weź wszystkich. – Kapitan się rozłączył, zadzwonił pod inny numer. – Falcon?
 - Jestem w drodze. Są ze mną Tigra, Cloak i Dagger.
 - Przyjąłem.
- Cage otworzył kopniakiem drzwi wychodzące na uliczkę za restauracją. Uderzyła ich intensywna woń śmieci i moczu. Stojące z tyłu domy miały okna zabite deskami.
- Nagłe wezwania, przekradanie się alejkami, przebieranie w kostiumy. – Goliat uśmiechnął się, zrzucając skórzaną kurtkę. – Muszę niechętnie przyznać, że zaczyna mi się to podobać.

ZIELONY dym wznosił się nad zakładami petrochemicznymi Geffen-Meyers, ciemny i złowrogi w słabym świetle zmierzchu. Kapitan czuł jego zapach z odległości kilku przecznic. Budynek rafinerii stał nad samą wodą, więc trudno było dojrzeć szczegóły od ulicy. Miejsce otaczał wianuszek lokalnych radiowozów z włączonymi kogutami.

Kapitan pospiesznie wyznaczył punkt spotkania na parkingu naprzeciwko. Kiedy wszyscy się zebrali, wziął na bok Wiccan i Cloaka, wyraźnie spiętych i niepewnych.

- Jesteście naszymi teleporterami – oświadczył. – Ludziom uwięzionym w środku grozi śmierć, a my nie mamy innej możliwości, żeby przedrzeć się przez kordon policyjny. Możecie we dwóch przenieść nas wszystkich?

Wiccan zadumał się.

- Dam radę wprowadzić swój zespół. Pewnie jeszcze dwie, trzy osoby.

- Cloak?

Przestraszony chłopak rozejrzał się wokół. Dagger chwyciła go za rękę.

- Zrobię to, sir – odpowiedział.

Kapitan, Tigra, Falcon, Wiccan i Młodzi Avengersi

zmaterializowali się w środku jak pierwsi. Rafineria miała zerwany dach, a posadzkę musiało rozpruć parę eksplozji. Dookoła szalały płomienie, z kilku rur tryskała woda. Inne części kombinatu stały zasłonięte na wpół rozwalonymi ścianami; budynek z jednej strony został w całości zniszczony przez eksplozję i otwierał się na nabrzeże ze zrujnowanym dokiem przeładunkowym, którego zgliszcza wpadały do wody. W powietrzu unosił się zielony dym, tworząc wszędzie toksyczne plamy.

– Rany. – Tigra przytknęła pokryty sierścią palec do wrażliwego nosa. – Ale tu *śmierdzi*.

Na środku hali pojawił się ciemny wir. Kapitan, naprężywszy mięśnie, patrzył, jak wyturlali się Hawkeye, Daredevil, Cage, Goliat i Dagger. Trzęśli się z zimna.

– To nic – powiedziała Dagger. – Chłód niedługo minie.

Cień zawirował tu i ówdzie i rozwiął się w ciemną postać Cloaka. Chłopak zachwiał się w oszołomieniu. Jarząca się Dagger wyciągnęła ku niemu rękę. Z dłoni wyleciało regenerujące światło, które zniknęło wewnątrz zmęczonego Cloaka.

Kapitan pokręcił głową. Ci dwoje mieli tylko siebie: Cloak potrzebował Dagger, żeby przeżyć. Jak można kazać takim młodym ludziom, by się zarejestrowali i oddali całe swoje życie w ręce rządu?

– Wszyscy obecni – oznajmił Falcon.

Daredevil podniósł coś z ziemi. Kapitan zaciekawiał się, co to takiego.

– Srebrna jednodolarówka – powiedział Daredevil.

– Coś jest nie tak. – Kapitan intensywnie się zastanawiał. – O ilu robotnikach mówią doniesienia?

– O trzech, czterech setkach. – Goliat z troską spojrzął na ręczny wykrywacz. – Ale nie łapię tu absolutnie żadnych sygnałów radiowych...

Goliat znieruchomiał, wpatrując się w posadzkę.

Falcon zatrzepotał skrzydłami, po czym Kapitan podszedł do niego i zapytał:

– Co tam jest?

Wtedy wszyscy ją zobaczyli. Cegłę, która wypadła z muru, z wyrytymi słowami:

GEFFEN-MEYERS
ODDZIAŁ
STARK ENTERPRISES

– Ewakuacja! – ryknął Kapitan. – To pułapka...

Za późno. Z nieba spadł deszcz kapsułek usypiających. Tigra odskoczyła, Falcon wzbił się w powietrze. Hawkeye błyskawicznie zamontował strzałę i naciągnął cięciwę.

Pociski usypiające trafiły tylko dwóch członków grupy: Wiccana i Cloaka.

– Tyrone! – krzyknęła Dagger. Podbiegła do Cloaka i chwyciła jego osuwające się ciało.

Kapitan uniósł głowę. Dziesięć metrów nad nimi na tle chmur było widać co najmniej sześć ciężkich śmigłowców T.A.R.C.Z.Y. z silnikami wyciszonymi przez technologię Starka. Jeden z helikopterów obrócił się i w świetle księżyca pojawił się strzelec z połyskującym karabinem.

– Oczywiście, że to pułapka. Jak inaczej mieliśmy zgromadzić was w jednym miejscu?

Kapitan zakręcił się w miejscu, unosząc tarczę. Lśniącą postać Iron Mana wzniosła się ponad zburzoną do połowy ścianę.

Repulsory jarzyły się od mocy.

Za plecami Tony’ego pojawił się Spider-Man, skacząc i błyskając pajęczymi nićmi.

– Nie rób tego, Steve.

Kapitan kazał swoim ludziom się cofnąć. Ci ustawili się za jego plecami i ruszyli w stronę tej części rafinerii, która była otwarta na rzekę.

Reszta sił Tony’ego Starka wymaszerowała za przywódcą, wyłaniając się spośród powoli niknącej zielonej mgiełki. Ms Marvel. Potężna She-Hulk. Czarna Wdowa. Trzy czwarte Fantastycznej Czwórki: Reed i Sue Richards oraz Ben Grimm, Stwór.

Dagger uniosła wzrok znad nieruchomego ciała Cloaka.

– Co mu zrobiliście?

Spider-Man pospieszył z odpowiedzią.

– To tylko środek usypiający, młoda. Żeby na pewno nikt się stąd nie teleportował. – Spidey zadarł głowę i spojrział w górę. – Skybird Jeden, kryjcie nas?

– O tak. Daj tylko sygnał. Proszę, daj sygnał – rozbrzmiał szorstki, przepuszczony przez filtr głos.

Kapitan skrzywił się. Rozpoznał ten ton: to jego były „partner”, agent T.A.R.C.Z.Y. – Axton.

Potem wcięła się Maria Hill.

– Panie Stark. Zajęliśmy pozycje i jesteśmy gotowi skończyć ten...

– Robimy to po mojemu, komandorko – powiedział Tony. – Albo od razu przerwij akcję.

Westchnienie Hill było dobrze słyszalne.

– Dyrektorka Hill do wszystkich jednostek w powietrzu. Wstrzymać ogień. Powtarzam, wstrzymać ogień i czekać na dalsze rozkazy.

Wszyscy patrzyli teraz na Iron Mana i Kapitana Amerykę. Kapitan opuścił ramiona i pomaszerował ku Tony’emu Starkowi.

– Miękniesz, Tony?

– Nie chcemy cię aresztować, Kapitanie. – Tony wskazał na śmigłowce. – Namówiłem T.A.R.C.Z.Ę., by dała ci ostatnią szansę na amnestię.

– Czyli mam się poddać. Nie, dzięki.

– No weź, Kapitanie. – Spider-Man zbliżył się do Tony’ego. – Kiedy walczymy ze sobą, wygrywają tylko ci źli. To wbrew wszystkim zasadom, w jakie wierzyłeś.

Kapitan wpatrywał się w Spider-Mana. Nowy strój z połyskującymi metalicznie oczami odbierał obliczu bohatera ludzki wyraz. Kapitan mógł sobie niemal wyobrazić, jak młody człowiek przeobraża się w środku, niczym owad w kokonie, w nową wersję Iron Mana.

– Nie mów mi o zasadach, Spider-Manie. Widziałem twój mały show w telewizji. Ciocia May jest zadowolona, że Vulture zna

teraz jej kod pocztowy?

Spider-Mam zacisnął pięści.

– Może spytasz mamusie i tatusiów ze Stamford, czy sądzą, że Kapitan Ameryka wciąż walczy o dobrą sprawę?

Spidey zrobił krok w kierunku Kapitana. Ten napiął się i dwaj mężczyźni przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami. Potem Tony wszedł między nich, powoli unosząc hełm i odsłaniając twarz.

Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Proszę cię, Kapitanie. Wiem, że jesteś zły, i wiem, że to ogromna zmiana w porównaniu z tym, jak zawsze pracowaliśmy. Ale nie żyjemy już w 1945 roku. – Tony zwrócił się do zebranego za plecami Kapitana Ruchu Oporu. – Społeczeństwo nie chce masek i ukrywania tożsamości. Ludzie pragną czuć się bezpiecznie w naszej obecności. Straciliśmy ich zaufanie, ich szacunek. To jedyny sposób, żeby to odzyskać. Kapitanie, znasz mnie pół mojego dorosłego życia. Wiesz, że nie zrobiłbym tego, gdybym nie wierzył w to całym sercem. Nie chcę z tobą walczyć, nikt z nas tego nie chce. Proszę tylko o jedno... Pozwól, żebym opowiedział ci o moim wielkim planie na dwudziesty pierwszy wiek.

Głowa Reeda Richardsa na wydłużonej szyi przecięła powietrze.

– Pomysł jest naprawdę niezwykły.

Kapitan zauważył, że Sue Richards wpatruje się w męża. Nie wyglądała na zadowoloną. Ben Grimm też nie.

– Pięć minut. – Tony wyciągnął dłoń w metalowej rękawicy. – Mogę cię o tyle prosić?

Kapitan dokonał przeglądu swoich wojsk. Ponury Cage. Tigra z dzikim spojrzeniem. Goliat – teraz mierzył dwa i pół metra i stał na uboczu. Dagger klęczała nad powalonym partnerem. Młodzi Avengersi tkwili skupieni wokół bezwładnego ciała Wiccana.

Oparty o ścianę Daredevil podrzucał znalezionej monetę.

Dwaj przybocznicy Kapitana, Hawkeye i Falcon, stali obok siebie. Dali mu znak, jakby chcieli powiedzieć: „Twój ruch”.

– Pięć minut – oświadczył Tony’emu.

– Tyle mi wystarczy.

Kapitan powoli uściśnił Tony’emu dłoń. Poczłł chłód jego rękawicy przez materiał.

Uśmiech Spider-Mana był prawie widoczny przez maskę.

– Tak jest! Ekstra, stary! A nie mówiłem, że to wypali?

Nagle Tony wyszarpnął rękę z uścisku Kapitana.

– Co jest, do cholery?

Z dłoni Tony’ego wystrzeliła niebieska błyskawica i zakreśliła łuk wokół jego pancerza. Kończyny zaczęły mu się konwulsyjnie trząść. Wrzasnął z bólu.

Kapitan cofnął się.

– Tradycyjny mieszacz elektronów T.A.R.C.Z.Y. – powiedział, wskazując małe urządzenie na rękawicy Tony’ego. – Kolejny gadżet, który dostałem od Fury’ego wiele lat temu.

– Dla... dlaczego?

– W razie gdybyś przeszedł na złą stronę.

Spider-Man nie mógł stać beczynnje. Tony znów powstrzymał go, krzywiąc się przy tym z bólu. Inni wojownicy z drużyny Tony’ego obdarzeni największą siłą – She-Hulk, Stwór, Ms Marvel – czekali na sygnał lidera.

Ruch Oporu podszedł tak, by oskrzydlić swojego przywódcę.

Iron Man wiał się na ziemi, walcząc o odzyskanie kontroli nad zbroją. Kapitan patrzył na niego gniewnym wzrokiem.

– Twój wielki plan przypomina mi raczej Niemcy z lat czterdziestych. Co dokładnie zamierzasz zrobić z tymi, którzy odmówią rejestracji?

– Nie... rozumiesz. – Tony złapał powietrze. Wciąż miał odsłoniętą twarz, hełm połyskiwał błękitem nad jego czołem. Spróbował wstać.

– Rozumiem jedno. Strzeliłeś do dwóch moich chłopców.

Kapitan uderzył go pięścią w szczękę. Był to potężny cios. Taki, jaki zawsze chciał wymierzyć Hitlerowi, Mussoliniemu, Stalinowi. Głowa Tony’ego odskoczyła, chlusnęła krew.

W rafinerii rozpętało się piekło. Ms Marvel wzbiła się w powietrze, strzelając wiązkami energii; Falcon wyleciał jej na

spotkanie, dziko machając skrzydłami. Hawkeye naciągnął cięciwę łuku, zachęcając Młodych Avengersów, by ruszyli do ataku – ale Stwór i She-Hulk utworzyli formację niczym obrońcy w futbolu amerykańskim, blokując drogę. Goliat urósł do trzech metrów, potem czterech, groźnie unosząc ramiona ponad przybyszami. Potężne świetliste ostrza wystrzeliwały z dłoni Dagger, wzbudzając iskry w zderzeniu z metalowym strojem Spider-Mana.

Daredevil i Czarna Wdowa krążyli wokół siebie, co rusz wbiegając na ściany w mrocznym balecie. On rzucił pałką – ta o włos minęła jej głowę.

Kapitan mocno kopnął Tony’ego w plecy i usłyszał, jak pęka przekaźnik elektryczny. Wizjer Tony’ego błysnął jasno, gdy krótkie spięcie ostatecznie unieszkodliwiło zbroję. Iron Man przestał się ruszać.

Nad głowami rozbrzmiał warkot silników.

– Uwaga na niebo! – krzyknął Kapitan, ale kiedy spojrzał w górę, śmigłowce T.A.R.C.Z.Y. wznosiły się coraz wyżej i odlatywały.

Zrobił marsową minę, a potem odskoczył, ustępując miejsca Tigrze, która wylądowała tuż przed nim, tnąc i drapiąc muskularne ciało She-Hulk. Dwie kobiety walczyły zaciekle. Tigra była uosobieniem szybkości i furii, ale potężne ciosy She-Hulk zbierały obfite żniwo. Tigra drapnęła pazurami zieloną twarz przeciwniczki. She-Hulk zawyła i wskoczyła na rywalkę. Przeturlały się na bok...

...i Kapitan znalazł się oko w oko z Reedem Richardsem.

– Kapitanie. – Reed wyciągnął na przywitanie wydłużoną rękę. – Proszę...

Kapitan coś dostrzegł. Wyrwał Reedowi z ucha miniaturowy odbiornik. Reed próbował odebrać zdobycz, ale był zbyt powolny.

Kapitan ruszył sprintem na drugą stronę hali, ignorując wołanie Reeda. Przyłożył skradzioną słuchawkę do ucha i usłyszał głos Marii Hill:

– ...wszystkich jednostek w powietrzu: nie nawiązywać walki.

Powtarzam: nie wkraczać do akcji, dopóki obrona nie zostanie przerwana. Przygotować się do aktywacji protokołu Niflhel na mój... Wróć, na rozkaz Iron Mana. Do tego czasu utrzymać pozycje.

Stwór mocno przyłożył Hulklingowi w szczękę.

– Ludzie, ja nie chcę z wami walczyć! – krzyknął Stwór. – Czemu nie możecie po prostu robić, co wam się każe?

Panował chaos. Falcon z Ms Marvel wciąż walczyli w powietrzu; Daredevil ukucnął, ślaniając się pod ukłuciami żądał Czarnej Wdowy. Luke Cage dołączył do Tigry w potyczce z She-Hulk.

Hawkeye przedostał się do Kapitana, po drodze co krok wystrzeliwując strzały.

– Mamy przewagę liczebną, Kapitanie! – zawołał. – Ale oni są znacznie silniejsi. I wspierają ich helikoptery.

Kapitan kiwnął głową, z ponurą miną opierał się o ścianę rafinerii. Machnął na Goliata, który mierzył teraz prawie pięć metrów. Tamten skinął głową i zawołał:

– WSZYSCY DO WODY!

Wtedy Stwór zaatakował jedną z nóg, podczas gdy She-Hulk naparła na drugą. Goliat zachwiał się i upadł, wydając okrzyk bólu. Kiedy uderzył w betonową posadzkę, zatrzęsł się cały budynek.

Patriot wpadł na Kapitana i obrzucił Spider-Mana metalowymi gwiazdkami. Pająk ścigał go, przemieszczając się błyskawicznie na mackach, wściekły i nietypowo milczący. Gwiazdki dzwoniły niegroźnie o jego czerwono-złoty pancerz.

Kapitan uniósł tarczę... i Spider-Man zniknął.

– J... Jak to? – Patriot spytał Kapitana. – Gdzie on się podział?

– Spider-Man ma na sobie nowy strój zaprojektowany przez Starka. – Kapitan wściekle lustrował okolicę. – Jest kuloodporny, potrafi szybować i wchodzić w tryb *stealth*...

– Potrafi też skopać ci tyłek.

Zanim Kapitan zdążył zareagować, Spidey był przy nim – nagle bezszelestnie zmaterializował się kilkanaście centymetrów dalej. Kapitan zrobił unik w bok, ledwo uciekając przed wiązką pajęczej sieci. Macki Spider-Mana błyskawicznie przecięły powietrze,

wyrywając Kapitanowi tarczę z rąk. Spider-Man wymierzył mu mocnego kopniaka i Ameryka spadł kawałek dalej na popękana posadzkę.

Wylądował na ziemi, przeturlał się na plecy i szukał wzrokiem Spider-Mana. Wysoko w powietrzu zobaczył tylko pikującego Falcona:

– Kapitanie! Uważaj!

Nagle runął na niego Iron Man z zamkniętym hełmem i oczami świeącymi na czerwono od mocy – w każdym calu niepowstrzymany Avenger. Tony chwycił Kapitana za ramiona i uniósł go nad ziemię.

– Poprawiłem czas restartu zbroi, kolego. Robi wrażenie, co?

Tony podniósł Kapitana nad głowę i przebił nim jedną ze ścian.

– UGGGHHHHH!

Przed oczami Kapitana tańczyły plamy światła. Słyszał niewyraźne odgłosy walki dookoła. Uniósł ręce jak bokser, chroniąc zakrwawioną twarz za gardą. Wzmocniony mechanicznie sierpowy Iron Mana wbił mu się jednak w brzuch, przez co Kapitan zgiął się wpół. Padł na ziemię i kopnął na oślep. Chybił.

– Tracisz czas – ciągnął Tony. – Ten pancerz ma zapis wszystkich uderzeń, jakie kiedykolwiek wykonałeś. Zna każdy twój ruch, zanim ty o nim pomyślisz.

Uderzył Kapitana ponownie, tym razem w twarz. Raz, drugi. Kapitan usłyszał ohydny trzask, a w miejscu, gdzie kiedyś był ząb, poczuł smak krwi.

Świat dookoła gasł. Czyjs głos – Hawkeye’a? – zawołał:

– On go zabije!

W uchu Kapitana rozbrzmiał dziwny szelest, który ustąpił wielogłosowi. Z początku pomyślał, że ma halucynacje, jednak po chwili sobie przypomniał: „Słuchawka T.A.R.C.Z.Y.”.

– Sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Teren otoczyło ponad trzydzieści oddziałów do walki z superbohaterami.

A potem odezwała się Maria Hill:

– Niech czekają. Mam sygnał od Starka: aktywować protokół

Niflhel.

Pole widzenia Kapitana wypełniła rozjarzona twarz Iron Mana, która migotała i drżała.

– Przykro mi, Kapitanie – powiedział Tony. – Naprawdę.

I wtedy za nimi pojawiło się światło. Potężna błyskawica uderzyła z nieba z ogłuszającym trzaskiem, odrzucając Falcona i Ms Marvel. Trafiła w sam środek rafinerii, rozbiła beton w pył i zwała Cage'a i Hawkeye'a z nóg.

Kapitan osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem. Kiedy zaczął widzieć wyraźnie, to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi.

Z posadzki hali rafinerii wznosił się słup światła, z którego na wszystkie strony były pioruny. A pośrodku z uniesionym wysoko młotem stała gniewna, władcza postać potężnego Thora.

KIEDY zaczęła się walka, Sue Richards zastosowała swój zwyczajowy pierwszy ruch. Stała się niewidzialna.

W ogóle przyjechała tu niechętnie. Reed zapewnił ją kilka razy, że Tony wszystko zaplanował, że pójdzie jak po maśle. Powiedział, że to ważne, by pojawili się wszyscy, by pokazali wsparcie i dowiedli Kapitanowi Ameryce, że większość bohaterów wierzy w ustawę o rejestracji. Prosił ją, aby pomyślała o dzieciach, o świecie, w jakim chciałyby, żeby dorastały.

Potem Reed razem ze Starkiem zniknęli w Transkopterze T.A.R.C.Z.Y. „Spotkamy się na miejscu”, powiedział Reed. A potem, jak zawsze zbyt szybko, dodał: „kocham cię”.

Sue opierała się o popękaną betonową ścianę, patrząc, jak odrodzony bóg gromu przyzywa z nieba błyskawicę. Młot Thora skwierczał i błyskał, a na zrujnowaną fabrykę zaczął padać rześisty deszcz. Helikoptery T.A.R.C.Z.Y. krążyły w górze, uchylając się przed piorunami nie z tego świata.

Sue wciąż była niewidzialna.

W uchu zatrzeszczał jej metaliczny głos Tony'ego:

– Cofnijcie się wszyscy.

Patrzyła przez zasłonę deszczu, jak She-Hulk, Ms Marvel i Spider-Man odsuwają się od źródła błyskawic. Nie widziała Kapitana, ale niektórzy członkowie Ruchu Oporu – Luke Cage, Dagger, Patriot i Hulkling z Młodych Avengersów – ruszyli powoli w stronę boga gromu.

– Thor? – Falcon sfrunął z nieba.

Wzywany spojrzął ciemnymi, połyskującymi oczami.

„Thor jest jakiś inny”, pomyślała Sue. „Wydaje się... większy niż wcześniej. Ogromny, wypełniony mocą. Złowrogi”.

– Co ty robisz? Stary, to ja, Falcon.

Hawkeye zdziwił się, otarł krople deszczu z oczu.

– Hej, duży, myśleliśmy, że nie żyjesz... – zaczął.

Thor się nie odzywał. Tylko zmrużył ze złością oczy przepełnione boską pogardą. Na jego wywiniętej wardze pojawiła się kropla śliny, która następnie zniknęła w strugach deszczu.

Ponownie uniósł młot i niewiarygodnie szybko cisnął nim w zebranych członków Ruchu Oporu. Uderzył Falcona w brzuch i zwałił go z nóg wprost na Hawkeye'a – Tigra odskoczyła w samą porę, by się przed nimi uchylić.

Młot szybował wyżej, zakreślając łuk, jak gdyby nic nie stało na jego drodze. Drasnął Goliatowi policzek do krwi. Stature – zmieniająca rozmiary bohaterka z Młodych Avengersów – zmniejszyła się w samą porę, by go uniknąć, ale Dagger nie miała tyle szczęścia. Młot trafił ją i rzucił w Speeda i Patriota.

Luke Cage zgłosił się na ochotnika i krzyknął:

– Zostawcie to mnie!

Sue przypomniała sobie, że skóra Cage'a była twarda jak stal. Ale niewystarczająco. Cage zacisnął zęby i wypiął pierś na przyjęcie lecącego młota. Broń uderzyła go z niesamowitą siłą – heros poleciał do tyłu i wypadł z rafinerii. Poszybował nad wodą, machając mocarnymi ramionami, po czym spadł z pluskiem słyszalnym z oddali.

Sue rozglądała się gorączkowo w poszukiwaniu Reeda. Tam był! Po przeciwległej stronie budynku dało się zobaczyć podłużną plamę błękitu. Pan Fantastic obserwował każdy ruch, tak jak biolog przygląda się narodzinom nowego gatunku mikroorganizmów.

Sue czasem nie mogła znieść tej jego ciekawości uczonego.

Stała się widzialna i pomachała do niego. Reed ją zauważył, spróbował się uśmiechnąć i skinął na nią. Sue skrzywiła się, potaknęła i znów zrobiła się niewidzialna.

Ruszyła ku niemu, okrążyła strefę walki, trzymając się w bezpiecznej odległości od Thora. Bóg gromu stał z szyderczym uśmiechem, kiedy wodził okrutnymi oczami za młotem

zataczającym w powietrzu szeroki łuk.

Obchodząc halę dookoła, Sue dostrzegła migawki z kilku minidramatów oświetlonych serią błyskawic:

Błysk: Na skraju rafinerii Daredevil i Czarna Wdowa ścigali się nawzajem po odrapanych ścianach i roztrzaskanych oknach, pojawiając się i znikając za zasłoną deszczu. Daredevil zatrzymał się na pokrywie nieużywanego zbiornika na chemikalia i spojrzał na Czarną Wdowę. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

Sue wydało się, że powiedział: „Nie wiesz, czym jest wolność”.

Czarna Wdowa starannie wycelowała i wypuściła kilka żądał. Daredevil próbował się uchylić, zrobił to jednak zbyt wolno. Pociski trafiły: mściciel wygiął się z bólu, a potem runął.

Kiedy Czarna Wdowa go dopadła, jej mina wyrażała mieszaninę pogardy i żalu.

Błysk: błyskawica przecięła powietrze i trafiła w narożnik, w którym leżeli nieprzytomni Wiccan i Cloak. Hulkling – etatowy siłacz Młodych Avengersów – rzucił się i własnym ciałem osłonił Wiccana przed kolejnym piorunem. Krzyknął, gdy błyskawica paliła mu pierś. Potem padł na nieruchome ciało Wiccana.

„Ma zdolność samoregeneracji”, przypomniała sobie Sue. „Chyba”.

Błysk: Dagger wstała z ziemi, krzywiąc się z bólu. Jej drobne ciało ociekało wodą.

– O Boże – powiedziała wysokim tonem ledwie słyszalnym wśród burzy. – To nie w porządku. Musimy stąd uciekać. To naprawdę nie w porządku...

Thor wyciągnął wielkie łapsko i złapał młot w locie. Z narzędzia pogromu wyleciała jeszcze jedna błyskawica niczym kolejne ostrzeżenie od bogów.

„Dagger ma rację”, pomyślała Sue. Coś było bardzo nie tak. Rozejrzała się, znów szukając Reeda. „Kiedy świat zdążył zamienić się w coś takiego?”

Ruch Oporu przegrupowywał się. Patriot, Speed i Stature utworzyli kordon, tym samym chroniąc powalonych towarzyszy. Hawkeye i Falcon wymienili gorączkowe uwagi, wskazując na Thora.

Ten tylko zasyczał, powoli unosząc młot.

„Tony”, pomyślała nagle Sue. „Gdzie jest wszechmocny Tony Stark?”

Wtedy Thor jakby zatoczył się i opuścił młot całym swoim ciężarem. Broń huknęła w ziemię niczym kafar. Posadzka zdawała się eksplodować w osłepiającym błysku.

Chaos i wrzaski. Członkowie Ruchu Oporu stali najbliżej, więc najmocniej oberwali; jednak Sue ujrzała też, jak w powietrze leci powykręcany, machający kończynami Reed. Jej pole siłowe włączyło się niemal instynktownie i osłabiło uderzenie, ale ona też była rozłożona na łopatki. Mocno zderzyła się ze ścianą, stęknięta z bólem...

...i dwa metry dalej zobaczyła Kapitana Amerykę. Był zakrwawiony, posiniaczony, jego twarz wykrzywił ból. Leżał oparty o ścianę, deszcz zbierał się w kałuże wokół jego ciała, a nad nim stała potężna postać Iron Mana. Spider-man przykucnął tuż za plecami Tony’ego.

– Kapitanie – powiedział Tony. – Nie wstawaj, proszę. Nie chcę trafić cię jeszcze raz.

Kapitan jęknął i położył sobie rękę na plecach, chciał wziąć się w garść. Spróbował się podnieść, ale nie dał rady.

– Prawie wytraściłem ci szczękę z zawiasów – ciągnął Tony. – Poddaj się, a dostaniesz opiekę medyczną. T.A.R.C.Z.A. ma tu lekarzy.

– T.A.R.C.Z.A. – wycedził Kapitan. Brzmiało to jak przekleństwo.

Skrzywił się, z ogromnym trudem stanął i wyprostował się. Skierował wilgotne, wściekłe oczy na czerwono-złotego przeciwnika.

– Naprawdę myślisz, że dam się załatwić – wysyczał – takiemu rozpieszczonemu, smarkatemu playboyowi jak ty?

„Powinnam coś powiedzieć”, pomyślała Sue. „Powinnam to powstrzymać”. Ale czuła się bezsilna, niemal sparaliżowana.

Zdała sobie sprawę, że do tego cała rzecz się sprowadzała. Chodziło o nierozstrzygalną walkę Iron Mana z Kapitanem Ameryką, przy czym obie strony konfliktu były całkowicie przekonane, że walczą o słuszną sprawę. Nic nie mogło ich

powstrzymać – bogowie, złoczyńcy, a nawet ich towarzysze: superbohaterzy. Ta bitwa będzie trwać, dopóki jeden z dwóch nie zginie.

Spider-Man zaoferował się.

– Ja się tym zajmę, Tony. – Znów podszedł do Kapitana, połyskując jak nowo narodzony insekt.

Ale Tony pokręcił głową i cofnął się. Nacisnął guzik na rękawicy.

– Iron Man do wszystkich jednostek. – Sue słyszała teraz jego głos w słuchawce. – Aktywować blokadę audio.

Potem powiedział do Kapitana:

– To będzie bolało.

W powietrzu zabrzmiało straszliwe skrzeczące wycie, które zdawało się wbijać Sue wprost w ucho wewnętrzne. Poczowała niewysłowiony, piekący ból. Padła na kolana i chwyciła się za głowę.

Poczowała zapach Reeda, zanim go zobaczyła. Jego długie, wijące się palce przesunęły się po jej twarzy. Sięgnęły do jej ucha, wcisnęły guzik w odbiorniku. Dźwięk osłabł do cichego, ledwie słyszalnego jęku.

– Przepraszam – powiedział. – Nie miałem czasu, żeby poinformować cię o tej części planu. Dobrze, że stałaś się widzialna, kiedy odpalili falę częstotliwości. – Uśmiechnął się ze znużeniem. – Jesteś cała, cieszę się.

Wpatrywała się w niego przez chwilę. W ten znajomy zakłopotany uśmiech, krętą, wydłużoną szyję. Jego policzek przy jej twarzy.

Potem usłyszała wrzaski. Członkowie Ruchu Oporu skręcali się na ziemi, wyli w męczarniach. Nic nie chroniło ich słuchu przez atakiem Tony'ego.

Kapitan Ameryka dźwignął się na kolana, otwierając szeroko usta w niemym krzyku.

– Twardy z ciebie staruszek – powiedział Tony. – Muszę ci to przyznać. Ta częstotliwość wyłącza działanie ludzkiego mózgu. Ale popatrz tylko, wciąż próbujesz się podnieść.

Kapitan opuścił wzrok, splunął z bólem.

– To nie potrwa długo – ciągnął Tony. – Zamknij oczy i obudzisz się w naszym nowym ośrodku internowania.

– To straszne – wyszeptała Sue.

– Mnie też się nie podoba – przyznał Reed. – Ale przynajmniej nikt nie ma połamanych kości.

Powietrze przecięła kolejna błyskawica. Pan Fantastic spojrzął na Thora, który – majestatycznie i okrutnie – stał w samym środku pobojowiska. Krople deszczu spływały z jego długich złotych loków, niemal go nie dotykając.

– Thor – odezwał się Reed – cofnij się. Oddział czyścicieli T.A.R.C.Z.Y. zajmie się resztą.

– Peter, przejmij więźniów. Musimy ich spisać, zanim... – zaczął Tony.

– UWAGA!

Tony zadarł głowę... Za późno. Goliat zawisł nad nimi, mierzył co najmniej sześć metrów – Sue nigdy nie widziała, żeby był tak wysoki. Ryk bólu wypełnił powietrze; nic nie ochraniało go przed falą częstotliwości. Nad głową trzymał olbrzymią pękniętą kaskę, z której kapała zielona ciecz.

Wyjąc z bólu, Goliat zrzucił ciężar wprost na Iron Mana.

Dagger z boleśnie wytrzeszczonymi oczami wystrzeliła serię oślepiających świetlnych pocisków. Na Iron Mana spadł zbiornik, który trafiony pociski zamienił się w ogromną kulę ognia.

Płomienie musnęły She-Hulk, ta wrzasnęła i uciekła w płonącym stroju. Czarna Wdowa pospieszyła jej na pomoc.

Ogień buchnął wysoko i sięgnął kabiny unoszącego się na niebie śmigłowca T.A.R.C.Z.Y. Helikopter zawirował w powietrzu i uderzył w szybującą Ms Marvel. Oszołomiona bohaterka krzyknęła i spadła na ziemię.

„Boże święty”, pomyślała Sue. „Czy oni zabili Tony’ego?”

Kula ognia z wolna przygasła. W jej centrum pojawiła się sylwetka klęczącego na jednym kolanie Iron Mana.

– Jestem cały – zabrzmiał głos Tony’ego w słuchawce Sue. – Tylko trochę osmalony.

Nagle zdała sobie sprawę, że świst w jej uchu zniknął.

Kula ognia nie zabiła Tony’ego, ale dezaktywowała falę

częstotliwości. Członkowie Ruchu Oporu – Hawkeye, Falcon, Tigra, Dagger i Młodzi Avengersi – wstawali z ziemi.

Kapitan Ameryka uniósł rękę i wykrzyknął:

– Do ataku!

Potem zatoczył się i padł na ziemię.

Świat po raz kolejny eksplodował feerią błysku kostiumów i wyładowań energii. Spider-Man startł się ze Speedem, kłapał mackami i próbował pochwycić szybko poruszającego się nastolatka. Falcon wzbił się w powietrze i zanurkował na Stwora. Hawkeye usiłował wycelować w Czarną Wdowę, która strzelała żądłami w kierunku unikającego pocisków łucznika.

Ms Marvel powoli podniosła się i skrzywiła, kiedy obciążyla urażone ramię. Jej oczy były czerwone z wściekłości.

Kapitan Ameryka leżał nieruchomo, twarzą przywarł do betonowej posadzki. Falcon zawołał z góry do Hawkeye'a:

– Hawk! Przebij się do kapitana. Musimy go stąd wyciągnąć!

Sue odezwała się niespokojnie do Pana Fantastica.

– Reed, musimy to powstrzymać.

Sue wydało się, że zobaczyła przebłysk strachu w jego oczach.

– Dezaktywowałem już Thora.

– Jak to: dezaktywowałeś?

Stark ruszył chwiejnie w słyszalnie skrzypiącym pancerzu – choć wybuch nieco uszkodził osłonę.

– Przegrupowanie – powiedział Tony. – Musimy...

Jednak Goliat zdążył już zwrócić swoje ogromne ciało ku zebrany Avengersom. Pochylił się, chwycił za brzeg popękanej posadzki pod ich stopami i pociągnął. Stracili równowagę i polecili w górę. Wiązki energii latały jak szalone; Ms Marvel koziołkowała w powietrzu. Spider-Man wystrzelił pajęczynę i owinął ją wokół na wpół zawalonego dźwigara.

Thor przyglądał się temu chaosowi.

Zaiskrzyła błyskawica.

Falcon zapikował z Hawkeye'em w ramionach. Ten wskazał na leżącego Kapitana.

Bóg gromu powoli uniósł młot.

– Przygotuj się na najkrótszy powrót w historii, Thor – zwrócił

się do niego Goliat.

„Nie”, pomyślała Sue. „O nie...”

Młot Thora zaświecił najjaśniej pod słońcem. Z ogłuszającym trzaskiem wyleciała z niego błyskawica, przecięła powietrze...

...i przebiła na wylot klatkę piersiową Goliata.

Chlusnęła krew, w strugach deszczu uderzyła błyskawica i sześciometrowe ciało Goliata poleciało na ścianę rafinerii. Pokonany wpadł na nią z trzaskiem, zmiażdżył plastik, metal i beton.

Wciąż niewidzialna Sue zakradła się. Nie obchodziło ją, co sądził Reed. Nie dbała o to, czy aresztuje ją T.A.R.C.Z.A. Nie zaprzętała sobie głowy nawet tym, czy piorun Thora znów uderzy i uczyni z niej kolejną ofiarę.

Dotknęła zimnej dłoni Goliata, która mierzyła metr, zobaczyła dym unoszący się z otworu, gdzie kiedyś tkwiło jego serce. I wiedziała: bohater był martwy.

Wciąż padał ulewny deszcz. Ale walki ustały. Ms Marvel trzymała się za ramię z grymasem bólu na twarzy. She-Hulk leżała znokautowana – pół jej ciała pokrywały oparzenia. Iron Man wciąż chwiejnie klęczał, restartując poważnie uszkodzone systemy.

Statki powietrzne T.A.R.C.Z.Y. unosiły się, obserwując pole po walce zimnymi, mechanicznymi oczami.

Reszta po prostu stała zupełnie nieruchomo, wpatrując się w sześciometrowe martwe ciało bohatera, który odważył się rzucić wyzwanie ustawie o rejestracji superludzi.

Sue czuła pustkę. Chłód. Myślała tylko o jednym, przychodziło jej do głowy wyłącznie zdanie wypowiedziane przez Tony'ego Starka podczas słynnej konferencji prasowej: „Stamford to było moje objawienie”.

„A to” – zdała sobie sprawę – „jest moje objawienie”.

Pogrążeni w szoku członkowie Ruchu Oporu snuli się po hali. Falcon i Hawkeye dotarli do Kapitana Ameryki i zabrali go ze sobą. Dołączyli do nich Młodzi Avengersi, zaraz za nimi szła Dagger.

– Odwrót i przegrupowanie – rzucił Falcon. – Musimy się stąd

wydostać albo wszyscy...

Thor znów podniósł na niego młot. Z niehumanicznym okrucieństwem wypisanym na twarzy zmrużył oczy i posłał kolejną błyskawicę. Tę samą siłę, która zabiła Goliata, wymierzył teraz w cały Ruch Oporu.

Iron Man przyleciał, chybotając się w powietrzu.

– Thor! – zawołał. – NIE...

...Reed ruszył do akcji, ale cofnął się przed boskim atakiem...

...i wtedy Susan Richards, Niewidzialna Kobieta, członkini i współzałożycielka Fantastycznej Czwórki, jednym susem dołączyła do Ruchu Oporu. Zaciśnęła zęby, uniosła ramiona i stworzyła największe pole siłowe w swojej karierze.

Piorun Thora błysnął, trafił w barierę i nie dotarł do celu.

Oczy oraz czujniki Iron Mana i Spider-Mana przeczesaly otoczenie w poszukiwaniu nowego przeciwnika. Skryci za polem siłowym członkowie Ruchu Oporu byli równie zaskoczeni. Falcon trzymał na rękach bezwładne ciało Kapitana.

Sue wyszła poza własne pole siłowe i stanęła naprzeciw Thora, Iron Mana i Spider-Mana. Siłą woli wzmocniła pole do maksimum.

I stała się widzialna.

Benem Grimmem, Stworem, aż szarpnęło. Wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

– Suzie?! Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Tony Stark patrzył to na Reeda, to na Sue.

Thor posłał jej mordercze spojrzenie. Zaczął podnosić młot.

Reed wystąpił przed szereg i węzowym ruchem wysunął głowę ku bogu gromu.

– Kod wyłączenia awaryjnego! – zawołał. – Autoryzacja: Ryszard Wagner, 1833–1883.

Oczy Thora stały się puste; po raz pierwszy wyraz jego twarzy zlągł. Błyski energii elektrycznej zgasły. Młot wysunął się ze zwiotczonych palców bohatera i upadł, dzwoniąc o posadzkę.

Sue zaciśnęła zęby; utrzymanie tak wielkiego pola siłowego kosztowało ją wiele wysiłku. Spojrzała na Ruch Oporu.

– Uciekajcie stąd – powiedziała. – Już!

Patriot wskazał na przeciwległy kraniec hali, gdzie poza zasięgiem pola siłowego leżały bezwładne ciała Wiccana, Hulklinga i Cloaka, i zapytał:

– Co z nimi? Z rannymi?

– Ona ma rację – odparł Falcon. – Musimy iść.

Sue wyciągnęła dłonie... i Ruch Oporu zaczął znikać. Najpierw Hawkeye i Tigra, potem Patriot, Stature, Speed i Dagger. W końcu został tylko Falcon, który wciąż trzymał nieprzytomne ciało pokonanego przywódcy.

– Susan – zwrócił się do niej Falcon. – Dziękuję.

Potem oni też zniknęli.

Umiejętnością Sue była niewidzialność, nie teleportacja. Ruch Oporu musiał uciec na własną rękę. Ale przynajmniej dała im przewagę.

Ku zaskoczeniu Sue nikt nie ruszył w stronę buntowników. Czarna Wdowa była zajęta bandażowaniem She-Hulk i Ms Marvel. T.A.R.C.Z.A. zdawała się zagubiona, rozdarta: śmigłowce kręciły się nad halą, ale nie rozpoczynały pościgu. Ruchy Tony'ego były wciąż nierówne, nieskoordynowane. Thor stał w deszczu nieruchomo jak posąg.

Ben i Reed – koledzy i rodzina Sue – przyglądali się jej w milczeniu. Sprawiali wrażenie ogłuszonych, zszokowanych.

Spider-Man przysiadł na ścianie, wpatrując się w dymiące ciało Goliata.

Pan Fantastic wyciągnął długie jak wąż ramię do talii Sue.

– Kochanie...

Ta odskoczyła jak oparzona i gwałtownie odwróciła głowę.

– Nie odzywaj się do mnie, do cholery. Ani słowem.

I wtedy Sue Richards po raz kolejny zniknęła im z oczu.

DANE bombardowały Tony'ego Starka ze wszystkich stron. Dokumentacja medyczna. Rutynowe kontrole nowych więźniów. Oświadczenia kongresmenów. Maria Hill domagająca się szorstkim jak papier ścierny głosem, by zwołać sesję strategiczną. Sprawozdania z obozów treningowych Inicjatywy, które powstawały między innymi w Arizonie. Przygotowania do pogrzebu. Setki e-maili od dziennikarzy, głównie z pytaniami, co się dziś, do cholery, stało na zachodnim Manhattanie.

Towarzyszący Tony'emu w windzie Reed Richards kiwał głową na długiej szyi, miał nieobecny wzrok i mamrotał coś pod nosem.

Tony zdjął hełm, tym samym odcinając strumień danych.

– Reed? Wszystko w porządku?

Głowa Pana Fantastica była już pod samym sufitem. Bohater wpatrywał się w osprzęt oświetlenia, niemal niesłyszalnie poruszając ustami.

– Reed.

– Hm? Przepraszam, Tony. – Głowa Pana Fantastica raptownie cofnęła się do ciała jak łeb żółwia chowany do skorupy. – Przeprowadzałem w pamięci obliczenia Strefy Negatywnej.

Miał zmęczone spojrzenie, wyglądał mizernie.

– Ona wróci, Reed.

– Hm? O, tak, pewnie tak. – Panu Fantasticowi zadrgała powieka. Tony wcześniej nie zauważył u niego tego tiku. – Martwią mnie głównie nasze procedury postępowania z nowymi więźniami. Wiccan jest potężny, a Daredevil potrafi być całkiem pomysłowy.

– Wiem.

– Zaplanowałeś transfer na dzisiejsze popołudnie, tak? Może polecę prosto do Baxter Building i przygotuję portal?

– Za chwilę, Reed. Teraz potrzebuję cię tutaj.

– Ach, tak.

Tik.

„Coś go dręczy”, pomyślał Tony. „Ale nie są to problemy dotyczące ośrodka internowania ani abstrakcyjne obliczenia. A nawet nie zdrada żony, chociaż ten fakt dotrze do niego już niedługo. Nie. Ciągłe ma przed oczami to samo, co ja: Billa Fostera, Goliata położonego na łopatki i zabitego błyskawicą, która przebiła mu pierś”.

Drzwi do laboratorium biologicznego w Wieży Avengers otworzyły się z sykiem. Ukazały wysokie sufity, jasne lampy, wszędobylskie ekrany, monitory i stoły medyczne. Oraz superludzi – Czarną Wdowę, Spider-Mana, Ms Marvel z ręką na temblaku. Ben Grimm stał z tyłu, i wyjątkowo milczał.

Pośrodku pomieszczenia na stole operacyjnym leżało potężne cielsko Thora. Jasne błękitne oczy patrzyły w górę; nie widać w nich było żadnych oznak inteligencji. Przekrzywiony młot spoczywał obok.

Doktor Hank Pym w skupieniu pochylał się nad nacięciem w głowie Thora. Uniósł skalpel i lekko zadrżała mu dłoń.

– Tony? – Ubrany od stóp do głów w kostium Spider-Man zbliżył się. – Co tam się stało?

Przez twarz Tony’ego przebiegł grymas, Stark miał nadzieję, że był on pełen zyczliwości.

– Myślałem, że nie chcemy, by ktokolwiek ucierpiał – ciągnął Spider-Man.

Tony uciszył go i zwrócił się do doktora Pyma:

– Hank, masz coś nowego?

Pym zerknął na niego znad stołu. Jego biały laboratoryjny kitel wyróżniał się na tle jaskrawych strojów, od których mieniło się pomieszczenie. Pym wyglądał, jakby płakał.

– Nowego?

Odłożył skalpel, podszedł do monitora i włączył tryb odtwarzania. Pojawił się widok rafinerii z powietrza. Śmigłowce pojawiały się w kadrze i znikaly z niego, superbohaterowie na ziemi dreptali jak mrówki. Potem Thor uniósł młot i przebił

Goliata na wylot.

– Materiał wideo T.A.R.C.Z.Y. – wyjaśniła Czarna Wdowa. Wskazała na Hankę. – Cały czas to ogląda.

Hank Pym sam kiedyś był superbohaterem, najpierw Ant-Manem, potem Giant-Manem i Yellowjacketem. Jako pierwszy bohater potrafił zmieniać rozmiar, ale w ostatnich latach wolał skupić się na badaniach naukowych. W tym na protokole Niflhel.

„Goliat był kiedyś asystentem Hanki w laboratorium”, przypomniał sobie Tony.

– Hank – powiedział Stark – to tragedia. Przykro mi. Wiem, że ty i Bill byliście przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi. Tak – Hank spojrzał na Tony’ego oskarżycielsko. – I właśnie widziałem, jak superczłowiek, którego stworzyliśmy, przebił mojego przyjaciela na wylot.

Reed przyglądał się Thorowi.

– Zastanawiam się, dlaczego on, mam na myśli Thora, tak się zachował. Czy brak mu ludzkiego sumienia? Trzeba połączyć go z ludzkim dawcą?

– Dlaczego? Dlaczego?! – Hank gwałtownie naskoczył na Reeda. – Może problem polega na tym, że nie powinniśmy klonować boga!

Spider-Man skoczył w powietrze.

– Klonować? – Wylądował na ścianie tuż nad leżącym bogiem gromu. – Thor jest klonem?

Tony obrzucił spojrzeniem zebranych w sali bohaterów, sprawdzając, jak przyjęli tę rewelację. Ms Marvel popatrzyła na Tony’ego z nieznanym do tej pory cieniem wątpliwości. Czarna Wdowa wyglądała na wkurzoną. Ben Grimm gapił się tylko z opuszczoną kamienną szczęką.

Hank Pym zadrżał, jakby starał się otrząsnąć z poczucia winy.

– Tony? – ciągnął Spider-Man. – Jak w ogóle, na wszystkie dzielnice Nowego Jorku, klonuje się boga?

Hank usiadł i spuścił głowę.

– To było pierwsze spotkanie Avengersów, Tony je ustawił. Kazał mi wyrwać Thorowi pukiel włosów. – Zaśmiał się smutno. – Byłem wtedy Ant-Manem. Zmniejszyłem się tak

bardzo, że stałem się niemal mikroskopijny. Thor myślał, że ma pchły.

– Czyli to... – Spider-Man miał zamiar podnieść młot Thora. – To nie jest prawdziwy Mjolnir? To kopia...? Młot Thona?

Tony zdziwił się.

– Thon – powtórzył Spider-Man. – Thon-Klon. Kumasz?

– To nie jest śmieszne, Peter.

Spider-Man stanął na baczność. Wciąż trzymając młot, zasalutował Tony'emu w nazistowskim pozdrowieniu.

I od razu opuścił broń.

– Przepraszam.

Tony przyjrzał się grupie. Wszyscy szukali u niego wskazówek, zapewnienia, że stoją po właściwej stronie. Ale byli wstrząśnięci, bez wyjątku. Nawet Spider-Man, który lśnił i wiercił się w metalowym stroju.

„To jest kluczowa chwila”, zdał sobie sprawę Tony. „Cały ruch na rzecz rejestracji może się rozpaść, tu i teraz. Wszystko zależy od tego, co zrobię w ciągu następnych kilku minut”.

– Peter – powiedział Tony – odsłonisz twarz? To prośba, nie rozkaz.

Spider-Man powoli ściągnął maskę. On też wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy i był nieco zawstydzony.

– Dziękuję ci. No dobrze. – Tony przemierzył pomieszczenie i stanął przed Ms Marvel. – Wiem, że niezupełnie na to się pisaliście. Jak twoje ramię, Carol?

– Niektórzy oberwali o wiele mocniej – odparła. – She-Hulk wciąż jest na intensywnej terapii, ale dochodzi do siebie.

– Dobrze to słyszeć. Cóż, wszyscy myślimy teraz o tej samej osobie: o Billu Fosterze. Jego śmierć to tragedia, straszliwy wypadek. Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć, szczególnie na naszej warcie. Ale... Ale wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, i mieliśmy świadomość, że po drodze przyjdzie stoczyć wiele bojów. Powiem otwarcie: każdy, kto spodziewał się, że unikniemy ofiar, był naiwny. Mówimy o ogromnej zmianie w życiu wszystkich metaludzi na Ziemi. I o tym właśnie musimy pamiętać. Bill Foster nie powinien zginąć. Ale jego śmierć była

ceną za to, co robimy. Jeśli ten proces oznacza, że kolejnych dziewięćuset cywili nie zginie w bitwie superbohaterów, to... Przyznam to niechętnie, ale... Mogę żyć ze śmiercią Billa. Nie bez trudu i nie będę dziś dobrze spał. Ale potrafię z tym żyć.

Ms Marvel przytaknęła z powagą. Czarna Wdowa jakby nie dowierzała. Ben Grimm opierał się o stół z jeszcze bardziej kamienną miną niż zwykle.

Hank Pym wpatrywał się w sklonowanego Thora, kręcąc przecząco głową.

– Liczby – powiedział miękko Reed Richards. – Liczby nie kłamią.

– Dziękuję, Reed.

– Tony, ja... – Peter rozejrzał się nerwowo. – Chcę ci wierzyć. Wiem, że masz dobre zamiary. Ale czy to... – wskazał na ekran, na którym wciąż tkwił zatrzymany kadr z martwym ciałem Goliata. – Czy właśnie to nas teraz czeka? Za każdym razem, kiedy ktoś się nie zarejestruje, gdy złamie zasady?

– Oczywiście, że nie. Po to jest ośrodek internowania.

– A, tak. Ośrodek internowania. – Peter potaknął i spojrzał Tony'emu prosto w oczy. – Myślisz, że mógłbym go zobaczyć, Tony?

Coś w pomieszczeniu się zmieniło. Zachwiała się hierarchia władzy.

– Chciałeś mojego bystrego umysłu – ciągnął Peter. – Tak, szefie?

Tony wpatrywał się przez chwilę w Petera. Potem uśmiechnął się ciepło, po ojcowsku.

– Jasne, Peter. Reed i ja właśnie tam zmierzamy. Chcesz się przyłączyć?

Parker opuścił maskę i czerwono-złote szkła nasunęły mu się na oczy. Ponownie skinął głową.

– Hank, dość się napracowałeś – powiedział Tony. – Twoje zgłoszenie jest w aktach, może weźmiesz tydzień wolnego? „Thon” może poczekać w chłodni do twojego powrotu.

Reed wyciągnął ramię i lekko klepnął Hanka po plecach. Ten pokiwał głową, wstał i powlókł się do drzwi. Wyglądał na

pokonanego, przypominał cień człowieka.

– Pozostali mają tyle czasu, ile potrzebują – ciągnął Tony. – Ale zgłaszajcie się regularnie. Odtąd będzie tylko goręcej. Będę was wszystkich potrzebował.

Pomruk aprobaty. Na razie tyle musi wystarczyć.

– Dobra. – Tony opuścił przyłbicę hełmu i przywołał Reeda i Spider-Mana, by poszli za nim. – Ruszajmy, panowie. Projekt 42 czeka.

W KAPITANIE Ameryce narastał mrok. Czuł hardość i gniew, głęboko w trzewiach. Jeszcze nigdy tego nie doświadczył i wcale mu się to nie podobało.

Nie chodziło o śmierć Goliata... Niezupełnie. Kapitan tracił już ludzi, w konfliktach zbrojnych i w starciach cywili. To zawsze bolało, ale takie jest życie. Życie, które wybrał kilkadziesiąt lat temu, kiedy jako mizerna sierota po raz pierwszy zgłosił się do programu dla superżołnierzy w czasie wojny.

Falcon owijał Kapitanowi głowę grubym bandażem.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Kapitan zrozumiał, że nie chodziło o tę śmierć. Chodziło o to, jak zginął Bill Foster. Mężczyźni i kobiety służący pod Kapitanem umierali, broniąc ojczyzny, ratując niewinne ofiary lub pomagając ocalić towarzyszków broni. Niekiedy traciło się też ludzi w zwykłych tragicznych wypadkach. Po takim wydarzeniu wznosiło się żałobny toast, biło kilka razy pięścią w ścianę i żyło się dalej.

Tym razem było inaczej. Śmierć Goliata bezpośrednio wynikała z działań Tony'ego Starka – człowieka, którego Kapitan od wielu lat nazywał przyjacielem.

Kapitan kaszlnął i skrzywił się. Wszystko go bolało: głowa, ramiona, nogi. Tony dał mu niezły wycisk.

Falcon zawiązał ostatni bandaż i spojrzał na zabandażowanego.

– Wyglądasz prawie jak mumia, która uciekła z grobowca – powiedział skrzydlaty bohater. – Ale zostało ci jeszcze kilka zębów.

– Zamierzam ich używać – odparł Kapitan.

Pociągnął za elektrody przymocowane do zabandażowanej piersi. Skrzydło medyczne siedziby Ruchu Oporu było

zadziwiająco dobrze wyposażone w sprzęt diagnostyczny. Przy monitorach stała techniczka w białym kitlu; jak każdego, kogo zatrudnili, osobiście zweryfikowało ją co najmniej dwóch członków ruchu.

Do pomieszczenia wszedł Hawkeye, a w ślad za nim Dagger, Stature, Speed i Patriot. Młodzi wyglądali na roztrzęsionych, niepewnych. Tak samo Hawk.

– Jak się czuje staruszek? – spytał Hawkeye.

– Potrzebuję twojej pomocy, Hawk. – Kapitan wstał i zerwał z siebie elektrody, ignorując protesty laborantki. – Będziemy musieli opuścić to miejsce. Tony zrobi wszystko, żeby nas znaleźć; nawet niezarejestrowana baza T.A.R.C.Z.Y. to za duże ryzyko.

– Stój, Kapitanie – wtrącił Hawkeye. – Ani słowa więcej.

Kapitan zdumiał się. Falcon stanął tuż za nim.

Hawkeye opuścił wzrok, przełożył kołczan z jednego ramienia na drugie.

– Kapitanie, uważam, że powinniśmy zaapelować o amnestię.

– O amnestię? Czyś ty oszalał? – Kapitan wskazał na salę, krzywiąc się z bólu, gdy ramię na chwilę wypadło mu ze stawu. – Właśnie przybyło nam kolejnych czternastu zwolenników. Valkyrie, Nighthawk, Photon... Tony z każdą chwilą traci sojuszników.

– A ile ludzi my straciliśmy? Hulklinga, Wiccana, Daredevila, Cloaka... – Hawkeye odezwał się do Dagger, która skrzywiła się, słysząc imię partnera. – Przepraszam, mała.

– Hawk... – zaczął Falcon.

– Nie, nie, posłuchaj. Wszyscy są teraz w drodze do tego supergułagu, który buduje Reed Richards.

– A ty chcesz, żeby uszło im to płazem? – Kapitan ostrożnie dobierał słowa.

– Mogą teraz robić, co im się żywnie podoba – odparła Dagger. – Mają Thora po swojej stronie.

– To nie był Thor! – warknął Kapitan. – To był potwór Frankensteina, którego wyhodowali do swojej armii superbohaterów. Nie znałaś Thora, panienko. Nie myśl ani przez

chwilę, ani przez krótką chwilę, że Thor zamordowałby człowieka tak dobrego jak Bill Foster.

Dagger cofnęła się z przestachem. Stature położyła jej dłoń na ramieniu.

Kapitan natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. „Zbeształem młodą dziewczynę. Co się ze mną dzieje?”

– Kapitanie – zwrócił się do niego Hawkeye. – Byłem już kiedyś poza prawem. Spędziłem tak dużą część życia. To jest do dupy. Pomogłeś mi z tego wyjść... Cholera, przez chwilę ty i ja faktycznie byliśmy Avengersami. I powiedziałaś mi kiedyś: gdy prawo ma nad tobą przewagę dwadzieścia do jednego, przychodzi czas, że musisz przestać walczyć.

– Tak jest, kiedy stoisz po złej stronie. – Kapitan wpatrywał się w niego uważnie. – Kiedy to ty masz rację, nie cofasz się przed niczym i utrzymujesz to cholerne stanowisko.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu Billa Fostera. Ale on był martwy w chwili, gdy pomyślał, że jest większy od prawa.

– Hawkeye.

– Przestań, Kapitanie. Odchodzę. Nieważne, co zrobisz, nie mów mi, dokąd zamierzasz przenieść bazę.

– Nie powiedziałbym ci nawet, która godzina.

– To dobrze. Bo powinieneś myśleć o czym innym. Im więcej ludzi dołączy do twojego podziemnego klubiku, tym większe prawdopodobieństwo, że w twoich szeregach znajdzie się kret.

Kapitan nie odpowiedział. Już wcześniej przyszło mu to do głowy. Tony trochę za łatwo zdołał zwabić ich do tej rafinerii.

Hawkeye odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– I co teraz, Clint? – Falcon zacisnęła pięści z wściekłości. – Pójdiesz w kamasze i skopiesz tyłek każdemu, kogo ci wskażą?

– Nie. – głos Hawkeye’a był teraz miękki. – Będę tym dobrym.

Wszyscy milczeli. Patriot rzucił pytające spojrzenie Speedowi, który uśmiechnął się nerwowo i wzruszył ramionami. Speed spojrzął z kolei na Stature – ta odwróciła wzrok.

I wtedy Stature ruszyła za Hawkeye’em.

Patriot wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

– Cassie?

– Przykro mi, Eli, ale nie chcę skończyć w jakimś superwięzieniu jak Wiccan i Hulkling. Weszłam w to, żeby walczyć ze złoćyńcami, nie glinami i innymi bohaterami.

Speed zawirował wokół niej, dotknął jej ramienia.

– No weź, Cass...

– Wiesz, jak to się skończy, Tommy. – Stature zerknęła przelotnie na Kapitana. – To tylko kolejny stary człowiek, który boi się przyszłości.

– Idź. – Głos Kapitana przypominał niski pomruk. – Jeśli twoja wolność tak mało dla ciebie znaczy.

Stature skrzywiła się i szybko uściskała kolegów z drużyny. Potem pobiegła w ślad za Hawkeye'em.

– Eli, Tommy? A wy?

Patriot spojrział na towarzysza; Speed w odpowiedzi wyszczerzył zęby. – Wchodzimy w to.

– Dagger?

Dłonie młodej superbohaterki rozbłysły, w powietrzu zalśniły świetlne ostrza. Jej oczy pały wewnętrznym blaskiem i determinacją.

– Chcę odzyskać mojego partnera – oznajmiła.

Kapitan przytaknął z aprobatą.

– Dobrze.

Wokół przywódcy zebrali się: Falcon, Patriot, Speed i Dagger. Wszyscy szukali u niego wskazówek, oczekiwali, że przejmie dowodzenie. Przez ułamek sekundy mrok we wnętrzu Kapitana osłabł, rozjaśnił się.

Lider miał nadzieję, że będzie godny tych spojrzeń.

– Przed nami mnóstwo pracy. Falcon, zawiadom wszystkie oddziały, że stąd spadamy. Zdaje się, że Cage ma w Harlemie kryjówkę, z której możemy przez chwilę korzystać. Dagger, sprawdź, czy ktokolwiek zna się na systemach bezpieczeństwa Stark Enterprises. Patriot, Speed, pogadajcie z nowo zwerbowanymi. Sporządźcie listę ich supermocy.

Kiedy się rozeszli, Kapitan ruszył się z miejsca. Ból w nodze eksplodował, Ameryka prawie upadł.

– I czy ktoś może przynieść mi paracetamol?

OD KONFERENCJI prasowej minęło dwanaście dni. Dwanaście dni, które wywróciły życie Petera Parkera do góry nogami.

Ciocia May była nękana przez reporterów i zmuszona do zaszcucia się w domu. Ludzie wyzywali Petera od zdrajców na ulicach. „Daily Bugle” wystosował przeciwko niemu pozew o świadome wprowadzenie w błąd i złamanie zasad kontraktu, podał też sumę zapłaconą przez te wszystkie lata za zdjęcia Spider-Mana w akcji.

Wizyta Petera w starym liceum zamieniła się w koszmar, kiedy Doktor Octopus wpadł bez zaproszenia na jego gościnny wykład o fizyce. Na szczęście żadnemu uczniowi ani nauczycielowi nic się nie stało. Ale dyrektor Dillon wyraźnie stwierdził, że kolejne spotkania z absolwentem nie będą mile widziane.

Od tamtej pory zaczął mieć problemy ze snem. Budził się po kilka razy każdej nocy, słysząc w głowie niskie dudnienie. Nigdy wcześniej nie miewał migren i zastanawiał się, czy to przypadkiem nie pierwsze objawy.

Potem był Goliat. Następnie ta straszna scena, którą pokazali Peterowi w rozdzielczości HD przez wizjer w nowym stroju – scena, której nie mógł wyrzucić z głowy.

Zatem Spider-Man przespał na stojąco podróż z Tonym i Reedem. T.A.R.C.Z.A. otoczyła kordonem ciężarówek i karettek więziennych kilka kwartałów w centrum, odcinając Baxter Building. Peter spytał Tony’ego o przyczynę. „Transport więźniów”, brzmiała odpowiedź.

Spider-Man, huśtając się na pajęczynach, przebył drogę nad pustą ulicą i wylądował na ścianie Baxter Building. Tony i Reed dezaktywowali system obronny w głównych drzwiach. Cztery czy pięć śmigłowców T.A.R.C.Z.Y. unosiło się na niebie razem

z powietrznym centrum dowodzenia Marii Hill.

Spider-Manowi przemknęło przez myśl pytanie: „Właściwie to ilu agentów ma T.A.R.C.Z.A.?”

– Stark do komandor Hill – zadzwonił Spidey’emu w uchu metaliczny głos Tony’ego. – Mario, mam coś do załatwienia na górze. Czy twoi chłopcy mogą się zająć transferem?

– Myślę, że mamy wszystko pod kontrolą, panie Stark.

Spider-Man zadumał się. Lubił Tony’ego, czuł wobec niego autentyczną wdzięczność i wierzył w jego sprawę – w potrzebę ochrony niewinnych ludzi przed potężnymi metaludźmi. Z biegiem czasu walki superludzi stawały się raz za razem bardziej zabójcze i zaciekle, co znajdowało wyraz w coraz większym odsetku cywili wśród ofiar. Gdyby Tony’emu udało się odwrócić ten trend, Spidey poszedłby za nim na koniec świata.

Ale Tony nie mówił mu wszystkiego. Na przykład tego, że na jego zlecenie naukowcy sklonowali martwego boga. Czy Tony zachomikował w zamrażarce pukiel włosów każdego bohatera, ot tak, na wszelki wypadek?

Wszystko działo się bardzo szybko. Spider-Man ledwie nadązał otrząsnąć się z szoku, kiedy kolejne wstrząsające wydarzenie go powalało.

Powalało.

Jak Goliata.

– Peter! – zawołał Tony. – Wchodzisz czy nie?

PORTAL prowadzący do Strefy Negatywnej pulsował życiem, światełka migotały na metalowej obudowie. W środku widniała niesamowita mgławica w otoczeniu aureoli z gwiazd i asteroid. Napis na wyświetlaczu głosił: PROJEKT 42 PRZEJŚCIE / AKTYWNE.

– Twój strój cię ochroni – wyjaśnił Tony. – Załóż tylko plecak grawitacyjny, żeby móc manewrować.

Spider-Man zarzucił na plecy zaskakująco lekki metalowy tornister. Wskazał na portal:

– Tam jest to więzienie?

– Ośrodek internowania – poprawił go Tony. – Reed, poproszę kod dostępu.

Brak odpowiedzi. Spidey spojrział na Reeda i zobaczył, jak Pan Fantastic garbi się nad pulpitem sterowniczym, patrząc pusto przed siebie. Swą wydłużoną ręką manipulował za konsolę po drugiej stronie sali.

– Reed?

– Mhm? – Richards podniósł wzrok. Miał zaczerwienione oczy. – Ach, tak. Oczywiście.

Szybko wpisał hasło, dostosowując odpowiednio długość palców, by dosięgnąć klawiszy. – Przesyłam kod do twojego pancerza, Tony.

– Mam. Wiesz, co robić, kiedy przybędzie T.A.R.C.Z.A.?

Znów brak odpowiedzi.

Reed milczał już w drodze do wieżowca. „Problemy małżeńskie”, pomyślał Spider-Man. „Ciekawe, jakie to uczucie”.

– Sławetna Strefa Negatywna – powiedział Spidey. – Wejdzimy do środka? Tak po prostu...?

– Podążaj za mną.

Odrzutowe buty Tony’ego rozbłyły. Wzniósł się nad ziemię, przechylił ciało do pozycji poziomej i przeleciał naprzeciwko.

Spider-Man gapił się przez chwilę, potem wzruszył ramionami i wskoczył.

Przejściu przez portal towarzyszyło uczucie, którego nie umiał z niczym porównać. Najpierw ramiona, potem głowa, następnie tułów i nogi – wszystko stało się jakby odwrócone. Proces ten nie był bolesny, ale go zaniepokoił.

A potem Peter znalazł się w środku i portal zniknął. Dookoła ciągnęła się Strefa Negatywna, ogromna, jasna przestrzeń wypełniona obiektami o wszelkich możliwych rozmiarach i kształtach – gwiazdami, poszczerbionymi asteroidami, odległymi planetami. Wyglądało to, jakby ktoś stłoczył w głębokim kosmosie dodatkową materię i umieścił ukryte krzywe zwierciadła, żeby zniekształcić odległości.

– Dziwne, co? – Tony szybował tuż przed nim. – Ale można się przyzwyczaić.

– Czuję się, jakby... Coś wywróciło mnie na lewą stronę – powiedział Spider-Man.

– Mniej więcej to właśnie się dzieje.

– Jak to możliwe? Jakim cudem nie zginęliśmy?

– Spytałem o to kiedyś Reeda – odparł Tony. – Rozpoczął skomplikowaną tyradę o fizyce kwantowej, nic z tego nie rozumiałem. Potem urwał w pół zdania i pojawił mu się na twarzy ten figlarny uśmieszek.

– On też nie wie.

– Nie wie.

Tony wskazał na skupisko asteroid i ruszył ku niemu. Spider-Man poszedł w jego ślady, włączając plecak grawitacyjny przez mentalne sterowanie w kostiumie.

– T.A.R.C.Z.A. przygotowuje transport więźniów – powiedział Spidey. – Rozumiem, że chodzi o chłopaków, których zgarnęliśmy w rafinerii?

– Zgadza się.

– Tak to będzie działać? Każdy, kto się nie zarejestruje, zostanie przewieziony do Baxter Building, a potem przesłany tutaj?

– Tylko tymczasowo. Reed Richards pierwszy odkrył Strefę Negatywną. Obecnie prowadzi do niej jeden portal na Ziemi, ten, przez który właśnie przeszliśmy w laboratorium. Ale Stark Enterprises konstruuje już portale w największych więzieniach w całym kraju. Kiedy zaczną działać, osoby naruszające ustawę o rejestracji superludzi spotka taki sam los jak wszystkich przestępców: poszukiwani będą mieli odpowiednie władze na karku, a potem trafią tutaj.

Spider-Man zdziwił się.

– Zapomniałeś o prawie do sądu.

– Peter, w ustawie nie ma przepisów o sądzie.

– Co?

– Nie dajesz bombie atomowej prawa do sądu. Ani żołnierzowi wroga na polu bitwy. – Tony wskazał w górę. – Zmiana kursu. Lecić za mną.

Przed nimi pojawiła się asteroida – jedna poszarpana skała spośród wielu. Na jej powierzchni połyskiwały budynki, odbijając

światło gwiazd. Spider-Man wpatrywał się w ten widok przez chwilę, aż poczuł mdłości.

– Za mną, obniż lot, Peter. I nie zbaczaj z ku... Peter?

Konstrukcje na powierzchni planetoidy były teraz dobrze widoczne, pięły się jak zbudowane ręką ludzką bloki mieszkalne. Ale coś wydawało się bardzo nie tak. Konfiguracja zabudowań zdawała się zmieniać, przerażająco przybierając to taki, to znów inny układ. Spider-Man przyglądał się temu spektaklowi, z każdą metamorfozą czując falę paniki. Jego żołądek i rdzeń kręgowy krzyczały: ta architektura jest nieludzka. Wynaturzona, przerażająca. Zła.

Głos Tony’ego zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.

– ...przepraszam. Ustaw wizjer na filtr osiemnasty, moc o jedną kreskę poniżej maksimum.

Spidey ledwo rozumiał słowa. Gapił się z niedowierzaniem, drgała mu powieka.

– Co?

– Nieważne. Sam to zrobię.

Obraz w szklach Spider-Mana rozmazał się i na chwilę zniknął. Peter zamrugał w dezorientacji, po czym wszystko w polu widzenia znów stało się wyraźne.

Budynki przestały się poruszać. Wznosiły się teraz jak futurystyczne miasto – lśniące i majestatyczne na tle nagiej skały asteroidy. Daleko w dole strażnicy w pełnym rynsztunku patrolowali okolicę więzienia i szybowali wokół najwyższych wież.

– To protokół bezpieczeństwa stworzony przez Reeda – wytłumaczył Tony. – Wykorzystuje specjalnie zaprojektowaną konfigurację architektoniczną w połączeniu z wyjątkowymi właściwościami Strefy Negatywnej, by stworzyć środowisko, z którego praktycznie nie da się uciec.

Spider-Man unosił się w przestrzeni, patrząc na skupisko wież. Wspomniał, jak działały na niego kilka sekund wcześniej, i zadrzał.

„*Ten cholerny Księżyc*”, wyszeptał.

– To jedna z ulubionych powieści science fiction Reeda. Myślę,

że się nią inspirował.

– Strażnicy mają ochronne szkła?

– W sumie większość z nich to roboty.

Tony poprowadził go na lądowisko, gdzie lśniący metal, z którego zbudowano kompleks, urywał się i zaczynała naga skała. Zbliżyły się do nich trzy roboty wartownicze z karabinami pulsacyjnymi wystającymi z ramion.

– POSTERUNEK BRAVO ROZPOZNAJE ANTHONY’EGO STARKA. ZIDENTYFIKUJ DRUGIEGO HUMANOIDA.

– Spider-Man, prawdziwe imię i nazwisko: Peter Parker – odparł Tony. – Gość Anthony’ego Starka.

– POTWIERDZAM. DANE SĄ W KARTOTECE. – Twarz starszego strażnika była pusta, za czarnym szkłem wizjera migotały lampki. – PROSZĘ PODAĆ KOD DOSTĘPU.

– Tango Sierra Lloyd Bridges.

– POTWIERDZAM KOD DOSTĘPU.

Strażnicy zrobili przejście. Tony poprowadził Spider-Mana ku pozornie gładkiej srebrnej ścianie. Drzwi wysokie na sześć metrów i niemal równie szerokie otwały się niczym przysłona w aparacie.

– Lloyd Bridges? – spytał Spidey.

– Specjalna aplikacja co pół godziny generuje losowe hasło. Apka ma zaskakującą słabość do aktorów telewizyjnych z lat sześćdziesiątych – wczoraj byli Charlie Foxtrot i Adam West. – Tony zaśmiał się. – Kiedy dojdzie do Sebastiana Cabota, będzie trzeba wyłączyć to ustrojstwo.

Obszernym korytarzem wyszli na podwórze, gdzie w przywiezionej z Ziemi glebie kiełkowały młode rośliny. Spider-Man wyciągnął szyję, spoglądając na pozbawione wyrazu wieżowce dookoła. Skała konstrukcji była niesamowita: wysokość sufitów, budynków i wszystkie pozostałe elementy zdawały się przesadnie ogromne i nowiutkie, wyjątkowo metalowe, całkowicie sterylne.

– Mówisz, że większość strażników to roboty?

– Jest tu trochę ludzi: personel medyczny i zarządcy. Dzięki temu mamy pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Dokładnie to z Reedem przedyskutowaliśmy i uznaliśmy, że im mniej możliwości popełnienia błędów przez człowieka, tym lepiej.

Tony prowadził przez mniejsze, ciaśniejsze przejście. Uniósł dłoń w metalowej rękawicy i ciężkie drzwi otwały się z sykiem.

– Tu są pokoje.

– Masz na myśli cele?

– Kwestia semantyki.

Wzdłuż korytarza ciągnęły się grube, kanciaste, metalowe drzwi z wąskimi wizjerami z lustra weneckiego na wysokości oczu. Spider-Man wskoczył na ścianę i przekradł się do pierwszego wejścia. Chciał zdjąć maskę.

– Ostrożnie – ostrzegł go Tony. – Jeśli pozbędziesz się wizjera z filtrem, znów wpadniesz w dezorientację. Efekt działa w całym więzieniu poza celami.

– Tajest. – Spidey nachylił się, by spojrzeć do środka celi przez szybkę.

Pomieszczenie wyglądało jak ascetycznieumeblowany pokój dzienny, który mógłby się znajdować gdziekolwiek. Mieściły się tam kanapa, telewizor z płaskim ekranem, biurko z wbudowanym monitorem komputera. Małe składane łóżko było wmontowane w ścianę – Spider-Man zauważył też kawałek aneksu kuchennego z tyłu. Jedyнным dziwnym elementem wystroju był duży fotel z obręczami na nadgarstki i wiszącym ponad hełmem.

– Muszę przyznać, że wygląda lepiej niż moje pierwsze mieszkanie na Manhattanie. No i jest większe. – Spidey wzruszył ramionami. – Co to za fotel?

– System rzeczywistości wirtualnej. Nawet siedząc w pace, będą mogli wyjechać na wakacje dla umysłu. Prawdopodobnie musimy jeszcze zmodyfikować wynalazek pod kątem złooczyńców ze zdolnościami do manipulowania elektroniką.

– Nie widzę nikogo w środku.

– Obiekt dopiero co ukończono. Tylko nieliczne cele są zajęte. – Tony sprawdził jakiś plik na wewnętrznym ekranie. – O. Spróbuj tutaj.

Spider-Man zeskoczył na podłogę, podszedł do następnej celi. Zajrzał przez szybkę.

Zobaczył, jak kaskada piasku spadła i wylądowała na stercie ubrań leżącej na posadzce. Piasek skupił się, zaczął tworzyć kształt i wzniósł się z podłogi. Wypełnił obcisłe dżinsy i koszulkę, tworząc charakterystyczny kształt dawnego wroga Spider-Mana: Sandmana.

– Schwytaliśmy go parę tygodni temu – powiedział Spidey. – Razem ze Złowieszczą Szóstką.

– Ty go schwytałeś – odparł Tony. – To była dobra robota.

Sandman przekartkował czasopismo, po czym wziął pilota i klapnął na kanapę, rozrzucając dookoła ziarnka piasku.

– Wygląda jakoś smutno – powiedział Spider-Man.

– Smutno? Jest w więzieniu. – Tony odwrócił się do Spidey’ego. – Tacy jak Sandman są zbyt niebezpieczni, nie pozwolimy im chodzić wolno. Wiesz o tym.

– Nie chcę się o to spierać, ale... Wielu moich przyjaciół, naszych przyjaciół, też tu trafi. Zamkną ich tu tak jak jego.

– Wszystkie ich potrzeby zostaną zaspokojone. Zaznają wygod.

– Ale nie będą mogli wyjść.

– Oczywiście, że mogą. Jeśli tylko zgodzą się na rejestrację, podadzą swoją tożsamość do publicznej wiadomości i zobowiążą się przestrzegać prawa Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeżeli pójdą za twoim przykładem, który dałeś na konferencji prasowej.

Spider-Man znów poczuł ten szum w głowie. Ból, który nie pozwalał mu spać przez ostatnich kilka nocy.

– Chodź – powiedział Tony. – Wahadłowiec T.A.R.C.Z.Y. powinien tu zaraz być.

Spidey poszedł za dowódcą. Wracali tą samą drogą przez korytarze, podwórze i wielkie metalowe drzwi. Kręciło mu się w głowie. Budynki wznosiły się na sto, może sto pięćdziesiąt kondygnacji. Ilu ludzi miało tu ostatecznie przebywać? Jak długo będą tu siedzieć? Ile to wszystko kosztowało?

Do lądowania nieopodal podchodził właśnie wahadłowiec T.A.R.C.Z.Y. Wyglądał jak latająca wersja Mobilnego Busa, szeroki i ciężki, z dyszami silników raketowych we wszystkich czterech

kątach rufy.

Z sykiem otworzył się właz. Wymaszerowali dwaj agenci T.A.R.C.Z.Y. w pełnym rynsztunku i ochronnych goglach. Robotwartownik ruszył im na spotkanie.

– PROSZĘ PODAĆ KOD DOSTĘPU.

– Echo Delta Julie Newmar – powiedział agent.

– POTWIERDZAM KOD DOSTĘPU.

Tony odezwał się do Spider-Mana.

– Te kody są coraz lepsze.

Jeden z agentów pokazał na wewnątrz statku. Dwaj kolejni wyprowadzili Cloaka na lądowisko. Chłopak od stóp do głów ubrany był w kostium, ale na kostkach i nadgarstkach miał kajdanki. Na głowę wciśnięto mu masywny hełm, który zakrywał oczy.

– Tłumik mocy – wyjaśnił Tony. – Chroni ich też przed efektem zniekształceń.

Następnie wyszli, potykając się, Wiccan i Hulkling w podobnych hełmach zasłaniających oczy.

– Przydzielono im dwuosobowy pokój, żeby byli razem. Nie chcemy nikogo karać, Peter. Wystarczy izolacja.

Wysoki, potężnie zbudowany agent zamykał grupę, prowadząc Daredevila w czerwonym stroju. Pomimo kajdan DD szedł lekkim krokiem. Kiedy zrównał się z Tonym i Peterem, przystanął i spojrział jakby prosto na nich, mimo że oczy zasłaniał mu hełm.

„Ma radarowy słuch”, pomyślał Spider-Man. „Tłumik nie może całkowicie go zneutralizować”.

– Tony Stark we własnej osobie – ogłosił Daredevil. – Przybyłeś, żeby podziwiać swoje dzieło?

Tony nie odpowiedział.

– Imponujące. – Daredevil wskazał na strzeliste wieże. – A zbudowało je Stark Enterprises, zgadza się? Rząd naprawdę rozdał trochę kontraktów bez przetargu. Ile milionów zarobiłeś w tym miesiącu?

Spider-Man spytał Tony'ego:

– Milionów?

Stark zawahał się.

„To wszystko warte jest znacznie więcej niż kilka milionów”, uświadomił sobie wstrząśnięty Spidey.

„W grę wchodzi raczej miliardy”.

Agent T.A.R.C.Z.Y. szturchnął Daredevila, każąc mu iść naprzód. Ale Tony zaprotestował.

– Wystarczy, agencie. Chciałbym z nim porozmawiać w drodze do celi.

Daredevil w odpowiedzi zwrócił ślepe, zasłonięte oczy na Tony’ego i Spider-Mana. Potem ruszył do drzwi. Tony szedł obok niego, Spidey za nimi.

– Daredevil... Matt, prawda? Zresztą nieważne. – Tony otworzył drzwi. – Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego to robimy. Zapewniam cię, nie odczuwam żadnej przyjemności, polując na swoich znajomych.

Usta Daredevila skrzywiły się z obrzydzeniem.

– Siedziałem w Waszyngtonie na Kapitolu – ciągnął Tony – i słuchałem, jak omawiali każdy aspekt tej sprawy. Ostatecznie sprowadzili możliwości do dwóch. Rejestracja albo całkowity zakaz działalności superbohaterskiej. Chyba się zgodzisz, że nikt z nas tego nie chce.

Słyszałeś o Inicjatywie Pięćdziesięciu Stanów? To prawda. Wprowadzamy ją. Powstanie pięćdziesiąt superdrużyn, po jednej na każdy stan. Wszyscy członkowie mają być wyszkoleni, zarejestrowani i odpowiadać przed amerykańskim podatnikiem. To następny etap ewolucji superludzi. Trenujemy już nowych herosów i pracujemy nad znalezieniem miejsca dla każdego, kto będzie chciał dołączyć. Jeśli jesteś zainteresowany, jeżeli chcesz się teraz przyznać, zarejestrować i działać otwarcie, będziesz pierwszy na mojej liście. Możesz nawet dostać własny zespół, dyktować warunki. Co ty na to?

Dotarli do bloku więziennego. Agent T.A.R.C.Z.Y. podniósł kartę dostępu i powiedział kilka słów przy wejściu. Drzwi otwarły się z sykiem. Pokój wyglądał zupełnie jak cela Sandmana. Spider-Man zauważył, że był trochę schludniejszy.

– Jeśli się nie zdecydujesz – kontynuował Tony – widzisz, jaka została ci alternatywa. I tego też nikt nie chce.

Daredevil stał w progu, milczący i ponury. W końcu zwrócił się do agenta T.A.R.C.Z.Y.

– Agencie Chiang – powiedział Daredevil. – Może pan mu to teraz dać?

Tony spytał agenta:

– Co mi dać?

– No tak. – Agent Chiang sięgnął do kieszeni i wyjął mały dysk. – Podczas przeszukania znaleźliśmy to u niego pod językiem. Sprawdziliśmy, jest nieszkodliwe. Ale powiedział, że trzymał to dla pana.

Tony wziął przedmiot w dłoń. Spider-Man zajrzał mu przez ramię i zobaczył, co to było: zwykła srebrna jednodolarówka.

– Nie... Nie rozumiem – powiedział Tony.

Daredevil obejrzał się za siebie.

– Masz teraz trzydzieści jeden srebrników, Judaszu.

Wszedł do celi. Drzwi zamknęły się za nim ze świstem.

Agent zabezpieczył drzwi kodem i ruszył korytarzem do wyjścia. – Chodźmy – nakazał Tony.

Spider-Man zwlekał przez chwilę, wpatrując się w wejście do celi, za którym siedział jego stary przyjaciel. Dudnienie w głowie wydawało mu się teraz głośniejsze, pulsowało, wypełniając cały umysł.

Ruszył za Starkiem do wyjścia. Mijali liczne cele, które wkrótce będą pełne, oraz sale ćwiczeń i spacerniaki, z których niebawem skorzystają więźniowie. Tony sprawiał wrażenie zmęczonego rozmową: był cichy, zamyślony.

Spider-Man z wolna zdał sobie sprawę, czym właściwie był jego ból głowy. To pajęczy zmysł. Nie był jednak ostrym wstrząsem ostrzegającym przed bezpośrednim zagrożeniem, do takich sygnałów był przyzwyczajony. To uczucie było słabsze, powolniejsze, stabilniejsze. Niepokój zupełnie innego rodzaju.

Podążał za Tonym Starkiem. Wyszedł na zewnątrz i odleciał z powierzchni asteroidy, znalazł się z dala od więzienia zwanego Projektem 42. Ale nie potrafił uciec od brzęczenia w głowie. Od dokuczliwego przecucia, że dzieje się bardzo źle i będzie jeszcze gorzej.

*Kochany Reedzie,
przede wszystkim chciałam, żebyś wiedział, że Johnny czuje się
lepiej. Wczoraj pozbył się szwów i wraca teraz do zdrowia
w luksusowym apartamencie niejakej „Mariki”.*

*Stary dobry Johnny. Wiem, że powinnam być szczęśliwa, ale nie
jestem.*

*Tak bardzo się za Ciebie wstydzę, Reed. I za siebie też, w końcu
się na to zgadzałam i biernie wspierałam wasze faszystowskie
plany.*

Dlatego odchodzę.

NA ŁÓŻKU leżała w połowie spakowana walizka – niewielka, podręczna, z małymi kółkami. Ledwie pomieściła: komplet ubrań na zmianę, przybory toaletowe i znoszony błękitny kostium superbohaterki. Jakimś cudem strój wciąż pasował, nawet gdy urodziła dwoje dzieci i stoczyła kilkadziesiąt walk z superzłoczyńcami.

Sue uśmiechnęła się. „To pewnie te niestabilne cząsteczki”, pomyślała.

Musiała wkraść się do własnego domu, ominąwszy blokadę T.A.R.C.Z.Y. Gdyby Reed sprawdził dziennik wejść, zobaczyłby, że użyła swojego kodu do drzwi. Kamery bezpieczeństwa oczywiście też nagrałyby, jak wejście do budynku na chwilę się otwiera, a potem zatrzaskuje. Nie pokazałyby wprawdzie, że ktoś wchodzi do środka, bo i nikt nie wszedł. Przynajmniej nikt widzialny.

Ale Reed był zajęty czym innym. Bardzo, bardzo zajęty – jeszcze bardziej niż zwykle. Przebywał właśnie piętro wyżej, wraz

z Tonym Starkiem nadzorowali transfer pojmanych członków Ruchu Oporu do tego koszmarnego więzienia, jakie zbudowali w Strefie Negatywnej.

Sue nie czuła potrzeby, by pozostawać niewidzialną wewnątrz budynku. Reed na pewno by jej nie zauważył. Ostatnio nie miał czasu dla nikogo prócz Tony'ego.

Wysunęła górną szufladę biurka w poszukiwaniu starego, nieużywanego już komunikatora. Znalazła nieporęczne walkietalkie z wygrawerowaną czwórka. Rzuciła je na łóżko, obok walizki... I wtedy jej wzrok padł na rzecz leżącą w głębi szuflady. Wyciągnęła przedmiot, podniosła go do światła.

Model statku kosmicznego. I to nie było jakie, ale replika prywatnego statku, którym pilot Ben Grimm wystartował z pustyni tamtej pamiętnej nocy. Tej nocy, kiedy Sue, Reed, Ben i Johnny stawili czoła wiązce promieniowania kosmicznego na granicy atmosfery ziemskiej i zamienili się w Fantastyczną Czwórkę.

Prawie zapomniała o tym prototypie. Reed stworzył go na ich pierwszą rocznicę ślubu. Pomalowanie wszystkich szczegółów – łącznie ze srebrnymi detalami na staromodnych dyszach silników raketowych – wymagało ogromnej precyzji. W kokpicie widać było nawet cztery sylwetki.

Pamiętała, jak pomyślała wtedy, że to chyba najgorszy prezent rocznicowy w historii ludzkości. I dzięki temu pokochała Reeda jeszcze mocniej.

Otarła łzę. Włączyła stojący na stoliku nocnym monitor z widokiem dziecięcego pokoju. Przez chwilę słuchała głosów Franklina i Valerii kłócących się z Herbie, ich robotyczną nianią, o to, kto wybierze film do obejrzenia.

Wtedy usłyszała tuż zza drzwi dźwięk. Szybko wyłączyła monitor i stała się niewidzialna – potem zmieniła zdanie i znów się pojawiła. Nie było sensu się ukrywać. Jeśli Reed nie wiedział jeszcze, że tu jest, na wpół spakowana walizka ją zdradzi.

– Suzie?

Postać w drzwiach była większa od Reeda. Kamienny Ben Grimm stał przygarbiony, niemal zrezygnowany. Sue chciała

odetchnąć z ulgą, ale niemal się zakrztusiła, kiedy zobaczyła, co trzymał w rękach.

Kolejną walizkę. Całkowicie spakowaną.

Zrozum mnie, Kochanie, to nie jest wołanie o uwagę. Nie chcę odciągać Cię od Twojej jakże ważnej pracy.

Robię to, ponieważ masz ręce we krwi Billa Fostera. I jesteś tak zaślepiony przez swoje wykresy, prognozy i katastroficzne wizje, że nawet tego nie widzisz.

Dziś złamałam prawo.

Pomogłam grupie poszukiwanych przestępców uciec przed legalnie powołanymi siłami wymiaru sprawiedliwości. Tak się składa, że ci zbrodniarze należą do naszych najlepszych przyjaciół i wpadli w szpony strażników prawa przez zwykłą chęć pomocy niewinnym ludziom. Ale wygląda na to, że to bez znaczenia.

Tony i jego banda zbirów mają teraz ręce pełne roboty: wylizują się z ran, zamykają innych w więzieniu i organizują w całym kraju ośrodki treningowe dla superbohaterów. Jeśli pozostała im choć odrobina przyzwoitości, to mam nadzieję, że urządzają też pogrzeb biednemu Billowi Fosterowi.

Ale prędzej czy później zaczną ścigać mnie za to, co zrobiłam. Odgrywasz ważną rolę w planach Tony'ego, więc pewnie zaoferują mi amnestię. Nie chcę stawiać cię w takim położeniu, ale, co ważniejsze, nie chcę ich amnestii.

Chcę robić to, co należy.

Przez chwilę gapili się na siebie w zakłopotaniu.

– Odchodzisz? – spytała Sue.

Ben wskazał na jej walizkę.

– A ty?

– Muszę, Ben. Po tym, co stało się dzisiaj... – skrzywiła się, poczuła, jak do oczu znów napływają jej łzy. – Ale co z tobą? Nie rozumiem... Ty też chcesz się przyłączyć do grupy Kapitana Ameryki?

– Gdzie tam. – Opuścił walizę, a ta wylądowała z głośnym łupnięciem. „Co on tam ma?“, pomyślała Sue. „Kamienie na

zapas?”

– Suzie, rozejrzałem się jak trza, kiedy skończyliśmy się bić. Po całej hali fabrycznej. Po podłodze pływała jakaś toksyczna breja, wszędzie leżały kawałki metalu i potłuczone szkło, nie została ani jedna ściana w całości. Wiadomo, Tony rozpieprzył tę budę, żeby zastawić pułapkę. Ale widziałem, co się działo, kiedy walczyliśmy w tej zamkniętej przestrzeni jak zagłodzone szczury. I tak sobie myślałem: a co, gdyby byli tam ludzie? Gdyby choć jeden cywil, jakiś pismak na ten przykład, prześlizgnął się przez blokadę i znalazł się w żelaznym uścisku między mną a Lukiem Cage’em? Albo wpadł pod wielką kadź z kwasem, którą zrzucił Falcon?

– Wiem. – Sue podeszła bliżej. – Słuchaj. Jestem umówiona o...

– Nie, nie, nie! Nie chcę wiedzieć. Nie biorę niczyjej strony. Po mojemu to Kapitan jest równie winny co Tony Stark.

– Co ty mówisz? – zapytała Sue, nie posiadając się ze zdumienia.

– Mówię, że ustawa o rejestracji jest zła. Nie mogę bronić prawa, w które nie wierzę.

– To właśnie...

– Ale wciąż jestem patriotą, Suzie. Kocham mój kraj. Nie będę walczył przeciwko rządowi i nie dam się nazwać kryminalistą. Wychodzi na to, że mam tylko jeden wybór. Wyjeżdżam z kraju.

Sue znieruchomiała, potem cofnęła się o krok.

– Ach tak.

– Chyba do Francji. Znikam przynajmniej do czasu, aż to wszystko się przewali. – Spojrzał na stolik nocny, a jego duże niebieskie oczy patrzyły zamglonym wzrokiem. – O rany, popatrz.

Sue podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła model statku kosmicznego. Podniosła go i podała Benowi. Stali przez chwilę, patrząc na makietę.

– Byliśmy pierwsi – szepnęła.

– No. – Miał dziwny wyraz oczu. – Żałujesz tego czasem, Suzie?

– Czego?

– Tego wszystkiego. Lotu kosmicznego, mocy. Latania za Mózgiem po całym wszechświecie: w kosmos, w inne wymiary,

do tej zakichanej Strefy Negatywnej. Te walki, dramaty... Przez chwilę kręciło się wokół ciebie paru innych gości.

Sue nachmurzyła się.

– Ben...

– Żałujesz czasem, że za niego wyszłaś? Że wybrałaś stabilizację?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Nie wiem, czy nazwałabym to „stabilizacją”.

– To nie jest odpowiedź.

Z leżącego na łożku komunikatora dobiegło przeszywające bzyczenie. Sue szybko złapała za słuchawkę.

Ben uniósł krzaczastą brew.

– Dawno czegoś takiego nie widziałem.

Uniosła palec, nakazując mu, żeby zaczekał.

– Johnny?

Głos jej brata przebijał się przez szum zakłóceń.

– Jesteś tam, siostra?

– Zaczekaj chwilę, Johnny. – Zwróciła się do Grimma: – Ben...

– Muszę iść, Suzie. Powodzenia.

– Och... Nawzajem, ty mój wielki głąbie.

– Ale zrób coś dla mnie, dobra? – Ben miał śmiertelnie poważną minę. – Trzymaj się z dala od Atlantis.

– Siostra? Słabo cię słyszę.

– Zaczekaj, Johnny...

Ale kiedy zerknęła na drzwi, Bena już nie było.

Przez pewien okres nie będziesz też miał wiadomości od Johnny’ego. Zajmę się nim – jak zawsze.

Ale nie mogę zabrać Franklina i Valerii tam, dokąd idziemy. Zostawiam ich więc pod Twoją opieką. I błagam cię, Kochanie: znajdź dla nich czas, czas, który kiedyś tak rzadko dla nich miałeś.

Nie chciałam też, żeby twoje ostatnie wspomnienie o mnie było skalane wszystkimi kłótniami, które zgotowaliśmy sobie w ostatnich tygodniach. Cieszę się, że poszliśmy do łóżka ostatniej nocy i pragnę, byś wiedział, że było wspaniale. Zawsze było mi z tobą wspaniale.

A nawet fantastycznie.

– Siostra, nie używaliśmy tych komunikatorów od lat. Skąd ty je w ogóle wytrzasnęłaś?

– Komórki to za duże ryzyko, Johnny. Tony Stark ma dostęp do satelitów. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek jeszcze używał tej częstotliwości.

– Zawsze byłaś mózgiem rodziny. No... naszej rodziny. – Szum znów stał się głośniejszy, potem ucichł. – Następny krok?

– Gdzie jesteś? Nadal u Mariki?

– Martiki. Tak, to...

– Ach, Martiki. Nie, nic mi nie mów. Spotkajmy się za pół godziny, powiedzmy, pod klubem Blazer. Nikt się nie spodziewa, że znów nas tam zobaczy.

– Miejsce zbrodni. Podoba mi się.

– Spróbuj nie rzucać się w oczy. Ale bez głupich przebieranek. Sztuczny nos i okulary zostaw w domu.

– No nie, siostra. Łaski to uwielbiam.

– Muszę iść, Johnny. Do zobaczenia niedługo. Kocham cię.

– Ale z ciebie dziewczucha.

Komunikator umilkł.

Spojrzała na monitor. „Powinam pójść do dzieci”, pomyślała. „Ostatni raz. To będzie dla nich trudne. Ale wtedy nigdy nie odejdę”. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Wzięła model statku kosmicznego i zważyła go w dłoni. Potrzymała go nad walizką, a potem ostrożnie włożyła z powrotem do szuflady biurka.

„Jeszcze tu wrócę”, pomyślała. „Taką mam nadzieję”.

Potem zapięła walizę i stała się niewidzialna.

Mam nadzieję, że nie wychodzę na tchórza, odchodząc w ten sposób. Nie myśl, proszę, że jestem złą żoną, albo, co gorsza, złą matką.

Mam najlepsze chęci. Wiem, że kruczata Tony’ego Starka zrodziła się ze szlachetnych intencji. Ale wiem też, czuję to głęboko w sercu, że nie doprowadzi do niczego dobrego.

Reed, jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam. I mam nadzieję, modłę się, żeby twój geniusz zdoła znaleźć rozwiązanie tej sytuacji, zanim jedna strona wyrznie drugą w pień.

Kocham cię, mój drogi. Najbardziej na świecie.

Napraw to.

Susan

19

– MÓWIĘ CI, Peter, wszystko u mnie dobrze. Nikt mi nie groził, nikt... Peter, dokąd jedziemy?

Peter Parker spojrział na mapę w telefonie, potem poprosił taksówkarza:

– Niech pan skręci w lewo.

– Może nie jestem zachwycona, że przed moim domem cały czas stoją policjanci – ciągnęła ciocia May. – Ale traktowali mnie bardzo miło.

– To nie są policjanci, ciociu May. To agenci T.A.R.C.Z.Y.

– Tak czy owak, panie mądraliński, wciąż nie wiem, dlaczego musiałam spakować rzeczy i wymknąć się tak, żeby mnie nie widzieli. – Wyjrzała przez okno, krzywiąc się z niesmakiem. – I co my robimy na Brooklynie?

Kierowca zapytał:

– To ta przecznica, proszę pana?

– Chyba tak. Proszę zwolnić.

Fort Greene, podobnie jak wiele nowojorskich osiedli w ostatniej dekadzie, bardzo się rozwinął. Fasady starych budynków z brązowego piaskowca zostały oczyszczone, odświeżone i przywrócone do dziewiętnastowiecznej świetności.

– Peter...

– Daj mi chwilę, ciociu May. Proszę. – Zamyślił się, wyjrzał przez szybę. – To powinien być następny skręt po... Prr.

Taksówkarz gwałtownie zahamował.

– To chyba znaczyło: „stój” – powiedział.

Ciocia May chwyciła z przestraczem ramię Petera. Dawny podopieczny uśmiechnął się do niej, delikatnie rozluźnił jej palce i otworzył drzwiczki.

Wzdłuż większości budynków ciągnęły się betonowe chodniki

i proste żelazne płyty. Ale przed jednym z domów beton zastąpiły eleganckie, staromodne, kamienne płyty. Wszędzie rosły rośliny: za ogrodzeniem, obok zabudowań, po obu stronach schodków prowadzących do frontowych drzwi. Z kwadratowego otworu w chodniku wyrastał młody klon z kopczykiem ziemi wokół podstawy pnia.

Peter zdziwił się, jeszcze raz sprawdził adres. Wszystko się zgadzało.

– Peter. – Ciocia May mocowała się z walizką. – Nie uczyłam cię, żeby pomagać damie z bagażami?

Z łatwością uniósł walizkę, zapłacił taksówkarzowi i poprowadził ciocię May po schodkach – wciąż w otumanieniu. Serce waliło mu jak młot. Wiedział, że to nie będzie łatwe, a widok domu sprawiał, że chłopak czuł się, jakby trafił na drugą stronę lustra.

„Może nie ma jej w domu”, pomyślał. A potem dodał: „Nie. Na pewno jest”.

Otworzyła drzwi w dzinsach uwalanych ziemią i trawą oraz zwykłej koszuli zawiązanej na zgrabnej talii. Długie rude włosy miała zmierzwione, a czoło zroszone potem. Trzymała w dłoni łopatkę.

Jej zdumienie nie miało granic.

– O Boże – wydusiła.

– Mary Jane – powiedział Peter.

Gapili się na siebie przez długą niezręczną chwilę.

„Czy ona aby nie dźgnie mnie tą łopatką?”, przemknęło mu przez myśl.

Wtedy ciocia May precyzyjnie się obok i szeroko rozpostarła ramiona.

– Moja droga – zwróciła się do Mary Jane. – Tak dawno się nie widziałyśmy.

Wciąż osłupiała Mary Jane objęła starszą kobietę. Jednak wzrok nadal wbijała w Petera.

– Dobrze cię widzieć, ciociu May – powiedziała powoli Mary Jane. – Może usiądziesz i napijesz się herbaty? Zdaje się, że twój bratanek i ja musimy porozmawiać.

PODWÓRKO Mary Jane wyglądało chyba jeszcze bardziej imponująco niż wejście do domu. Obszerny ogródek tonął w zieleni: w krzewach i pomidorach, a zadbane rabaty pęczniały od kwiatów. Z tyłu stał stary garaż z łukowym szklanym dachem – Mary Jane przerobiła go na szklarnię.

Peter rozglądał się ze zdumieniem.

– To miejsce... To naprawdę coś, Mary Jane.

Pochyliła się i pospiesznie zasypała dołek tam, gdzie wcześniej kopała.

– Dom jest prawie zeroenergetyczny, tygrysie. Ściany zostały uszczelnione dżinsem z odzysku, na dachu zamontowano panele słoneczne. Jest też ogródek, który zimą utrzymuje ciepło w mieszkaniu i zapobiega spływaniu toksycznych opadów z dachu. Zastanawiam się nad wykopaniem studni geotermalnej, ale musiałabym zdobyć wiele pozwoleń.

– Nie odbierz tego źle, Mary Jane, ale to do ciebie niepodobne.

– Znajoma aktorka urządziła coś podobnego w Clinton Hill. Opowiedziała mi o tym, a ja chyba po prostu musiałam zająć czymś ręce. Zrobić coś naprawdę mojego. Po tym...

Umilkła.

– Po tym, jak zostawiłem cię przy ołtarzu – dokończył.

– To Spider-Man mnie zostawił. – Posłała mu smutny półuśmiech. – Chyba nie muszę już trzymać tego w tajemnicy.

– Ożeniłbym się z tobą – powiedział łamiącym się głosem. – Co prawda przez tamtego bandziora byłem nieprzytomny podczas naszego planowego ślubu. Ale potem, jasne. Wybierz dzień i godzinę.

Po kłapie ze ślubem Mary Jane uciekła z miasta i nie chciała rozmawiać z narzeczonym przez dwa tygodnie. Próbował wszystkiego, żeby to naprawić: kwiatów, prezentów, pisanych ręcznie listów, łzawych filmików z przeprosinami. Kiedy wreszcie zgodziła się na rozmowę, zakładał, że w końcu mu wybaczyła. Ale jej odpowiedź była jasna i ostateczna: nigdy nie poślubi Spider-Mana.

A ze Spider-Mana, jak się okazało, Peter nie mógł zrezygnować.

Mary Jane ogarnęła stare sprawy i na jej twarzy pojawił się cień dawnego uśmiechu. Podeszła do podłużnej ławki zrobionej z kłody, usiadła i wyciągnęła długie nogi. Koszula podjechała jej trochę do góry, odsłaniając brzuch nie z tego świata. Nic dziwnego, że wciąż zapraszano ją na sesje dla „Vogue’a” i VH-1.

„Wygląda cudownie”, pomyślał. „Czy ona z wiekiem robi się coraz młodsza?”

– No dobra, tygrysie. Nie mogłeś najpierw zadzwonić? Bywanie na pierwszych stronach gazet zbyttno zaprzęta ci głowę?

Przysiadł niezgrabnie na skraju ławki.

– Ostatnio nie ufam telefonom.

– Brzmi nieźle. I tylko trochę paranoicznie. – Nagle spowaźniała. – Zaczekaj. Cały ten medialny rozgłos... Czy ktoś groził cioci May? Dlatego ją tu przywiozłeś?

– Nie. Nic jej nie grozi. Jeszcze.

– Widziałam w wiadomościach tę historię z Doktorem Octopusem. Tygrysie, nie pomyślałeś o tym, zanim ujawniłeś swoją cholerną tożsamość w ogólnokrajowej telewizji?

– Pomyślałem! Naprawdę. – Odwrócił wzrok. – Ktoś mi obiecał, że ciocia będzie bezpieczna. Ale...

– Ale co?

– Ale nie wiem, czy wciąż temu komuś ufam.

– Peter, nie bawimy się w piaskownicy. Daj spokój z tymi zgadywankami.

– Chodzi o Tony’ego. Tony’ego Starka.

– Tony Stark. – Musnęła dłonią swoje piękne usta. – Najbogatszy człowiek, jakiego znamy, gość, który właściwie kontroluje całą działalność superbohaterską w kraju. Nie sądzisz, że da radę zapewnić bezpieczeństwo twojej ciotce?

– To nie jest kwestia dawania sobie rady. Po prostu... – Wstał, zaczął chodzić w tę i we w tę.

– Uważaj na pelargonie – poprosiła Mary Jane. – Dopiero zakwitły.

– Dzieje się dużo dziwnych rzeczy. Słyszałaś o bohaterze, który wczoraj zginął? O Billu Fosterze?

– O Goliacie? – Spoważniała. – Mówili o tym w wiadomościach, ale nie podali zbyt wiele szczegółów.

– Bo Tony nie chce, żeby ludzie wiedzieli, jak do tego doszło. Że Billa przebił na wylot piorun wystrzelony przez nieudanego klona Thora, którego stworzyli ludzie Tony’ego, ponieważ chcieli, by dołączył do nowej drużyny superbohaterów Starka.

Mary Jane utkwiała w nim spojrzenie.

– Chyba właśnie przeżyłam mały wylew.

– Wciąż mam tę scenę przed oczami – ciągnął Peter. – Krew tryska z pleców Billa, jego ogromne ciało pada jak powalony dąb. A to nie koniec. To dopiero początek. Tony ma też dla metaludzi więzienie, dziwną sterylną fortecę zarządzaną przez roboty. To miejsce nawet nie jest nawet na Ziemi, tylko w jakimś upiornym wymiarze, w Strefie Negatywnej.

Urwał, zaczerpnął powietrza. Czuł, że zaczyna pękać, że puszczają mu blokady. To miejsce, ponowne spotkanie z Mary Jane... Nigdy wcześniej nie czuł się z nikim tak blisko i teraz, kiedy znów była obok, zauważył, że nie może przestać mówić.

– Ma powstać... Tony chce utworzyć pięćdziesiąt superzespołów, po jednym na każdy stan w Ameryce. Na razie plan jest ściśle tajny, ale widziałem nazwiska kilku bohaterów, których chce zwerbować. Nie da się powołać pięćdziesięciu drużyn, nie rekrutując kilku niezbyt stabilnych osobników.

– Peter...

– A Kapitan Ameryka? Na całym świecie nie ma lepszego człowieka, a ja stałem z założonymi rękami i patrzyłem, jak Tony daje mu wycisk stulecia, jak robi z niego krwawą marmoladę. Mary Jane, wiesz, że nie jestem przewrażliwiony, napatrzyłem się w życiu na różne okrucieństwa. Ale to było po prostu złe. To było... Do cholery...

Otarł łzę, spróbował się uśmiechnąć.

– Głupie pyłki. Masz tu za dużo roślin, wiesz?

I wtedy zobaczył jej piękne ciemne oczy na wprost siebie, świdrowała go wzrokiem. Rzuciła mu wyzwanie, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi. Czuł zapach jej skóry, ziemi i truskawkowych perfum. Miała lekko rozchylone usta.

Zbliżył się, wiedziony głęboką podświadomą potrzebą, żeby ją pocałować. Ale dziewczyna zaprotestowała i odepchnęła go.

– Co zamierzasz? – zapytała.

Peter spuścił oczy z zakłopotaniem.

– Tony to dobry człowiek. Tyle dla mnie zrobił, dla wielu innych też.

– Ale uważasz, że posunął się za daleko.

– Po prostu z nim porozmawiam. Myślmy w ten sam sposób. Tak mi powiedział.

– Nie wydajesz się pewien.

– Niczego już nie jestem pewien. No, oprócz jednego. Tylko jednego.

Przyciągnął ją do siebie i objął jak siostrę. Położył jej głowę na ramieniu.

– Jesteś jedyną osobą – poczuł, jak łzy znów napływają mu do oczu – jedyną osobą na całym, calutkim świecie, której naprawdę ufam.

Nie odpowiedziała. Położyła mu dłonie na łopatkach i mocno go przytuliła.

– Potrzebuję cię. Musisz ją stąd zabrać – prosił. – Żeby ją chronić.

– Przed czym chronić?

– Przed... Mam nadzieję, że przed niczym. Ale jeśli to wszystko nie potoczy się tak, jak bym chciał, jeżeli on nie zrozumie...

– Niech to. Niech to szlag, Petey. – Mary Jane wyrwała się z jego objęć i podeszła do kępy słoneczników. – Chcesz, żebym przewróciła całe swoje życie do góry nogami i...

– Wiem. Wiem, ale chodzi o...

– ...i zostawiła mój dom, który dopiero co urządziłam, tak jak chciałam, i to po tym wszystkim, co...

Ukryła twarz w dłoniach, zaczęła płakać.

Peter stał bezradnie.

– Nie mogę pozwolić na to, żeby stała jej się krzywda – wyszeptał. – Nie przez...

Mary Jane raptownie spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Nie przez Spider-Mana – dokończyła.

Przytaknął.

– Wszystko u was w porządku? – Ciotka May wsunęła głowę przez drzwi do ogrodu i skrzywiła się. – Och, rozumiem. Znów te wasze dramaty. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Ojej, Mary Jane. Jakie ty masz piękne kwiatki.

CIOCIA May wyrzuciła z siebie potok słów w proteście. Wielokrotnie dźgała Petera wyciągniętym palcem i przez chwilę przeraził się, że ciotka wpadnie w totalną furję, choć nie pozwalała sobie na takie napady złości, odkąd umarł wujek Ben. Ale w końcu przytaknęła, zacisnęła wargi i pozwoliła Mary Jane odprowadzić się do samochodu.

W końcu, tak jak już powiedziała, ufała bratankowi.

Peter stał na chodniku, patrząc na oddalającego się mini coopera Mary Jane. Dziewczyna pakując się, prawie się do niego nie odezwała. Ale wiedział, że ona też rozumie.

Wypuścił powietrze i oparł się plecami o młody klon. Zamknął oczy i wciągnął do płuc intensywny roślinny zapach. Myślał o dwóch kobietach, które kochał najbardziej na świecie, jak ściśnięte w samochodzikujechały w nieznanym kierunku. „Nie mów mi, dokąd jedziecie”, błagał w myślach Mary Jane. „Tak będzie lepiej”.

Zastanawiał się, kiedy znów je zobaczy.

CZĘŚĆ CZWARTA



ROZSTRZYGNIECIA

CZY wszystko zsuwało się po równi pochyłej? Tony Stark nie wiedział. Po starciu w rafinerii część opinii publicznej zwróciła się przeciwko rejestracji; w najnowszych sondażach respondenci byli prawie równo podzieleni. Problem stanowiło też odejście Susan Richards – kiedyś będzie musiał się tym zająć.

Społeczność międzynarodowa również nie była zadowolona. Przywódcy Unii Europejskiej non stop wygłaszali mowy przeciwko nowej polityce, ciesząc się, że jest coś, co odciąga uwagę od słabnących gospodarek ich państw. Wakanda, afrykańskie państwo, które zaopatrywało Stark Enterprises w cenny pierwiastek vibranium, rozważała zerwanie wszystkich stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi.

Kolejną potencjalnie problematyczną kwestią była podwodna kraina Atlantis: członkini zabitych Nowych Wojowników należała do tamtejszej rodziny królewskiej. Księżę Namor, władca Atlantydów, przeprowadził kiedyś masową inwazję na świat lądowy. W ostatnich latach Namor i enigmatyczni niebieskoskórzy Atlantydzi się nie wychylali. Tony miał nadzieję, że legendarny temperament Namora z wiekiem osłabł.

X-Meni praktycznie zabarykadowali się w swojej szkole. Maria Hill była gotowa otwarcie ją zaatakować przy pomocy oddziałów szturmowych T.A.R.C.Z.Y., a potem zatrzymać i wsadzić do więzienia wszystkich, których znalazła w środku. Tony przekonał ją, by się powstrzymała. Stosunki X-Menów z szerszą społecznością bohaterów nigdy nie były proste; nie sprzedaliby tanio skóry podczas ataku. Skończyłoby się rzezią.

Ale Hill w jednej kwestii miała rację: każda odmowa rejestracji składała się na całkowitą sumę problemów. Żeby ustawa zadziałała, większość bohaterów musiała się zgodzić. Inaczej cały

plan nie wypali. W razie porażki Tony i T.A.R.C.Z.A. wcale nie próbowaliby odzyskać kontroli, ale sprawiliby wrażenie bezradnych i nieskutecznych – a to stanowiłoby szansę dla bardziej represyjnych, wrogich sił.

Z pozytywów: obozy treningowe wyglądały coraz lepiej. Z Ruchu Oporu Kapitana wciąż napływały dane wywiadowcze. Projekt Thunderbolt wszedł w fazę testów alfa. I powoli, ale skutecznie naprawdę rejestrowało się coraz więcej bohaterów. Tylko tego ranka zapisali się Dr Samson i Sentry.

„Rejestracja to prawo”, powtarzał sobie Tony. „Z czasem wszyscy się dostosują”.

– Tuż za tym wzgórzem, Happy. – Tony schował się pod dużym parasolem Hogana, ostrożnie omijając błotnistą kałużę. Lał deszcz, topiąc cmentarz w szarościach i brązach.

– O rany – wydusił Happy.

Dół był szeroki na trzy metry, długi na dziewięć i głęboki co najmniej na sześć. Sześć wielkich dźwigów warkotało z wysiłkiem, powoli opuszczając do grobu zawinięte w brezent i skute łańcuchami ciało Goliata.

Ludzie zgromadzeni w dwu-, trzyosobowych grupkach przyglądali się z zakłopotaniem. Ms Marvel i Czarna Wdowa trzymały się razem; Carol wyglądała smukło i elegancko w szarym garniturze, Natasza miała na sobie czarny trenaż. Reed Richards założył sztruksową marynarkę i krawat, jego wydłużone ramiona obejmowały troskliwie Franklina i Valerię. Dzieci wyglądały na zagubione, w formalnych strojach było im wyraźnie niewygodnie.

– Reed zabrał dzieci? – spytał Happy.

– Nie chciał zostawiać ich na cały dzień z robotami. – Tony westchnął. – A w Baxter Building nie ma już nikogo innego.

Starsza czarnoskóra para trzymała się za ręce. Kobieta przez chwil przyglądała się Tony’emu. Jej oczy pałały gniewem. Tony odwrócił wzrok.

– Rodzice Billa – wyjaśnił.

– Musi być im ciężko – odparł Happy. – Szczególnie że nie udało wam się na powrót zmniejszyć ciała.

– Hank Pym jest teraz na urlopie. Poza tym dzwoniłem do niego, powiedział, że i tak nie da się tego zrobić. Coś z elektryczną aktywnością mózgu i rozkładem tkanek organicznych.

– Ciekawe, ile rodzina musiała zabulić za... Ile? Trzydzieści osiem miejsc na cmentarzu?

– Ani centa. Wziąłem wydatki na siebie. Chociaż tyle mogłem zrobić.

Dźwig lekko się zachwiało. Cielsko Goliata przechyliło się i ramię wyrznęło o brzeg wykopu. Tony się skrzywił.

– Boże, Happy. Czy warto? Czy mam... prawo to robić?

Happy milczał. Stał tylko, trzymając parasol nad Tonyem.

– Stark?

Głos Marii Hill w słuchawce bluetooth sprawił, że Tony podskoczył. Odwrócił się plecami do grobu, nacisnął przycisk.

– Co?

– Mam tu kilka osób, z którymi powinieneś się spotkać.

– Mario, do cholery. Pozwól mi chociaż pochować Billa Fostera.

Rozłączył się, zanim znów się odezwała. Ta kobieta naprawdę zaczęła sprawiać problemy. Gdyby mogła, zamknęłaby wszystkich herosów na amen.

Tony rozejrzał się.

– Gdzie jest, do cholery, Peter Parker?

Podszedł Reed, holując za sobą dzieci. Wyglądał, jakby ktoś przeciągnął go przez ściek.

– Tony.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Reed. Cześć, Franklin, cześć, Valeria.

Happy ukucnął, chcąc zmierzić Franklinowi czuprynę. Chłopiec ukrył się za nogą ojca.

Reed trzymał w dłoni skrawek papieru, zaciskając i rozluźniając pięść.

– Co to? – spytał Tony.

– Nic – powiedział Richards i szybko schował kartkę do kieszeni. Stark zdążył jednak zauważyć na dole podpis „Susan”.

– Reed. – Położył przyjacielowi dłoń na ramieniu. – To trudna chwila. Poradzimy sobie. Postępujemy słusznie.

– Tatusiu – zaczęła Valeria. – Mam mokro w butach.

Reed poklepał ją po plecach. Zaczęli się zbierać.

– Do zobaczenia dziś wieczorem w Baxter Building – rzucił Tony. – T.A.R.C.Z.A. ma nową partię więźniów.

– Oczywiście – odparł Richards. Brzmiał jak stary, przegrany człowiek.

Z głuchym, mechanicznym dźwiękiem dźwigi wypuściły ciężar. Gigantyczne zwłoki Goliata spoczęły w głębokim, błotnistym grobie.

Włączył się głośnik i rozbrzmiała piosenka Eurythmics *Hey Hey, I Saved the World Today*. Brzmiała smutno, elegijnie. W głowie Tony’ego pojawiło się wspomnienie: Annie Lennox z teledysku, ubrana w świeżo wyprasowany męski garnitur, macha dłońmi i czaruje nad globusem. Wyglądała jak maszyna, silna i seksowna, kręciła światem, jakby to była zabawka.

– Tony?

Podniósł oczy. Dźwigi się cofnęły. Koparki skrzypiały i trzeszczały, podnosząc bryły mokrej ziemi, które potem wrzucały do grobu. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

Podeszły Ms Marvel i Czarna Wdowa. Natasza patrzyła na Tony’ego osobliwym wzrokiem.

– Teraz wszyscy są szczęśliwi – powiedziała. – Tego złego nie ma z nami.

– Co to ma znaczyć? – warknął Tony ze złością.

Machnęła ręką i posłała mu to swoje spojrzenie pod tytułem „głupi Amerykanin”.

– To z piosenki – wyjaśniła.

– Panie Stark?

Tony rozejrzał się. Pod parasolką stała Miriam Sharpe, kobieta ze Stamford. Happy spiął się na jej widok, ale Tony podał jej rękę.

– Pani Sharpe. Przepraszam, nie miałem czasu, żeby...

– Nie, nie, proszę się tym nie przejmować. Przyszłam tylko dlatego że... Wiem, że straciliście sporo poparcia wśród społeczności superbohaterów, gdy... – Wskazała na grób.

Tony zdziwił się. Ms Marvel i Czarna Wdowa przysłuchiwały się rozmowie z pewnej odległości.

– Chcę powiedzieć coś od siebie – ciągnęła Sharpe. – Goliat był świadomy tego, co robił, a mianowicie łamał prawo, które powstało po to, by chronić ludzkie życie. Gdyby się zalegalizował, wciąż by żył. – Uśmiechnęła się do Tony’ego i w jej oczach zaczęły wzbierać łzy. – To nie pana wina. Nie większa niż policjanta, który zastrzeliłby łobuza mierzącego z pistoletu.

– Pani Sharpe...

– Ćśś. Chciałam też dać panu to. – Sięgnęła do torebki. – To była ulubiona zabawka mojego syna Damiena, odkąd skończył trzy lata.

Wziął zabawkę do ręki i przyjrzał się jej, stojąc w strugach deszczu. Piętnastocentymetrowa figurka Iron Mana ze sztywnymi kończynami i czerwono-złotą farbą nadgryzioną zębem czasu. Obracał zabawkę w palcach. Nacisnął ramię – wysunęło się.

„Wciąż działa”.

Tony podniósł wzrok na panią Sharpe, zupełnie nie wiedząc, jak zareagować.

– Chciałam tylko panu przypomnieć, dlaczego pan to robi – powiedziała.

Krótko dotknął jej ramienia w bezgłośnym podziękowaniu. Następnie zaczął zbierać się do wyjścia, nadal ściskając w dłoni figurkę. Zabawka wciąż wydawała się ciepła.

Tony nacisnął przycisk w słuchawce.

– Mario? Mów.

Krótką pauza.

– Najwyższy czas, Stark. Spotkajmy się przy zachodniej bramie. Ale przygotuj się... Wasz mały pogrzeb wzburzył paru tubylców.

ZAPADAŁ wieczór, kiedy Tony truchtał przez bramę cmentarza z pochyloną głową, mijając dwa rzędy demonstrantów. Z prawej zabrzmiał chór pomruków i buczenia, w gwarze dało się słyszeć okrzyki: „Faszysta!” i „Zabójca bohaterów!”. Z lewej rozległy się mniej liczne owacje. „Chroń nas!” – zawołał ktoś.

Tony przyglądał się przez chwilę dwóm grupom – obie składały

się ze zbieraniny studentów w pelerynach przeciwdeszczowych, zwykłych ludzi i nielicznych kobiet w żałobie, te ostatnie pamiętał ze Stamford. „Gdyby wyciągnąć z tłumu losowego uczestnika protestu” – stwierdził Tony – „nie umiałbym rozpoznać, po której stronie stoi. Jedni nienawidzą mnie, bo jestem superbohaterem. Drudzy wiwatują, bo jestem autorytetem”.

Policja postawiła bariery, żeby zablokować obie grupy. Gliniarze wyglądali na spiętych. Tony zatrzymał się, by spytać jednego z nich:

– Macie tu dość ludzi?

– Jedzie do nas Gwardia Narodowa – odparł policjant. – Wytrzymamy do jej przybycia.

– Stark. – Znow usłyszał w słuchawce głos Marii Hill.

Mobilne Centrum Dowodzenia T.A.R.C.Z.Y. zaparkowało przy ulicy, częściowo wystawało na pas ruchu. Otaczał je łańcuch strażników, który szybko się rozstał, kiedy nadeszli Tony i Happy.

W środku czekali dwaj nowo przybyli – Hawkeye ubrany od stóp do głów w fioletowy strój, łuk odłożył na stolik obok, i wysoka blondynka w czerwono-czarnym kostiumie oraz małej masce. Tony chwilowo się zdumiał, ponieważ nie rozpoznał kobiety.

– Stature – wyjaśniła Maria Hill. – Dawniej była w Młodych Avengersach.

– Oczywiście. – Tony przywitał się uściskiem dłoni. – I Hawkeye. Dobrze znow cię widzieć, Clint. Wiem, że to nie była łatwa decyzja.

Hawkeye podrapał się po karku.

– Najtrudniejsza w życiu, Tony.

– Wiem. Głowa rozumie, co należy zrobić, ale serce chce, żeby było tak jak zawsze.

– Tak, ale... Żyjemy teraz w innym świecie. Widocznie Goliat musiał zginąć, żebym to zrozumiał.

Tony przyglądał się przez chwilę łucznikowi, po czym odezwał się do Stature:

– A ty... Masz na imię Cassie, tak? To dla ciebie duży krok.
– Wiem o tym. – Spojrzała mu w oczy. – Moi koledzy z drużyny tego nie rozumieją.

– Ale ty tak.

– Ludzie chcą, żebyśmy byli odpowiednio wyszkoleni, proszę pana. To nie czasy drugiej wojny światowej.

– To prawda – potwierdził Happy.

– Chcę tylko wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

Tony powoli przytaknął. Dobra wiadomość: zwerbowali dwoje nowych herosów. A jednak coś go gryzło. Coś było nie tak.

Hill nie dała na siebie czekać.

– Mamy dużo do obgadania, Stark. Zaczynając od projektu Thunder...

Tony podniósł dłoń do szyi i zrobił gest, jakby coś ucinał. Hill podążyła za jego wzrokiem, zerknęła na Hawkeye'a i kiwnęła głową ze zrozumieniem.

Hawk się uśmiechnął.

– Nie ufasz mi, Tony?

– Możesz mi wierzyć, Hawk. O pewnych elementach tej operacji nie mówię nawet samemu sobie.

Stature spoglądała to na jednego, to na drugiego, jakby to był mecz ping-ponga.

Hill dała znak dwóm agentom.

– Stathis, Roeberg, zawieźcie nowych samochodem z powrotem do miasta. Po drodze możecie poinformować ich o procedurach.

– Tak jest.

Hawkeye zwiesił na ramieniu łuk i ruszył za agentem do wyjścia. Zatrzymał się i rzucił Tony'emu ostatnie spojrzenie.

„Wkurzył się na mnie?“, zastanawiał się Stark. „A może ściemnia i głowi się, czy go przejrzałem?“

Gdy już wyszli, do Tony'ego podeszła Hill.

– Myślisz, że Kapitan chce umieścić w twoich szeregach kreta?

– My mamy kreta u niego, nieprawdaż? A Hawkeye dużo zawdzięcza Kapitanowi Ameryce. – Tony nagle przybrał marsową minę. – Czy ktoś widział dziś Spider-Mana?

Hill dała znak trzeciemu agentowi T.A.R.C.Z.Y.

– Ellis, uruchom Wyszukiwanie Trykotów. Obiekt: Peter Parker. Agent przebiegł palcami po klawiszach. Przez ekrany przemknęła oszałamiająca liczba obrazów z kamer bezpieczeństwa, tworząc rozmazany superbohaterski kolaż. Emisja zatrzymała się na kadrze ze Spider-Manem, Parker huśtał się w opancerzonym czerwono-złotym stroju na tle wieżowców Manhattanu.

– Ostatnio widziany wczoraj o 18.34. W pobliżu Baxter Building.

– 18.34. Tuż po tym, jak się rozstaliśmy. – Tony nie posiadał się ze zdziwienia. – A później nic?

– W kostiumie nic, proszę pana. Programy identyfikacji bohaterów w cywilu jeszcze nie zostały uruchomione.

– Hap, masz mój kostium, prawda? – zapytał Tony.

Happy podał mu walizkę.

– Dobrze. Mario, mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli przebioreę się na twoich oczach.

– Już to wszystko widziałam.

Zaskoczony agent Ellis gwałtownie się odwrócił.

– Wracaj do roboty, kolego – warknęła Hill.

– Co jest, panie Stark?

– Chyba mam problem, Happy, i to duży. – Tony otworzył walizkę i utkwiał wzrok w stroju Iron Mana. – Czas, żebym się tym zajął.

– ROZUMIEM. Dobrze, dzięki. Będziemy za pół godziny.

Sue Richards odłożyła słuchawkę w budce telefonicznej i spojrzała na brata. Johnny miał na sobie dzinsy i kurtkę. Spod czapki baseballowej wystawały mu bandażę, ale wyglądał znacznie lepiej, niż kiedy widziała go ostatnio.

– Falcon dał mi adres – powiedziała Susan. – To w Harlemie.

Na głowie i ramionach Johnny'ego zaczęły buchać płomienie.

– Mogę przetransportować nas...

– Zgaś to! T.A.R.C.Z.A. ma wszędzie kamery. – Rozejrzała się, nagle wpadła w paranoję. – Dostaniemy się tam pieszo.

– Dobra, starsza siostró. Przynajmniej przestało padać.

Sue ruszyła Jedenastą Aleją.

Wcześniej udali się z Johnnym do dawnej kwatery Ruchu Oporu, ale była zabita deskami i opuszczona. Przez krótką chwilę bała się. „Czy Tony wszystkich aresztował?“, pomyślała. Ale nie – po prostu się przenieśli.

Szli w ciszy, mijając stacje benzynowe, niepozorne kluby nocne i zamknięte sklepy z częściami samochodowymi. W tej okolicy, na dalekim zachodzie Manhattanu, nowe miejsca kryły się pomiędzy starymi. Modna restauracja mogła powstać tuż obok przedpotopowego sklepiku spożywczego, a potem zniknąć bez śladu.

– Co u Reeda? – spytał Johnny.

Sue się zawahała.

– Wiesz, jaki jest, kiedy wkręci się bez reszty w plan?

– Nie. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Roześmiała się.

– Teraz jest właśnie taki, tylko dziesięć razy bardziej. Na spótkę z Tony'm Starkiem są... jak dwójka dzieciaków w sklepie ze

słodyczami. Nie, raczej jak dzieciaki, które budują swój własny, gigantyczny sklep ze słodyczami. I mają do dyspozycji wszystkie rodzaje słodczy na świecie.

– Wciąż mówimy o słodyczach? Bo robię się głodny.

Stała pod latarnią i spojrzała na Johnny'ego. Opiekowała się nim, odkąd miała piętnaście lat. Teraz był dorosłym, przystojnym młodym człowiekiem, który żył własnym życiem. A jednak...

– Johnny, ja muszę to zrobić. Dokonałam wyboru, kiedy pomogłam Ruchowi Oporu uciec przed zbirami Tony'ego. Ale...

– Nie mów tego, siostra.

– ...ale ty nie musisz. Wciąż mogą przyjąć cię do grupy. – Położyła dłonie na jego szerokich ramionach. – Zgłoś się.

Johnny wskazał na duży, kanciasty budynek fabryczny. Weszli do ciemnej wnęki przy bramie wejściowej. Kiedy nie było ich widać z ulicy, Johnny zbliżył płonący palec do ceglanej ściany. Zakreślił w powietrzu literę A, zostawiając powidok przed oczami Sue.

– A – zaczął. – Na razie rejestracja nie dała mi nic prócz pęknięcia czaszki. B: Tony Stark to bogaty dupek.

Sue zachichotała.

– No, mów dalej. Jaki brzmi C?

– C? – Powoli napisał w powietrzu płonącą literę. – C: zawsze razem z siostrą stawialiśmy czoła trudnym sytuacjom i nigdy bym jej nie zostawił. Przenigdy.

Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Mocno go przytuliła.

Wtedy usłyszeli krzyk.

– Czy ty...

– Tak – powiedziała. – W budynku...

Zapalił całą dłoń i przesunął nią wzdłuż ściany jak latarką. Okna były zabite deskami, cegły wyszczerbione. Ale drzwi...

Johnny lekko je popchnął. Skrzyżnięte i otworzyły się do środka. Na ziemi leżała wielka kłódka na łańcuchu – ktoś otworzył ją wytrychem i wyrzucił.

Znów to usłyszeli. Dalekie wołanie o pomoc.

– Zgaś ogień – szepnęła Sue. Potem sprawiła, że oboje stali się niewidzialni. Minęła go i weszła do środka z uniesioną ręką,

generując ochronne pole siłowe.

Szli po omacku ciemnym, zakurzonym korytarzem. Nigdzie nie było światła, nawet lamp awaryjnych. Jeszcze dwa razy usłyszeli słabe okrzyki: „Pomocy!” i „Co ty wyprawiasz?”.

Korytarz prowadził do nieużywanej załadowni. Zobaczyli wysokie sufity, poczuli zapach prochu strzelniczego i starych gazet. Jedynym źródłem światła była przenośna latarnia elektryczna umieszczona na samym środku podłogi.

Z potężnej poprzecznej belki zwisał związany grubym sznurem mężczyzna. Latarnia oświetlała go od dołu, rzucając ogromne, raptownie drgające cienie na sufit. Człowiek miotał się w panice, krzyczał:

– Dlaczego?! Czego ty w ogóle chcesz?!

Na ziemi leżała otwarta walizka, wokół niej rozrzucono papiery. Był tam też tablet z ekranem naznaczonym długą rysą.

Kawałek dalej kucał dręczyciel Johnny’ego, czyszcząc duży nóż myśliwski. Miał muskularne ramiona, mocne nogi, groźne oblicze. Na koszulce widniała narysowana czaszka.

– To Punisher – szepnął Johnny. – Pogromca.

– Tak – potwierdziła Sue.

– Czy on się zarejestrował?

– Szczerze wątpię.

Punisher energicznie podniósł głowę. Utkwił oczy w drzwiach. Sue zadrżała; jego zimne spojrzenie zdawało się ją przeszywać.

Johnny jeszcze ciszej zapytał:

– Wciąż jesteśmy niewidzialni, prawda?

Sue gwałtownie przytaknęła i uniosła palec do ust.

Punisher zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Potem wrócił do pracy i wyciągnął z torby nową osełkę.

Sue dała Johnny’emu znak, żeby szli naprzód i zakradli się do pomieszczenia. Punisher był mścicielem, zabójcą znanym z tego, że raz na zawsze eliminuje gangsterów. Gdy jego rodzina zginęła w mafijnych porachunkach, poprzysiągł zemstę całej przestępczości zorganizowanej.

Wiszący mężczyzna jęczał, walcząc ze sznurem. Sue przyjrzała

mu się: miał na sobie białą koszulę zapiętą na guziki, świeżo uprasowane spodnie i poluzowany krawat. Młóćące powietrze buty wyglądały na starannie wypastowane i drogie.

Tak nie wyglądał mafioso, nawet jeśli zalegalizował działalność. To był biznesmen.

Punisher podniósł nóż i przyglądał się ostrzu w świetle latarni. Nie patrząc na swoją ofiarę, powiedział:

– Wilton Bainbridge Junior. Mówią na ciebie „Wilt”, prawda?

Mężczyzna nachmurzył się.

– T-tak.

– Wilt. – Punisher zwrócił się do niego, podniósł nóż wyżej. – Musimy porozmawiać.

– Porozmawiać? Aha. J-jasne! Ja... Nigdzie się nie wybieram.

Punisher uśmiechnął się blado.

– Jesteś bankierem, prawda?

– T-tak.

– Zasiadasz też w wielu radach nadzorczych.

– Chyba tak.

– Na przykład w Roxxon International.

Mężczyzna skinął twierdząco. Wciąż wyglądał na przerażonego, ale czuł też budzącą się ciekawość. Wypatrywał wyjścia z sytuacji.

– Roxxon opracowuje ostatnimi czasy mnóstwo wynalazków technologicznych dla rządu – ciągnął Punisher. – No, nie tak dużo jak Stark. Ale po rynku krąży sporo kontraktów. Część z nich dotyczy technologii, które mogą kolidować z moją działalnością.

– Twoją działalnością?

– Zgadza się. – Punisher zbliżył nóż do wijącego się mężczyzny i przesunął nim w powietrzu kilka centymetrów od brzucha do krocza ofiary. – Wyśpiewaj mi wszystko, co wiesz na temat tak zwanego Wyszukiwania Trykotów.

– Wyszukiwanie Trykotów... A tak! Jasne. – Wilt utkwiał wzrok w ostrzu. – To proste. Jest to oprogramowanie do rozpoznawania wzorów i sprawdzania tysięcy źródeł w celu zlokalizowania dowolnego superbohatera, lub, lub, lub złoczyńcy. Żadna nowość, a jedynie adaptacja programu Departamentu Bezpieczeństwa

Krajowego. Dotychczasową wersję wykorzystywano już na lotniskach podczas wyrywkowych kontroli. Jedyna zmiana polega na tym, że nowy format wykrywa też metaludzkie moce. Wiesz, takie jak promienie mrozące albo promieniowanie gamma.

– Metaludzkie moce. – Punisher odwrócił wzrok, przytakując. – Dzięki, Wilt.

– To dziwne – wyszeptał Johnny. – Punisher nie porywa cywili. A już na pewno nigdy nie słyszałem, żeby ich przesłuchiwał.

Sue skinęła głową i znów nakazała mu milczenie.

– A projekt Thunderbolt? – spytał Punisher.

– C-c... co?

– Thunderbolt, czyli piorun. Z początku myślałem, że to kryptonim szalejącego potwora, boga gromu. Ale moje źródła twierdzą, że to coś całkiem innego i bardzo niebezpiecznego. Co to jest projekt Thunderbolt, Wilt?

– Ja... Nie wiem.

Punisher posłał mu mordercze spojrzenie.

Unióś nóż, ukłuł ostrzem swój palec. Pogromca nawet nie drgnął, kiedy z maleńkiego skaleczenia popłynęła krew.

– Nie wiem! – Wilt miotał się, mocując z więzami. – Słyszałem tę nazwę, ale nie mieliśmy z tym nic wspólnego. To ściśle tajne, pracują nad tym wyłącznie T.A.R.C.Z.A. i Stark Enterprises.

– Nic nie wiesz.

– Nie wiem! Przysięgam!

Punisher sięgnął do torby i wyjął karabin automatyczny.

– No to chyba nie będziesz mi już potrzebny.

Johnny mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Sue.

Ale Wilt pokręcił przecząco głową, zdobywając się na ostatni zryw brawury.

– Zamierzasz mnie zabić?

Punisher nie odpowiedział. Wyciągnął naboje, wysypał je z pudełka na dłoń.

– Myślę, że mnie nie zabijesz – oświadczył Wilt. Sue zauważyła, że się pocił, ale wydawał się teraz bardziej pewny siebie. – Wiem, kim jesteś, znam twoją reputację. Nie mordujesz zwykłych ludzi

z zimną krwią. Zabijasz przestępców, koniec kropka.

Punisher pieczołowicie załadował naboje do karabinu.

– Zgadza się. Zabijam przestępców. Wytlumaczę ci to, Wilt – ciągnął Punisher. – Osiem lat temu, kiedy pracowałeś w firmie Terriman Gaston and Associates, sprzedawałeś kredyty hipoteczne wiodącym amerykańskim instytucjom finansowym, takim jak Chase czy Bank of America.

– No tak. I?

– W kilkuset przypadkach sprzedałeś te same kredyty trzem lub więcej różnym bankom. Bardzo, bardzo lukratywny interes.

– I za to chcesz mnie zabić? – Wilt wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. – Wszyscy tak robili.

– Wśród kredytów przynoszących ci potrójny zysk była grupka takich, które wzięto na domy na osiedlu w Hialeah na Florydzie. Tuż pod Miami. Coś ci świta?

Wilt zaprzeczył ruchem głowy. W jego oczach znów zagościł strach.

Punisher zajrzał do lufy karabinu i zmarszczył brwi. Wyjął wycior i zaczął czyścić broń.

– Dwa różne banki zajęły zabudowania. Wszyscy mieszkańcy byli imigrantami z Kuby w pierwszym i drugim pokoleniu, przybyli tu, by zacząć nowe życie. Nagle u ich drzwi stanęli biali faceci w garniturach i w asyście policji przejęli ich legalnie kupione domy. Kubańczycy nie mieli prawa się sprzeciwić. Zdesperowani, bezdomni i głodujący imigranci połączyli siły i zaczęli sprzedawać heroinę. Z początku walczyli z silną konkurencją, ale szybko nauczyli się postępować bezwzględnie i stworzyli przyczółek w aglomeracji Miami. – Punisher odwrócił się do jeńca plecami. – Wiesz, co w tym czasie robiłeś, Wilt?

– Nie, nie pamiętam.

– Odświeżę ci pamięć. Wydałeś sporą część nowo zarobionych środków na Rejs Afrodyty, morską orgię, podczas której sownie opłacane prostytutki obsługiwały bogatych biznesmenów pośród dekadentycznej greckiej architektury. Fajna praca dla wybranych, co nie? Tymczasem kiedy ty wciągałeś kokę z brzucha striptizerki zwanej Mnemozyną, nasi kubańscy przyjaciele

pozyskali stałego klienta o imieniu Enrique. Uzależnienie sprawiło, że nabywca stał się nieobliczalny i nieodpowiedzialny, przez co stracił pracę. Kiedy skończyła mu się kasa, Kubańczycy odcięli go od heroiny. Enrique postanowił więc obrobić bar Taco Bell. Menedżer restauracji chciał być bohaterem i położył napastnika trupem amunicją kalibru .30-06. Ale zdążył zrobić to dopiero po tym, jak Enrique strzelił w głowę trzem przypadkowym gośćmi. Jednym z nich był afroamerykański robotnik budowlany James Victor Johnson.

Wilt gapił się z niedowierzaniem.

– O czym ty, na Boga, mówisz?

– James Victor Johnson umarł trzy godziny po napadzie na Taco Bell. Odszukała mnie jego siostra. Wszystko mi opowiedziała. – Punisher umilkł na chwilę. – No, nie wszystko. Połowę. Kosztowało mnie trochę wysiłku, żeby dotrzeć do ciebie.

– I... To dlatego mnie porwałś?

– Dlatego.

– A co z resztą? Z T.A.R.C.Z.A. i technologią Wyszukiwania Trykotów?

Punisher wzruszył ramionami.

– Jesteś źródłem informacji, Wilt.

– A ty zwariowałaś. Jesteś skończonym szaleńcem! – Wilt wściekle naprężył ciało, wyęzając siły w walce ze sznurem. – Naprawdę winisz mnie za śmierć tamtego faceta? To nie moja wina!

Punisher odbezpieczył karabin z ostrym trzaskiem, który odbił się echem w pustym pomieszczeniu.

– O nie – szepnęła Sue.

– To nie o mnie ci chodzi. – Wilt trząsał się jak osika. – Powinieneś ścigać bydlaka, który go zastrzelił. Albo... albo handlarzy narkotyków. Tych bandziorów.... Te szumowiny, co dopuszczają się takich rzeczy!

– Ależ zrobię to. – Punisher wymierzył karabin w swoją ofiarę, spojrzął przez celownik. – Ale lubię zaczynać od tych na górze.

Sue poczuła podmuch gorąca. Spadła na nią znoszona, zwęglona bejsbolówka, na której wciąż tańczyły płomyki. Kobieta

wzdrygnęła się, zrzuciła czapkę z siebie i spojrzała w górę...

...gdzie Johnny Storm – Ludzka Pochodnia – mknął jak strzała na Punishera. Ogień buchał z każdego centymetra jego ciała; zniszczył mu całe ubranie, spalając je jednym gwałtownym rozblýskiem.

Punisher podniósł wzrok. Za późno.

Z dłoni Johnny'ego buchnęła kula ognia i trafiła w karabin Punishera. Pogromca zaklął z bólu i potrząsnął ręką, po czym upuścił broń, która z głośnym brzękiem upadła na ziemię.

Johnny zatoczył koło i wylądował między Punisherem a jego ofiarą. Pozwolił palącemu jego ciało ogniewi przygasnąć, następnie odsłonił uniform Fantastycznej Czwórki.

Punisher przykucnął. Uśmiechnął się szyderczo do Johnny'ego.

– Ludzka Pochodnio, widzę, że pracujesz dla Starka.

– Co? – zapytał Johnny z zaskoczeniem.

– Mnie nie oszukasz.

– Nie mam zamiaru... Mam zamiar powstrzymać cię przed zabijaniem!

– To wariat – wrzasnął Wilt. – Pojmij go!

– Johnny! – zawołała Sue. – Uważaj...

Ale było za późno. Punisher sięgnął do buta, wyciągnął drugi nóż i rzucił nim w Johnny'ego z bliskiej odległości. Trafił w policzek przeciwnika, kalecząc go do krwi. Johnny krzyknął i padł jak długi, po czym instynktownie znów stanął w płomieniach.

Na szyi błyskawicznie wylądował mu but Punishera, który przygniótł go do ziemi. Z wijącego się ciała Ludzkiej Pochodni buchnęły płomienie i nieszkodliwie liznęły ubranie Pogromcy.

– Niepalny kevlar – wysyczał mściciel. – Zgaś ogień, dzieciaku. I to już.

Johnny wydał zduszony, bulgoczący dźwięk. Płomienie przygasały.

Sue – wciąż niewidoczna – zaczęła się skradać.

– Twoja niewidzialna siostra też tu jest, nieprawdaż? – Punisher rozejrzał się. – Współpracujesz z T.A.R.C.Z.A.? Jak daleko stąd znajdują się posiłki?

Usłyszeli huk potężnej eksplozji. Sue podniosła oczy i zobaczyła ogromne kawały kruszącego się sufitu, które leciały wprost na nich. Powietrze wypełniły pył, warkot śmigieł i migoczące światła. Niewidzialna Kobieta odruchowo aktywowała pole siłowe.

Znajdujący się nad pozostałymi Wilt wrzasnął. Wielki odłam granitu uderzył w belkę, na której wisiał, i oderwał ją od sufitu. Wilt spadał, wrzeszcząc, wciąż był przywiązany do belki i leciał wprost na Johnny'ego i Punishera.

Sue powiększyła pole siłowe tak, by zmieścić się w nim jej brat. Wilt odbił się lekko od pola, próbując wyzwolić się z więzów, a potem spadł z kilku metrów na ziemię. Sue otworzyła pole na ułamek sekundy, żeby wpuścić brata do środka, a potem znów rozciągnęła je nad całą czwórka.

Dookoła spadały fragmenty drewna i tynku, przesłaniając widok. Punisher nie ruszył się ani o centymetr, wciąż stał z nogą na gardle Johnny'ego. Powoli zauważył Sue, która zdała sobie sprawę, że w całym tym zamieszaniu stała się widzialna.

Pogromca wyszczerzył zęby.

Wilt uwolnił się z więzów. Zaczął wierzgać wewnątrz pola siłowego, próbując uciec, ale odbił się od granicy z okrzykiem bólu.

I wtedy przez dziurę w dachu wpadł snop światła ogromnego szperacza. Sue drgnęła.

– WYNIK WYSZUKIWANIA TRYKOTÓW: FRANCIS CASTLE, PUNISHER – rozległ się ogłuszający komunikat. – JONATHAN STORM, LUDZKA POCHODNIA.

Nad budynkiem unosiły się cztery ciężkie śmigłowce T.A.R.C.Z.Y., furkocząc i wirując w chmurze betonowego pyłu.

– SUSAN RICHARDS, NIEWIDZIALNA KOBIETA.

Pogromca pochylił się nad Johnnym, który wciąż wił się na ziemi.

– To wy nie jesteście z nimi? – spytał.

– Nrrggh!

– TU CZWARTY ODDZIAŁ T.A.R.C.Z.Y. PODDAJCIE SIĘ, ZARAZ ZOSTANIECIE ARESZTOWANI.

- Wróg mojego wroga? – Punisher spytał Susan.
- Co? – zapytała.
- Zawieszenie broni.
- Thhhhk! – krzyknął Johnny.

Punisher uniósł stopę. Johnny kaszlnął, chwycił się za gardło. Dotychczasowy przeciwnik pomógł mu się podnieść.

– OSTATNIE OSTRZEŻENIE. RZUĆCIE BRONŃ, ZAPRZESTAŃCIE NIELEGALNIE KORZYSTAĆ ZE SWOICH MOCY.

Sue podbiegła do Johnny'ego, po drodze upewniając się, że pole siłowe pozostało nienaruszone.

Wilt skulił się przy granicy kopułowatej bariery energetycznej.

Punisher uniósł karabin i wskazał na śmigłowce unoszące się tuż nad przedziurawionym dachem.

– Nie odleczę – powiedział.

Sue przytaknęła z ponurą miną. Zrzuciła ubranie, odkrywając uniform Fantastycznej Czwórki, po czym wyłączyła pole siłowe.

– Zabierz nas stąd – rzuciła.

Johnny zgodził się i stanął w płomieniach. Chwycił siostrę pod rękę i wzbił się w niebo.

Głośne ratatata zwróciło uwagę Sue. Spojrzała w dół. Wilt rzucił się biegiem do drzwi, byle dalej od Punishera, który stał nieruchomo, strzelając z obu automatów jednocześnie. Celował w ściany, nie w śmigłowce – wzbijał pył, by osłonić swoją drogę ucieczki.

„Musi mieć w torbie całą zbrojownię”, pomyślała.

– METALUDZIE USIŁUJĄ UCIEC. DO FIREFOXÓW DZIESIĘĆ I DWANAŚCIE: PRZECHWYĆCIE ZBIEGÓW.

Sue i Johnny mknęli w górę prosto na jeden z helikopterów. Z boku kadłuba wysunęła się groźna lufa działka przeciwlotniczego i powoli brała ich na muszkę.

– Johnny! – zawołała Sue.

– Trzymaj się, siostra.

Ludzka Pochodnia poszybował zygzakiem, wyleciał przez wyrwę w dachu, a potem ruszył niemal poziomo, wykonał ślizg pod jednym śmigłowcem i minął dwa pozostałe. Kule przecięły ze świstem powietrze obok; Sue podciągnęła nogi, by uniknąć

postrzelenia. Starła się utrzymać działanie pola siłowego, ale koncentracja była w tych okolicznościach niemal niemożliwa.

Nagle Johnny zawrócił tak gwałtownie, że zrobiło jej się niedobrze; kierowali się wprost na strzelające działko. Bohater stopił dłonią pociski w powietrzu.

Sue nie mogła na to patrzeć.

Johnny skręcił, wciąż trzymając siostrę, i zaczął wzbijać się w niebo. Śmigłowce warkotały za ich plecami, zawracały i ruszały w ślad za nimi.

– DO WSZYSTKICH ODDZIAŁÓW: KONTYNUOWAĆ POŚCIG. METALUDZIE ODDALAJĄ SIĘ OD CENTRUM I LECAJĄ PROSTO NA ODDZIAŁY DZIEWIĄTY I JEDENASTY.

Sue spojrzała przed siebie i przełknęła ślinę. Za rozświetlonymi nocnymi wieżowcami Nowego Jorku, za zielonym prostokątem Central Parku dostrzegła drugie skupisko migoczących świateł – śmigłowce zmierzały wprost na nich.

„Mają tu nas jak na świeczniku”, pomyślała. „Jesteśmy niczym ognista kometa na tle nocy...”

– Sue – powiedział Johnny. – Musimy zniknąć. Teraz!

Sue przytaknęła i mocno zacisnęła powieki. „Zaufaj mu”, pomyślała. „Zaufaj swojemu bratu”. Moc niewidzialności stopniowo zaczęła działać. Płomienie Johnny’ego zniknęły. Siostra dała mu znak, że wszystko gotowe, i bohater zaczął zniżać lot na ulicę.

– ODDZIAŁE DZIEWIĄTY, TU ODDZIAŁ CZWARTY. STRACILIŚMY KONTAKT WZROKOWY Z METALUDŹMI. WIDZICIE ICH?

– POTWIERDZAM BRAK KONTAKTU WZROKOWEGO.

– WŁĄCZYĆ WYKRYWANIE SUPERMOCY...

Zbliżali się do ulicy. Dźwięki z głośników ucichły. Johnny stopniowo tłumił ogień i wylądowali miękko na spokojnym rogu Central Park West. Latająca Pochodnia złapał powietrze, zakaszłał, po czym oparł się o latarnię, ciężko dysząc.

Obok przebiegli truchtem dwaj mężczyźni, nieświadomi obecności niewidzialnego rodzeństwa. Jeden z biegaczy obrócił głowę, gdy usłyszał sapanie, po czym wrzucił ramionami

i pobiegł dalej.

Sue obejrzała skaleczenie na twarzy Johnny'ego i posiniaczone gardło brata.

– Wszystko w porządku?

– T-tak.

– Twoja rana na głowie znów krwawi. Trzeba będzie ją obejrzeć.

– Wspaniale.

Popatrzyła w niebo. Śmigłowce właśnie odlatywały na południe z gniewnym huczeniem. Udało im się, zgubili pościg T.A.R.C.Z.Y., przynajmniej na razie mają spokój.

– Lepiej nie... Nie używać więcej mojej mocy – powiedział Johnny. – Chyba dlatego nas namierzili.

– Chodź. – Sue wzięła brata pod ramię i pociągnęła go do gęsto zarośniętego, słabo oświetlonego parku. Kiedy nie byli już na widoku, wyłączyła niewidzialność.

– Chodźmy do Ruchu Oporu. Działacze cię opatrzą.

– Cholerny Punisher. – Johnny znów zakasłał. – Myślisz, że go dorwali?

– Wątpię. Ale to absolutnie nie nasz problem.

Szli brukowaną alejką, hałas ruchu ulicznego słabł w oddali. W parku królowała cisza, tylko czasem spotykali grupkę cicho rozmawiających lub śmiejących się ludzi.

– Nie najgorszy wieczór – skwitowała Sue. – Ocaliliśmy człowieka przed śmiercią.

– Może na nią zasłużył.

– Może. – Uśmiechnęła się i zaczerpnęła do płuc nocnego powietrza. – Ale to nie do nas należy decyzja, prawda?

„TONY, zrozum, proszę. Po prostu nie wiem, czy mogę...”

Spider-Man pokręcił głową. „Nie. Za słabe”.

Przykucnął jak modliszka przy głównym stanowisku komputerowym w pracowni Tony’ego Starka. Na rzędzie ekranów migotały przepływające informacje, w tym aktualności T.A.R.C.Z.Y., raporty o superludziach, prognozy demograficzne i statusy znanych ras pozaziemskich. Podłoga była zasłana niedokończonymi projektami Tony’ego: minireaktorami, silnikami, jednostkami zasilającymi, a także czymś, co wyglądało na połowę latającego samochodu, i prototypami pancerzy Iron Mana wszystkich możliwych kolorów i kształtów – torsami, kaskami, rękawicami, odrzutowymi butami, a nawet dołem pancerza z gąsienicą czołgową.

„Tony. Anthony, wiem, że ci się spieszy. Może na tym właśnie polega...”

Komputery były włączone, kiedy Spider-Man przybył na miejsce; Tony w pośpiechu nie zablokował ich nawet hasłem. Spidey wysunął metalową mackę i dotknął ikonki na ekranie.

Nad jego głową pojawił się holograficzny obraz. Tony – w jednym ze swoich najwcześniejszych strojów, żółtym, ciężkim i kanciastym – stał czujnie na ulicy. Powoli dołączył do niego trzymetrowy Hank Pym. „Hank był pierwszym Goliatem”, przypomniał sobie Spidey. „A może Giant-Manem?”

Błysnął czerwono-czarny strój i na scenę wleciała Osa – Janet Van Dyne, przyszła żona Hanka – zmniejszona do trzydziestu centymetrów, z hełmem zaostrzonym jak żądło. A potem: Thor. Zleciał z nieba, wywijając młynka młotem, z uśmiechem, który mówił: jak wspaniale jest być tu dziś między śmiertelnikami.

„To wszystko dzieje się zbyt szybko. Tony, czy możesz mnie

posłuchać przez...”

Spider-Man wpatrywał się w hologram. To byli najwcześniejsi, świeżo powstałi Avengersi; nawet nie znaleziono jeszcze Kapitana Ameryki, wciąż pogrążonego w hibernacji. Holograficzni Avengersi rozpierzchli się, podczas gdy w powietrzu materializował się wróg: mężczyzna w fioletowym stroju, z fryzurą przypominającą szatańskie rogi i morderczym spojrzeniem.

Spidey zdziwił się i dotknął wyświetlacza, żeby zatrzymać odtwarzanie. Kliknął dwa razy na fioletową postać, pod spodem pokazała się etykieta: SPACE PHANTOM.

Space Phantom. Kosmiczne Widmo.

„Kiedyś wszystko było prostsze, co nie?”

Plik, do którego wszedł Spider-Man, wyglądał na chronologiczny zapis spraw Avengersów. Obok na ekranie widniała druga ikonka: P PARKER. Dotknął jej palcem.

Widok Avengersów zniknął, zastąpiło go nagranie z niedawnej konferencji prasowej. Spider-Man patrzył, jak sam ściąga maskę, mrużąc oczy przed setkami fleszy. Holo-Tony opiekuńczo objął ramieniem Holo-Petera i skinął mu z ciepłym uśmiechem.

Spidey cofnął plik. Oglądał zapis własnej kariery od tyłu. Patrzył, jak we własnej osobie pojawia się na miejscu katastrofy w Stamford w nowym stroju, jak Tony prosi go, żeby dołączył do Avengersów. I wreszcie jak oczyszcza się z zarzutów przed nowojorską policją i stawia się w gabinecie J. Jonaha Jamesona i wytyka mu serię oszczerczych artykułów. Oraz jak walczy z Venomem, Hammerheadem, Silvermane’em, Kravenem, Vulture’em.

Kartoteka sporządzona przez Tony’ego była imponująco szczegółowa. Spidey poczuł dziwny ucisk w żołądku. Poczuł się mile połączony, lecz jego prywatność została niejako naruszona.

W pliku znalazło się jeszcze jedno zdjęcie – dwuwymiarowa wyblakła fotografia. Mały chłopiec w grubych okularach z uśmiechem na twarzy przyjmuje medal, który wieszka mu na szyi jakiś mężczyzna. Na nagrodzie widnieje napis: KONKURS DLA MAŁYCH NAUKOWCÓW – PIERWSZE MIEJSCE. Człowiek

wręczający wyróżnienie ma siwe włosy, szerokie barki, świetnie skrojony garnitur i surową minę.

Spider-Man przybliżył się do ekranu i usiłował rozpoznać chłopca. To był on sam, miał wtedy około sześciu lat. Ale mężczyzna...? Kliknął na niego dwa razy.

HOWARD ANTHONY WALTER STARK.

Oczy Spider-Mana skryte za soczewkami rozwarły się szeroko ze zdumieniem. „Ojciec Tony’ego”.

Spider-Man zdążył zapomnieć o tej nagrodzie – pierwszej za osiągnięcia naukowe. A już na pewno puścił w niepamięć człowieka, który mu ją wręczał.

Ale Tony pamiętał.

– Peter, zaraz zrobisz mi macką dziurę w fotelu.

Spider-Man zerwał się na równe nogi z zaskoczenia. Dotknął ekranu. Hologram zniknął.

Tony w pełnym rynsztunku Iron Mana stał na progu pracowni. Do wyjścia prowadziła wygięta rampa, która pozwalała mu szybko wlatywać i wylatywać.

– Nie wiedziałem, że tam jesteś, szefie.

Iron Man postawił dwa ostrożne, niemal mechaniczne kroki w głąb pomieszczenia.

– Nie pamiętam, żebym zapraszał cię do pracowni, Peter.

– Przepraszam. Musiałem się z tobą zobaczyć.

Iron Man zatrzymał się i rozpostarł ramiona.

– Oto jestem.

Jego napierśnik jarzył się od mocy.

Spider-Man podszedł do szefa z uniesioną ręką.

– Słuchaj...

– Może byś usiadł i powiedział, co masz do powiedzenia. I to nie było pytanie.

Spidey poczuł przyływ złości. „Znów kombinuje z głosem. Zwiększył głośność i częstotliwość wbija mi się w mózg. Mam ochotę robić, co mi każe”.

– To nie zajmie długo – oznajmił. – Chciałem cię tylko poinformować, że odchodzę z grupy Avengers.

Oczy Tony’ego błysnęły na czerwono.

– Rozumiem.

– Jestem ci naprawdę wdzięczny za... Za wszystko. Ale zamykanie bohaterów w więzieniu w Strefie Negatywnej? Zabicie Billa Fostera?

– Peter, Thor zareagował jak policjant. Poczł zagrożenie, w odpowiedzi użył siły. Ale Bill Foster był moim przyjacielem... Naprawdę sądzisz, że pozwolę, by doszło do powtórki?

– Nie! Nie, o ile to będzie od ciebie zależało. Ale ta sprawa cię przerosła, Tony.

– A co twoim zdaniem powinniśmy robić z niezarejestrowanymi superludźmi? Mamy zamykać ich razem ze zwykłymi więźniami? W piętnaście minut wydostaną się na wolność.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale... Czy w ogóle musimy ich zamykać?

– Musisz coś zrozumieć, Peter. – Tony zawirował wokół niego z zaciśniętymi pięściami. – W T.A.R.C.Z.Y., a co ważniejsze, w rządzie federalnym, są siły, które chcą zdelegalizować superludzi. Całkowicie, wszystkich.

– Ale...

– Zaproponowaliśmy kompromis polegający na regulacji naszych zachowań. Dobrowolnie i zgodnie z planem, pod moim nadzorem. Bo nie ma powrotu do tego, co było, Peter. Taka możliwość nigdy nie leżała na stole negocyjnym.

– Zejdź mi z drogi, Tony.

– Co chcesz zrobić, Peter? – Stark stał teraz przed podopiecznym, był wysoki i imponował; wszystkie jego systemy obronne świeciły. – Znów pójdziesz do telewizji i odwołasz poparcie dla rejestracji? A może dołączysz do bandy zdrajców Kapitana Ameryki?

– Jeszcze nie wiem.

– Ty mały idioto. – Spidey czuł ogień w głosie Tony'ego nawet przez pancerz. – Naprawdę myślisz, że możesz tak po prostu wszystko rzucić i wrócić do swojego dawnego życia? Wszyscy wiedzą, kim jesteś. Jak będziesz zarabiał na życie? Co z cicią May?

Peter Parker zagotował się z wściekłości. Uderzył Tony'ego z całej siły – nadludzki cios pięścią zrobił wgniecenie w napierśniku zbroi. Starka aż odrzuciło, roztrzaskał konsolę komputera i wbił się w ścianę.

– Ciocia May – warknął Spider-Man – jest daleko od ciebie.

Tony uniósł dłoń i użył repulsora. Pajęczy zmysł ostrzegł Spider-Mana, wysyłając impuls do mózgu, ale było za późno. Promień uderzył w bohatera, powalił go na ziemię tak, że Spidey'owi zabrakło tchu.

– Ufałem ci, Peter. – Tony ściszył głos. – Wziąłem cię pod swoje skrzydła. Dałem ci wszystko. W taki sposób mi się odpłacasz?

Z dłoni Iron Mana wyleciał drugi promień repulsora, potem trzeci. Ale Spider-Man nie poddawał się, skacząc i robiąc uniki, wykręcał macki do tyłu, by odpychać się od ścian.

– Nie – powiedział. – Tak ci się odpłacę.

Dał susa wprost na Tony'ego...

– Hasło awaryjne: Delta Delta Epsilon – powiedział Tony.

...i Spider-Man znieruchomiał w locie. Nagle poczuł, jakby wszystkie jego stawy były sparaliżowane, nie słuchały poleceń. Upadł z brzękiem na podłogę, uderzając się boleśnie w bark.

Rozejrzał się w oszołomieniu. Wylądował wśród hełmów Iron Mana: były czerwone, złote, srebrne, białe, niektóre miały stateczniki albo dodatkowe mocowanie na broń. Kiedy spojrzął w górę, Tony wznosił się nad nim jak Zeus patrzący z Olimpu.

– Peter – powiedział Iron Man. – Jaki byłby ze mnie inżynier, gdybym dał komuś tak potężny kostium, nie wbudowawszy zabezpieczeń? Chciałem mieć pewność, że nie zostanie użyty przeciwko mnie, swojemu twórcy.

Spidey z trudem łąpał oddech.

– Posłuchaj – ciągnął Tony. – Nie musisz tego robić. Nie musisz uciekać. Przeszedłeś już rejestrację, najtrudniejsze za tobą. Jestem skłonny zapomnieć o tym małym napadzie złości.

Spider-Man gwałtownie nabrał powietrza do płuc, a potem wypowiedział na głos pięć słów. Zdał sobie sprawę, że zrobił to zbyt cicho.

– Co takiego?

– Powiedziałem... Hasło: Wszystko, co potrafi pająk.

Uskoczył w bok tak szybko, że niemal nie dało się tego zarejestrować. Uniósł rękę i wystrzelił pajęczynę wprost w twarz Tony'ego, czym zasłonił mu wizjer.

– Jaki byłby ze mnie młody naukowiec, gdybym nie odkrył i nie anulował ręcznego sterowania, szefie?

Spidey znów uderzył zaskoczonego Tony'ego, tym razem obiema pięściami. Nigdy nie wybrałby takiego ciosu wobec zwykłego przeciwnika, ponieważ byłby zabójczy. „Ale to”, uświadomił sobie ponuro, „jest jeden z najpotężniejszych ludzi na Ziemi. Pod wieloma względami”.

Tony poleciał w powietrzu, szarpiąc pajęczynę, którą miał na twarzy. Strzelał na oślep repulsorami z obu dłoni. Spider-Man wirował, robiąc uniki, po czym wspinał się po ścianie obok regału ze sprzętem ku rampie prowadzącej do wyjścia ewakuacyjnego.

Wtedy wewnętrzne drzwi wyleciały w powietrze z głośnym hukiem. Spider-Man spojrzał na nie w chwilowym przestraszeniu.

Pluton szturmowców T.A.R.C.Z.Y. w pełnym rynsztunku wpadł do pomieszczenia. Twarze żołnierzy skrywały się za kuloodpornymi, nieprzejrzystymi przyłbicami. Dowódca spojrzał na Tony'ego. Iron Man z trudem wstawał, powoli wypalając pajęczynę na swojej twarzy niskoenergetycznymi promieniami repulsora.

Spider-Man skoczył ku platformie prowadzącej na wolność. Dowódca oddziału T.A.R.C.Z.Y. wskazał na niego i krzyknął:

– Na ziemię, panie Stark! Mamy go!

Grad pocisków zagłuszył odpowiedź Tony'ego. Spidey nie miał czasu na wykręt; kule uderzyły wprost w niego. Opancerzony kostium zatrzymał je, zanim dotarły do ciała, ale trafienia w ręce, nogi i tors sprawiły, że Peterowi zabrakło tchu. Skoczył, gwałtownie się obrócił i na chybił trafił wystrzelił nici z obu wyrzutni.

Chwilę potem biegł po rampie, skacząc i odbijając się od korytarza. Pociski wciąż raniły mu plecy i łydki, sprawiając, że tracił równowagę, i dziurawiąc mu kostium. Czuł pieczenie

w każdym stawie, mięśni, na każdym centymetrze kwadratowym skóry. Za którymś razem potknął się i boleśnie wyrznął barkiem o ścianę.

Ale biegł dalej. Tylko tak mógł się ocalić.

Jego świadomość z wolna gasła, pozostawał tylko instynkt. Jakby z bardzo daleka usłyszał metaliczny głos Tony'ego Starka:

– Stop! Wstrzymać ogień!

Następnie dotarł do dużego wjazdu. Tony nie zamknął wyjścia po swoim przybyciu. Spider-Man odsunął wjazd szarpnięciem i wyskoczył. Zażył zimnego nocnego powietrza, które brutalnie go orzeźwiło. Przez chwilę wisiał, potem próbował zaczepić się na ścianie budynku. Oddychał ciężko, pozwalając, by spływały po nim odgłosy miasta.

W środku zabrzmiało dudnienie kroków na rampie. Spidey zatrzasnęła służę i szczelnie zakleił ją pajęczyną. Potem ruszył w dół po ścianie wieżowca ku odległej ulicy.

„Dojść do studzienki”, mówił sobie. „Tylko zachowaj przytomność. Jeśli uda ci się dotrzeć do kanałów, będziesz bezpieczny”.

Ale w głębi serca wiedział, że się oszukiwał.

Peter już nigdy nie będzie bezpieczny.

TONY Stark uniósł obie dłonie, nakierował repulsory na włącz i wystrzelił. Rygle rozpadły się, pajęczyna rozpięzła na wszystkie strony. Pokrywa stanęła otworem i zawisała na jednym zawiasie.

Iron Man wysunął głowę przez służę i spojrzął w dół. Coś pełzło po ścianie, robiąc uniki i przebierając kończynami, z każdym ruchem zbliżając się do odległego chodnika. Światło latarni ulicznej błysnęło na metalicznej powłoce stworzenia. Dopiero wtedy Tony rozpoznał Petera.

„Co ja mu zrobiłem?”, pomyślał. „Co ja zrobiłem im wszystkim?”

Wydał polecenie w myślach: PRZYBLIŻ OBRAZ. Pancierz wahał się – nie dłużej niż przez mikrosekundę, ale jednak budziło to niepokój. Potem przed jego oczami pojawiło się zbliżenie, które automatycznie skoncentrowało się na Spider-Manie. Maskę ścianałaza była rozdarta, siatkowy kostium pełen wgnieceń, z podbródka kapłała krew. Niepewnie wylądował na chodniku, pochylił się nisko i pobiegł sprintem do studzienki kanalizacyjnej.

Tony zbierał się do skoku, polecił odrzutowym butom, by grzały silniki. Nagle rozbłysło kilkanaście ostrzeżeń: SPRAWNOŚĆ ODRZUTOWYCH BUTÓW 56%. SZCZELNOŚĆ PANCERZA NARUSZONA. SYSTEMY OBRAZU 72%. PRZEGUBY / SYSTEMY NAPĘDOWE NARUSZONE PRZEZ OBCĄ CIECZ.

Pajęczyna Spider-Mana. Rozlała mu się po całej zbroi, zalepiając wszystkie systemy. Tony cicho zaklął. „Gdybym tylko przerobił te cholerne nici, kiedy konstruowałem mu resztę stroju”.

Będzie musiał zmienić kostium Iron Mana na zapasowy, zanim ruszy w pościg za Peterem. O ile ma w pracowni jeszcze jeden cały pancierz.

Powlókł się z powrotem po rampie. Wszędzie unosił się pył, kordytowy zapach wystrzelonych pocisków mieszał się ze smrodem spalonej elektroniki.

Pracownia wyglądała jak po przejściu kataklizmu. Wokół były roztrzaskane komputery, rozwalone kostiumy Iron Mana, połamane i powgniatane stoły warsztatowe oraz jednostki zasilania.

„Straty na setki tysięcy dolarów”, pomyślał Tony. „Może miliony”.

Maria Hill rozmawiała z dowódcą plutonu T.A.R.C.Z.Y. Miała na sobie obcisły czarny mundur polowy, kamizelkę kuloodporną i ciemne okulary, zdjęła jednak hełm. Zwróciła się do Tony’ego z ustami wykrzywionymi pogardą.

– A więc twój oswojony owad opuścił ul.

– Pajęczak – poprawił Tony.

– Co?

– Nie owad, tylko pajęczak. Nic. Nieważne. – Tony podszedł do szafki podziurawionej kulami jak rzeszoto. – Będę go ścigał. O ile twoi ludzie nie zniszczyli mi całego sprzętu.

– Wybacz, że staraliśmy się uratować ci życie.

Stark dotknął zamka szafki i potknął się. Prawie upadł.

– Zdaje się, że nikogo nie będziesz ścigał – skomentowała Hill. – Sierżancie?

Przysadzisty agent T.A.R.C.Z.Y. zamierzał pomóc Tony’emu wstać. Ten odpędził go ze złością.

– Wszystko w porządku.

– Masz chyba rozwalone kolano. O ile to nic gorszego.

Zrozumiał, że Hill miała rację. Pancierz go podtrzymywał i nie pozwalał mu zdać sobie sprawy z tego, jak poważnie był ranny. Spider-Man miał reputację jednego z najpotężniejszych superludzi na ziemi: między innymi to właśnie dlatego Tony go zwerbował. Teraz odczuł skutki tamtej decyzji na własnej skórze.

Hill dotknęła przycisku komunikatora na ramieniu.

– Tu dyrektorka Hill, autoryzacja alfa – oznajmiła. – Aktywować projekt Thunderbolt.

– Nie – zaoponował Tony.

- Czwórka i Szóstka, wysyłam współrzędne. Cel: Spider-Man.
- Nie! Mam wszystko pod kontrolą... – Potknął się, opadł na fotel.
- Z całym szacunkiem, Stark, absolutnie nie masz niczego pod kontrolą. – Hill górowała nad nim; jej wargi wciąż wykrzywiała pogarda. – Nie dowodzisz T.A.R.C.Z.Ą. Decyzje należą do mnie.
- Pokonany Tony osunął się na fotel. Zdjął hełm i spojrzał na dyrektorkę nieosłoniętymi oczami.
- Nie rób mu krzywdy.
- Nie martw się, nie będziesz miał przeze mnie kolejnej śmierci na swoim czułym sumieniu. Może mi się uda.
- Nie będziemy mieli przez ciebie kolejnej śmierci na naszym sumieniu. Żadnej. – Wstał i spiorunował ją wzrokiem. – Ruch na rzecz rejestracji nie potrzebuje takiego rozgłosu.
- Przykro mi, że twój mały pajęczak cię rozczarował, Stark. Bycie mentorem potrafi dać niezłe w kość.
- Pstryknęła palcami. Agent T.A.R.C.Z.Y. pojawił się u jej boku, trzymając komunikator z kablem USB.
- A teraz może obejrzymy przedstawienie? Gdzieś w tym burdelu musi być jakiś działający monitor.

PIĘĆ minut później pył opadł i oczyszczono ze szczątków kawałek podłogi. Projekторы holograficzne były zniszczone, ale jeden z agentów T.A.R.C.Z.Y. regulował właśnie zamazany obraz na płaskim monitorze. Inny rozstawił wokół ekranu składane krzesła. Tony w spodenkach i podkoszulku usiadł, a medyk T.A.R.C.Z.Y. bandażował mu kolano.

Agent znad ekranu oznajmił:

- Gotowe.
- Hill nacisnęła komunikator na ramieniu.
- To tylko sześćdziesięciminutowa wersja próbna – powiedziała. – Trzeba użyć trybu niewidzialności. Operacja Thunderbolt jest wciąż ściśle tajna. Czy nanorestrykcje są włączone?
- Tak, pani dyrektorko.

– Aktywować śledzenie.

Na ekranie pojawiła się mapa i ukazała płataninę krętych podziemnych kanałów pod Manhattanem. W tunelach przesuwały się szybko dwa pulsujące punkty oznaczone cyframi 4 i 6.

– Namierzyłem dwóch Thunderboltsów – oznajmił agent. – Spider-Man wyłączył jednak śledzenie GPS w swoim kostiumie. To, co teraz zobaczymy, to najbardziej prawdopodobna lokalizacja. – Na ekranie zaczęła migać czerwono-złota kropka, wskazując przybliżone miejsce pobytu Spidey’ego o kilka zakrętów przed pozostałymi punkcikami.

Hill się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że nie można mu ufać.

– Nie ciesz się tak. – Stark posłał jej złe spojrzenie. – Nie muszę ci chyba przypominać, kim są Thunderboltsi, Hill. To superzłoczyńcy.

– Byli superzłoczyńcy. Tacy, którzy zostali należycie zarejestrowani przez rząd i przeszli intensywne szkolenie. Wszczepiliśmy im czipy, założyliśmy lokalizatory i wstrzyknęliśmy nanoroboty, które pozwalają nam całkowicie kontrolować zachowanie obiektów.

– Są jak psy. – Tony się skrzywił.

– Dzikie psy. – Wskazała na poruszającą się na ekranie kropkę oznaczającą Spider-Mana. – I nie widzę większej różnicy między nimi a nim.

„Nie”, pomyślał Tony. „Ty nie widzisz”.

Na monitorze pojawił się drżący widok z kamery znajdującej się we wnętrzu kolektora kanalizacyjnego. Oświetlenie było słabe, stare żarówki umieszczono w dużych odstępach. Na ekranie przesuwały się strome ściany kanałów; słychać było chłopot wody.

– Zarówno Czwórka, jak i Szóstka mają zamontowany monitoring – wyjaśniła Hill. – To jest obraz Szóstki. Agencie, rozwiń kartotekę.

W rogu ekranu pojawiła się fotografia przerażającej postaci w stroju z lycry i metalowej siatki oraz z płonąca dynią

o straszliwym uśmiechu w miejscu głowy. Podpis głosił:

Obiekt: Steven Mark Levins;

Pseudonim: JACK O'LANTERN;

Przynależność do grupy: brak;

Moce: pancerz, możliwość panoramicznego widzenia, blastery w nadgarstkach, różnego typu granaty;

Typ mocy: zewnętrzna;

Aktualne miejsce pobytu: Nowy Jork.

Na głównym ekranie rura kanalizacyjna przeszła w długi, prosty tunel. Coś w oddali zachlupotało.

– Szóstka? – spytała Hill.

– Słyszę cię, piękna. – Głos Jacka był niski, okrutny i ani trochę niezaspany po długiej drodze przez kanały. – Chyba go mamy.

– Przyjęłam. Thunderboltsi, macie zgodę na wkroczenie do akcji.

Tony spiął się i pochylił, cały czas wpatrując się w ekran.

Kamera szarpnęła w lewo i w kadrze pojawiła się druga postać. Tyczkowaty mężczyzna w fioletowych butach i ze spiczastym kapturem, miał ostre zęby i twarz zasłaniał niebieską maską.

– Czwórko. – Hill skinęła na agenta i w rogu monitora pojawił się kolejny opis.

Obiekt: Jody Putt;

Pseudonim: BŁAZEN;

Przynależność do grupy: brak;

Moce: różne zabawki i „zartobliwe” sztuczki (potencjalnie zabójcze);

Aktualne miejsce pobytu: Nowy Jork.

Błazen obrócił się do kamery i wyszczerzył zęby.

– Ja się tym zajmę – oznajmił.

Sięgnął do plecaka i wyjął małą plastikową laleczkę z komicznie rozżłoszczoną miną. Zakręcił korbką dwa, trzy razy i położył lalę na wodzie.

Zabawka poleciała w głąb tunelu na maleńkim silniku raketowym, szybując tuż nad wodną powierzchnią.

– Przełącz na kamerę Błazna – rozkazała Hill.

Na ekranie pokazał się Jack O’Lantern, przyczaił się w groźnym siadzie na dysku lecącym tuż nad ziemią. Złapał Błazna i wciągnął go na pojazd, po czym popędzili za nakręcaną zabawką.

Kamera Błazna pokazała zbliżenie na Spider-Mana, który uciekał, gorączkowo przebierając nogami w mętnej wodzie. Miał porozdzierany kostium, macki zwisały bezużytecznie. Z zniszczonej maski widać mu było pół twarzy.

W kadrze pojawiła się bzycząca zabawka, leciała prosto na Spider-Mana. Ten odwrócił się z zaskoczeniem.

– Co do...

Wtedy lalka wybuchła. Ekran wypełniła wielka kula ognia.

Tony odezwał się raptownie ku Hill.

– Mówiłaś, że go nie zabijesz!

– Myślisz, że to mogłoby go zabić? – Zademonstrowała zniecierpliwienie. – Przełącz na widok z kamery Szóstki.

Na ekranie widać było, jak pył powoli się rozwiewa. Spider-Man przykucnął w brudnej wodzie i kasłał. Nad nim triumfował Błazen.

– No proszę, Piotruś Pan Spider-Man we własnej osobie. – Złoczyńca się zaśmiał. – Jakie to uczucie: stać po niewłaściwej stronie prawa, Parker? Podoba ci się widok Błazna z gwiazdą szeryfa?

Obraz przesunął się, gdy Jack O’Lantern przeleciał nad Spider-Manem.

– Szkoda, że nie widziałeś, z kim się teraz bujamy, Petey. Bullseye, Venom, Lady Deathstrike... ja i Błazen wreszcie trafiliśmy na listę top złoczyńców.

– I to legalnie.

Spider-Man pokręcił głową, z wysiłkiem próbując się skupić na krążących wokół łotrach.

– O mamusiu. – Błazen wyjął jo-jo i rzucił nim w Spider-Mana. – To jest aż za dobre.

Zabawka uderzyła Spider-Mana w klatkę piersiową i eksplodowała jak mały granat hukowy. Spider-Man krzyknął, upadł do tyłu i z pluskiem wylądował w wodzie.

Jack O'Lantern szybko podbiegł bliżej. Jego ręka pojawiła się w kadrze, chwyciła Spider-Mana i rzuciła nim o ścianę.

– Wiesz co? – wysyczał. – Ta robota wydawała się na początku do bani. Praca dla T.A.R.C.Z.Y.... Ale potem góra mówi: dajcie wycisk Spider-Manowi. – Mocno uderzył Spider-Mana w głowę. – I co zrobisz? Nic nie zrobisz.

– My tylko wykonujemy rozkazy – dodał Błazen i zdarł kolejny kawałek maski Spider-Mana.

Teraz było wyraźnie widać jedno oko, posiniaczone, opuchnięte i przymknięte. Spidey zwiesił głowę, która poleciała mu na bok, i przestał się ruszać.

– Hill – odezwał się Tony.

Ta rzuciła przez komunikator:

– Już mu wystarczy, Thunderboltsi. Zostawcie go i czekajcie na ekipę sprzątającą.

– No weeeż, T.A.R.C.Z.A....

– Dotknij go jeszcze choć palcem, Jack, a przepuszczę ci przez organizm pięć tysięcy woltów. Dobrze wiesz, że nie blefuję.

Widoczny na ekranie chwyt Jacka O'Lantern na szyi Spider-Mana rozluźnił się. Ścianołaz osunął się na ziemię z pluskiem.

– Posiłki T.A.R.C.Z.Y. są w drodze. Załóżcie mu tylko kajdanki i siedźcie spokojnie.

Tony odetchnął z ulgą.

Pokazał się z powrotem obraz z kamery Błazna. Jody Putt odwrócił się do Jacka, którego płonąca głowa w kształcie dyni wypełniła kadr.

– Zepsułaś zabawę – skwitował Jack.

I wtedy głowa Jacka wybuchła i roztrzaskała się na kawałki mózgu i dyni. W pomieszczeniu rozległ się wrzask umierającego złoczyńcy, ostry i przefiltrowany przez głośniki komunikatora.

– Co jest, do cholery! – wrzasnął Błazen. Jego kamera szalała i przeprowadzała rewizję ścian tunelu. – T.A.R.C.Z.O.! T.A.R.C.Z.O., słyszycie mnie? Tutaj jest ktoś jeszcze...

Kolejny strzał zabrzmiał w ciasnej przestrzeni ogłuszająco. Kamera Błazna zachwiała się, szarpnęła i przechyliła w górę, po czym pokazała sklepienie tunelu. Obraz drgnął jeszcze raz i znieruchomiał.

– On też nie żyje. – Agent T.A.R.C.Z.Y. gorączkowo stukał w klawiaturę laptopa. – Kamera Jacka nie działa. Mamy jeszcze monitoring od Błazna...

Na ekranie pojawił się ciężki czarny but i zasłonił sufit kolektora. Zatrzymał się niemal dramatycznie, a potem mocno depnął.

W kadrze wyskoczyły zakłócenia.

Hill zerwała się z krzesła.

– Dajcie mi jakiś podgląd! Jakikolwiek!

Agent stukał w klawisze, sapiąc przez zęby. Podniósł wzrok i bezradnie rozłożył ręce.

Hill walnęła pięścią w stół.

– Co tam się stało, do cholery?!

– Łączność odcięta, pani dyrektorko. Jesteśmy głusi i ślepi.

– Niech to szlag. – Jeszcze raz dotknęła komunikatora. – Do wszystkich jednostek T.A.R.C.Z.Y. w okolicy Czwartej i Broadwayu. Natychmiast zejście pod ziemię do sieci kanalizacyjnej: współrzędne w komunikacie 24-J. Patrolujcie ulice w promieniu pięciu przecznic; dawajcie znać o każdym sygnale, że ktoś lub coś próbuje wyjść na powierzchnię przez studzienkę albo inny punkt dostępu. Możemy mieć do czynienia z operacją Ruchu Oporu lub...

– Pełniąc obowiązki dyrektora Hill.

Krzywiąc się z bólu, Tony wstał i zastąpił jej drogę. Spojrzała na niego z dezaprobatą, jednak nie ustąpiła.

– Nie podobają mi się twoje metody – powiedział. – Nie udało ci się schwytać ściganego i straciłaś dwóch agentów z pilotażowego programu podczas pierwszej misji.

– Żadna strata – odparła.

– A jednak. Prosiłem cię, żebyś pozwoliła mi to zrobić po mojemu, i odmówiłaś.

– Ledwo chodzisz. A ten problem to głównie twoja zasługa. Nikt

ci nie kazał zapraszać Spider-Mana, znanego samotnika z antyautorytarnymi zapędami, do wąskiego grona najbliższych.

Tony przez chwilę gotował się ze złości. Rozejrzał się, zerknął na szczątki swoich prac, na zniszczony sprzęt. Na kilkanaście hełmów Iron Mana, wgniecionych, zmiażdżonych i podziurawionych kulami T.A.R.C.Z.Y.

– Wynoś się z mojego terenu – rozkazał.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, a potem dała znak agentom. Zaczęli chować broń i sprzęt, zapinać torby.

„Sprawni jak zawsze”, pomyślał Stark. „Żołnierze do szpiku kości”.

– Z życiem, chłopcy. Mamy pająka do złapania.

– Nie złapiecie go – stwierdził Tony.

– Tego byś chciał, Stark? – Hill spojrzała na niego po raz ostatni. – Z pewnością go złapiemy.

Po chwili T.A.R.C.Z.Y. już nie było.

Tony stał samotnie przez dłuższą chwilę. Zbadał kolano, spróbował przenieść na nie ciężar ciała. Bolało, ale mógł chodzić. To musiało wystarczyć.

Dopiero za trzecim razem znalazł działający telefon komórkowy.

– Pepper, potrzebuję ekipy sprzątającej. – Omiótł wzrokiem zdemolowaną pracownię. – I może udałoby ci się połączyć mnie z prezydentem Stanów Zjednoczonych?

NOWIUTKIE prawo jazdy pachniało świeżym tuszem. Kapitan Ameryka wręczył je Sue Richards.

– Barbara Landau – powiedział.

– Ryan Landau – przeczytał Johnny Storm ze swojego dokumentu. – Mamy być małżeństwem?

Kapitan uniósł wzrok znad zawalonego papierami stołu konferencyjnego. Jarzeniówki świeciły ostrym światłem, nadając całej grupie nieprzyjemny wyblakły odcień.

– Kończą się nam fałszywe tożsamości – wyjaśnił. – Po aresztowaniu Daredevila nasze źródło wyszło.

– Małżeństwo. – Sue zerknęła na brata. – To chyba najohydniejsza rzecz, jaką zrobiliśmy.

– A myślisz, że jak ja się czuję, siostra? Wyglądasz jak babcia mojej ostatniej dziewczyny. Auć!

Kapitan westchnął. Przeprowadzka do nowej kwatery była trudna; transport sprzętu monitorującego i medycznego wydawał się niemożliwy, póki nie pojawiła się Sue. Jej niewidzialność już kilka razy uratowała ich przed rozpoznaniem.

Ale Kapitan miał świadomość, że Ruch Oporu wciąż stąpa po niepewnym gruncie. Ciągłe pamiętał pożegnalne ostrzeżenie Hawkeye'a przed zdrajcą w grupie. Odniesione na własnej skórze urazy spowalniały jego działania. Lewe ramię wciąż wisiało na temblaku; za każdym razem, kiedy wstawał, przeszywał je kłujący ból.

„Powoli”, powiedział sobie. „Pamiętaj, co powiedziałaś reszcie: krok po kroku. Kawałek po kawałku”.

Tigra podeszła z niezadowoloną miną i zapytała:

– Nadal nie macie dla mnie papierów?

– Już to przerabialiśmy, Tigro. – Kapitan wskazał na jej ciało

w bikini od stóp do głów porośnięte pomarańczową sierścią w paski. – Nie można powiedzieć, że nie rzucasz się w oczy.

– No. – Johnny uśmiechnął się. – To chyba ciężko być taką laską.

Tigra zamruczała i otarła się plecami o ramię Johnny'ego. Odwróciła się i posłała mu zalotny uśmiech.

Sue wyglądała na zniecierpliwioną.

– Sorry, pani Landau – skwitował Johnny.

– Kiedyś uchodziłam za zwyczajną kobietę – stwierdziła Tigra. – Wystarczało, że włączałam induktor obrazu.

– Czyli technologię należącą do Stark Enterprises – odparł Kapitan. – Nie możemy jej tu używać; Tony pewnie nafaszerował lokalizatorami wszystko, co wyprodukował przez ostatnie dziesięć lat. – Odezwał się do Sue i Johnny'ego. – Wracając do was dwojga, najważniejsze, że fałszywe papiery pozwolą wam znów działać publicznie. Czyli pomagać ludziom. Po to tu jesteśmy, prawda?

Tigra znów się uśmiechnęła, zwracając się do Johnny'ego.

– On jest zawsze taki szlachetny – powiedziała, wskazując na Kapitana. – Aż się odehciewa z nim kłócić.

Do pomieszczenia zamaszystym krokiem wszedł Luke Cage, prowadząc pozostałych.

– Przyznaj się, Kapitanie. Podoba ci się nasza nowa chawira?

– Nada się. Panują spartańskie warunki, ale to zaleta. – Kapitan wstał, objął Cage'a ramieniem. – Przypomnisz mi, co to za miejsce?

– Siedziba Afroamerykańskich Specjalistów do spraw Zatrudnienia i spółki. Pomagamy ciężko pracującemu czarnoskóremu człowiekowi konkurować w świecie białych. Firma oberwała w czasie kryzysu i miejscówka stoi pusta od ponad roku.

– Ciężko pracujący czarny człowiek jak zwykle ma pod górkę – skomentował Falcon.

– Mhm. – Cage przytaknął.

Wszyscy zajęli miejsca wokół dużego stołu: Cage, Falcon, Tigra, Dagger, Photon i nowo przybyły Stingray w biało-czerwonym stroju. Sue i Johnny, Patriot i Speed.

Ruch Oporu.

– Dobra, zaczynajmy. – Kapitan przejrzał spisany ręcznie porządek zebrania. – Czy kogoś ostatnio złapano?

Photon była względnie nową młodą czarnoskórą superbohaterką z mocami opartymi na świetle.

– Nighthawka i Walkirię – powiedziała. – Dorwali ich w Queens. To ogranicza nasze lotnictwo do Falcona i niżej podpisanej.

Stingray rozpostarł skrzydła.

– I mnie – dodał.

Falcon zrobił sceptyczną minę.

– Szybowanie to nie latanie, synu. Wszystko spoko, Kapitanie. Poradzimy sobie.

– Cholerna T.A.R.C.Z.A. – Kapitan zacisnął dłoń w pięść i poczuł ukłucie bólu w rannym ramieniu. – Na każdego bohatera, którego pozyskaliśmy przez ostatnie kilka dni, jednego też straciliśmy.

– I zostają wszyscy osadzeni w więzieniu.

– Może da się coś z tym zrobić – powiedział Kapitan. – Czy ktokolwiek wie, jak wygląda plan przewozu więźniów?

Sue chrząknęła.

– Tony i Reed tworzą portale do Strefy Negatywnej w głównych więzieniach w całym kraju, także w Rikers. Ale żadne przejście jeszcze nie działa. Na razie przerzucają wszystkich przez Baxter Building.

– Baxter Building. Susan, możesz nas tam wprowadzić? – zapytał Ameryka.

– Zazwyczaj tak. Ale... Jestem pewna, że Reed zmieni kody dostępu. Mogę nawet przeszkodzić w realizacji zadania... Komputery natychmiast wykryją moją obecność.

– No i dobrze. Mam dla ciebie inną, pilniejszą misję.

Kapitan spojrział na Johnny'ego, który pokręcił przecząco głową.

– Nie patrz na mnie. Jeśli Suzie nie może dostać się do środka, to ja nie mam szans. Reed notuje, jak zneutralizować moje moce, odkąd... Jeszcze zanim je miałem.

– Cholera. Nadarzyła się nam dobra okazja. – Kapitan powiódł wzrokiem po grupie. – Jeśli uda nam się unieszkodliwić portal w Baxter Building, nie będą mieli dokąd wysyłać naszych

dziewczyn i chłopaków. Za tydzień to już nie będzie dla nich problem. Musimy uderzyć niedługo.

– Odetniemy ich – powiedział Cage – i wszystko się posypie.

– Oby.

– Dobrze by było odbić paru naszych ludzi – stwierdził Falcon. – Wyrównajmy siły.

– Jak mówili na to miejsce? – spytał Patriot. – Numer 42?

– Nikt nie wie dlaczego.

– Znając Tony’ego Starka, pewnie ma to coś wspólnego z jego ojcem...

Wszyscy usłyszeli ciężkie kroki, tupot buciorów w korytarzu na zewnątrz. Jedenaścioro członków Ruchu Oporu zerwało się na równe nogi, spojrzęło na drzwi...

...i zobaczyło czarno-białego Punishera w ostrym świetle jarzeniówki. Ociekał brudną wodą, śmierdział śmietnikiem. Na rękach niósł zwiotczałe, zakrwawione ciało w porozrywanym i podziurawionym jak sito kostiumie.

Spider-Man.

– Dawać mi tu lekarza – powiedział Punisher. – I TO SZYBKO!

NA LAZARET pospiesznie zaadaptowano puste pomieszczenie biurowe, a łóżka polowe i sprzęt diagnostyczny upchnięto tam, gdzie wcześniej stały boksy dla pracowników. Dwaj lekarze przenieśli Spider-Mana na łóżko, rzucając Punisherowi nieufne spojrzenia.

– Nie waży za dużo – powiedział pierwszy.

– To spróbuj nieść go przez pięć kilometrów – burknął Punisher.

Reszta stała z tyłu, pozostawiając medykom przestrzeń do działania. Kapitan nie odrywał wzroku od Punishera.

– Co się stało? – zapytał Kapitan.

– Liczne złamania i poważna utrata krwi – odparł Pogromca.

– Mam na myśli...

– Dzieło Tony’ego Starka i jego kumpli. Myślę, że w bombach, którymi zaatakowano Spidey’ego, był też środek halucynogeny.

– A ty go uratowałeś. – Kapitan stanął twarzą w twarz z Punisherem. – Co się stało z napastnikami?

Pogromca wzruszył ramionami.

Lekarze podnieśli oczy znad bezwładnego ciała Spider-Mana.

– Kostium miejscami stopił się ze skórą Petera.

– Usuńcie każdy najmniejszy skrawek i spalcie – polecił Kapitan. – To sprzęt wyprodukowany przez Starka, Parkera mogą teraz śledzić.

– Wiesz – odezwała się Tigra – a może to pułapka.

Na twarzy Punishera pojawił się uśmiech.

– Naprawdę myślisz, że współpracuję z Tonym Starkiem?

– Nic z tego nie rozumiem. – Speed pokręcił głową. – Widzieliście konferencję prasową. Spider-Man siedzi mu tak głęboko w tyłku, że już prawie go nie widać.

– Może tak było, młody – odparł Punisher. – Ale teraz pajęczak jest po naszej stronie.

– Naszej?

– Falc...

– Nie, nie, Kapitanie, sekundę – Falcon przepchnął się obok Kapitana Ameryki i wskazał palcem symbol czaszki na piersi Punishera. – Jesteś ściganym mordercą, Pogromco. Zabiłeś więcej ludzi niż większość naszych przeciwników. Od kiedy to jesteś po naszej stronie?

Punisher zmierzył go od stóp do głów.

– Odkąd ta druga strona zaczęła werbować arcyłotrów.

Tigra uśmiechnęła się ponuro.

– Czy tylko ja dostrzegam ironię?

– Po mojemu – ciągnął Punisher – to przyda wam się każda pomoc.

– Świetnie – powiedział Johnny Storm. – Może zadzwonimy też do Hannibala Lectera i spytamy, czy ma wolne terminy?

– Hannibal Lecter nie ma doświadczenia w tajnych operacjach, które pozwoliłyby wam się dostać do Baxter Building.

Falcon gapił się na niego.

– Potrafisz to zrobić?

– Przedostałem się tutaj.

Falcon otworzył usta, żeby odpowiedzieć, jednak powstrzymał się, kiedy dotarło do niego to, co usłyszał.

Sue Richards rozejrzała się.

– Proszę, nie mówcie mi, że oszaleliście i chcecie zwerbować Punishera.

Spider-Man poruszył się na łóżku szpitalnym. Wydał słaby jęk.

Cage odezwał się do Kapitana.

– Twój wybór, szefie. Przekazujemy Czachę glinom czy słuchamy, co ma do powiedzenia?

Steve Rogers nachmurzył się. Spotkał się już kiedyś z Pogromcą; to była jedna z najcięższych walk w jego życiu. Punisher był potężnym sojusznikiem, i to dla obu stron.

Spider-Man leżał w łóżku, wijąc się z bólu. Walczył o życie.

„Jestem w pułapce”, zdał sobie sprawę Ameryka. „Bez względu na to, jakiego dokonam wyboru, jaką pójdę drogą, stanie się coś strasznego”. Czuł to w zaprawionych na wojnie kościach.

„I wszyscy na mnie polegają. Chcą, żebym ich poprowadził; żebym pomógł przywrócić sens ich życiu. Żebym zrobił z tego obszarpanego Ruchu Oporu trwałą siłę na rzecz dobra.

Krok po kroku. Kawałek po kawałku”.

Kapitan spojrział na Punishera.

– Mów – powiedział.

– ODETCNIJ tym powietrzem, Hank. – Tony Stark rozpostarł ramiona. – O wiele zdrowsze niż w Nowym Jorku, mam rację?

Obóz Szkoleniowy Inicjatywy 09AZ w Arizonie tętnił życiem w promieniach południowego słońca. Na rozległym dziedzińcu nowo zarejestrowani rekruci w jaskrawych uniformach treningowych latali, biegali, walczyli w sparingach i podnosili w ramach ćwiczeń czołgi Sherman. Oficerowie T.A.R.C.Z.Y. i cywile z podkładcami do pisania chodzili za szkolonymi jak kwoki za kurczętami, kiwając głowami, marszcząc czoła i notując wyniki.

Połowa placu była odgradzona i przeznaczona na nowy budynek. Żołnierze T.A.R.C.Z.Y. rozmawiali z robotnikami rządowymi w koparkach i spychaczach, wykrzykując na prawo i lewo rozkazy. Pracowali dzień i noc: wyburzali stare budynki i wylewali świeże fundamenty, przekształcając dawną bazę piechoty morskiej w obiekt, który będzie wystarczająco wytrzymały dla superludzi. Tak jak każdy element programu Rejestracji, obóz powstawał na bieżąco – i bardzo szybko.

Hank Pym posłał Tony’emu niepewny uśmiech. Mrużył oczy i osłaniał je przed słońcem.

– Po prostu nie mam pewności, Tony. Jestem biochemikiem, nie sierżantem od musztry.

– Nie musisz stać na placu z megafonem, Hank. Chcę tylko, żebyś zarządził.

Niewyraźna postać przeleciała obok nich – zbyt szybko, by mogli się jej przyjrzeć.

– Kto to?

Tony sprawdził na tablecie.

– Hermes. Grecki bóg, niedawno przybył na Ziemię. Jeśli on chce

się zarejestrować...

– Jaką prędkość osiąga?

– Przed śniadaniem Mach jeden. Ale zanim się ujawnimy, będzie latał na Mach trzy. – Tony się uśmiechnął. – Hej, ciągle zapominam zapytać. Co u Janet?

– Ostatnio w zasadzie yyy... Nie rozmawiamy.

Hank przeniósł wzrok na stojącą nieopodal grupę roześmianych młodych ludzi w strojach treningowych. Miał smutną minę i wyglądał na zagubionego.

„On tego potrzebuje”, uznał Tony. „A ja potrzebuję jego”.

Starkowi w garniturze od Armaniego było gorąco, czuł się zniecierpliwiony i nie na miejscu. Tablet, który trzymał, wydawał mu się powolny; zdał sobie sprawę, że przyzwyczał się do sterowania maszynami myślą, nie palcami. Ostatnio nie cierpiał zdejmować pancerza. Bez niego czuł się jak ryba wyrzucona na brzeg, młócząca płetwami powietrze w poszukiwaniu informacji.

Ale strój Iron Mana potrzebował jeszcze kilku godzin napraw, a był to czas, którego Tony nie mógł znaleźć. Poza tym chciał przemówić do Hanka jako człowiek, stary przyjaciel. Iron Man zaczął za bardzo przypominać reprezentanta władz.

– Sorry, chłopaki. – Krępy brygadzysta budowlany wskazał na duży dźwig, który toczył się ciężko w ich kierunku. Z głównego ramienia pojazdu zwisał ogromny, jednoczęściowy szkielet budynku. – Musimy opuścić to na fundamenty.

Tony i Hank pospiesznie zeszli z drogi.

– Budynek Holograficznego Symulatora Walki – wyjaśnił Tony. – Kiedy zostanie ukończony, rekruci będą mogli trenować w przeróżnych symulowanych środowiskach.

Hank uśmiechnął się.

– Nie poddajesz się, co?

– Nie ma czasu, żeby się poddawać, Hank. Tworzymy grupę Champions w Kalifornii, złożoną z nowych bohaterów-mormonów w Utah oraz Spaceknights w Chicago.

– Słyszałem, że grupa Force Works jedzie do... Iowa?

– Czekamy, aż miejscowe władze skończą ją przeświecać i wydadzą zgodę. – Tony zrobił pauzę. – Społeczeństwo

potrzebuje superludzi, na których może polegać, Hank. Róbnym to porządnie albo wcale.

Hank zgodził się.

– Jak się trzyma Reed?

– Nie mam zamiaru wchodzić pomiędzy niego a Sue. Ale nalegał na immunitet dla niej i Johnny’ego, taki był warunek jego dalszej pomocy. Powiem ci tylko, że rozmowa z prezydentem nie była krótka. – Ujął Hanka za ramię. – Dość tego. Chodź, jest tu ktoś, z kim powinieneś pogadać.

Poprowadził Hanka do rekrutów. Stature, dawniej należąca do Młodych Avengersów, stała obok zielonoskórej dziewczyny z irokezem o spiczastych kolcach i muskularnego, pewnego siebie blondyna. Tony sprawdził w tablicie ich tożsamości: Komodo i Hardball.

– Chyba poznałeś już Cassie Lang, Hank.

Hank wpatrywał się w Stature.

– Oczywiście. Ale kiedy ostatnim razem cię widziałem, byłaś... – Wskazał ręką metr nad ziemią.

Stature uśmiechnęła się. Użyła mocy, żeby urosnąć do wysokości dwóch i pół metra.

– Już nie.

– Cassie, doktor Pym opracował serum, którego używasz do zmieniania rozmiarów. – Na oczach Tony’ego Stature zmniejszyła się z powrotem do normalnych rozmiarów. – Myślę, że możesz dużo się od niego nauczyć.

– Po to tu jestem. Żeby się uczyć.

– Widzisz, Hank? Nieżyjący ojciec Cassie był drugim Ant-Manem, a teraz ona odziedziczyła twoje serum. W pewnym sensie są jak twoje dzieci.

– Zapomniałeś o jednym z moich „dzieci”, Tony. – Hank odwrócił wzrok. – O Billu Fosterze.

Stature zrobiła skrzywioną minę. Komodo i Hardball patrzyli w milczeniu.

– Tony – mówił dalej Hank – możesz tak po prostu zaproponować mi to stanowisko? Co z T.A.R.C.Z.A.? Czy dyrektorka Hill się wycofała?

– Nie martw się Hill, Hank. – Tony pokręcił głową. – Nie poszło jej najlepiej z beta-testem Thunderboltsów.

Komodo włączyła się do rozmowy.

– Czy to prawda, że Spider-Man uciekł?

– Chwilowo.

Stature widocznie się zmartwiła.

– Co pan zamierza, panie Stark? Kiedy znajdzie pan Kapitana i pozostałych?

– Znalezienie ich to nie problem, Cassie. Rzecz w tym, żeby ich przekonać. T.A.R.C.Z.A. tego nie rozumie.

Do grupki rekrutów podeszła nerwowa, ciemnowłosa dziewczyna.

– Hej, ludzie, mamy zacząć ćwiczenia za dziesięć minut. Nie wiem, czy jestem gotowa.

Stature położyła jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Armory. Będzie dobrze.

Armory uniosła lewe ramię z bronią obcej rasy, która błyskała i szumiała od energii.

– Nie wiem, czy będę umiała kontrolować swoją moc.

– Nie, nie. Stój! – Właśnie podszedł trener z notatnikiem i wskazywał gdzieś za Tony’ego. – Powiedziałem: stó...

I wtedy coś wyrznęło w grupę, posyłając jej członków na wszystkie strony. Tony potknął się i upadł na ziemię. Splunął piaskiem, otrzepał kurtkę i wstał.

Zamazany kształt oddalał się od nich z ogromną prędkością, zbyt dużą, by mu się przyjrzeć. „To znów Hermes”, zdał sobie sprawę Tony. Potem usłyszał krzyk i wyładowanie energii.

Armory poleciała kilka metrów dalej. Klęczała w piasku, trzymając się za obitą nogę. Potem wycelowała uzbrojone ramię i wystrzeliła z niego ognistą kosmiczną energię. Smuga światła zatoczyła łuk nad dziedzińcem, minęła plac budowy...

...i uderzyła wprost w główny budynek administracyjny, wybijając dziurę w ścianie.

Plac pograżył się w panice. Rekruci rozpięchli się w poszukiwaniu kryjówek. Agenci T.A.R.C.Z.Y. szarpali się z kamizelkami kuloodpornymi, unikając gwałtownych,

niekontrolowanych ataków Armory.

– Armory! – wrzasnął trener.

Tony przeczołgał się do Hanka Pyma, który leżał jak długi w piasku. Oszołomiona Stature dopiero się podnosiła.

– Hank, nie mam ze sobą sprzętu. Musisz to załatwić.

Hank utkwiał w nim wzrok.

– Nie jestem już superbohaterem, Tony.

– Nie. – Tony wskazał na Stature. – Ale ona jest.

– Ja?

Porcja energii trafiła w ziemię o metr od nich.

– Violet... Armory. Ona ma taki... odruch w panice – powiedziała Stature.

– Cassie. – Hank zaprowadził ją za ciężarówkę z zaopatrzeniem. Tony ruszył za nimi, rozglądając się ostrożnie. – Musisz powiększyć się do bardzo dużych rozmiarów – mówił dalej Hank. – Do jakiś dziesięciu metrów wzrostu.

Stature otworzyła szeroko oczy i pokręciła przecząco głową.

– Tata mówił, żebym nigdy aż tak się nie powiększała.

– To jest...

– Powiedział, że pękłby mi kręgosłup! Kwadrat czy sześcian czegoś tam.

– Serum zawiera wzmacniacz wapnia. Twoje kości wytrzymają napięcie przez kilka minut. Nie za długo. Ale w tej chwili to nasza jedyna nadzieja.

Wychyliła się zza ciężarówki. Tony też wyjrzał. Armory prawie nie było widać zza chmury wirującego piasku i obcej energii. Zabójcze promienie wciąż strzelały na wszystkie strony. Jeden z nich uderzył w jeepa, który eksplodował w kuli ognia.

Stature zgodziła się. Zacisnęła powieki i zaczęła rosnać. Trzy metry, trzy i pół. Kiedy osiągnęła niemal pięć, zatrzymała się i spojrzała na Hanka.

Ten uśmiechnął się, skinął głową i wskazał na niebo.

Stature wzięła głęboki oddech i wystrzeliła w górę.

Hank polecił:

– Nowy budynek!

Stature zobaczyła gmach symulatorów walki. Konstrukcja stała

na świeżo wylanych fundamentach, zaprawa przy podstawie była wciąż wilgotna. Budowlańcy uciekli z placu, chowając się za jeepami i koparkami.

Uważając na Armory, Stature przecięła podwórze w dwóch krokach, od których zatrzęsła się ziemia. Chwyciła cały budynek symulatorów i starała się go podnieść.

– Ugnij kolana! – zawołał Hank.

Budowla z trzaskiem oderwała się od fundamentów. Stature podniosła ją sobie do pasa i zachwiała się, niemal padając pod ciężarem zabudowy. Skrzywiła się, zmieniła chwyt i urosła o kolejne kilkadziesiąt centymetrów.

Potem spojrzała wymownie na Armory.

Wszyscy rekruci zdążyli już uciec. Agenci T.A.R.C.Z.Y. zajęli pozycje w helikopterach i ciężarówkach, ale jak wiedział Tony, władza T.A.R.C.Z.Y. została ograniczona po fiasku projektu Thunderbolts. Czekali na sygnał Starka, na to, co się stanie.

Armory dostrzegła wznoszącą się wysoko nad nią Stature i znów wrzasnęła. Jej oczy zalśniły, obce ramię zaczęło wysyłać gwałtowne błyski.

– Violet – odezwała się Stature. – Wszystko w porządku. To ja, Cassie.

Armory skupiła wzrok. Energia nieco osłabła i ograniczała się do obszaru o promieniu dwóch i pół metra.

Stature dostrzegła swoją szansę. Powoli, łagodnie umieściła ciężki budynek wokół Armory. Przerażona dziewczyna spojrzała w górę i wokół siebie, ale nie poruszyła się. Kiedy Stature skończyła, Armory została całkowicie osłonięta przez konstrukcję, tak że przestała być widoczna.

– Wszystko w porządku – powtórzyła Stature. – Teraz jesteś bezpieczna.

Przyjrzała się budynkowi z niepokojem. Tony spodziewał się, że kule energii zaczną burzyć ściany od środka. Ale nic się nie wydarzyło.

Skwierczenie energii osłabło i zastąpiło je ciche buczenie.

Tony wyprowadził Hankę z za ciężarówki. Na dziedzińcu paliły się małe pożary. Rekruci wypełzali z zakłopotanymi minami

z kryjówek; agenci T.A.R.C.Z.Y. sięgali po gaśnice.

Stature zamknęła oczy i wróciła do normalnych rozmiarów. Podeszła do budynku symulatorów, który stał niezgrabnie na środku podwórza. Niemal komicznym ruchem zapukała do drzwi.

Te otworzyły się ze skrzypieniem, chwilowo zahaczając o kamień. Armory wyjrzała na zewnątrz. Jej mechaniczne ramię było teraz uśpione.

– Przepraszam – powiedziała.

Komodo i Hardball podbiegli do Stature. Razem pomogli Armory dojść do głównego budynku administracji.

Hank spojrzał na Tony’ego z poważną miną.

– Nadal myślisz, że to dobry pomysł?

Tony odezwał się do niego ze zdumieniem.

– Żartujesz? Ten incydent jedynie to potwierdza. Właśnie mieliśmy do czynienia z potencjalnie zabójczą eksplozją supermocy, która została szybko stłumiona bez żadnych strat w ludziach. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby dziewczyna nie przeszła szkolenia i do jej ataku paniki doszło w obrębie miasta?

Podbiegł do nich zdyszany trener.

– Przepraszam, panie Stark. Ja po prostu... Nie bardzo da się kontrolować greckiego boga...

Hank wystąpił przed szereg z surowym wyrazem twarzy.

– Gdzie jest Hermes?

– Pewnie w połowie drogi do Flagstaff.

– Nie powinieneś go znaleźć, zanim tam doleci?

Skonsternowany trener spojrzał na Tony’ego.

Ten uśmiechnął się do niego.

– Jeśli to konieczne, weź ze sobą pułk T.A.R.C.Z.Y.

Mężczyzna przytaknął i zabrał się do pracy.

Tony położył obie dłonie na ramionach Hanka i odezwał się do przyjaciela.

– Rozumiesz teraz, dlaczego cię tu potrzebuję? Zwykli ludzie mogą wykonywać ćwiczenia, sporządzać notatki i analizować wykresy z wynikami. Ale potrzebuję, by tym miejscem zarządzał ktoś z prawdziwym doświadczeniem w superbohaterstwie.

Hank powoli przytaknął i łagodnie powiedział:

– Dziękuję.

Tony pokręcił przecząco głową.

– To ja powinienem podziękować tobie.

Stali obok siebie, przyglądając się gaszącym ostatnie pożary drużynom T.A.R.C.Z.Y. Trenerzy ustawili rekrutów w szeregu, policzyli ich i krzykiem wydali rozkazy. Pracownik administracyjny sprzeczał się ze sceptycznie nastawionym operatorem dźwigu i pokazywał na przeniesiony gmach symulatorów. Tony kilka razy usłyszał słowo „nadgodziny”.

– Wszystko układa się w logiczną całość, Hank. – Głos Tony’ego był cichy, zamyślony. – Powinniśmy zrobić to dawno temu. Wkrótce świat będzie lepszym, bezpieczniejszym miejscem.

„Lepszym miejscem”, pomyślał. A jednak nie potrafił uciszyć cichego wewnętrznego głosiku. W ogólnym rozrachunku była to tylko maleńka przykrość, ale jednak dręczyła go porażka.

„Gdyby tylko był tu też Peter Parker”.

CZĘŚĆ PIĄTA



OLŚNIENIE

– MIJAM poziom dwudziesty trzeci. – Głos Punishera był niski i chropowaty, zniekształcony przez zakłócenia. – Kapitanie, włamałem się kiedyś do więzienia na Rikers Island, żeby załatwić szefa mafii. Ale nigdy nie widziałem takich zabezpieczeń jak tu.

Kapitan zmartwił się. Cage, Falcon i Tigra stali tuż za nim. Tłoczyli się w jego nowej serwerowni wyposażonej w sprzęt z wycofanego z eksploatacji atomowego okrętu podwodnego. Kapitan poprosił o przysługę swój kontakt w marynarce wojennej, a ten dostarczył szarobure instalacje, staroświeckie konsolety z przyciskami i jaskrawoczerwony telefon stacjonarny z długim spiralnym przewodem. Młodszy członkowie Ruchu Oporu przeprojektowali całą konstrukcję, wyrwali ekrany sonarów i zastąpili je nowiutkimi płaskimi monitorami, które pokazują status misji, dane wywiadowcze z obozów Inicjatywy oraz zhakowane akta bohaterów Starka. Cały system trzymał się kupy dzięki zapasowi twardych dysków i paru komputerom Mac Pro.

Kapitan czuł się tu dziwnie swojsko.

– Punisher. – Kapitan wychylił się na krześle. – Opisz mi, co widzisz.

– Wspinam się szybem konserwacyjnym przez nieprzerwany strumień niebieskich półprzezroczystych obiektów przypominających balony. Zjawiska unoszą się w powietrzu jak bąbelki w spienionym potoku.

– To sztuczne przeciwciała. – Falcon ożywił się. – Sue Richards powiedziała, że w tym miesiącu Reed oparł system bezpieczeństwa w Baxter Building na układzie immunologicznym człowieka.

– Nawet się nie ocieraj o obiekty – polecił Kapitan. – Jeśli to zrobisz, system uzna cię za obcy organizm i zaatakuje.

Punisher zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Bez obaw, Kapitanie. Nie da rady mnie wykryć, kiedy noszę tłumiki. Jestem niewidzialny dla wszystkich kamer, czujników i przerośniętych limfocytów.

Cage zdumiał się.

– Skąd, do cholery, zajmujesz taki sprzęt, Castle?

– Powiedzmy tylko, że kierownik magazynu Tony'ego Starka powinien zainwestować w lepsze zamki. Ale nie martwcie się, pozbyłem się nadajników.

Tigra wzruszyła ramionami, udając podziw. Jej porośnięta futrem ręka oparła się lekko na ramieniu Kapitana. Nagle Ameryka miał większą świadomość jej obecności: ciepła, krągłości, dużych kocich oczu.

– Właśnie mijam poziom dwudziesty ósmy – powiedział Punisher.

– Informuj mnie na bieżąco, żołnierzu.

– Tak jest, Kapitanie.

Cage nachmurzył się.

– Kapitanie, Pogromca to chodzący arsenał. Czy Sue nie martwi się, że on przebywa w tym samym budynku, co jej dzieci?

– Reed odesłał dźwiarza na jakiś czas. Na szczęście. – Kapitan obrócił swój fotel i zwrócił się do pozostałych.

– Na czym stoimy?

Falcon wskazał na ekran z serwisem informacyjnym.

– Zespół Johnny'ego Storma właśnie udaremnił inwazję Mole Mana na Filadelfię. Poszło im jak z płatkami: odgradzili teren, ochronili mieszkańców. Potem niespodziewanie napotkali Doktora Strange'a i nawiązali kontakt. Będę dalej śledził sprawę.

Kapitan zrobił zbliżenie na mężczyznę w granatowej tunice z czerwoną peleryną, wąsami w stylu doktora Fu Manchu i wysokim, dostojnym kołnierzem.

– Strange to potężny mistyk. Chyba nawet Tony się go obawia.

– Jest też dosyć skryty... Jeszcze się nie opowiedział. Ale z jego pomocą nasza ekipa szybko wykonała zadanie. Zapędzili Kreta do nory i dali nogę, zanim przyjechała T.A.R.C.Z.A.

Tigra zwiesiła nos na kwintę.

– Nie poprawiło nam to chyba notowań.

– Tu nie chodzi o notowania, Greer. – Kapitan spojrział w jej śliczne zielone oczy. – I nie chodzi wcale o jeden incydent. Musimy codziennie pokazywać ludziom, że postępujemy słusznie.

Tigra uśmiechnęła się. Kapitan odwrócił wzrok z nagłym skrępowaniem.

– Jak tam... Spider-Man? – zapytał.

– Nadal półprzytomny, ale szybko z tego wychodzi – powiedział Cage. – Gość ma niesamowity organizm.

Kapitan przytaknął.

– Nie naciskajcie go, ale muszę z nim porozmawiać, kiedy tylko będzie na chodzie. Tylko on był w tajnym więzieniu i wyszedł z niego cało. A skoro już o tym mowa, jaki jest status portali do Strefy Negatywnej?

Falcon wpisał sekwencję znaków na klawiaturze i na jednym z ekranów pojawiła się mapa Stanów Zjednoczonych. Nad Chicago, Sacramento, Albuquerque i nieopodal brzegu Nowego Jorku migotały czerwone diody.

– Te portale planowo mają zostać uruchomione w ciągu najbliższych ośmiu dni. – Wskazał na ikonkę położoną na oceanie. – Ten na wyspie Rikers pojutrze zacznie działać jako pierwszy.

– Od tej chwili zaczną przesyłać tamtędy wszystkich więźniów ze Wschodniego Wybrzeża – powiedział Kapitan. – Przesaną używać Baxter Building. Nasze okno ataku zaraz się zamknie.

– Przydałoby nam się wsparcie – odezwała się Tigra. – Czy to po to wysłałeś Sue Rrrrrichards?

– Tak.

Tigra spojrzała na niego pytająco swoimi pięknymi oczami. Ale Kapitan nie powiedział niczego więcej.

– Obozy Inicjatywy też wyrastają jak grzyby po deszczu – powiedział Falcon. – W najnowszym komunikacie prasowym Starka napisano, że na szkolenie zgłosiło się czterdziestu dziewięciu młodych bohaterów.

– To obozy albo więzienia. – Kapitan znów poczuł, jak narasta

w nim surowy mrok. – Amerykanom japońskiego pochodzenia też dano kiedyś taki wybór. Niemieccy Żydzi dostali dwa w jednym w sadystycznym pakiecie.

Falcon i Cage wymienili zatroskane spojrzenia.

– Eee, Kapitanie... Nikt nie lubi siedzieć w kiciu mniej od obecnego tu byłego skazańca. – Cage wskazał kciukiem na swoją potężną pierś. – Ale musisz przyznać, że jest różnica między obozami treningowymi a obozami internowania.

– Albo koncentracyjnymi – dodał Falcon.

– Jest też różnica między życiem wolnego człowieka a słuchaniem rozkazów opresyjnego rządu. Rządu, który utrzymuje władzę, strasząc własny naród.

Tigra nie posiadała się ze zdumienia.

– Stark Enterprises – ciągnął Kapitan – przez całą ostatnią dekadę budowało państwo policyjne, w którym mają żyć mieszkańcy tego kraju. Naprawdę wam się wydawało, że nie zamierzali tego wykorzystać?

Zatrzeszczał głośnik.

– Ahoj, Kapitanie – zabrzmiał głos Punishera. – Jestem w centrum danych.

– Dobrze. – Steve Rogers znów się ożywił. – Będę potrzebował wszystkich informacji, jakie uda ci się znaleźć, na temat tego wielkiego kompleksu Numer 42, ze szczególnym uwzględnieniem portalu do Strefy Negatywnej. Chcę znać wymiary, wiedzieć, jak dużo jest przestrzeni, jak daleko samo więzienie leży od wyjścia z portalu. Jakich mają strażników, jakie są zabezpieczenia. – Urwał na chwilę. – Myślisz, że sobie z tym poradzisz i przy okazji nie strzelisz nikomu w głowę?

– Może. Jeśli nikt mi nie będzie przeszkadzał. Niedługo się odezwę.

Cage ruszył do wyjścia.

– Sprawdzę, co u Spidey'ego.

– A ja przyjrę się sprawie Doktora Strange'a. – Falcon ruszył już w ślad za Cage'em, ale zawrócił. Położył Kapitanowi dłoń na ramieniu.

– Kapitanie, dużo razem przeszliśmy. Walkę z Red Skullem,

inwazję Kree, Tajne Imperium...

– Wyrzuć to z siebie, Sam.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Odszedł. Ameryka odprowadził go wzrokiem, potem przez dłuższą chwilę przyglądał się mapie Stanów. Nagle poczuł ogromne zmęczenie.

Wtedy silne, miękkie dłonie Tigry zaczęły masować mu ramiona.

– Wreszcie sami – powiedziała.

– Greer...

– Jesteś niesamowicie spięty, wiesz? – zamruczała mu do ucha. – To prowadzi do błędnych decyzji.

Spojrzał na nią uważnie. Jej śliczną twarz o wyrazistych rysach pokrywało miękkie, pięknie wzorzyste futro; wilgotne wargi połyskiwały pod drobnym, kocim noskiem.

Greer Nelson była kiedyś zwykłą kobietą, po czym mistyczny rytuał zamienił ją w najpotężniejszą wojowniczkę Ludzi Kotów. Siłę i zwinność miała teraz znacznie większe od ludzkich. Kapitan wiedział, że podobnie było z jej namiętnością.

Kapitan znał kobiety i mężczyzn, którzy swobodnie, niemal bezmyślnie chodzili ze sobą do łóżka podczas wojennej mobilizacji. Korespondenci, dostawcy sprzętu dla wojska, czasem nawet sami żołnierze. On sam nigdy sobie na to nie pozwalał. Ale...

– Wczoraj odzywał się do mnie Hawkeye – napomknęła Tigra.

Kapitan zamrugał z niedowierzaniem.

– Co?

– Wszystko u niego dobrze. Dają mu dowództwo nad całą drużyną Inicjatywy. Chciał, żebym ci powiedziała.

Kapitan zmartwił się i odwrócił wzrok.

– Kapitanie. – Zwróciła się do niego inaczej, łagodniej. Spojrzał na nią. – Jaki mamy cel?

Wskazał na ekran.

– Więzienie...

– Nie, nie. Nie o to mi chodzi. Mówię o... Co ostatecznie chcemy osiągnąć? Rejestracja jest prawem. Niezależnie od tego, co się

stanie, będą nas ścigać już zawsze, prawda?

– Prawa można obalać. – Wyprostował się, stanął z nią twarzą w twarz. – Jeśli uda nam się zgromadzić superludzi, którzy z nami współdziałają, rozwiązują problemy i pomagają ludziom na całym świecie, zyskamy przewagę i będziemy mogli zwyciężyć siły strachu. Wierzę w to. Muszę w to wierzyć.

Popatrzyła na niego osobiście.

– Pewnie tak – szepnęła.

Nachylił się nad nią wiedziony jej zapachem. Tigra zawahała się, a potem zbliżyła usta do jego warg.

– Bingo, *mon Capitan*.

Kapitan westchnął. Tigra się zaśmiała.

– Co tam masz, Punisher?

– Specyfikacje, diagramy, różne plany. Właśnie je przesyłam.

– Dobrze – odparł Ameryka. – Dziękuję.

– Chyba ci się to nie spodoba. Nigdzie nie widziałem tylu zabezpieczeń. Żeby się dostać do tego miejsca, trzeba będzie czegoś więcej niż zwykły oddział trepów.

Przed Kapitanem zamigotał sygnał przychodzących danych. Kliknął i na jednym z dużych ekranów pojawił się napis PROJEKT 42. Potem zaczęły szybko przesuwać się plany i schematy, wszystkie z charakterystycznym logiem Fantastycznej Czwórki.

Kapitan zerknął na Tigrę. Ta odpowiedziała tęsknym, figlarnym uśmiechem.

Chwila minęła. Nastrój się rozwiął.

– Dam znać pozostałym – powiedziała.

– Odbieram, Castle. – Rogers utkwiał skupiony wzrok w strumieniu nadchodzących danych. – Wysyłaj dalej.

PO PRZEBYCIU pięciu kilometrów Sue zaczęła coś słyszeć. Sprawdziła deskę rozdzielczą; zastanawiała się, jakim cudem sygnał radiowy mógł dotrzeć aż tutaj, na głębokość ośmiu kilometrów pod powierzchnią oceanu. Instrumenty nie pokazywały żadnej transmisji. A jednak coś słyszała. Lament, żałobną pieśń. Mroczną, pulsującą, nieludzką melodię.

Sue wyglądała z kokpitu miniłodzi podwodnej, usiłując dostrzec cokolwiek w ciemności. Jednak na tej głębokości wszędzie panował mrok. W polu widzenia to pokazywały się, to znikwały dziwne zmutowane ryby, kościste pancerze oświetlane na ułamek sekundy przednimi lampami łodzi podwodnej.

Potem sobie przypomniała: „Atlantydzi są telepatami”. Tak naprawdę niczego nie słyszała – to jej umysł odbierał myśli dobiegające z jakiegoś miejsca w czerni. Samo to było niepokojące. Atlantydzi to tajemniczy lud, niemniej Fantastyczna Czwórka nie wiedziała, że mogliby przekazywać wiadomości mentalne na tak duże odległości. Sue była już w Atlantydzie dwukrotnie i za każdym razem podróż odbywała się w ciszy i bez przygód.

Może w Atlantydzie działo się coś złego.

„Jeśli tak jest”, pomyślała Sue, „to będzie mi podwójnie trudno prosić o pomoc”.

Pieśń żałobna ciągnęła się jak pasożyt zagnieżdżony gdzieś w ciemnym zakątku jej mózgu.

„Przynajmniej jestem blisko”.

Tuż na wprost pojawiła się poświata przypominająca gigantyczną kamienną meduzę przycupniętą na dnie oceanu. Powoli z mroku wyłoniła się Atlantyda, zatopione miasto otoczone pustką. Starożytnie wieże – choć wyszczerbione

i poobijane – nadal trwały dumnie. Miasto żarzyło się od wewnątrz rozświetlone tajemniczą magią połączoną z technologią bardziej zaawansowaną od tej znanej ze świata na powierzchni.

Ośrodek miejski był otoczony kamiennym murem, upstrzony bliznami po dawnych bitwach. Kiedy Sue podpłynęła bliżej, z ciemności wyłoniło się dwóch atlantydzkich wojowników, zaciekle machali nogami, by jak najszybciej dotrzeć do jej pojazdu. Mieli na sobie skąpe wojskowe uniformy, które odślaniały ich potężne torsy, oraz hełmy z przytwierdzonymi długimi płetwami. Wojownik płynący przodem wywijał długą dzidą; drugi miał w ręku niewielki rozżarzony pistolet energetyczny.

Sue sięgnęła do plecaka i przytknęła kamienny amulet do wewnętrznej strony szyby w kokpicie. Na talizmanie widniała wygrawerowana osobista pieczęć księcia Namora, najwyższego władcy Atlantydy. Pierwszy wojownik przyjrzał się przedmiotowi, skinął głową i stanowczym gestem dał znak towarzyszowi. Obaj opuścili broń i pokazali Sue, by płynęła dalej.

Ta ruszyła i przepłynęła ponad murem. Odbierana telepatycznie pieśń była teraz silniejsza, jakby tysiąc głosów połączyło siły w gniewnej modlitwie. Na razie nie widziała zbyt wielu Atlantydów. Kiedy tu była poprzednim razem, powitała ją falanga złożona z sześciu wojowników. Dziś warta zdawała się zmniejszona do minimum i jeszcze mniej mieszkańców przemieszczało się wewnątrz murów.

Zatrzymała łódź podwodną tuż za murowaniem i zabezpieczyła stery. Założyła hełm w kształcie bańki, podłączyła butlę tlenową, sprawdziła szczelność kombinezonu i zabrała ze sobą mały plecak. Potem popłynęła w stronę centrum. Miała przeczucie, że tam myśl pieśń będzie najgłośniejsza.

Mijała konstrukcje stworzone w rozmaitych stylach architektonicznych: doryckie kolumny, drawidyjskie piramidy, bizantyjskie kopuły. Wszystko było nieco inne od swoich lądowych odpowiedników, zaadaptowane na potrzeby podmorskiej kultury. Drzwi pojawiały się na wszystkich

poziomach, prowadziły nawet do apartamentów na najwyższych piętrach; pozbawione barierki balkony otwierały się bezpośrednio na morze. Cywilizacja pływaków nie była przywiązana do ziemi – i nie bała się też upadku.

„Gdyby starożytni Grecy umieli latać”, pomyślała Sue.

Wciąż widziała bardzo niewielu mieszkańców. Minęła ją para Pasterzy prowadząca wielkie kretopodobne morskie zwierzę. Dwaj starsi mężczyźni – Judykatorzy, jak się domyśliła – przepłynęli obok niej pospiesznie, byli wyraźnie spóźnieni na jakieś wydarzenie w sercu miasta. Ale prócz dwóch strażników za murami nie zobaczyła żadnych Wojowników – kasty, która stanowiła sześćdziesiąt procent populacji.

Kiedy dotarła do Alei Posejdon, zrozumiała wszystko.

Tysiące osób – większość ludności miasta – tłoczyły się na głównym placu, unosząc się na wszystkich poziomach. Pasterze, Budowniczy, Kupcy, Rolnicy, Judykatorzy i wielu Wojowników w wypolerowanych na wysoki połysk hełmach z płetwami. Odcienie skóry zgromadzonych były zróżnicowane: od intensywnego błękitu przez morski do bladej, spłowiełej żółci. Sue wiedziała, że istniały tu podziały rasowe oraz wynikająca z tego długa historia napięć, ale nawet nie próbowała zrozumieć zawiętego zagadnienia.

Ostrożnie, co chwilę mamrocząc „przepraszam”, zaczęła przeciskać się między zebranymi. Niektórzy gapili się na nią ze zdumieniem. Kobieta o różowej skórze i z aparatem tlenowym była w Atlantydzie kimś niesłychanym, a do tego niezbyt mile widzianym.

Kiedy przepchnęła się na czoło tłumu, wreszcie go zobaczyła i wszystkie wątpliwości powróciły razem z dotkliwym uczuciem żalu.

Książę Namor unosił się pośrodku placu i przemawiał. Muskularny władca jak zwykle przyjął pozę pełną królewskiej arogancji. Jego spiczaste uszy, ostro zarysowane kości policzkowe, nawet małe skrzydełka przy stopach – od ostatniej wizyty absolutnie nic się w nim nie zmieniło. Sue zauważyła, że miał na sobie mundur galowy i rozchełstaną granatową tunikę,

która pokazywała wspaniałą klatkę piersiową monarchy.

Namor miał kolor skóry Europejczyka; był to spadek po ludzkim ojcu. Mimo że miał mieszaną krew, Atlantydzi uznawali go za absolutnego władcę. Zdawał się ponadczasowym, królewskim, dumnym dziedzicem spuścizny starożytnego ludu. Tuż za nim unosiła się przezroczysta szklana trumna, jarząc się słabo od magicznej energii. Była pusta.

Namor nauczył Sue podstaw mowy Atlantydów, a telepatyczny komponent pozwalał jej dobrze rozumieć ich język. Kiedy monarcha mówił, oczy płonęły mu rozpaczą i nienawiścią.

– Imperius Rex – powiedział. Zwykle było to zawołanie bojowe, ale tutaj stanowiło raczej prezentację: „Oto ja, wasz król”.

– Dwadzieścia dziewięć dni – mówił dalej Namor. – Od czasu, gdy moją kuzynkę spotkała gwałtowna śmierć z rąk zniechęconych ludzi z powierzchni, upłynął pełny cykl pływów. A więc zbieramy się tu dziś, my, dumni spadkobiercy starożytnej Atlantydy, by odprawić pradawny rytuał.

„O Boże”, pomyślała Sue. „Namorita”. Zapomniała, że dziewczyna była bliską krewną Namora. Członkinią rodziny królewskiej.

– Nadeszła pora na *regresus*. Na powrót Namority... – Głos Namora ledwo słyszalnie zadrżał. – Na powrót mojej kuzynki do morza. Tak jak my wszyscy powstaliśmy z liści i stworzeń pełzających po dnie oceanu, tak i ona wróci teraz do źródła wszelkiego życia. A raczej: wróciłaby.

Namor wskazał na pustą trumnę unoszącą się na wodzie.

– Oto co zostało z mojej kuzynki. Nic. Ludzie z powierzchni nie tylko pozbawili nas księżniczki, roześmianego światła życia mojego i wszystkich Atlantydów. Ograbili nas też z każdego najmniejszego skrawka jej istnienia.

Wezbrała telepatyczna fala, w której żal mieszał się z gniewem jak w czerwonym przypływie. Sue mimowolnie wydała cichy jęk.

Niebieskoskóra kobieta spiorunowała ją wzrokiem. Potem szturchnęła wojownika, który wbił wzrok w Sue. Bohaterka nagle poczuła się bardzo blada i zdemaskowana.

– Zatruwają nasze wody trucizną – ciągnął Namor. – Roztapiają

czapy lodowe i doprowadzają dumne zwierzęta do wyginięcia. A kiedy jedna z nas, najpiękniejsza i najszlachetniejsza z całego ludu, zapragnęła żyć między nimi, tak brzmiała ich odpowiedź. Całkowita, totalna anihilacja.

Myśli Atlantydwów wypełniały się mrokiem i narastającym gniewem. Na Sue wskazywali już dwaj wojownicy, rozmawiając ściszonymi głosami.

– Niczego od nich nie chcemy, niczego prócz koegzystencji. A jednak ich nienawiść, ich błahe spory atakują nasz oddalony o tysiące mil azyl. Superludzie kontynentu północnoamerykańskiego pyszną się swoją siłą, swoim honorem, sprawnością w walce i destrukcji. Jednak właśnie teraz, kiedy wypowiadam te słowa, walczą między sobą w imię niezrozumiałych spraw, nazw i dokumentów. Usłyszcie mnie, moi poddani: żywię najgłębszą nadzieję, że wybiją się między sobą i pozostawią planetę nam.

Słuchacze zaczęli wiwatować, rozpychać się i potrząsać włóczniami. Zanim Sue zdążyła zareagować, twarde ręce wojownika chwyciły ją za ramię i popchnęły do przodu. Wywinęła orła do wody, kiedy straciła równowagę przez plecak.

– Mój panie! – zawołał wojownik. – Zaczynaj od niej!

W stronę Sue ruszyli dwaj kolejni wojownicy. Bohaterka włączyła na chwilę pole siłowe, czym zwała z nóg jednego z nich. Siła odrzutu sprawiła, że przekoziółkowała do tyłu w wodzie. Nie przywykła do walki na takiej głębokości; pole siłowe zdawało się nieprzeciętnie silne, trudne do okiełznanania.

Wleciała prosto na Namora, wciąż miała podniesioną osłonę. Ten wykrzywił twarz w grymasie, już miał jej sięgnąć – i wtedy szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Susan Storm – powiedział.

Sue opuściła pole siłowe i pozwoliła władcy chwycić się za ramię. Zaciągnął ją brutalnie na środek placu. Trumna unosiła się na wodzie. Teraz widziała, że w miejscu utrzymywały ją maleńkie silniki wodnoodrutowe przymocowane do podstawy.

Namor złapał ją za ramiona i brutalnie odwrócił twarzą do tłumu.

– Ta kobieta – oznajmił – to członkini słynnej na całym świecie Fantastycznej Czwórki. Reprezentuje społeczność superludzi z powierzchni w całej jej nędznej dekadencji.

Żądny krwi tłum ryknął, jednak nadal trzymał się z daleka.

– Przemów do mojego ludu, Susan. – Namor patrzył na nią z wściekłością. – Obroń działania swoich towarzyszy, tych tak zwanych bohaterów twojej krainy. – Wskazał na trumnę. – Wyjaśnij, jak doszło do tej potworności.

Atlantydzi unosili niebieskie pięści, wygrażali włóczniami i pistoletami. Sue jednak ich ignorowała, nie odrywając wzroku od Namora.

– Namoritę zabił superzłoczyńca – oznajmiła. – Nie bohater.

– Złoczyńca. – Spojrzenie Namora ani drgnęło. – Taki jak ja?

„Myliłam się”, pomyślała. „Zmienił się. Teraz przepełniają go zgorzknienie, urazy; nie ma już w sobie radości. A jednak... ..Nie pozwoli, by stała mi się krzywdą”.

Sue nagle poczuła wielki spokój. Sięgnęła do plecaka i wyjęła mały, wodoszczelny walec z rzeźbionego marmuru.

– Ta urna zawiera prochy twojej kuzynki – powiedziała.

„W każdym razie te, które udało nam się znaleźć. Obawiam się, że nie było ich zbyt wiele”.

Po tłumie przebiegły pełne zaskoczenia pomruki. Tysiące oczu patrzyły, jak Namor przyjmuje urnę i przesuwając palcami po jej powierzchni.

Sue chrząknęła.

– Namor, ja... Bardzo mi przykro z powodu...

– Vashti. – Namor gwałtownie machnął ręką na starca, który natychmiast do niego podpłynął. Władca objął go za kark w poufałym geście i żywo wyszeptał mu coś do ucha.

Potem złapał Sue za ramię i brutalnie szarpiąc, pociągnął ją ku dużemu budynkowi z minaretami.

– Chodź ze mną – rzucił.

– Precz z łapami.

W końcu pozwoliła mu się poprowadzić. Usłyszała, jak starszy mężczyzna przemówił do tłumu:

– Eee, ceremonię dokończymy jutro. Wojownicy, wróćcie na

pozycje...

Namor powiódł ją przez wyłożony marmurem hol, mijając salę pełną unoszących się na wodzie krzesel, do królewskiej sypialni. Większość komnaty zajmowało wielkie okrągłe łóże przykryte pomarszczoną, wodoodporną pościelą. Patrzyła, jak król zrzuca z siebie kamizelkę i zaczyna zdejmować spodnie od munduru.

– Hm...

Zatrzymał się i w jego oczach zagościł cień dawnej figlarności.

– Po co tu jesteś, Susan?

Wskazała na leżącą na łóżku urnę.

– Ja...

Ściągnął spodnie, odsłaniając swój zwykły strój: zielone łuskowate kąpielówki. Kiedy przemówił, w jego głosie pobrzmiwała groźba.

– Nie próbuj znów mnie oszukać.

Zgodziła się z zaciśniętymi ustami.

– Jest źle. Ogłosili coś, co można nazwać poborem superludzi, i wsadzają do więzienia tych, którzy się nie podporządkują. Zabili już jednego z naszych.

Popędził ją z niecierpliwością.

– Planujemy... Kapitan Ameryka planuje atak jutro wieczór. Masz tu jedną z najgroźniejszych armii na świecie, Namorze. Gdybyśmy mieli cię po swojej stronie, może języczek u wagi przechyliłby się w stronę zwycięstwa, nie porażki.

Namor patrzył na nią przez długą chwilę spojrzeniem bez wyrazu. Potem odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Słyszałaś mój lud – powiedział. – Czułaś jego smutek, wściekłość. Jestem królem swoich poddanych; ich ból, ich oburzenie są też moim udziałem. Do siedmiu mórz, dlaczego miałbym ci pomóc?

– Kapitan Ameryka to twój stary przyjaciel. – Czuła, jak jej głos słabnie. – Walczyłeś u jego boku w drugiej wojnie światowej... Znasz go najdłużej.

– I gdzie jest teraz mój przyjaciel? – Namor przepłynął przez komnatę, gestykulując teatralnie. – Tam, niewątpliwie intryguje i prowadzi błahe gierki o władzę. Tymczasem posyła tu ciebie,

żebyś spróbowała wykorzystać nasz wyjątkowy związek.

Sue poczuła się nagle bardzo mała i bezbronna w prywatnej komnacie Namora.

– Nie jesteśmy w żadnym związku – powiedziała cicho.

Namor przyjrzał się jej wnikliwie i na jego ustach zagościł przebiegły uśmiech. Przeciął wodę i wylądował obok Sue na skraju łóżka.

– Dobrze – stwierdził. – Pomogę ci, Susan Storm.

Jakaś nutka w jego tonie zmroziło jej krew w żyłach.

– Teraz nazywam się Richards.

Odchylił kołdrę i wskazał na łóżko.

– Wolę Storm.

Cała wściekłość, cała frustracja ostatnich tygodni eksplodowały w niej z ogromną siłą. Wyciągnęła rękę i spoliczkowała Namora najmocniej jak potrafiła, biorąc pod uwagę opór wody. Władca nawet nie drgnął, ale jego spojrzenie stało się zimne.

– Jesteś aroganckim, rozpuszczonym bachorem, który myśli, że może mieć wszystko. I każdego – wysyczała. – Zawsze taki byłeś.

– Kiedyś ci się to podobało.

– Nie skończyłam. Nie szanujesz kobiet, nie szanujesz siebie. A jednak zawsze myślałam, że gdzieś w środku masz własny honor. Coś, co sprawia, że lud poszedłby za tobą na koniec świata. Ale się myliłam. To jest twoja cena? Pomożesz nam, ocalisz przyjaciół i sojuszników przed więzieniem, ujarzmieniem i śmiercią wtedy i tylko wtedy, gdy zgodzę się z tobą przespać?

Odwrócił wzrok ze złością. Wzruszył napiętymi, muskularnymi ramionami.

– Zaczynam się nudzić.

– Bezduzne. Naprawdę bezduzne. Bo wiesz co? To dla mnie ważne. Zostawiłam męża i dzieci, co jest najtrudniejszym krokiem, na jaki kiedykolwiek się zdobyłam. Tak bardzo za nimi tęsknię, tęsknię w każdej sekundzie każdego dnia. Wszędzie ich widzę, ale to nie oni, tylko sobie ich wyobrażam, są tylko w mojej głowie. I nie zrobiłam tego wszystkiego, nie wyrzuciłam swojego życia do góry nogami po to, żeby przyplłynąć tu i poddać się kaprysom jakiegoś napuszonego, śliskiego człowieka-ryby.

Zrobiłam to, bo tak należało!

Ruszyła w kierunku Namora, ale ten odpłynął. Unosił się po przeciwległej stronie komnaty z gniewną twarzą i spuszczoneym wzrokiem.

„Dograłam się”, pomyślała. „Przesadziłam. Nawet jeśli chciał pomóc, teraz nie ma szans, żeby duma mu na to pozwoliła”.

Poziom adrenaliny u Sue opadł.

Czuła wstyd, jakby była nieudacznicą. Miała ochotę płakać.

Ale mimo wszystko chciała, żeby sytuacja między nimi była klarowna. Coś w jej wnętrzu nie mogło pozwolić, żeby cała ta wizyta była zabarwiona nieszczerością.

– Popioły. – Pokazała na urnę. – Ja... Nie mamy pewności, czy należą do Namority. Okolice wybuchu mocno oberwały. Władze zrobiły, co mogły, ale...

Namor zacisnęła zęby.

– ...ale tak naprawdę, jakie to ma znaczenie, czy są to prochy jej czy może Speedballa, Night Trasherera, Mikroba?

Wciąż nie odpowiadała. Wskazał tylko drzwi, oczami pałały chłodnym gniewem.

Wyszła. Pokonała salon i obszerny hol, i wypłynęła na otwarte wody Atlantydy. Mijała mniejsze i większe podwodne grupy, które zajmowały się swoimi codziennymi sprawami. Gdy przepływała obok kobiet i mężczyzn, niektórzy przystawali, by posłać jej wrogie spojrzenie.

„Całkiem jak ludzie z powierzchni. Tacy mali i prowincjonalni. Pełni małostkowej nienawiści, chętni, by szkalować i demonizować innych”, pomyślała. „Nie. Jest jedna różnica. Kiedy poddani Namora płaczą, morze po prostu obmywa im łzy”.

– CZYLI Namor odpada?

Johnny Storm zamknął klapkę telefonu komórkowego i pokręcił przecząco głową.

Kapitan skrzywił się z bólu, starając się nie nadwierać kontuzjowanej nogi, kiedy prowadził grupę korytarzem. Poczł przelotną złość. Podczas wojny na Pacyfiku widział, jak Namor szturmuje japońską bazę w towarzystwie tylko Kapitana. Wtedy Namor nigdy by nie zawiódł swojego najlepszego przyjaciela.

– Idźmy dalej – powiedział Kapitan. – Kogo jeszcze mamy?

– Wolverine nie odłączy się od X-Menów, więc odpada. – Falcon sprawdził coś na tablecie. – A T.A.R.C.Z.A. właśnie zgarnęła Herkulesa pod Chicago. Żałuję, że tego nie widziałem.

– Szkoda. Tony ma już jednego greckiego boga po swojej stronie, nam też by się jakiś przydał.

– Ale Czarna Pantera jest z nami – odparł Johnny. – Rozwścieczyła go sprawa Billa Fostera. Razem ze Storm zapewniają, że stoją za nami murem.

– Czy Storm to nie mutantka?

– Teraz jest też królową Wakandy. To chyba przebija jej neutralność wśród X-Menów.

– A Doktor Strange?

Falcon miał niezadowoloną minę.

– Powiedział, że musi przemyśleć sytuację. Kiedy ostatnio z nim gadałem, wchodził w „Ośmiodniowy Trans Wymiaru Faltine”. Nie liczyłbym dziś na niego.

Kapitan uderzył pięścią o dłoń. Czuł się nakręcony i niespokojny, co stanowiło jego typowy stan emocjonalny przed bitwą. Szczególnie przed potyczką z tak wieloma znakami zapytania jak teraz.

– Niepokoi mnie pierwsza faza naszego ataku – powiedział.
Falcon zgodził się.

– Potrzebujemy ludzi. Tylu, ilu się da. Już wezwałem wszystkie rezerwy, Kapitanie.

Ameryka przekroczył próg sali konferencyjnej. Wokół stołu zgromadził się szereg kolorowych kostiumów: Cage, Dagger, Patriot, Speed, Photon, Stingray i co najmniej pół tuzina nowo przybyłych. Kapitan rozpoznał między innymi byłe łotrzyce Asp i Diamondback.

Punisher siedział samotnie przy rogu stołu, pieczołowicie czyścił parę półautomatycznych karabinków, trzymając otwartą puszkę smaru przed sobą.

Kapitan zasiadł u szczytu stołu; Johnny i Falcon zajęli miejsca po obu jego bokach.

– Dobra, zabieramy się do roboty. – Nacisnął przycisk wbudowany w blat.

Świeżo zainstalowane holograficzne projektory zaszumiały i wyświetliły nad stołem obracający się szkic. Przedstawił zespół stłoczonych zabudowań wyrastających ze skały unoszącej się w surrealistycznej wersji kosmosu.

– Punisher zdobył dla nas dane techniczne więzienia w Strefie Negatywnej. To ogromny obiekt zaprojektowany i zbudowany przez Stark Enterprises specjalnie po to, by przetrzymywać superludzi. Rozkład budynków i pomieszczeń znajdziecie na tym trójwymiarowym schemacie.

Kapitan sięgnął do hologramu i powiększył go. Zbliżenie wniknęło do wnętrza budynków, odsłaniając korytarze, cele, sale gimnastyczne i gabinety lekarskie, wszystko z dokładnymi opisami.

Siedzący wokół stołu bohaterowie uważnie studiowali hologram.

Photon zmartwiła się.

– Pełno tam arcyłotrów, zgadza się?

– Rzekomo więzienie przeznaczono dla niebezpiecznych superzłoczyńców. Przetrzymują tam też jednak mnóstwo zbuntowanych superbohaterów. Wielu naszych przyjaciół.

– Stark, Reed Richards i Henry Pym zamierzają zainstalować marionetkowych bohaterów w każdym stanie naszego kraju – powiedział Falcon. – Ostatecznie będzie pięćdziesiąt portali prowadzących bezpośrednio do więzienia. Ale teraz...

Wcisnął przycisk, hologram zamrugał i zniknął. Zastąpił go nowy obraz: strzelista wieżowiec Baxter Building.

– ...jest tylko jeden.

– Musimy działać szybko. – Kapitan pochylił się nad stołem, czuł, jak krew huczy mu w skroniach. – Z naszych informacji wywiadowczych wynika, że planują wielki atak na zbuntowanych superbohaterów zarówno przy pomocy T.A.R.C.Z.Y., jak i grupy Thunderbolts. Dziś mamy ostatnią szansę.

Rozejrzał się po sali. Niektórzy mieli niepewne miny, szczególnie młodszy bohaterowie – Patriot, Dagger, Speed.

– Słuchajcie – ciągnął Ameryka. – Zdaję sobie sprawę, że to trudne. Wszyscy przywykliście do walki, do pokonywania przeciwności, nawet do ukrywania się przed władzami. Ale nie jesteście przyzwyczajeni do tego, że musicie zwrócić się przeciwko innym bohaterom – ludziom, których priorytety w innym miejscu i w innym czasie byłyby dokładnie takie same jak nasze. – Na chwilę spuścił wzrok. – Nigdy dotąd nie było konieczne, żebyście występowali przeciwko przyjacielom i dawnym przyjacielom. Ale musicie być gotowi. Musicie być twardzi, przygotować się na to, co może się stać dziś wieczorem. Bo kiedy Iron Man albo Ms Marvel zaatakują was z powietrza, będziecie zmuszeni działać szybko i zdecydowanie, żeby ich załatwić. Inaczej wylądujecie w ich małym kosmicznym kiciu. I, co gorsza, zawiedziecie wszystkich zgromadzonych w tej sali.

Do pomieszczenia weszła Tigra.

– Wygląda na to, że przyda nam się pomoc. – Wykonała teatralny gest.

Do środka wszedł Spider-Man. Miał na sobie oryginalny kostium, czerwono-niebieski, z misternym wzorem pajęczyny. Pomachał nieśmiało.

– Hejka.

Johnny Storm uśmiechnął się szeroko i zerwał na równe nogi.

Podszedł do Spider-Mana i objął go silnym męskim uściskiem.

– Nie strasz mnie tak więcej, ty łążący po ścianach dziwołagu.

– Tobie też nabili kilka guzów, Zapałko. – Spider-Man skrzywił się z bólu. – Wyluzuj trochę, dobra? Żebra nadal trochę mi skrzypią.

– Ojej! Pan Wrażliwiec jak zawsze bierze dziewczyny na litość.

– Dobrze, już dobrze. – Kapitan zrobił marsową minę i dwaj mężczyźni się rozdzielili. – Spider-Man, jesteś pewien, że się na to piszesz?

– Stuprocentowo, Kapitanie. – Spidey omiół salę spojrzeniem. – Wygląda na to, że przyda wam się każda para rąk.

Spider-Man zajął miejsce przy drzwiach, na wolnym krześle obok Punishera. Ten przyjrzał się rozłożonemu na części karabinowi i wycisnął trochę smaru do komory naboju.

– Ty tak, eee, wszędzie to nosisz? – spytał Spider-Man.

– Nie ma za co. – Punisher nawet nie podniósł wzroku. – Mówię o tym, że uratowałem ci życie.

Kapitan wskazał na Baxter Building i zrobił zbliżenie na wyższe kondygnacje.

– Kluczowe punkty mamy tu i tu. To główne laboratorium Reeda i serwerownia.

– Są podpisane: Quincunx. – Johnny Storm zmrużył oczy, wyteżając wzrok. – Nigdy wcześniej nie widziałem tego pomieszczenia.

– Powinniśmy dać radę dostać się do środka. Ale możliwe, że napotkamy zabezpieczenia, których się nie spodziewamy.

Cage objął jednym ramieniem Falcona i drugim Dagger, która skrzywiła się z niesmakiem.

– Mamy tu nieco ognia.

– A jednak nawet jeśli uwzględnimy Spider-Mana, trochę obawiam się dysproporcji.

Diamondback, była złoczyńczyni w lśniącym fiolecie i czerni, wstała z miejsca.

– Mogę pomóc. – Wskazała drzwi naprzeciwko krzesła Kapitana. – Goldbug? Plunderer?

Drzwi się otworzyły i do środka weszli dwaj mężczyźni.

Goldbug miał na sobie zakrywający całe ciało kostium w kolorach złota i czerwieni oraz nakrycie głowy przypominające żuwaczkę owada. Plunderer był ubrany w starym stylu: w niebiesko-biały trykot z wysokim kołnierzem i zasłaniającą pół twarzy maskę.

Obaj byli superzłoczyńcami. Nie nawrócili się jak Diamondback i Asp, ale byli poszukiwanymi przez policję przestępcami.

Kapitan głośno wciągnął powietrze do płuc.

Goldberg zwrócił się bezpośrednio do niego.

– Nie tylko pan się boi, że skończymy w państwie policyjnym, Kapitanie. Społeczność superprzestępców jest zaniepokojona planami Starka nie mniej niż wy.

– No. – Plunderer obrzucił nerwowym spojrzeniem salę pełną bohaterów. – Chcieliśmy tylko dać wam znać, że jesteśmy tu, jeśli nas potrzebujecie. To chyba uczciwe, skoro Iron Man ma superzłoczyńców po swojej stronie, czy nie mam ra...

Zabrzmiał ogłuszający huk strzałów. Kapitan poderwał się, ale zdążył tylko usłyszeć, jak Plunderer i Goldbug krzyczą z bólu. Obaj runęli do tyłu, byli podziurawieni kulami i drżeli spazmatycznie.

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ludzka Pochodnia zapłonął; Spider-Man wskoczył na ścianę, gorączkowo rozglądając się dookoła. Dłonie Daggar rozświetliło nadnaturalne światło.

Punisher stał spokojnie, przed chwilą rzucił za siebie krzesło. Oba półautomatyczne karabinki dymiły w jego rękach.

Spider-Man rzucił się na niego.

Punisher zdziwił się nie na żarty.

– Co?

Mrok we wnętrzu Kapitana zaczął się gotować. Heros przesadził stół i wyprowadził szybki cios pięścią w twarz Pogromcy. Mściciel stęknął, wypuścił broń i poleciał na ścianę.

Kapitan patrzył na niego z wściekłością. Punisher otarł krew i powoli podniósł oczy. Kapitan naprężył mięśnie, szykując się do zablokowania kolejnego uderzenia.

Ale Punisher dalej kuczał pod ścianą. Wydawał się zaskoczony jak pies, który nie rozumie, dlaczego go ukarano.

– Ty morderczy śmieciu – wysyczał Kapitan.

– To byli... Żli ludzie, Kapitanie. – Punisher z trudem wstał. –
Złodzieje. Zabójcy...

– ZAMKNIJ SIĘ!

Kapitan wymierzył kopniaka prosto w szczękę Punishera. Krew rozpryskała się po ścianie. Zanim Pogromca zdążył zareagować, Ameryka przyciągnął go do siebie, po czym przystawił mu tarczę do gardła, ledwo zdążył się zatrzymać, żeby nie złamać mu karku.

Nagle zrobiło się zamieszanie. Niektórzy bohaterowie podbiegli do martwych ciał złoczyńców; inni otoczyli Kapitana i Punishera. Jeszcze inni wypadli z sali w poszukiwaniu pomocy lekarskiej. Zapomniany wśród chaosu hologram unosił się nad stołem.

– Kapitanie – odezwał się Falcon.

Ale Steve Rogers niemal go nie słyszał. Świat się zwęził, zamienił w ciasny tunel walki. Żadnych ustaw o rejestracji, żadnych tajnych więzień, żadnych Ruchów Oporu, Thunderboltsów i Inicjatyw Pięćdziesięciu Stanów. Tylko Kapitan – superżołnierz – i jego przeciwnik. Posiniaczony i krwawiący zbrodniarz w T-shircie z czaszką opierał się o ścianę.

„Tylko ja”, pomyślał Kapitan, „i moja największa pomyłka”.

Punisher nadal mu się nie opierał.

Ameryka zamachnęła się pięścią, gotowy do kolejnego ciosu.

– Walcz, tchórze.

Pogromca pokręcił przecząco głową, krzywiąc się z bólu.

– Nie... – Splunął krwią. – Nie przeciwko tobie.

Kapitan wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Potem opuścił pięść.

– Zabierzcie go stąd – polecił. – I wrzucicie jego karabiny do pieca.

Tigra dała znak. Dołączył do niej Patriot i razem wzięli Punishera pod ramiona. Ten wciąż nie stawiał oporu.

– Teraz... – Cage wskazał ciała. – Wezwijmy medyków. Niech usuną umarłaków.

Patriot spytał Spider-Mana:

– Dlaczego nie chciał uderzyć Kapitana?

– Obaj są żołnierzami. To pewnie przez Kapitana Pogromca

poszedł do wojska. Ten sam gość, inna wojna.

Kapitan odwrócił się do nich gwałtownie i posłał Spider-Manowi wściekłe spojrzenie.

– Nieprawda – zaprzeczył. – Punisher jest szalony.

Spider-Man przytaknął, trochę zbyt szybko.

– Wiem, Kapitanie. Wiem.

Ameryka znów odwrócił się i zacisnął dłonie w pięści. Zamknął powieki tak mocno, że widział czerwoną mgłę. Słyszał szpitalne łóżka na kółkach i włączany sprzęt medyczny.

– To niczego nie zmienia. Zaczynamy wsteczne odliczanie przed atakiem. – Kapitan zwrócił się do grupy: – Oddział Wolność, za dziesięć minut spotykamy się na sesję strategiczną. Pozostali: przygotujcie się.

Spojrzał na twarze zebranych. Na obliczach wszystkich malowały się niepokój i jeszcze więcej wątpliwości niż wcześniej. Dagger rozglądała się z przestraszonym wyrazem twarzy; Photon wyglądała, jakby w ogóle żałowała, że się do nich przyłączyła. Cage z zaciśniętymi wargami wpatrywał się w Steve'a Rogersa zza ciemnych okularów.

Falcon w ogóle nie patrzył na dowódcę.

„To nie armia”, zdał sobie sprawę Kapitan. „To indywidualiści, przywykli do pracy w pojedynkę albo w małych grupach. A dziś staną do walki przeciwko całej potęgze Stark Enterprises, T.A.R.C.Z.Y. i rządu Stanów Zjednoczonych. Jednak muszą dać radę. Zbyt wiele od tego zależy. Wolność nas samych i naszych przyjaciół. Przyszłość naszego sposobu na życie”.

Dzisiaj wieczorem, tak czy inaczej, rozstrzygnie się przyszłość.

MIĘŚNIE Spider-Mana drżały, bolał go kark. Wciąż czuł tępe ćmienie w głowie – pozostałość po granatach Błazna. Pajęczy zmysł ostrzegał go teraz niemal nieustannie o niebezpieczeństwie czyhającym za każdym rogiem.

Jednak po drodze do Baxter Building doszedł do wniosku, że czuje się dobrze. Najlepiej od dawna. Może chodziło o kostium – lekki błękitno-czerwony trykot. Strój, który własnoręcznie uszył zaledwie kilka dni po tym, jak radioaktywny pająk ugryzł nastoletniego Petera Parkera.

„A może to dlatego”, pomyślał, „ że wreszcie stoję po właściwej stronie”.

– Chodźmy, póki jesteśmy młodzi, Parker. Przynajmniej niektórzy z nas.

Ruszył w ślad za Johnnym Stormem przez ukryte drzwiczki osadzone nisko w ścianie korytarza.

– Wyluzuj, Zapałko. Ta połowa Oddziału Wolność jest...

Dowcipna uwaga uwięzła mu w gardle.

Ukryte pomieszczenie – Quincunx – było niemal idealną kulą o średnicy czterech lub pięciu metrów i mogło pomieścić tyle samo osób. Ściany, podłoga i sufit składały się z białych trójkątnych płytek połączonych w idealnym ciągu jak dwie zespolone kopuły geodezyjne tworzące olbrzymią piłkę.

– Dwudziestościan – powiedział Spidey. – To dwudziestościan foremny.

– Jaaasne, Pajęczaku.

Pomieszczenie było skąpane w łagodnym błękitnobiałym świetle wpadającym przez trójkątne płytki. Na środku podłogi stał pojedynczy drewniany stołek.

– Jak już mówiłem – ciągnął Johnny – nigdy nie słyszałem o tym

miejscu.

– Albo nie słuchałeś, kiedy Reed ci o nim opowiadał.

Johnny wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No tak, to możliwe.

Spider-Man podskoczył i sięgnął do kilku połączonych płytek na „ścianie”. Dotknął ich dłońmi w rękawiczkach, przyklejając się natychmiast dzięki naturalnemu pajęczemu „klejowi”. Sala wydała mu się dezorientująca: trudno było się rozeznać, gdzie albo jak ma stać.

Jego wzrok przyciągnęło migotanie. Na płytce, którą trzymał w ręku, wyświetliło się menu:

OCZEKIWANIE NA POLECENIA

WPROWADŹ HASŁO / ODCISK DŁONI / TĘCZÓWKĘ OKA

Takie samo menu widniało na trzech innych płytkach, do których przylegały jego buty i druga dłoń. Wskazał na stopy Johnny’ego: komunikat pojawił się również tam.

Johnny ściągnął rękawiczkę i wyciągnął rękę. Kiedy dotknął płytki na ścianie, wyświetlacz rozświetlił się na chwilę, a potem napis zmienił się na:

TOŻSAMOŚĆ POTWIERDZONA: JONATHAN STORM

DOSTĘP UDZIELONY

Płytką rozsunęła się, ukazując rząd przełączników i kabli. Johnny wzruszył ramionami i przywołał Spider-Mana.

– Według planów wykradzonych przez Pana Najpierw Strzelać, Potem Pytać, to pomieszczenie steruje wszystkimi wejściami do laboratoriów i portalu do Strefy Negatywnej. – Spider-Man zbliżył dłoń do przełączników. – Zobaczmy, co robi ten tutaj.

Johnny komicznie zatkał uszy palcami. Spidey ofuknął go i pstryknął. Na sąsiedniej płytce rozbłysł wyświetlacz.

WŁAŚNIE DEZAKTYWOWAŁEŚ

ROBOTYCZNĄ NIANIĘ H.E.R.B.I.E.

CZY CHCESZ KONTYNUOWAĆ? T/N

Spider-Man i Johnny spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Johnny wybrał TAK.

Po drugiej stronie pomieszczenia wysoko na suficie otworzyła się kolejna płytki. Spider-Man zainteresował się, dał susa i wylądował na wklęsłej ścianie. Tak jak wcześniej obok płytki pojawił się wyświetlacz.

DOSTĘPNE SĄ DODATKOWE OPCJE NIANI CZY CHCESZ KONTYNUOWAĆ? T/N

Spider-Man zerknął na Johnny'ego.

– Nie kumam. Jak normalny człowiek ma tym sterować? Zaraz zakręci mi się w głowie od skakania po ścianach.

Johnny na chwilę spowaźniał, następnie pstryknął palcami. Uniósł się z nich mały płomyk – jak z zapalniczki.

– Bo to nie jest dla normalnego człowieka, tylko dla Reeda. – Wskazał na mały taboret. – Wszystkie jego kończyny się rozciągają, pamiętasz? Może siedzieć tu, wyciągać szyję, żeby czytać komunikaty na ekranach, obsługiwać jeden zestaw przycisków wydłużoną lewą ręką, a kolejny po drugiej stronie pomieszczenia prawą. Może jeszcze jeden długimi palcami u nóg. Albo...

– Skończmy na nogach. Ale tak, to ma sens. – Spider-Man zamknął otwartą płytkę i zeskoczył. – A skoro już mówimy o Reedzie...

– Jest na pewno w Waszyngtonie, przekazuje najświeższe informacje Komisji Kongresu.

Johnny dotknął kolejnej płytki.

STEROWANIE ZAMKAMI POKOJÓW MIESZKALNYCH CZY CHCESZ KONTYNUOWAĆ? T/N

Johnny westchnął.

– Rozgryzienie tego trochę zajmie.

– Więc lepiej się pospieszmy. – Spider-Man sięgnął do aktywnej płytki i zaczął poruszać przewodami. – Z każdą zmarnowaną minutą cały Ruch Oporu zbliża się do długiego wyroku w Więzieniu 42.

KAPITAN był u kresu wytrzymałości. Operacja wisiała na włosku pod wieloma względami. Sue Richards zdołała ukryć ich grupę przed niepowołanymi spojrzeciami wystarczająco długo, żeby prześlizgnęli się obok strażników T.A.R.C.Z.Y. przed wejściem do Baxter Building. Wykradzione przez Punishera informacje pozwoliły im niepostrzeżenie wejść do środka i na górę.

Ale bywały też chwile niepewności. Sue mogła uczynić oddział bohaterów niewidzialnym, ale nie potrafiła sprawić, by byli bezszelestni. Kichnięcie Dagger niemal ich zdradziło.

Teraz stali stłoczeni w korytarzu – około dwudziestu zbuntowanych superbohaterów, którzy próbowali nie rzucać się w oczy. To było niemal zabawne. Sue trzymała ręce przy głowie, pocąc się z wysiłku, jakiego wymagało utrzymywanie tak dużego pola niewidzialności.

Kapitan dodał jej otuchy.

– Jeszcze trochę, Sue.

Ta przytaknęła.

Drzwi do laboratorium Reeda pilnowało dwóch agentów T.A.R.C.Z.Y. Kapitan dał znak Cage'owi i Dagger, dwójka bohaterów ruszyła naprzód. Dagger wypuściła parę świetlnych sztyletów w agenta, roztrzaskała mu broń i ogłuszyła go.

Cage poczłapał bliżej i pięścią mocną jak lokomotywa przyłożył drugiemu agentowi w brzuch. Kiedy ten zgiał się wpół z bólu i zaczął szukać broni, Cage poprawił decydującym ciosem w głowę.

Kapitan podbiegł i chwycił agenta, zanim raniony upadł. Zdjął nieprzytomnemu mężczyźnie rękawiczkę i zbliżył jego dłoń do tabliczki na drzwiach. Wejście stanęło otworem.

Cage uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wbiliśmy do środka, chłopcy i dziewczęta.

Ameryka potwierdził i dał znak grupie, by posuwała się dalej.

Laboratorium Reeda było ogromne jak zawsze i jeszcze bardziej niż zwykle zabałaganione. Wszędzie wały się tablice, elektroniczne gadżety i papierowe plany. W szklanych zlewkach bulgotały ciecze, pozostałości eksperymentów – rozpoczętych, a potem zapomnianych.

Sue zachwiała się.

– Kapitanie?

– Możesz już wyłączyć pole, Sue.

Oparła się o stół, była wyczerpana. Ruch Oporu stał się widoczny.

Rogers zamyślił się. Coś tu się nie zgadzało; to było zdecydowanie za łatwe. „Dwóch agentów T.A.R.C.Z.Y. do pilnowania jedyne go portalu do Strefy Negatywnej na Ziemi?”

Falcon w towarzystwie ubranego w ciemny strój T'Challi, Czarnej Pantery, minął Kapitana. Jako władca afrykańskiej Wakandy Pantera kilkakrotnie współpracował już z Fantastyczną Czwórką i znał ich tryb działania.

– Dzięki, że przyszedłeś, T'Challa. Wiem, że w interesie Wakandy jest zachowanie neutralności.

– Daj spokój, przyjacielu. – T'Challa opuścił maskę i pokazał twarz o szlachetnych rysach. – Gdybym odpowiedział na twoje pierwsze wezwanie, nasz przyjaciel Bill Foster może wciąż by żył. Moja żona nie daje mi o tym zapomnieć.

Uśmiechnął się ze smutkiem, rozglądając się po zebranych. Storm, bogini pogody z grupy X-Men, która niedawno wyszła za T'Challę, rozpostarła ramiona, wyrażając aprobatę dla słów męża maleńką błyskawicą. Falcon wskazał Panterze ciemny i cichy portal do Strefy Negatywnej. Podszedł Kapitan.

– Jak to widzisz, T'Challa?

Pantera zmartwił się, stuknął w klawiaturę pod ciemnym ekranem.

– Nieczynne – poinformował. – Żaden system nie jest aktywny, nie płynie żadna energia.

– Coś tu nie gra. – Falcon zwrócił się do Kapitana. – Według danych Punishera cały czas trzymali wszystko na chodzie.

– Tak robimy. Chyba że spodziewamy się sabotażystów – ktoś powiedział.

Kapitan gorączkowo wypatrywał, skąd rozbrzmiewał głos. Cała ściana zaczęła szumieć i rozsunęła się na boki, ujawniając duże pomieszczenie. Światło wlało się do środka przez panoramiczne okno, oświetlając zwykle ciemne laboratorium.

Stali tam: She-Hulk, Ms Marvel, Hawkeye, Pan Fantastic i dwuipółmetrowa, pełna determinacji Stature.

Towarzyszili im członkowie projektu Thunderbolts: czterej superzłoczyńcy, każdy z nich był jak żywa broń. Bullseye, mistrzowski snajper. Lady Deathstrike, śmiertelnie niebezpieczna zabójczyni-cyborżka. Venom, drobny opryszek opanowany przez pozaziemskiego pasożyta, z długim wężopodobnym jęzorem, z którego kapał kwas. Zasuszony niczym szkielet Taskmaster, trener innych złoczyńców.

Byli też nowi sojusznicy. Wonder Man. Kapitan Marvel, nowo przywrócona do życia pozaziemska wojowniczką. Dr Samson. Sentry unosił się, jarząc niezmierną mocą. Był też Hermes, rozedrgany grecki bóg. Nawet Henry Pym założył strój Yellowjacketa, swojego ostatniego bohaterskiego alter ego.

I kolejni: nowi rekruci prosto z obozów Inicjatywy. Błękitne, czerwone i żółte kostiumy; morze świeżych, młodych twarzy, herosi zdolni do latania oraz cyborgi, mutanci, kosmici i zwykli specjaliści od walki wręcz. Młodzi i starzy, czarni, biali i brązowi, w innych kolorach też, rasy nigdy dotąd niewidziane na Ziemi.

Stojąca na ich czele lśniącą postać w czerwieni i złocie wystąpiła przed szereg.

– Tony – powiedział Kapitan.

Ameryka zatoczył łuk tarczą, wskazując Ruchowi Oporu, by się cofnął. Członkowie zajęli pozycję za jego plecami, twarzami zwrócili się do nowo przybyłych.

Głos Iron Mana był spokojny.

– Wpadłeś w kolejną pułapkę, Kapitanie. Tym razem mamy kilku dodatkowych sojuszników.

Steve Rogers rzucił gniewne spojrzenie Thunderboltsom.

– Musisz być bardzo dumny.

Bullseye zmrużył oczy, na jego ustach zagościł okrutny uśmiech. Venom oblizał makabryczny pysk długim głodnym jęzorem.

– Przez cały czas mieliśmy u was kreta – ciągnął Tony. – To dobry moment, żeby się poddać.

– Jeśli mówisz o Tigrze, to wszystko wiem.

– Co? – Tigra podskoczyła jak oparzona.

Kapitan spojrzał na nią z mieszanymi uczuciami i wyjaśnił:

– Trochę przeszarżowałaś w kwaterze głównej. Chociaż dałaś mi do myślenia.

Tigra wpatrywała się w Amerykę z odrobiną żalu. Potem lekko jak piórko przeskoczyła przez pomieszczenie i stanęła u boku Iron Mana.

– Należę do Avengersów – oznajmiła.

– To bez znaczenia – stwierdził Tony. – Nawet jeśli część naszych danych wywiadowczych jest fałszywa, to mamy w rękę wszystkie atuty. Ta mała wariacja na temat akcji Okupuj Wall Street dobiega końca. Teraz.

Kapitan Ameryka zerknął na swoich ludzi. Cage i Falcon wyglądali na wściekłych, byli gotowi do walki. Photon, Stingray, Patriot, Dagger, Speed, Asp, Diamondback i pozostali wydawali się naprawdę zjednoczeni. Cała niepewność minęła. Wiedział już, że będą za niego walczyć do końca.

„Nie wystarczy. Ale może nie będą musieli”.

Steve Rogers spojrzał gniewnie w świecące soczewki Iron-Mana. Czuł się silny, groźny, nie do powstrzymania. Jak Dawid stający do walki z Goliatem; jak Jerzy Waszyngton przepławiający się przez rzekę, by zaskoczyć Anglików. Słyszał tętent kawalerii tuż za linią wzgórz, piechotę morską tuż przed desantem na plażę.

Dzwony wolności.

– Bądź rozsądny – ciągnął Stark. – Mamy dwukrotną przewagę liczebną. Jak chcecie nas pokonać?

Kapitan nie cofnął się ani o krok. Nie poruszył się, nawet nie mrugnął.

– Krok po kroku. – Na jego twarzy powoli pojawił się mroczny uśmiejch. – Kawałek po kawałku.

NIEWIDZIALNA Kobieta zjrzała do Quincunxu. Johnny i Spider-Man zerknęli na wejście, gorączkowo szukając zagrożenia. Spidey wskoczył na ścianę, spojrział w dół, w górę, potem na boki.

– Siostra?! – zawołał Johnny.

Sue stała się widzialna.

– To ja. Słuchajcie, mamy kłopoty.

– Co ty nie powiesz. – Johnny wskazał szereg aktywnych płytek na linii wzroku na przeciwległej ścianie. – System plików Reeda jest równie poplątany jak kończyny Pana Fantastica.

Spider-Man spojrział na monitor, na którym widniał labirynt wykresów płytek drukowanych.

– Do tego emulator Atari ciągle mi się wiesza. Nigdy nie spełnię marzenia z dzieciństwa i nie zostanę mistrzem świata w *Centipede*.

Sue przyjrzała się kafelkom. Sześć sąsiednich płytek świeciło się, tworząc trwałe ekran przedstawiający schemat więzienia w Strefie Negatywnej. Nad każdą celą widniała mała ikonka; dotknęła jednej i zaświecił się napis DAREDEVIL. Kilka płytek dookoła było otwartych i pokazywało tęczę wielobarwnych przewodów, przełączników i układów scalonych.

Johnny wskazał na schemat.

– Podłączyliśmy się zdalnie do centralnego komputera w więzieniu. Oddzieliliśmy nawet cele bohaterów od tych, w których siedzą złoczyńcy.

– Aha. – Spider-Man protekcyjnie położył Johnny’emu rękę na ramieniu. – Dobrze się spisaliś-MY.

Johnny go zignorował.

– Ale komputer nie przyjmuje żadnych naszych poleceń.

Możemy zobaczyć cele i kto gdzie jest, ale nie potrafimy nic zrobić.

Sue sięgnęła do aktywnej płytki i pstryknęła przełącznikiem.

– Teraz powinniśmy wejść do menedżera haseł Reeda.

Johnny spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Już tu kiedyś byłaś?

– No jasne. Reed i ja lubimy tu wpadać na... – Urwała, uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. – Nieważne.

– Niemożliwe. Nie-moż-li-we.

Spider-Man wspinał się po ścianie, wyciągając szyję, żeby dostrzec wyświetlacz.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi. Jestem tylko muchą na ścianie.

Sue westchnęła. Czuła się, jakby miała dwóch młodszych braci.

Zajęła się drugą otwartą płytką i pstryknęła kolejny przełącznik. Jeden z ekranów zamigotał i pokazał długą listę słów:

ATTILAN PLAYGROUND

GAMMA GAMMA KREE

INITIATIVE RUSCH

FIVE FIREFLY FILLION

DOUBLE DUTCH ALEC

BALLMER WOZNIAK BETA

Spis ciągnął się w nieskończoność, wyjeżdżając poza ekran. Sue zakłęta.

– Siostra? Co to znaczy?

– To lista haseł Reeda. Potrzebujemy jednego z nich. – Zachmurzyła się. – Ale nie wiem którego.

Johnny plasnął się w czoło.

– Typowe, mądrała stworzył ostateczną warstwę zabezpieczeń. Są tu setki haseł i tylko on wie, jakie pasuje do jakiego systemu.

ECHO MACK BENDIS

ALPHA ALONSO ALPHA BETA

LARRY MAC NIVEN

TERA BYTE GEO
HESTER PRIN PHILLIP

Spider-Man potrząsnął przecząco głową, wpatrując się w ekran.
– Czuję się, jakbym właśnie dostał dysleksji.
– To poważna sprawa, chłopaki. Tony Stark znów urządził na nas zasadzkę w laboratorium. Na spółkę z Kapitanem odstawiają teatrzyk: okrążają się wzajemnie jak rewolwerowcy.
Spidey głośno zaczerpnął powietrza.
– Ostatnim razem skończyło się naprawdę świetnie.
– Ledwo udało mi się czmychnąć tak, żeby Reed mnie nie zauważył. Wcale nie wyjechał z miasta. To chyba tylko jedna z wielu rzeczy, których mi nie powiedział.

OCTO DECA MEGA
MILLER SIN MILLAR
HAWKING NEGATIVE Z
SIERRA CHARLIE PEGGY LIPTON
RUNCITER TAVERNER ELDRITCH

Spider-Man podskoczył, czym zaskoczył Sue i Johnny'ego.
– Tu jest! – zawołał.
Sue przybrała pytający wyraz twarzy.
– Co? Które?
Wskazał palcem ekran.
– To! To jest to!
Johnny gapił się na niego ze zdumieniem.
– Peggy Lipton?
– Aktorzy z lat sześćdziesiątych. Zaufajcie mi!
Sue ruszyła do głównego wyświetlacza pokazującego plan więzienia. Przywołała wirtualną klawiaturę i zaczęła pisać.
Zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Kapitan i pozostali byli teraz na łasce Tony'ego. Jeśli to nie zadziała...
Ekran mignął i przez chwilę przerażona Sue myślała, że zablokowała system. Potem schemat znów się pojawił, a wraz z nim półprzejrysty napis:

UDZIELONO DOSTĘPU

– Tak jest! – Johnny klasnął w dłonie. – Wiedziałem, że damy radę.

– Znowu jacyś my?

Sue nie zwróciła na nich uwagi. Zaczęła klikać w poszczególne cele. Te jedna po drugiej zmieniały kolor na zielony. Powiększała fragmenty mapy, poruszając się po więzieniu i starannie sprawdzając podpis pod każdą celą.

– Teraz portal – powiedziała. – I będziemy...

Zaskoczył ją głośny klakson. Światła przygasły. Sue raptownie podskoczyła i zobaczyła na wszystkich ekranach prócz tych, na których pracowała, świecący ciemnoczerwony napis: ALARM.

– Zdaje się, że Oddział Wolność właśnie się ujawnił – powiedział Spider-Man.

– Nie szkodzi. – Sue oznajmiła: – Muszę tu zostać i skończyć aktywację portalu. Wy biegnijcie do laboratorium, pomóżcie Kapitanowi.

– Siostra...

– Zaufaj mi, Johnny. Będziesz w większym niebezpieczeństwie niż ja.

Zajęła się z powrotem ekranem, wracając do zadania. Przed jej oczami pojawiło się menu: PORTAL DO STREFY NEGATYWNEJ.

Johnny pocałował ją w czoło.

– Chodź, Pajęczaku. Pobądźmy trochę bohaterami.

– Taa. – Sue skrzywiła się na nieustanny dźwięk alarmu. – Jak zobaczycie Reeda, dajcie mu ode mnie porządnego klapsa.

TONY Stark zwyciężył. Jego ludzie powoli rozeszli się promieniście, otaczając tak zwany Ruch Oporu. Żołnierze Kapitana nie ustępowali, stali nieruchomo. Ale nie było już wątpliwości: znaleźli się w potrzasku.

Każdy etap operacji został zaplanowany, przećwiczony i sprawdzony, i to nieraz.

Doświadczeni Avengersi tworzyli pierwszy szereg, a Thunderboltsi zapewniaли wsparcie – ich mordercze skłonności były kontrolowane przez umieszczone w ich żyłach nanoroboty. Mała armia rekrutów Inicjatywy uformowała krąg na obrzeżach pola walki. I gdyby jakimś trafem jednemu czy dwóm rebeliantom udało się uciec, na zewnątrz latały śmigłowce T.A.R.C.Z.Y., które były gotowe, by przechwycić zbiegów.

Buntownicy nie mieli dokąd uciec, nie pozostał im żaden ruch. A jednak Kapitan Ameryka spoglądał na przeciwnika morderczym wzrokiem, oczami jak czarny lód. Uśmiechał się jak truposz.

Tony bardzo chciał go uderzyć.

Uniósł przyłbicę hełmu, tłumiąc złość.

– Skoro wiedziałeś o Tigrze – powiedział powoli – to dlaczego dalej z nią współpracowałeś?

– Gdybym ją zdemaskował, mógłbyś zaatakować wcześniej.

– Ale to ona nas tu doprowadziła. Przekazała nam cały twój plan.

Kapitan rzucił Tigrze mroczne spojrzenie.

– Niecały.

– Na Boga, czego ty właściwie chcesz?! – Gniew w końcu w nim zawrzał; Tony poczuł, jak traci panowanie nad sobą. – Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Proponowałem ci amnestię, i to wielokrotnie. Przekonałem rząd Stanów Zjednoczonych, żeby nas wszystkich nie delegalizował! Czy ty wiesz, co tu się mogło stać?

Oczy wszystkich były teraz zwrócone na Tony'ego. Reed Richards niczym wąż przesmyknął się do pierwszego szeregu.

– Czego chcesz? – powtórzył Tony. – Spodziewasz się, że będziesz mógł robić, co chcesz, i do diabła z konsekwencjami? Wydaje ci się, że w jakiej wojnie właściwie walczysz?

Kapitan spojrzał na niego z wściekłością i uśmiech spelzł mu z twarzy.

– Jest tylko jedna wojna.

– Przepraszam. – Głowa Reeda na wydłużonej szyi wcisnęła się między Amerykę a Tony'ego. – Gdzie jest Susan? Wcześniej ją

widziałem.

– Nie teraz, Ree...

Pomieszczenie wypełnił zgrzyt. Tony rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku. Zamigotały światła, rozdzwoniły się alarmy. Na wielkim wyświetlaczu pojawiły się słowa:

PRZEJŚCIE DO PROJEKTU 42 / AKTYWNE

– Portal – powiedział Stark.

Blisko urzędu stała grupka dzieciaków z Inicjatywy; cofnęła się, obserwując, jak pojawia się wirujący chaos Strefy Negatywnej. Gumowe ciało Reeda Richardsa przemieszczało się ku portalowi.

– Reed! – zawołał Tony. – Wyłącz to.

Pan Fantastic wpatrywał się przez chwilę w portal. Potem głowa podskoczyła mu kilka razy jak na sprężynie i wróciła na swoje miejsce. Reed wyciągnął się do konsoli sterującej po drugiej stronie sali.

She-Hulk, Hawkeye, Wonder Man – Avengersi po kolei pytająco spoglądali na Tony'ego.

Rebelianci ruszyli się, zaczęli rozgrzewać mięśnie. Na twarz Luke'a Cage'a zakradł się nieprzyjemny uśmiech.

– Siły Inicjatywy, pozostaniecie na pozycjach – nakazał Tony i odezwał się ponownie do Kapitana.

Twarcz superżołnierza była teraz zimna jak gład, gotowa do walki.

– Jaki masz plan? – Tony zlekceważył przeciwnika gestem. – Chcesz uciec do Strefy Negatywnej?

– Niezupełnie.

Stature wyciągnęła się do trzech metrów wzrostu i wskazała na portal.

– Panie Stark! Niech pan zobaczy!

Wewnątrz na tle wirującej mgławicy antymaterii pojawiła się grupka kolorowych kropek. Człękoksztaltne sylwetki z każdą sekundą stawały się coraz większe. Niektóre poruszały się,

napędzane własną energią, inne miały małe silniki raketowe. Leciąły w szyku i szybko zbliżały się do portalu.

Wiccan. Hulkling. Daredevil. Cloak. Walkiria, Nighthawk, Herkules. I dziesiątki innych za nimi.

– Cele – szepnął Tony.

– To powinno nieco wyrównać szanse – oznajmił Kapitan.

Posępna czerwona postać Daredevila rośła w oczach. Skrzydła Nighthawka były zaciekle, pchając go przez ciemną materię Strefy Negatywnej. Na czele posuwał się ciemny, gniewny Cloak, niemal wypełniając portal.

Luke Cage uderzył pięścią w dłoń.

Przez portal przedarł się Cloak z rozwianym płaszczem. Za nim podążył Daredevil, potem pozostali. Herkules, grecki bóg z legend, roześmiał się głośno, gdy jego ogromne stopy dotknęły posadzki laboratorium.

Buntownicy wykorzystali swoją szansę. W laboratorium rozpętał się chaos.

Falcon wzbił się w powietrze. Hawkeye pobiegł za nim, dobywając łuku i drżącymi rękami celując w górę.

– Daj spokój, Falc – zawołał przeciwnik. – Stary, ta kruczata Kapitana... Jest skończona.

– Nie wygląda mi na skończoną – odparł Falcon.

Wiccan i Hulkling pospiesznie przywitali się ze Speedem i Patriotem. Potem popatrzyli na Stature, skłóconą koleżankę z drużyny. Ta rozglądała się dookoła w panice. Wtedy Komodo, Hardball i Armory – towarzysze ze szkolenia Inicjatywy – pospieszili jej na pomoc. Armory wystrzeliła groźną wiązkę energii i wszyscy ruszyli do walki.

– Nie zróbcie im krzywdy! – zawołała Stature.

Czarna Wdowa pobiegła przechwycić Daredevila.

Ten machnął na nią pałką i odskoczył, przeskakując nad zdemontowanym kokpitem statku kosmicznego. Natasza podążyła za nim, błyskając żądłami, z mordem w oczach.

Dagger wyskoczyła ponad walczących niczym baletnica i wylądowała tuż obok świeżo odzyskanego partnera. Nawet na siebie nie spojrzeli, tylko od razu zajęli pozycje obronne plecami

do siebie. Dagger wystrzeliła kilka świetlistych pocisków w rekrutów Inicjatywy, czym ich oślepiła i ogłuszyła. Cloak wepchnął ich w zimną otchłań swojego płaszcza.

– Avengersi! – zawołał Tony. – Bez paniki. Przestrzegajcie procedur...

Odwrócił się o ułamek sekundy za późno. Pięść Kapitana wyrznęła go w odsłoniętą twarz, cios obrócił całym jego ciałem. Tony poleciał na monitor komputerowy i roztrzaskał go wśród deszczu iskier. Potrząsnął głową. Z jego szczęki tryskała krew. Uniósł dłoń i użył repulsora. Kapitan odskoczył, robiąc unik w powietrzu...

...i wtedy wysadzone od zewnątrz drzwi wyleciały w powietrze. Z korytarza wpadły kłęby dymu spowijające falangę opancerzonych agentów T.A.R.C.Z.Y. Do środka wkroczyła Maria Hill, wprowadzając zespół do zniszczonego pomieszczenia.

Wciąż półprzytomny Tony wyciągnął do niej rękę.

– Mario... Nie. Pozwól moim ludziom...

Ale Hill nie słuchała. Przyspieszała tok wydarzeń, starannie przydzielając agentów do walk trwających w całym laboratorium. Asp i Diamondback siłowali się we dwóch z potężnym odzianym na czarno Wonder Manem. Photon dołączyła do Cage'a i Pantery, po czym posłała wiązki energii ku grupce Inicjatywy, młodzi rekruci krzyknęli i rozpierchli się.

Tony zdążył posłać Kapitanowi szybkie spojrzenie, gdy nagle potężna płatanina kończyn i innych części ciała wylądowała na podłodze między nimi. Zszokowany Tony odskoczył. Z trudem rozpoznał dwóch bogów, Herkulesa i Hermesa, którzy siłowali się i toczyli po ziemi w śmiertelnych zapasach. Ich walka była okrutna, przerywana zarówno okrzykami triumfu i wyciem bólu, jak i wybuchami śmiechu.

Bogowie przewalili się i wpadli na ścianę. Kiedy Tony podniósł oczy, Kapitana nie było.

Rebelianci wciąż przelatywali przez portal do Strefy Negatywnej. Morze trykotów, czerwonych i błękitnych, złotych i srebrnych. Ludzie, kosmici, cyborgi, mutanci. I każdy był bardzo, bardzo wkurzony.

Maria Hill zignorowała wszystkich. Wskazała na Reeda Richardsa splecionego w walce z piękną Asp. Ciało Reeda owinęło się wokół niej i utrudniało jej oddychanie. Bohaterka usiłowała złapać powietrze i wystrzeliwała porcje jadu w jego uchylające się ramiona i głowę.

Krzywiąc się z bólu, Tony z powrotem zamknął hełm i wzniósł się w powietrze, by do nich polecieć.

Na rozkaz Hill sześciu agentów T.A.R.C.Z.Y. otoczyło Asp. Reed Richards prędko rozprostował zwinięte w sprężynę ciało, odskakując jak gumka recepturka na ułamek sekundy przed tym, jak ludzie Hill ostrzelali Asp pociskami usypiającymi. Bohaterka zachwiała się, wystrzeliła po raz ostatni i padła na ziemię.

– Mario! – zawołał Tony.

Hill nie odpowiedziała. Agenci chwycili zaskoczonego Reeda Richardsa i ściągnęli jego elastyczne ramiona do poziomu dyrektorki.

– Doktorze Richards – odezwała się Hill – niech pan mi pokaże, jak odzyskać kontrolę nad systemem bezpieczeństwa w budynku.

Oszołomiony Reed rozejrzał się. Przenosił wzrok z szalejącego portalu do Strefy Negatywnej na dziesiątki walczących, którzy siali spustoszenie w jego laboratorium.

– Co ja zrobiłem? – wyszeptał.

– Doktorze Richards. Musimy zamknąć portal. – Wyjęła z kabury magnum i przystawiła Reedowi lufę do czoła. – Teraz.

Pan Fantastic spojrział na nią, potem na rewolwer, jakby to były insekty zakłócające tajny, sterylny eksperyment.

Tony jednym strzałem rozwalił rewolwer Hill na kawałki. Ta wzdrygnęła się i złapała za obolałą dłoń.

– To nie będzie potrzebne – powiedział Stark, unosząc się nad rywalką. – Reed jest naszym sojusznikiem.

Hill trzymała się za rękę i patrzyła ze złością.

– Reed. – Tony podszedł do lądowania. – Ona ma rację.

Richards przez chwilę patrzył na Tony'ego pustym wzrokiem, po czym skinął głową. Wyciągnął długą rękę i wskazał pulpit sterowania mieszczący się w połowie sali.

Tony wzbił się w powietrze i spojrzął na pole bitwy. She-Hulk walczyła wręcz z bezlitosną Walkirią między Reedem a konsolą. Miecz przeciwniczki błysnął i drasnął She-Hulk w ramię. Ta zawyła z wściekłości i walnęła wojowniczkę w głowę obiema zielonymi pięściami.

Stark wykonał podniebny skręt i wystrzelił do Walkirii z obu repulsorów. Bohaterka padła na ziemię. She-Hulk krzywiła się z bólu, ale uniosła zdrową rękę, żeby przybić Tony'emu piątkę.

Agenci T.A.R.C.Z.Y. przestąpili nad powaloną Walkirią, zatrzymując się tylko, by na wszelki wypadek postać jej nabój usypiający. Reed poprowadził ich do małego monitora komputerowego z podłączoną klawiaturą. Jakimś cudem był wciąż cały.

Tony przeleciał nad grupą i wylądował obok.

– Mam to – oznajmił Reed. – Mogę zamknąć przejście.

– No, to do roboty – warknęła Hill.

Iron Man znów rozejrzał się po polu bitwy. Stature i Yellowjacket walczyli ramię w ramię, odpierając ataki pozostałej czwórki Młodych Avengersów. Na środku laboratorium – tam, gdzie sufit był najwyższy – rozgorzał zaciekły bój w powietrzu: należący do rebeliantów Stingray i Nighthawk przy wsparciu błyskającej piorunami bogini pogody Storm lawirowali, unikając potężnych wiązek energii posyłanych przez Ms Marvel.

– Zamknij też to pomieszczenie – dodał Tony. – Nieważne, ilu przestępców uda im się wypuścić ze Strefy. Jeśli zdołamy uwięzić ich w laboratorium, w końcu się zmęczą.

Reed przytaknął. Jego palce rozciągnęły się i zaczęły stukać w klawisze.

Tony zacisnął zęby. „Sprawa jest nadal do uratowania”, pomyślał. „Nie sypnie się. Nie może, nie po tym wszystkim, co poświęciliśmy. Co ja poświęciłem”.

– Reed?

Pan Fantastic patrzył w monitor z marsową miną.

– Ktoś inny steruje. Z Quincunxu... – urwał i dalej wpatrywał się w ekran.

Hill nie mogła w to uwierzyć.

– Co?!

– Ten sposób naciskania klawiszy... Rozpoznaję go.

Drżącymi rękami Reed otworzył okienko czatu i wpisał pojedyncze słowo:

SUE?

Obok nich przeleciała wiązka energii, która wypaliła dziurę w ścianie. Hill niemal od niechcienia wydała rozkaz i dwóch agentów T.A.R.C.Z.Y. uformowało blokadę za plecami przeciwników i strzelało do rebeliantów pociskami usypiającymi.

Kiedy Tony zerknął z powrotem na Reeda, ten znów gapił się w ekran. Okno czatu pokazywało krótką odpowiedź:

IDŹ DO DIABŁA

KOCHANIE

– Reed! – Stark chwycił go za ramiona. – Możesz to zrobić. Musisz to zrobić.

Richards patrzył na niego przez długą chwilę. Tony'emu wydało się, że zaczyna kiwać głową..

...i wtedy coś uderzyło Iron Mana w plecy z głuchym, mokrym plaśnięciem. Zanim dowódca zdążył zareagować, potężna siła uniosła go z podłogi. Obrócił się w powietrzu, uruchomiwszy pełną moc odrzutowych butów, i zobaczył, że zaplątał się w lepłą pajęczynę.

– Wróciłem, Błaszaku. I mam otwieracz do puszek.

Pięść Spider-Mana przydzwoniła w hełm Tony'ego. Iron Man zawył z bólu. Zawył też kilkanaście ostrzeżeń, ale pancerz wytrzymał.

Tony strzelił w Spider-Mana repulsorem. Ścianołaz popędził po laboratorium, zrobił unik – „cholerny pajęczy zmysł!” – ale wiązka drasnęła jego tułów. Błękitno-czerwony strój rozdarł się i odsłonił poparzoną skórę.

Stark zawirował w powietrzu, wciąż będąc uwięziony

w pajęczynie. Zmniejszył moc repulsorów i zaczął wypalać pajęczą sieć po kawałku – powoli, ale pewnie.

– Powinieneś zatrzymać nowy kostium, Peter.

– Nie mogłem, szefie. Było na nim za dużo krwi.

– GŁÓWNE LABORATORIUM BAXTER BUILDING. – Salę wypełnił przenikliwy komputerowy głos. – WŁĄCZONO SYSTEMY BEZPIECZEŃSTWA. SZEŚĆDZIESIĄT SEKUND DO ZAMKNIĘCIA BARIER.

– Reed – krzyknął Tony. – Ucisz to. Nie musimy ich ostrzegać...

Spider-Man dał susa do Tony’ego, wystawiając przed siebie łączone pięści. Uderzył przeciwnika w tors z głośnym brzękiem i szybko odskoczył. Iron Man poleciał do tyłu, wciąż ostrzeliwał rywala repulsorami, ale Spidey ruszał się za szybko, żeby zadziałało namierzanie celu. Tony spadł na ziemię. Grupka rekrutów Inicjatywy rozpierzchnęła się.

Stark podniósł się i zauważył, że przebieg bitwy uległ zmianie.

Siły Ruchu Oporu stały teraz razem w sąsiednim pomieszczeniu, zwrócone plecami do wielkiego okna. Udało im się stworzyć barykadę przeciwko wszystkim ludziom Tony’ego: Avengersom, Thunderboltsom i rekrutom Inicjatywy. Agentom T.A.R.C.Z.Y. też.

To nie były zwykłe bójki. Walczący stali ramię w ramię, formując tyralierę. Dołączyły do nich siły powietrzne; Falcon, Stingray, Nighthawk i Storm wisieli nad buntownikami, wystrzeliwując wiązki energii i wyprowadzając ciosy, by trzymać z dala latających bohaterów z Inicjatywy. Wszystko to, żeby chronić coś lub kogoś przy oknie.

I znów na Tony’ego spadł Spider-Man, uderzał pięściami i strzelał pajęczyną.

Stark aktywował repulsor na piersi i ustawił maksymalne rozproszenie wiązki. Spidey poleciał do tyłu, wrzeszcząc z bólu.

– TRZYDZIEŚCI SEKUND DO ZAMKNIĘCIA BARIER.

Tony’ego zmroziła myśl: „Peter był tylko wabikiem. Żebym nie zauważył, co się dzieje...”.

Wzbił się w powietrze. Posłał Stingray’owi potężne uderzenie z repulsorów na obu dłoniach i na piersi, wybijając dziurę

w blokadzie powietrznej rebeliantów.

„...o, tam”.

Przeleciał nad linią obrońców, unikając błyskawic Storm i próbujących go pochwycić rąk Falcona.

Kapitan Ameryka stał przed wielkim panoramicznym oknem, z całej siły waląc w nie tarczą. Dagger wystrzeliła nieopodal wachlarz świetlnych noży, nadwierając szkło w kilkunastu punktach. Cage kilka razy z rzędu bardzo mocno uderzył pięścią w jedno miejsce. Herkules rzucał się na szybę, wpadał na nią masywnym ciałem, odbijał się i próbował dalej.

Dołączył również do nich Johnny Storm. Raz za razem posyłał kule ognia, co zmiękczało szklaną barierę, na której powierzchni błyskały żółtobiałe płomienie.

Za oknem zapadał zmierzch. Tysiące ogników oświetlało wieżowce Manhattanu na tle chłodnego jesiennego nieba.

„O nie”, pomyślał Tony. „Nie, nie, nie, nie, nie...”.

– PIĘTNAŚCIE SEKUND DO ZAMKNIĘCIA BARIER.

– Teraz albo nigdy. – Ameryka uniósł tarczę i zawołał do pozostałych: – Wolność!

– Kapitanie! – krzyknął Tony. – Proszę...

Za późno. Zabłyśły świetlne noże, zaprawione w ulicznych bójkach pięści trafiły w cel. Zapłonęły kule ognia; boskie mięśnie naprężyły się i rozluźniły. Kapitan Ameryka wyrzucił tarczę, by zadać ostateczny, miażdżący cios.

Szkło roztrzaskało się na tysiące odłamków. Kapitan Ameryka i pozostali uwolnili się.

Do środka napłynęło zimne powietrze. Członkowie Ruchu Oporu z buntowniczym okrzykiem na ustach podążyli za przywódcą. Wybiegli, wyskoczyli i wyfrunęli prosto w wieczorne niebo.

Spider-Man zamykał pochód na pajęczej nici zaczepionej na suficie. Puszczając sieć i dając nura na zewnątrz, odwrócił się i jeszcze raz pokazał Tony’emu nazistowski salut.

Stark unosił się w powietrzu, był wstrząśnięty i przerażony. „Wieczór na Times Square”, pomyślał. „Na ulice wylęgły tysiące ludzi. Tysiące niewinnych przechodniów, którym obiecałem

zapewnić bezpieczeństwo. A teraz wpakowaliśmy się z naszą walką prosto w ich życie”.

Zacisnął pięści. „Niedobrze, bardzo niedobrze. Nikt już nie panuje nad sytuacją, wybuchła publiczna awantura. Właśnie tego najbardziej starałem się uniknąć”.

– ALARM: NARUSZENIE STREFY.

Hill podbiegła do Tony’ego i wyjrzała za roztrzaskane okno, wykrzykując rozkazy przez komunikator na ramieniu. Reed wyciągnął szyję obok niej, nie posiadał się ze zdumienia. Reszta sił Inicjatywy podeszła powoli, spoglądając w górę na przywódcę.

Ms Marvel – jak zawsze silna i lojalna – stanęła tuż obok Tony’ego i spytała:

– Jakie rozkazy?

Powiódł wzrokiem po jej pięknych kształtach, potem spojrzął na swoich ludzi. She-Hulk była zdeterminowana i pewna siebie; Hawkeye i Reed pozostawali wewnątrznie rozdarci. Stature, Hermes i dzieciaki z Inicjatywy dopiero rozpoczynali karierę superbohaterów. Śmiertelnie niebezpieczni Thunderboltsi ze złośliwymi uśmieszkami na twarzy stanowili broń kontrolowaną tylko dzięki technologii T.A.R.C.Z.Y. Potem Tony spojrzął na wieczorne niebo. Śmigłowce T.A.R.C.Z.Y. zniżyły lot, huczały i kręciły się w kółko, czekając na rozkazy.

Wysunął wyprostowaną rękę przed siebie i poleciał za okno. Następnie ustawił głośniki w pancerzu na maksymalną głośność.

– ZDJĄĆ ICH – rozkazał.

– WSZYSCY, którzy potrafią latać, łapią towarzysza – krzyknął Kapitan. – Natychmiast!

Mijali kondygnacje Baxter Building z przerażającą prędkością. Neony na Times Square oświetlały spadających bohaterów, przydając im surrealistycznie jaskrawych kolorów.

Ludzka Pochodnia rozpałił się mocniej, by dolecieć i pochwycić Sue oraz Dagger. Nighthawk wściekle bił skrzydłami, zgarniając Daredevila, Walkirię i Cage'a. Storm trzymała męża, a Spider-Man posyłał pajęczę nici na ściany Baxter Building, opóźniając własny upadek.

Falcon zapikował i chwycił Rogersa za ramiona.

– Jak za starych dobrych czasów, co, Kapitanie?

– Niezupełnie. – Przyjaciół podziękował mu spojrzeniem. – Podniesiesz mnie trochę wyżej?

Falcon zadarł głowę i poszybował w górę, wciąż trzymając swojego partnera. Kapitan czuł na twarzy ożywcze wieczorne powietrze. Spojrzał w dół.

Chaos na Times Square nabierał kształtów wąskiego kawałka ciasta – samochody toczyły się wokół centralnego trójkąta ze straganami z jedzeniem, punktami rekrutacyjnymi armii amerykańskiej i ławkami dla przechodniów. Plac był pełen ludzi: mieszkańców i turystów, artystów ulicznych i koników – wszystkich oświetlały latarnie i billboardy. Ludność uwijała się jak mrówki, uciekając przed gradem szkła i ciał pędzących na łeb na szyję z Baxter Building.

Agenci T.A.R.C.Z.Y. wyposażeni w sprzęt do tłumienia zamieszek wbiegli na plac, machając pałkami i wyganiając tłumy na południe. Uciekinierzy musieli pokonać drogę między metalowymi stolikami otaczającymi furgonetki z pierogami

i budki z hot-dogami. Lokalni policjanci zalali ulice, oczyszczając główne drogi z samochodów. Radiowozy podjechały z piskiem opon, by zablokować skrzyżowania.

„Jeśli dadzą nam spokój”, pomyślał Kapitan, „szybko będzie po wszystkim. Ale jeżeli Tony puści swoich ludzi wolno na ziemię...”

– HEJŻE, ŚMIERTELNICY! – Herkules pomknął w dół, mijając Kapitana i Falcona, ani trochę nie spowolnił swojego upadku. – ZRÓBCIE MIEJSCE DLA SYNA ZEUSA!

Śmiejąc się w głos, uderzył o chodnik z ogłuszającym trzaskiem. Betonowe płyty pękły, ludzie pierzchli; ze zniszczonego hydrantu wytrysnęła woda.

„Psiakrew”, pomyślał Kapitan.

Członkowie Ruchu Oporu po dwóch, trzech naraz lądowali na placu. Najpierw Pochodnia, holując Sue i Dagger. Storm z Panterą. Spider-Man dołączył do nich po tym, jak opuścił się na nici, i wystrzelił pajęczynę, żeby zatkać rozbity hydrant.

Ameryka dał znak i Falcon spojrział na Baxter Building. Wyrwa w ścianie laboratorium Reeda wciąż była widoczna. Kilka kolorowych sylwetek wyglądało przez wybite okno, ale Kapitan nie umiał rozpoznać ich z tej odległości. W powietrzu wisały cztery śmigłowce T.A.R.C.Z.Y.

A w dole...

Z drzwi głównych Baxter Building wymaszerowała postać w granatowo-białym stroju. Jej okrutną twarz oświetlały błyski reklamy teatru na Broadwayu. To był Bullseye. Za nim wyszli Taskmaster – złoczyńca o twarzy upiora – potem Deathstrike. Na końcu pojawił się Venom w mrocznej parodii stroju Spider-Mana, mlaskając wygodniałym, nieludzkim jęzorem.

Thunderboltsi. Najemna armia Tony’ego Starka, jego własny oddział rzekomo oswojonych superzłoczyńców, przebywający na wolności wśród uciekających w popłochu mieszkańców Nowego Jorku.

Z Baxter Building wypadła chmara bohaterów. She-Hulk, Czarna Wdowa, Dr Samson. Kapitan zrozumiał ze ściśniętym sercem: „To jeszcze nie koniec”.

Thunderboltsi szeptali między sobą. Lady Deathstrike wskazała

coś długim, nienaturalnie zaostrzonym palcem, pozostali spojrzeli w tamtym kierunku. Kapitan zmrużył oczy i zobaczył cel: Stingray chwiał się właśnie w powietrzu, podchodząc do trudnego lądowania na fragment chodnika pomalowany na niebiesko. Niósł Asp, która szamotała się w jego objęciach. Wyślizgnęła się i mocno uderzyła się w nogę podczas schodzenia na ziemię.

– Szybowanie to nie latanie – powiedział Kapitan.

Falcon spojrział na niego.

– Co?

Thunderboltsi ruszyli sprintem. Wyminęli hamujące z piskiem opon samochody, kierując się prosto do oszołomionych Stingraya i Asp.

Ameryka napiął mięśnie.

– Tam. – Wskazał złoczyńców. – Zabierz mnie tam.

Falcon złapał Kapitana mocniej i zapikował. Ogromne billboardy otaczające Times Square – reklamy spektakli na Broadwayu, fast foodów, sprzętu elektronicznego, filmu dokumentalnego *Stamford: anatomia tragedii* – oświetlały ich obniżające lot sylwetki.

– Jaki jest plan? – spytał Falcon.

– Poradzę sobie sam. Ty pomóż innym.

– Chcesz załatwić całą czwórkę? To są twardzi goście!

– Musisz sprawdzić, czy wszyscy nasi są bezpieczni. Jeśli będę potrzebował pomocy, zawołam.

Falcon westchnął tak głośno, że słyhać go było nawet przez szum wiatru. Zniżył się na wysokość trzech i pół metra nad ulicą. Kapitan spojrział w dół właśnie wtedy, gdy Venom owijał swoje plastyczne obce ciało wokół Stingraya i zwałił go z nóg. Lady Deathstrike i Taskmaster pochwycili ogłuszoną Asp, trzymając ją przed Bullseye'em, który stał nieruchomo, uśmiechając się i oblizując.

Kapitan klepnął Falcona w ramię. Ten przytaknął i zrzucił go.

Steve Rogers poszybował w dół i przeleciał nad raptownie skręcającymi samochodami. Później wspominał, że w tamtej krótkiej chwili – gdy spadał na wrogów – jak nigdy wcześniej

czuł, że żyje.

Zaatakował, łądując Lady Deathstrike na karku. Asp skorzystała z okazji i poraziła Taskmastera ładunkiem bioelektrycznym. Ten krzyknął i zatoczył się.

Ale Bullseye zdążył wkroczyć do akcji. Zabójca, który potrafił zamienić dowolny przedmiot w broń, złapał walizkę zaskoczonego biznesmena. Mężczyzna zaczął protestować, zauważył jednak wyraz oczu Bullseye'a i uciekł z przerażeniem.

Bullseye błyskawicznie otworzył aktówkę. Wyjął cztery zwykłe długopisy i wystrzelił je niczym pociski prosto w Asp i Kapitana, ten drugi ledwie zdążył unieść tarczę, by osłonić siebie i towarzyszkę.

Dziwne bulgotanie zwróciło uwagę Ameryki na położenie Stingraya: Venom owinął swój długi język wokół jego szyi, powoli go dusząc. Kapitan posłał na nich Asp. Bohaterka ruszyła do ataku, wyciągnęła ręce i posłała potężną porcję energii w Venoma. Obcy stwór zadrżał w paroksyzmie bólu i wypuścił ofiarę.

Stingray podbiegł do Rogersa.

– Dzięki – powiedział.

– Nie mogłem opuścić członków Ruchu Oporu w potrzebie – odparł Kapitan Ameryka.

Asp uśmiechnęła się.

– Myślałam, że odleczysz z Falconem i... z Pochodnią...

– Wszyscy jesteście moimi żołnierzami. A teraz idźcie pomóc reszcie.

Asp rzuciła mu ostatnie, pełne wdzięczności spojrzenie, po czym razem ze Stingrayem pobiegli dalej. W tym momencie wzrok Kapitana przykuł błysk. Wiedziony instynktem dowódca obrócił tarczę w samą porę, by zablokować strzał Taskmastera. Wyrzucił nogę do tyłu, by kopnąć Lady Deathstrike w brzuch, o ułamek sekundy unikając jej cyborgowych szponów, które pragnęły wbić mu się w gardło.

Dla Ameryki istniało tylko tu i teraz. Wokół wybuchały potyczki: Ruch Oporu kontra Inicjatywa, bohaterowie przeciwko bohaterom. Kilku agentów T.A.R.C.Z.Y. wpadło na chodnik,

wymachując bronią. Cywile wskazywali na nich w panice i uciekali w poszukiwaniu schronienia. Samochody hamowały z piskiem, ostro skręcały, uderzały w latarnie.

Lady Deathstrike wyciągnęła długie pazury i poharatała klatkę piersiową Kapitana. Trysnęła krew.

– To ci dopiero przywódca buntowników! – zawołała.

Steve Rogers zatoczył się i pomyślał: „Straciłem przewagę”.

Zanim zdołał się pozbierać, Venom uderzył go pięścią w brzuch.

– Sssuper. – Kapitan czuł na twarzy jego gorący oddech, obcy i cuchnący.

– To ma być żywa legenda drugiej wojny światowej? – Bullseye wyprowadził wysokiego kopniaka i trafił przeciwnika butem w twarz. – Z kim on walczył, z Bingiem Crosbym?

Głową Kapitana szarpnęło do tyłu. Świat zawirował mu przed oczami. Wielokolorowe kostiumy walczyły w koszmarnym balecie. Światła placu drżały i migotały mu pod powiekami...

...a on się uśmiechnął.

Lady Deathstrike trzymała go teraz mocno za głowę, obejmując od tyłu nienaturalnie długimi palcami.

– Co cię tak śmieszy, Kapitanie?

Ten uśmiechał się dalej przez obryzgane krwią zęby.

– Po prostu myślę sobie o moim druhu w górze...

Królewska postać spłynęła z nocnego nieba. Za nią leciał supernowoczesny statek powietrzny, który otworzył drzwi... I na ziemię wysypały się dziesiątki wytatuowanych wojowników o błękitnej skórze.

– ...zaraz skopie wam tyłki tak, że zapomnicie, gdzie macie dół, a gdzie górę.

Książę Namor obniżył lot z zaciśniętymi pięściami. Dał znak swoim wojownikom, by podążyli za nim.

– IMPERIUS REX!

Kapitan znów się uśmiechnął.

Teraz Ruch Oporu miał szansę na zwycięstwo.

SUE Richards obserwowała, jak imponująca postać Namora

zatacza pełen gracji łuk w górze i w końcu ląduje. Namor ruszył na Bullseye'a i uderzył pięściami, co powaliło zabójcę na ziemię. Wojownicy z Atlantydy poszli jego śladem i po czterech czy pięciu dopadli Venoma, Taskmastera i Lady Deathstrike.

Sue przyszła do głowy nieproszona myśl: „Nareszcie jakiś mężczyzna, na którego mogę liczyć”.

Była niewidzialna, schowała się we wnęce przy głównym wejściu do Baxter Building. Ben szwendał się tu wiele razy po zebraniach Fantastycznej Czwórki, kiedy wychodził na dymka. Oczywiście zanim rzucił palenie.

– Iron Man do wszystkich jednostek. – Sue podniosła głowę i zobaczyła lśniąca sylwetkę Tony'ego unoszącą się nad walczącymi. – Kontynuujcie ewakuację ludności z terenu i ograniczcie pole bitwy do centrum Manhattanu. Nie chcę ofiar w cywilach. Powtarzam: **ŻADNYCH OFIAR W CYWILACH!**

Wojownicy szybko wrócili do walki na poziomie gruntu. Po drugiej stronie Broadwayu Luke Cage i Diamondback siłowali się z Wonder Manem, podczas gdy Ms Marvel wściekle ostrzeliwała Cage'a z powietrza. Falcon wznosił się i pikował nad Hawkeye'em, który stał z uniesionym łukiem, pokrzykując na przeciwnika. Herkules otrząsał się z żądeł Czarnej Wdowy. Gdy do ich walki dołączyła She-Hulk, uśmiechnął się szeroko.

Sue szukała wzrokiem Reeda. Jego rozciągnięte do czterech i pół metra ciało mignęło jej przecznicę na północ, było owinięte wokół Patriota i atakowane przez atlantydzkich żołnierzy. Johnny szybował w powietrzu, unikając strzałów Kapitan Marvel i odpowiadając kulami ognia lecącymi na tle dziesięciometrowej reklamy bielizny.

Na Sue spadł deszcz tłuczonego szkła – ciąg dalszy szczątków z górnego piętra. Grupka cywili tuliła się do budynku; Susan Storm włączyła na moment pole siłowe, osłaniając zebranych i siebie przed kolejnym rzutem. Wtedy usłyszała z drugiej strony placu znajome chrząknięcie.

Stała się widzialna.

– Ben!

Stwór uśmiechnął się tym swoim szachrajским uśmiechem,

który zdążyła pokochać. Przystanął, żeby uderzyć na odlew She-Hulk, i odrzucił ją dalej od Herkulesa. Ten spojrział z rozczarowaniem.

Ben, ciężko tupocąc, przebiegł przez ulicę i rozpostarł ramiona.

– Nie myślałaś chyba, że w takiej chwili będę siedział z założonymi rękami i wsuwał croissanty? – Mocno przytulił Sue. – Musimy chronić ludzi!

Nagle w jego oczach zagościł strach. Sue zobaczyła...

...błysk światła...

...wysuszoną, trupa twarz Taskmastera...

...jego migający czerwienią pistolet energetyczny...

– SUSAN!

Powietrze wypełnił błękit. Reed Richards rzucił się przed Taskmastera, osłaniając towarzyszkę przed strzałem, który trafił go prosto w plecy. Krzyknął z bólu i bezwładnie wygiął się w powietrzu jak guma.

– Reed! – Sue wyrwała się Benowi.

Pan Fantastic padł na chodnik, długimi kończynami dosięgał jezdni. Niemal wszyscy kierowcy zdążyli uciec. Ben zatrzymał zabłąkany autobus – ten zahamował z piskiem opon. Potem pochylił się nad ciałem Reeda, z którego unosił się dym.

– O, stary – powiedział Ben.

Sue podbiegła i schyliła się, by dotknąć męża. Gdy Reed leżał rozciągnięty, trudno było wyczuć jego serce, ale miała praktykę. Pomacała mu pierś, unikając dymiącej dziury w uniformie. Wyczuła pod dłonią bicie: *Bum-bum. Bum-bum.*

Odetchnęła z ulgą. Potem zerknęła na Taskmastera, który opierał się o ścianę Baxter Building i przeładowywał broń. Ostatni przechodnie uciekli na dźwięk pierwszego strzału, był więc sam.

– Wezmę go, Suzie.

– Nie, Ben. – Sue zaczęła się koncentrować. – Jest mój.

Posłała przed siebie pole siłowe, formując niewidzialny młot. Taskmaster podniósł wzrok i wyszczerzył do niej zęby, a potem zorientował się, co się dzieje. Wybałuszył oczy ze strachu.

Spuściła na ziemię pole siłowe, które rozpląszczyło

Taskmastera na chodniku. Uderzyła jeden raz, potem drugi, waląc ciągle z ogromną siłą.

Kiedy skończyła, Taskmaster leżał bezwładnie w okrągłym wgłębieniu na pół metra, w aureoli popękanego betonu. Kreskówkowy lew spoglądał na niego obojętnie z afiszu musicalu dla dzieci.

– Wow – wykrztusił Ben i utkwiał w bohaterce zdumione spojrzenie.

Sue ukłękła i objęła wydłużone ciało Reeda. Z jego ust wydobył się słaby jęk bólu.

Podniosła wzrok, krzywiąc się na widok wszechobecnego zamętu. Latający bohaterowie mocowali się w powietrzu; zaciekle potyczki toczyły się wciąż na ziemi, walczone na pięści, pistolety i uderzenia supermocy. Atlantydzkie legiony Namora rozproszyły się, pomagając buntownikom.

Szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na ich stronę.

Herkules uniósł Dr. Samsona i cisnął nim w autobus, skąd wysypali się spanikowani turyści. Ułamek sekundy później ogromny naukowiec o zielonych włosach wleciał w szybę. Pojazd przewrócił się na bok, nieomal przygniatając starszą kobietę.

Ben wyciągnął ręce do Reeda, ale Sue go powstrzymała.

– Idź pomagać ludziom – powiedziała. – Ja się nim zajmę.

Ben spojrział na nią niepewnie. Tymczasem Dr Samson podniósł autobus i właśnie rzucał nim w stronę śmiejącego się Herkulesa.

Ben dotknął jej ramienia i pobiegł dalej.

Sue wsunęła ręce pod bezwładne ciało Reeda i podniosła je. Jego wydłużone kończyny zwisały pod nienaturalnym kątem. Mamrotał coś nieskładnie, kiedy niosła go wśród chaosu bitwy. Z ust spłynęła mu kropla krwi.

– Głuptasie – szepnęła, starając się nie rozpłakać. – Ty głupi głuptasie.

TIMES Square dostawał mocno w kość. Storm posyłała błyskawice w robiącą uniki Ms Marvel, z każdym piorunem wyrywając kawał jezdni. She-Hulk cisnęła Hulklingiem o ławkę, rozbijając ją w drzazgi. Herkules był jak jednoosobowa brygada wyburzająca.

Tony Stark unosił się w powietrzu, obserwując cały ten chaos. Wszystko wymykało się spod kontroli. „Kapitanie!”, pomyślał. „Dlaczego to robisz?”.

– Stark.

Ten głos był jak minimigrena w jego uchu.

– Tak, Mario.

– Mam jeszcze osiem zastępów gotowych do zrzutu.

Zadarł głowę. W górze zebrało się jeszcze więcej huczących gniewnie śmigłowców. Tuż nad ziemię zleciało Mobilne Centrum Dowodzenia T.A.R.C.Z.Y. To właśnie Maria.

– Nie zgadzam się. Dam sobie radę.

– Chyba jesteśmy już kilka kroków dalej, Stark. I przypomnę ci: zbiegów na terytorium USA wspierają zagraniczni terroryści. To ewidentnie daje T.A.R.C.Z.Y. pierwszeństwo.

– Jacy zagraniczni... – urwał i znów spojrzał w dół. Atlantydzcy wojownicy uzbrojeni we włócznie i broń energetyczną rozproszyli się po placu. Kilku dołączyło do walki między Cloakiem, Dagger, Hawkeye’em i She-Hulk; druga grupa biła się z agentami T.A.R.C.Z.Y. po wschodniej stronie. Ośmiu czy dziewięciu innych wojowników stało triumfalnie nad ciałami Thunderboltsów.

– Zaczekaj, Mario.

– Stark...

– Niech cię szlag! Daj mi minutę.

Tony podkręcił odrzutowe buty do maksimum i wystrzelił pod niebo. Oschle pomachał ręką, mijając Mobilne Centrum Dowodzenia, potem przeleciał zygzakiem między śmigłowcami T.A.R.C.Z.Y. Kiedy wzniósł się nad poziom budynków, zatoczył łuk ponad helikopterami i zniżył lot, chcąc zrobić rekonesans na dole. Potrzebował pełnego oglądu sytuacji.

Widok Manhattanu nocą jak zawsze zaparł mu dech w piersiach. Światła samochodów sunęły między wieżowcami, tysiące – albo miliony – ludzi przechadzały się po ulicach. Wszystkie żywe istoty, ich dusze. Takie cudowne i takie bezradne...

Tony potrząsnął głową. „Kiedy ja ostatnio spałem?”

Nagle jego uwagę zwróciły jasny błysk i słaby odgłos uderzenia. Wiązki energii Ms Marvel; nie wiedział, kto wydał dźwięk – może Herkules albo She-Hulk. Nawet z tej wysokości, nie powiększając obrazu, widział rozmiary zniszczeń. Nie tylko na samym Times Square, ale i dookoła. Wybuchy, pociski wystrzeliwane z żądał, ciała uderzające o budynki. Czarne hełmy T.A.R.C.Z.Y. tworzyły kordon wokół przyległych trzech kwartałów, ale wielu cywilów było uwięzionych w strefie walki.

Jakaś wisząca w powietrzu postać – „Sentry?” – skinęła dłonią i z centrum placu wzbija się chmura dymu potężnej eksplozji.

Tony poczuł przenikliwy chłód nagłej paniki. „Nie”, pomyślał. „Tylko nie kolejny Stamford. Nigdy więcej”.

Skierował czujniki w dół i aktywował mobilne Wyszukiwanie Trykotów. Przed oczami przesuwaly mu się obrazy: Spider-Man i Daredevil stawiający czoła Czarnej Wdowie i Kapitan Marvel. Cage i She-Hulk okrążający się nawzajem jak bokserzy. Falcon w powietrznej walce z Ms Marvel. Stojący przed food truckiem Hawkeye, który bił się z...

...Kapitanem Ameryką.

– Cel – powiedział miękko Tony. I zanurkował.

„Wystarczy odciąć głowę”, pomyślał, „i Ruch Oporu upadnie”.

Times Square błyskawicznie wypełnił jego pole widzenia. Kolejne obrazki potyczek: Photon przeciw Tigrze. Dagger przyciśnięta do ściany przez Stature i Yellowjacketa. Hermes

szaleńczo wirujący wokół Ludzkiej Pochodni.

Kapitan Ameryka przerzucił Hawkeye'a przez ramię. Strzały latały jak opętane; Hawk wylądował na metalowym stoliku z głośnym trzaskiem. Kapitan wpatrywał się w jego nieprzytomne ciało, zaczął mówić...

...i wtedy uderzył Tony.

Kapitan jednak zdążył wznieść tarczę szybciej, niż zdążył to wykryć pancierz Tony'ego. Pięść Iron Mana uderzyła o metal, który pochłoniął większość energii uderzenia. Ameryka zadał cios tarczą. Stark odskoczył i unosił się nieco nad ziemią. Wylądował dokładnie przed ścianą punktu rekrutacyjnego sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych: blask podświetlonej, wysokiej na cztery metry amerykańskiej flagi padał na ławki dla przechodniów.

Tony wylądował w przysiadzie twarzą w kierunku przeciwnika. Za plecami miał wielką flagę.

– Znów ty i ja, Kapitanie.

Rogers posłał mu złe spojrzenie.

– Tym razem jest trochę inaczej, Tony.

– Masz rację. Tym razem nie nabiorę się na jakiś przedpotopowy gadżet T.A.R.C.Z.Y.

Skoczył w kierunku Ameryki, strzelając jednocześnie repulsorami. Kapitan znów podniósł tarczę i odbił promienie. Ale Tony wpadł na niego, zwalając go z nóg, uniósł powleczoną metalem pięść i trzasnął Steve'a Rogersa w szczękę.

Ten stęknął i zepchnął z siebie Starka.

– I tym razem mam więcej sojuszników.

– Masz na myśli tych atlantydzkich najemników?

Tony znów uruchomił repulsory...

...i wtedy coś lekko jak piórko wylądowało mu na plecach.

– Cześć, tato. Tęskniłeś za mną?

Spider-Man. Znowu.

Stark spojrzał gniewnie na ścianażę jarzącymi się oczami. Wzbił się w powietrze i przechylił raz w lewo, raz w prawo, próbując go z siebie zrzucić.

Telewizyjny wóz transmisyjny zatrzymał się z piskiem opon. Ze środka wyskoczyła ufryzowana reporterka, wykrzykując

gorączkowo instrukcje do kamerzysty i techników.

Spider-Man złapał Iron Mana za ramiona.

– Nie chcemy polecieć za wysoko, Tony.

– Jeśli znów próbujesz zakleić mi pancerz pajęczyną, to możesz sobie darować. Już potrafię zneutralizować sieć.

– Domyśliłem się, że to dopracujesz. – Spider-Man przyłożył kciuki do stawów barkowych w zbroi Tony’ego. – Ale są rzeczy, które trudniej naprawić.

Stark zrozumiał, co Spidey chce zrobić, ale było za późno. Skręcił gwałtownie w powietrzu, Spider-Man jednak mocno się trzymał.

– Mikrokontrolery w twoim pancerzu – powiedział pajęczy bohater. – Delikatne małe cholerstwa. Mówiłeś, że sprawiają ci problemy, pamiętasz? Dawno temu, kiedy byliśmy najlepszymi kumplami?

Spider-Man zacisnął palce. Mikrokontrolery – najpierw jeden, potem drugi – ukryte w stawach barkowych Tony’ego wydały cichy trzask.

– Nigdy nie znalazłeś czasu, żeby się tym zająć, prawda?

Ramiona Starka natychmiast się usztywniły i Iron-Man poleciał w dół. Spidey zeskoczył z niego tuż przed uderzeniem w ziemię. Tony spadł niezgrabnie, prosto na klatkę piersiową.

Z trudem próbował złapać oddech.

Mgliście zdawał sobie sprawę, że wokół niego zgromadzili się cywile, nagrywali filmiki telefonami. Co najmniej ośmiu lub dziewięciu stało na tle olbrzymiej podświetlanej flagi.

– Wiesz, kto mógłby ci pomóc z mikrokontrolerami? Bill Foster. – Spider-Man nachylił się nad przeciwnikiem, białe soczewki maski zasłoniły Tony’emu pole widzenia. – Niestety.

Stark z trudem podniósł się na kolana. Kontrolery ponownie się ładowały, ale tymczasowo był bezbronny.

– P... Parsifal – powiedział.

– Co takiego, szefie?

– Parsifal!

Potężna błyskawica uderzyła w ziemię, robiąc wyrwę w jezdni między Tony’em a Spider-Manem. Spidey odskoczył, chwilowo był

zdezorientowany. Wtedy czyjaś wielka dłoń złapała go w pasie i podniosło wysoko.

Potężny Thor stał jak mściwy bóg z dawnych wieków, trzymając ofiarę dwoma ogromnymi palcami. W jego drugiej dłoni błysnęła młot. Bohater zbliżył twarz do Spider-Mana i wysyczał:

– DOBĄDŹ BRONI.

A potem cisnął rywalem daleko i wysoko ponad punktem rekrutacyjnym. Spidey obrócił się, zamachał rękami w powietrzu i zniknął im z oczu po drugiej stronie niewielkiego zabudowania.

Thor ruszył za nim. Ziemia trzęsła się przy każdym jego kroku. Złapał za róg budynku punktu rekrutacyjnego, chcąc go okrążyć, i fragment ogromnej flagi – kilka białych oraz czerwonych LED-ów – zaiskrzył i został zgnieciony w mocarnym uścisku.

Dwaj agenci T.A.R.C.Z.Y. zerknęli na Thora i włączyli nadajniki radiowe na ramionach, po czym wezwali posiłki. Garstka cywili poszła za bohaterem z uniesionymi telefonami, by nagrać każdy jego ruch. Potem wszyscy zniknęli za rogiem roziskrzonego punktu rekrutacyjnego.

Herkules wleciał w biurowiec po drugiej stronie placu. Na ulicę spadł deszcz szklanych odłamków; w miejscu uderzenia rozbłysła mała eksplozja.

Kiedy mikrokontroler na lewym ramieniu wreszcie się uruchomił, pancerz wydał charakterystyczne pstryknięcie. Tony wyprostował się i rozejrzał. „Niedobrze”, pomyślał. „Już teraz mamy straty na miliony dolarów. A Ruch Oporu będzie walczył do upadłego”.

I wtedy po raz pierwszy poczuł rozpacz innego rodzaju. Głębszy, bardziej osobisty smutek. „Sprawy zaszły zbyt daleko”, stwierdził. „To wszystko... Nie ma już powrotu do dawnych czasów, nie otrzepiemy się z bitewnego kurzu i nie ściskamy sobie dłoni w niechętnym podziwieniu. Nie połączymy sił w walce przeciwko Galactusowi czy Doktorowi Doomowi. Ani teraz, ani nigdy. To koniec”.

Podniósł wzrok i zobaczył, jak zbliża się do niego Kapitan Ameryka. Bohater na twarzy miał krew, w oczach – ogień. Stawał

do ostatniej bitwy, ostatecznego starcia między tarczą a stalą. Dwaj gladiatorzy, przedwcześnie postarzali, po raz ostatni wychodzili na ring. Dwaj mężczyźni, którzy kiedyś byli przyjaciółmi.

Tony próbował przyjąć pozycję obronną, ale prawe ramię wciąż zwisało mu bezwładnie. Uniósł lewą dłoń, odpalił repulsory i przygotował się na spotkanie z przeznaczeniem.

SPIDER-MAN wylądował w przysiadzie na środku Broadwayu. Zawirował, rozglądając się za samochodami, jednak miejscowym siłom porządkowym wreszcie udało się odblokować ulicę. Uniósł wyrzutnie pajączyny...

...ale zanim zdążył wystrzelić, Thor znów był obok i rzucał się na niego całym swoim ciałem jak zawodnik wrestlingu. Spidey padł na ziemię bez tchu, przegnieciony do jezdni przez masywne cielsko Thora.

„To nie Thor”, przypomniał sobie. „To klon Thora. Thon”.

Spider-Man podparł się, kładąc dłonie na jezdni. Napiął mięśnie i odepchnął się. Thor zleciał z niego, a on sam przeturlał się na bok.

Thor uniósł młot, przywołując błyskawicę.

– PODŁY ZŁOCZYŃCA – powiedział.

Spidey zerwał się na równe nogi i uchylał się przed uderzeniami pioruna. Zatoczył się i prawie wpadł na ciekawską kobietę w biznesowym garniturze.

– Proszę się cofnąć! – zawołał. – To nie prawdziwy gromowładny, ale bywa o wiele gorszy.

– GROM JEST... MÓJ.

Spider-Man zamarł i przyglądał się przez chwilę Thorowi. Klon wydawał się poruszać wolniej, był wyraźnie zdezorientowany. Spidey podszedł do niego ostrożnie, gotów w każdej chwili zrobić unik.

– Wiesz, Thonie... Mogę mówić ci Thonie? To całkiem zabawna sprawa. – Parker postawił kolejny krok. – Tony próbował zrobić ze mnie młodszą wersję samego siebie, ale nic z tego nie wyszło.

Wyciągnął więc z lamusa ciebie. Własnego prywatnego superbohatera, wyhodowanego stuprocentowo zgodnie z wymogami.

Młot Thora rozbłysł. Ale klon nie wykonał żadnego ruchu.

– Problem w tym, że za pierwszym razem ty też nie bardzo mu się udałeś. – Spider-Man uważnie przyglądał się rozmówcy. – Wiesz, co myślę, Thonie? Myślę, że udoskonalili cię po tamtej wpadce w rafinerii. Po pierwsze dali ci dar mowy. To krok we właściwym kierunku, chociaż mógłbyś jeszcze popracować nad gadką.

Wypatrzyła ich ekipa telewizyjna. Kamerzysta przepchnął się niebezpiecznie blisko pola walki.

– Ale coś mi się zdaje, że wyposażyli cię też w bezpieczniki. Sądzę, że trzymają cię na smyczy. Pewnie nawet Tony Stark nie wypuściłby cię na wolność, nie mając pewności, czy nie zaczniesz rzezi niewiniątek.

Thor zwrócił się w stronę Spider-Mana z uniesionym młotem. Zamachnął się, żeby rzucić, i wtedy zwrócił uwagę na cywili. Jego ramię luźno opadło.

– Słuchaj – ciągnął Spidey – martwiłem się, że muszę cię zastąpić. To znaczy nie ciebie, tylko Thora. Tego prawdziwego. Kiedy Tony poprosił mnie, żebym dołączył do Avengersów, nie byłem pewien, czy mogę się równać z bogiem. Bo znałem Thora, kolego. Walczyłem u jego boku. I wiesz co, oszuście?

Spider-Man wyteżył siły i wyskoczył w powietrze z okrzykiem:

– Tyś nie Thor!

Klon brał się do uniku, ale miał już Spider-Mana na ramionach. Wiązka pajęczyny wyleciała z wyrzutni i zakleiła Thorowi twarz. Bóg gromu zawył i zaczął szarpać nić.

Spidey chwycił oburącz jego wielkie prawe ramię i wykręcił je do tyłu. Thor padł na ziemię ze straszliwym hukiem. Spidey najpierw wyskoczył, potem spadł na Thora, uderzając go złączonymi pięściami w szyję.

Ciało Spider-Mana poraził prąd. Bohater zawył z bólu i cofnął ręce. Gardło Thora rozdarło się, odsłaniając dziwną płataninę komórek i mieniących się elektronicznych przewodów

i obwodów. Ramiona klona obwisły, trzęsąc się spazmatycznie.

Spider-Man wyciągnął młot z drgającej dłoni Thora.

– A to – powiedział – nie jest Mjolnir.

Spidey opuścił młot na gardło Thora. Klon zadrżał w konwulsji, wygiął plecy w łuk i zawył metalicznie. Jego pierś pękła na pół, ukazując jarzącą się i skrzącą centralną jednostkę zasilania.

– „Tyś”? A może „tyżeś”? Nie do końca się znam na średnioangielskim.

Spider-Man uderzył młotem ponownie, wprost w zasilacz. Cofnął rękę w samą porę, by uniknąć potężnego, krótkiego spięcia, które ogarnęło okaleczone i drgające ciało Thora.

Thor zamrugał raz i drugi. Potem przestał się ruszać.

Tymczasem wokół walczących zebrał się spory tłumek, gapił się z podziwem i zgrozą. Spidey odwrócił się do nich, a ci cofnęli się, niemal jakby byli jednym organizmem. Spuścił wzrok, zobaczył plamy krwi i smaru na swoich rękawicach i piersi.

Dookoła trwały walki. Cage i Stwór bili się z She-Hulk i Wonder Manem. Daredevil i Czarna Wdowa ścigali się nawzajem po latarniach i ławkach w zabójczym, precyzyjnym balecie. W górze kilka trykotów kotłowało się w powietrzu, rozświetlając wieczór wyładowaniami energii.

Spidey osunął się po ścianie, chwilowo był wyczerpany. Kiedy zabrakło Thora, czuł się dziwnie spokojnie – pozostał tylko on i ta ważna chwila. „Pokazałem im”, pomyślał. „Jestem równie dobry jak oni. Nieważne, co myślą Tony Stark, Kapitan Ameryka czy ktokolwiek inny”.

Bez względu na to, jak skończy się bitwa, będzie musiał zapłacić wysoką cenę. Jeśli zwycięży Kapitan, Peter zostanie ściganym przestępcą. Jeżeli górę weźmie Tony, będzie musiał stanąć przed sądem. Tak czy owak, przyszłość wyglądała ponuro.

Ale w tej chwili Spider-Man był zwycięzcą. Wygrał.

„Dzisiaj”, pomyślał, „jestem Avengersem”.

KAPITAN zadał potężny cios tarczą i walnął w hełm Tony'ego. Głową playboya aż szarpnęło w bok. Wydał stłumiony krzyk.

Jeszcze jedno uderzenie i hełm pękł. Przyłbica się otworzyła, widać było rozciętą skórę i krwawe sińce. Kiedyś Kapitan mógłby go pożałować. Ale nie dziś.

– Arogancki krezusek – wyszczał Kapitan. – Miałeś wszystko. Urodziłeś się ze srebrną grzechotką w kołysce.

– Ugggh!

– Ja nie. Ja jestem tylko wojownikiem, żołnierzem. Człowiekiem wyszkolonym tak, by wykorzystać każdą szansę, znaleźć szczelinę w pancerzu wroga.

Tony milczał.

Kapitan pokazał na otoczenie.

– Widzisz tych atlantydzkich wojowników? To moja kawaleria, Tony. Przerobią twoich ludzi na karmę dla rybek.

– T.A.R.C.Z.A. ma... naboje usypiające. Przygotowane specjalnie... dla trytonów.

Na północy lądowały właśnie śmigłowce T.A.R.C.Z.Y. Agenci wysypywali się przez otwarte drzwi i skakali z wysokości kilku metrów, zanim jeszcze koła dotknęły ziemi.

– Będziemy więc walczyć jeszcze zacieklej.

Tony uniósł drżące dłonie i zdjął osłonę twarzy. Miał kilkanaście krwawiących ran i rozciętą wargę. Jedno oko było tak zapuchnięte, że prawie się nie otwierało. Kapitan zobaczył, że na jego twarzy zagościł spokój.

– Na co czekasz? – stęknął Stark. – Skończ to.

Ameryka zawahał się tylko na chwilę. Potem zamachnął się...

...ale czyjaś dłoń złapała go od tyłu za ramię.

– Daj mu spokój, człowieku!

Kapitan obrócił się błyskawicznie i zdzielił przeciwnika tarczą.

– Uuuch!

Napastnik poleciał na stolik dla przechodniów i uderzył głową o zaokrągloną metalową nogę. Rogers zerwał się na równe nogi, a potem zamarł na widok, jaki ukazał się jego oczom.

Mężczyzna, który go zaczepił, miał dres i okulary, krótkie siwiejące włosy, twarz noszącą ślady niejednej bójki. Ale to nie był bohater ani złoczyńca, Avenger ani członek Ruchu Oporu. Tylko zwykły człowiek.

Mężczyzna podrapał się po głowie.

– Co ty wyprawiasz?

Z tyłu stała grupka gapiów na tle iskrzącej flagi. Wysoki biznesmen z poluzowanym krawatem. Tęga dziewczyna z natapirowanymi włosami. Czarnoskóry mężczyzna w ciemnych okularach. Japonka o ostrych rysach twarzy i blondyn – strażak w uniformie. Szczupła bizneswoman w szpilkach i dopasowanej garsonce.

Kapitan zmartwił się nie na żarty.

– Ja...

Strażak wskazał na niego palcem.

– Brać go!

Nagle wszyscy rzucili się na Steve’a Rogersa, chwycili go i ściągnęli na ziemię. Był wstrząśnięty; nie mógł nawet się bronić. Opadli go całą chmarą, szarpali i przyciskali do jezdni.

Tony Stark spróbował wstać. Kapitan czuł, że przeciwnik patrzy na niego zdrowym okiem, obserwując rozwój sytuacji.

– Co ty właściwie wyprawiasz? – domagała się odpowiedzi Azjatka.

– Puśćcie mnie! – Kapitan szamotał się, wciąż był w szoku. – Proszę. Nie chcę was skrzywdzić...

– Skrzywdzić nas? – Twarz bizneswoman wyrażała zdumienie. – To jakieś kpiny?

Strażak brutalnie podniósł Amerykę z ziemi i kazał mu się rozejrzeć.

Kapitan ogarnął wzrokiem sytuację. Bohaterowie walczyli z bohaterami; agenci T.A.R.C.Z.Y. i atlantydzcy wojownicy strzelali do siebie, podczas gdy spanikowani cywile uciekali, szukając schronienia. W kilkunastu miejscach płonął ogień – paliły się instalacje gazowe i kosze na śmieci, dym wydobywał się z okien biurowców. Po północnej stronie zawaliło się pół budynku; gruzy przysypały całą ulicę i połowę deptaka.

– Ludzie martwią się o pracę, o przyszłość, o swoje rodziny. – Czarnoskóry mężczyzna zsunął okulary i świdrował Kapitana gniewnym spojrzeniem. – Myślisz, że chcą mieć jeszcze jeden powód do zmartwień?

Ameryka otworzył usta, by odpowiedzieć. I zamarł.

Wróciło do niego słowo Tony'ego z konferencji prasowej: objawienie.

– O Boże – wyszeptał.

Falcon zapikował nad nim.

– Kapitanie! – zawołał. – Cofnij się, ja...

– Nie!

– Co?

Falcon rozpostarł skrzydła i wylądował przed na wpół rozbitym wyświetlaczem z amerykańską flagą. Cywile zrobili krok w tył i wypuścili Kapitana.

Tony Stark chwiejnie wstał. Wypluł ząb, ale nie zaatakował.

– Oni mają rację, Falcon. – Opuścił tarczę i zwiesił głowę. – Mieliliśmy... mieliśmy walczyć dla ludzi. Ale już tego nie robimy. – Pokazał na krajobraz po bitwie. – My jedynie walczymy.

Ludzka Pochodnia obniżył lot.

– Co robisz, Kapitanie? Chcesz, żeby wsadzili wszystkich do więzienia?

– Mamy przewagę! – Falcon wskazał na oddział agentów T.A.R.C.Z.Y. klęczący przed okrutnymi wojownikami z Atlantydy. – Możemy zwyciężyć!

– Zwyciężymy w walce – powiedział dowódca. – Ale nie w sporze.

Powoli uniósł tarczę i rzucił ją zaskoczonemu Falconowi, który złapał osłonę i wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Potem spojrzął na Kapitana wzrokiem pełnym zawodu i wyrzutu, rzucił tarczę na ziemię i wystrzelił w niebo.

Tarcza potoczyła się ulicą, mijając Cage'a. Ten nie ruszył po nią, tylko pokręcił głową. Hawkeye podbiegł i spróbował ją złapać, ale chybił.

Tigra chwyciła tarczę i spojrzała na Kapitana Amerykę znad lśniącej powierzchni atrybutu Steve'a Rogersa. W oczach miała coś, co można było wziąć za zrozumienie.

Maria Hill zjawiła się w asyście straży przybocznej. Na jej znak agenci wycelowali broń w Kapitana Amerykę. Jednak on uniósł dłoń.

Wokół niego zbierali się superbohaterowie – przerywali walkę, szukając wskazówek, co robić dalej, u swoich przywódców.

Podbiegł kolejny oddział T.A.R.C.Z.Y., a tuż za nim podjechały dwa radiowozy.

Na miejsce nadleciał Namor, zatrzymał się w powietrzu i na chwilę spojrział Kapitanowi prosto w oczy. Potem pokręcił przecząco głową, uniósł dłoń i cicho gwizdnął. Atlantydzcy wojownicy zaczęli wycofywać się z pola bitwy.

Kapitan powoli ściągnął maskę. Oczom wszystkich ukazały się siniaki, skaleczenia i licząca kilka dekad kolekcja blizn.

– Steven Rogers – powiedział. – Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych, honorowo zwolniony ze służby. Numer służbowy RA25-262-771.

Maria Hill wystąpiła przed szereg. Jej postać w ciemnym skórzanym uniformie odcinała się od rozświetlonych gwiazd i pasów punktu rekrutacyjnego.

Kapitan wyciągnął do niej rękę.

– Poddaję się.

Hill zsunęła ciemne okulary... Ameryka pierwszy raz w życiu widział u niej niepewność.

– Yyy, najpierw powinny się nim zająć służby lokalne.

Tony przytaknął. Z jego opuchniętej twarzy nie dało się odczytać emocji.

Podeszli dwaj nowojorscy gliniarze. Wyższy wyciągnął kajdanki i zatrzasnął je Kapitanowi na nadgarstkach.

Spider-Man przyleciał na miejsce, huśtając się na pajęczynach. Mówił coś, wołał do Kapitana. Ale ten go nie słyszał.

Pozostali członkowie Ruchu Oporu rozglądali się, zerkając nerwowo na Avengersów i agentów T.A.R.C.Z.Y. Cage wyglądał na wyczerpanego; Johnny Storm sprawiał wrażenie oszołomionego. Ms Marvel unosiła się w górze, obok świecił jasno Sentry. Potyczki zamierały jedna po drugiej, supermoce wygasaly.

Płonął ogień, powietrze wypełniały syreny wozów strażackich i ambulansów. Wszyscy zdawali się odurzeni, pogrążeni w stuporze. Nikt nie chciał wykonywać kolejnego ruchu, oddawać następnego strzału.

Policjant wskazał na radiowóz. Kapitan ruszył do otwartych drzwiczek i pochylił głowę do wsiadania.

– Złóżcie broń, żołnierze. – Urwał na chwilę dość długą, by dostrzec zszokowane, zawiedzione spojrzenia swoich zwolenników. – To rozkaz.

Drzwi zatrzasnęły się za nim i wojna dobiegła końca.

EPILOG PIERWSZY

NIEWIDZIALNA

*Kochana, najstarsza Susan,
wybacz mi brzydkie pismo. Wiesz, jak trudno jest mi spowolnić
myśli tak, by klawiatura mogła oddać moje uczucia w formie
prostych zdań. Coś tak potwornie nieznośnego jak własnoręczne
pisanie listu, tak jak teraz, zajmuje jeszcze więcej czasu.*

*Ale po tym, jak odeszłaś, opisałaś mi swoje myśli właśnie w ten
sposób. Wydało mi się trafne, a nawet analogiczne, by
odpowiedzieć tym samym.*

Sue Richards stała w wynajętym pokoju na brooklińskim nabrzeżu. Na podłodze leżał materac, na kuchence grzała się woda w zardzewiałym czajniku. List w jej dłoni wydawał się zimny.

Od tamtej okropnej bitwy minęły prawie dwa tygodnie. Mam nadzieję, że ucieszyła cię propozycja powszechnej amnestii dla bohaterów wystosowana po kapitulacji Kapitana Ameryki. Ja na pewno byłem zadowolony, że ją przyjąłeś.

Widziałem cię po drugiej stronie placu podczas prac porządkowych. Uznałem jednak, że niestosownie będzie dyskutować nad naszą przyszłością w chwili, gdy wzmożona praca nadnerczy mogłaby wciąż wpływać na naszą ocenę sytuacji.

Wyglądałaś tak pięknie, tak żywo i jasno. Jak dziewczyna, którą byłaś, kiedy spotkałem Cię po raz pierwszy: mądra ponad wiek, z płomiennym pragnieniem sprawiedliwości w sercu. Zdawało mi się, jakby wszystkie te lata się rozplynęły, i znów byłem nerwowym zalotnikiem szukającym właściwych słów, którymi mógłbym się

zwrócić do tak cudownej istoty. Tamtego dnia, tak jak i wiele razy wcześniej, zawiodłem.

Kiedy wróciłem tamtej nocy do domu, płakałem przez pełne dziewięćdziesiąt trzy minuty.

Czajnik zaczął gwizdać. Podeszła do kuchenki i nalała wrzątku do popękanego kubka. Przez długą chwilę patrzyła, jak torebka z herbatą nasiąka i woda nabiera ciepłego, ciemnego odcienia.

Ostrożnie wypła łyk. Z sykiem wciągnęła powietrze i wróciła do lektury.

Kiedy czytasz te słowa, widziałas już pewnie start Inicjatywy. Gdy rzecz zostanie ukończona, w każdym stanie będzie co najmniej jedna drużyna superbohaterów. Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, pod jaką presją pracowałem wraz z innymi zaangażowanymi osobami, tworząc nowych bohaterów i wymyślając na nowo starych. Budowałem armię herosów dwudziestego pierwszego wieku.

Ogólnie rzecz biorąc, opinia publiczna wydaje się bardzo zadowolona z nowego układu. Jakże przerażający musiał im się wcześniej wydawać świat: samozwańczy mściciele patrolujący ulice, amatorzy o mocy bomby atomowej, złoczyńcy, którzy nigdy nie ponieśli poważnych konsekwencji za swoje bestialstwa.

To cud, że byliśmy tak długo tolerowani.

Rzecz jasna, nie wszyscy są zadowoleni z nowego porządku. Niektórzy przenieśli się do Kanady, gdzie ustawa o rejestracji nie obowiązuje. U nas, w Stanach, grupka zwolenników Kapitana Ameryki podobno wciąż jest na wolności i tworzy nowy, bardziej radykalny podziemny ruch.

Jest też oczywiście sam Kapitan.

Ale w sumie nasz eksperyment okazał się ogromnym sukcesem. To, co wydawało się kiedyś naszym najgłębszym kryzysem, przerodziło się w wielką szansę.

Być może za najbardziej pokrzepiające uważam nowe życie, jakie Inicjatywa dała naszym starym przyjaciołom. Hank Pym z zapałem zabrał się do szkolenia świeżych bohaterów. Wydaje mi

się, że Tigr miała odrobinę wyrzutów sumienia przez to, że zdradziła Kapitana Amerykę, ale ona też stała się cenną członkinią naszej drużyny. Zawsze była i zawsze będzie jedną z Avengersów.

Nasze zadania wykraczają teraz poza zwykłą ochronę porządku publicznego. Współdziałamy bezpośrednio z rządem USA przy takich kwestiach jak kryzysy ekologiczne czy ubóstwo na świecie.

Szczególnie Tony. Uwierzysz, jakie stanowisko dał mu prezydent?

Ale utopijne ideały i korzystne sondáže nie znaczą dla mnie nic, moja kochana, bez Ciebie u mojego boku. Niezależnie od tego, co osiągniemy w tej Nowej Ameryce, bez Ciebie ten kraj nigdy nie stanie się dla mnie rajem.

Zatem obiecuję: już żadnych pułapek, żadnych klonów. Żadnych bolesnych kroków na ścieżce do odzyskania szacunku.

Nie mógłbym i nigdy nie będę cię naciskał. Wiesz, gdzie jestem, i przeprogramowałem nowe zamki w Baxter Building tak, żebyś znów mogła wejść. Wybór należy do Ciebie i tylko do Ciebie.

Ale mam ogromną nadzieję, że wrócisz do rodziny, która potrzebuje Cię bardziej niż...

Zza drzwi dobiegał szelest. Sue nadstawiła ucha, czując tłumioną złość. „Oby to nie był znów ten oblech z psami”. Gwałtownie otworzyła.

Stał tam Reed w smętnie niemodnym garniturze. Jego kończyny były normalnej długości; nie używał mocy. W rękę miał mały bukietek stokrotek, który zaczął już więdnąć.

– Nie mogłem się doczekać – powiedział.

Uśmiechnęła się, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

– To najbardziej żałosny pęczek kwiatów, jaki w życiu...

I padli sobie w ramiona, łkając i mamrocząc przeprosiny. Czują jego ciepły oddech na swoim uchu i gorące łzy na ramieniu. Przytuliła go mocniej.

Jego tułów mimowolnie zaczął się rozciągać, tworząc coś na kształt cienkiego koca otulającego całe jej ciało. Nie czuła się jednak ograniczona ani zdławiona. Czowała się tak jak należy.

– ...za dużo futuryzmu – powiedział, zbyt szybko wypowiadając myśli na głos. – Nauczyłem się miarkować swoją logikę. Tony

chyba też się tego uczy. Poza tym... Poza tym muszę ci coś powiedzieć: więzienie w Strefie Negatywnej zostanie zamknięte. Tony nie chciał, ale nalegałem. Taka była cena za mój dalszy udział w jego planach. To pewnie ostatnia karta, którą mogłem zagrać, ale...

– Reed. – Odsunęła się i ujęła jego twarz w dłonie. Popatrzyła w wilgotne, cierpiące oczy ukochanego. – Reed, czy mogę ci coś powiedzieć? Coś, co może tobą wstrząsnąć?

Utkwił w niej wzrok i skinął twierdząco głową.

– Tony Stark nie jest stroną w tym małżeństwie.

Minęło trochę czasu, długa cicha chwila w tym podłym pokoiku w dokach. I wtedy Reed Richards się roześmiał. To był piękny ludzki dźwięk, dźwięk, jakiego Sue od dawna nie słyszała. Też się zaśmiała, a potem zbliżyła się i pocałowała go.

Łzy zmieszały się ze śmiechem i Sue wpuściła Reeda z powrotem do serca. Nie robiła tego od bardzo dawna. Było jej ciepło, czuła, że kocha i jest kochana.

I bardzo, bardzo widzialna.

EPILOG DRUGI

PAJĄK

– BARDZO tu sucho, kochany. To pewnie dobrze dla moich zatok. Ale brakuje mi tamtych wiewiórek...

– Przestań, ciociu May. Proszę. Nie chcę wiedzieć, gdzie jesteś.

– Och. Oczywiście, Peter. Przepraszam.

– Nie, ciociu May, to ja przepraszam. Za to, że musisz... O, cholera. Zaczekaj chwilę.

W słuchawce rozległy się trzaski. Spider-Man odsunął telefon od ucha i poruszał staromodnym spiralnym przewodem. Zaparł się nogami o ceglana ścianę trzy piętra wyżej i poprawił kabel łączący telefon ze skrzynką rozdzielczą.

– Peter? Jesteś tam jeszcze?

– Tak, ciociu May. Przepraszam. Nie chciałem korzystać z komórki, więc połączenie jest trochę prowizoryczne.

Tej małej sztuczki nauczył go Daredevil: „Telefony stacjonarne wciąż trudniej wytropić”.

– Martwię się o ciebie, Peter. Nie chodzisz głodny? Masz gdzie mieszkać?

– Nie i tak.

„Pobiłeś właśnie rekord świata, Parker. Okłamałeś własną ciocię dwa razy w trzech słowach”.

– Tęsknię za tobą, ciociu May. Obiecuję ci, że sytuacja niedługo się uspokoi i będziesz mogła wrócić do domu.

– O siebie się nie martwię, Peter. Ale Mary Jane jest chyba trochę zdenerwowana.

– Mogę z nią jeszcze pomówić?

– Oczywiście.

– Zaczekaj. – Spider-Man przywarł do ściany budynku, chroniąc

się przed chłodnym jesiennym wiatrem. – Nadal jesteś ze mnie dumna, ciociu May?

– Oczywiście, że tak. Szczególnie kiedy nie mówisz jak mały głuptas.

Roześmiał się.

– Daję ci ją, kochanie.

W słuchawce zapadła cisza na tyle długa, by Spider-Man zaczął się martwić, że ich rozłączyło. Rozejrzał się, popatrzył na stare i podniszczone pięcio- i sześciokondygnacyjne budynki upstrzone światłami okien. Odnowione apartamentowce o wyszukanych nazwach, z portierami, stare kamienice z brązowego piaskowca o regulowanych czynszach, latynoskie sklepiki spożywcze, których nigdy nie zamykano. To właśnie w Upper West Side na Manhattanie było jego pierwsze mieszkanie, które dzielił z Harrym Osbornem.

– Petey?

Jej głos był jak łyk ciepłej kawy, jednocześnie kojący i pobudzający. Z głębin pamięci wypłynęło wspomnienie: Mary Jane odwiedza go w tym pierwszym mieszkaniu, wchodzi do środka tanecznym krokiem, flirtuje z nim i z Harrym. Jaskraworude włosy, jeszcze jaskrawiej czerwona szminka i uśmiech, który zdawał się przepalać go na wskroś.

Przez chwilę nie mógł wydusić słowa.

– Co się dzieje, Tygrysie? Jesteś tam?

– Tak, MJ. Jestem.

– Jak sprawy? Jesteśmy już bezpieczne?

– Nie jestem pewien. – Przełknął ślinę. – Wiesz, że zaproponowali nam amnestię...

– No. I przyjmiesz ją, tak?

– Ja... chyba nie mogę.

Kolejna pauza.

– Po prostu... – urwał, nie mogąc znaleźć właściwych słów. – Tyle przeżyłem z Tonym. Miałbym znów nadstawiać karku... Pewnie każą mi odbyć szkolenie w Montanie czy gdzieś. Ale nawet nie o to chodzi. Chyba... jestem po prostu samotnikiem, wiesz?

– Wiem. – Jej głos był surowy i niezadowolony.

– I wiem, że cię to dotyka...

– Serwisy informacyjne huczą od plotek, Tygrysie. O grupie, co nazywa się „Tajni Avengersi”. Mówią, że ma to związek z Doktorem Strange’em.

– Nie mam z nimi kontaktu.

To nie była do końca prawda. Falcon wysłał mu krótkiego esemesa, podał adres w Greenwich Village na Manhattanie, wyglądało na to, że to dom Strange’a. Ale Peter nie odpisał.

– Przepraszam cię, MJ. Za to, że wywróciłem ci życie do góry nogami i obarczyłem cię cicią May...

– Jest nam dobrze, Peter. May potrafi się przystosować znacznie lepiej, niż ci się wydaje, a ja i tak połowę roku spędzam w rozjazdach. Znalazłam tu już kilka fuch w modelingu. – Roześmiała się. – Wiesz, to zabawne.

– Co takiego?

– W dzień naszego ślubu... Na którym się nie zjawiłeś. Potem przez cały czas mówiłeś o tym, jaką straszną rzecz zrobiłeś mnie, twojej ciotce, naszym przyjaciółom. Tyle razy przepraszałeś, tak bardzo starałeś się mi to wynagrodzić. Ale nigdy nie zrozumiałeś, co naprawdę mi przeszkadzało. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że cały czas martwiłam się i budziłam się w nocy z krzykiem przez to, co stało się tobie.

Zamrugął z niedowierzaniem.

– Jak się masz, Petey?

– Ja...

– I nie wciskaj mi tego potoczystego pajęczego kitu. Nie rozmawiasz z Profesorem Octopusem.

Wziął głęboki oddech.

– Straciłem pracę, MJ. Nie mam mieszkania ani przyjaciół, nie mam z kim porozmawiać, bo tylko zaszкодzę bliskim, nie mam ubrań oprócz tych na grzbiecie. Gliny znów mnie ścigają, a Jameson rozpętał nową fanatyczną krucjatę przeciwko Spider-Manowi; cały ten syf, który robił wcześniej, wygląda przy tym jak kinderbal. Każdy najmniejszy aspekt mojego zwykłego życia rozpadł się na kawałki. Nie mam kontaktu z normalnym ludzkim

światem, tylko z tobą. Jestem naprawdę sam. Ale wiesz co? Mogę spać w nocy.

– Chyba... Chyba to właśnie się liczy.

– Czasem po prostu dzieje się coś złego, MJ. I ktoś musi stanąć w obronie dobra.

– Czyli nie ma się nad czym zastanawiać.

– No. Tylko że... MJ, chciałbym, byś wiedziała, że ja zawsze...

– Daruj sobie, Parker. Powiesz mi to na żywo, już niedługo. – Zaczerpnęła głęboko powietrza do płuc. – Tylko podlewaj moje cholerne pomidory, dobra?

– Będę tam codziennie.

Na linii zapadła cisza.

– Obiecuję – dokończył.

Spider-Man wyszarpnął przewód ze skrzynki rozdzielczej. Cisnął telefonem trzy piętra w dół. Aparat przestraszył jakąś młodą kobietę, przelatując obok niej ze świstem, i wylądował wprost w ulicznym koszu na śmieci.

– Co za wsad – wyszeptał.

W zimnym powietrzu rozległ się słaby krzyk. Pięć, może sześć przecnic stąd.

Pajęcza nić poleciała ku latarni ulicznej; potężne nogi naprężyły się, a potem ruszyły do wyskoku. Przechodnie wskazywali palcami w górę, szeptali z podnieceniem. I po raz kolejny, jak tyle razy wcześniej, niesamowity Spider-Man poleciał w noc.

EPILOG TRZECI

AMERYKA

– EJ, Steve.

Skrob, skrob.

– Steve! Jesteś tam, ziomek?

– Tak, Raheem. Jestem.

– Co ty tam robisz? Słyszę jakieś porąbane skrob, skrob po drugiej stronie ściany.

– Przepraszam, jeśli ci przeszkodziłem. Robię tylko mały rysunek.

– Rysunek! Na ścianie?

– Zgadza się.

– Jesteś artystą?

– Przez jakiś czas byłem ilustratorem. Robiłem wiele różnych rzeczy.

– Aha.

– Postaram się być ciszej.

– Nie dygaj, bracie. Wszystko lepsze niż ciągła nuda.

– Właściwie to lubię mieć czas na myślenie.

– Dziwny z ciebie gość, Steve. Jak dobrze pokombinujesz, to przeniosą cię do celi dla skazanych na śmierć, wtedy będziesz miał mnóstwo czasu.

Skrob, skrob, skrob.

– Brzmi jak kreda. Skąd w ogóle wytrzasnąłeś kredę?

– Jeden strażnik mnie wspomógł.

– Wymieniłeś się?

– Wisiał mi przysługę. Z dawnych czasów.

– Słaba ta przysługa. Chyba dałeś się wykiwać.

Skrob, skrob.

- I tak potrzebowałem tylko trzech kolorów.
- Odwala ci pod dekle, Steve. Długo już siedzisz?
- Trzydzieści dni.
- Jesteś pewien? Brzmisz, jakby to było dłużej.

Steve Rogers zrobił krok do tyłu, trzymając w dłoni czerwoną kredę. Cella była urządzona po spartańsku: prycza, ławka, goły metalowy sedes. Ścianę pokrywał wykonany kredą rysunek amerykańskiej flagi. Wyciągnął dłoń i dokończył czerwony pas na dole.

Trzynasty.

- Jestem pewien – odparł.

Steve zdziwił się, a potem wrócił do flagi. W lewym górnym narożniku widniał jednolity niebieski prostokąt. Położył czerwoną kredę na pryczy, wziął białą i kilka razy podrzucił ją lekko w dłoń.

Jutro zacznie rysować gwiazdy.

EPILOG CZWARTY

IRON

PANCERZ Iron Mana wisiał w powietrzu jak strach na wróble, rozpięty na maleńkich anulacjach grawitacji. Tony Stark przyjrzał się napierśnikowi, a potem z marsową miną popatrzył na prawy staw barkowy.

– Test kontrolera – powiedział.

Oba ramiona natychmiast synchronicznie się poderwały.

Tony uśmiechnął się. W hełmie mignęło mu własne odbicie. Nowy garnitur od Armaniego leżał idealnie. Blizny po walce z Kapitanem niemal się zagoiły z pomocą paru drobnych, ale kosztownych operacji plastycznych. Przesunął palcem po górnej wardze; wciąż była lekko spuchnięta, ale wąsy odrosły mu na tyle, żeby to przysłonić.

– A więc został pan dyrektorem T.A.R.C.Z.Y.?

Na jednej z przecinających się kładek, jakich pełno było we wnętrzu Transkoptera, zobaczył Miriam Sharpe. Kobieta, która straciła syna w Stamford, podeszła do niego ostrożnie, spoglądając na uwijających się przy pulpitach techników i służby naprawcze. Za nią z opuszczoną głową szła Maria Hill.

Tony uśmiechnął się i podał rękę pani Sharpe.

– Dlaczego nie? To ma sens. Mam bliskie związki zarówno z rządem, jak i ze społecznością superludzi, a teraz, kiedy zabrakło Nicka Fury'ego... – Tony rozpromienił się i zwrócił do Hill. – Możemy prosić dwie kawy, wicedyrektorko? Ze śmietanką i mnóstwem cukru?

Hill posłała mu spojrzenie, które mogłoby uziemić samolot. Odwróciła się i odeszła.

– Mam coś dla pani. – Tony pogrzebał w kieszeni marynarki,

wyciągnął małą figurkę Iron Mana. – To zabawka pani syna.

Sharpe spoważniała.

– Dałam ją panu w prezencie.

– I pomogła mi bardziej, niż może pani sobie wyobrazić. Ale już jej nie potrzebuję.

Z nieśmiałym uśmiechem przyjęła figurkę. Ścisnęła ją mocno, jak stare wspomnienie.

– Przepraszamy, panie dyrektorze.

Trzej agenci T.A.R.C.Z.Y. szli w ich kierunku, niosąc dużą metalową płytę i kanister szpachlówki.

– Chcemy jedynie naprawić ostatnie szkody po... Wie pan. Tym małym ataku złości Kapitana Ameryki. – Agent wskazał ruchem głowy na ścianę obok lewitującego pancerza Tony'ego. Odbarwione wgniecenie wyglądało jak blizna.

Tony pstryknął palcami i kostium wpadł mu w ręce. Złożył go szybko i schował do walizki.

– Pozwólmy im pracować.

Ujął Sharpe pod ramię i poprowadził ją po małych schodkach.

– Wygrał pan wojnę – powiedziała.

– Tak, a teraz musimy wygrać pokój. Chciałbym, żeby wszyscy to zrozumieli i zarazili się entuzjazmem do nowego stylu działania.

Otworzyły się drzwi windy. Poprowadził Sharpe do środka i nacisnął przycisk. Winda zjechała tak szybko, że poczuł szarpnięcie w żołądku.

– Słyszała pani, że stan Colorado poprosił właśnie, by ich oficjalną drużyną superbohaterów zostali Thunderboltsi?

Uśmiechnęła się.

– Słyszałam, że musi pan zwolnić paru świrów.

– Mimo wszystko to olbrzymi krok naprzód. Druga szansa dla przestępców... Zawsze do tego dążyłem.

Drzwi windy się otworzyły. Wąska kładka prowadziła do szeregu okien rozświetlonego południowym słońcem.

– Wie pani, dlaczego nazwaliśmy nasze więzienie „Numer 42”? – zapytał.

– Nie.

– Bo to był numer 42 na liście stu pomysłów, które Reed i ja zapisaliśmy tamtej nocy, kiedy zginął pani syn. Sto pomysłów na bezpieczniejszy świat i nie doszliśmy jeszcze nawet do pięćdziesiątego. Czy to nie ekscytujące?

Na końcu pomostu korytarz otwierał się na wielopłaszczyznową kopułę obserwacyjną o zaokrąglonej przezroczystej podłodze. Byli teraz na najniższym poziomie Transkoptera; światło słoneczne wlewało się do środka i odbijało się przez szyby.

– Porządki w T.A.R.C.Z.Y. – ciągnął Tony – to pomysł numer czterdzieści trzy. Proszę mi wierzyć, środowisko superbohaterów właśnie znalazło najlepszego możliwego przyjaciela. Naprawdę myśli pani, że pozwoliłbym strzec sekretów moich przyjaciół komukolwiek innemu?

Sharpe odwróciła wzrok. Spojrzała na figurkę Iron Mana w swojej dłoni.

– Dobry z pana człowiek, Tony Stark. – W jej oku pokazała się łza. – Zaryzykował pan wszystko, by znów dać ludziom bohaterów, w których mogą uwierzyć.

Uśmiechnął się, poczuł, jak wypełnia go duma.

– Gdybym mógł cofnąć czas, postąpiłbym tak samo.

– Wierzę panu. To początek czegoś cudownego.

Tony opierał się o barierkę i patrzył przez szybę na Nowy Jork. Miasto rozciągało się przed nim jak czarodziejska kraina, dojrzała do zmian i wielce obiecująca. Czyste, jasne promienie słońca połyskiwało na dumnych wieżowcach.

Dziś niebo było bezchmurne.

– Najlepsze jeszcze przed nami, droga pani. – Kiedy znów uniósł wzrok, jego spojrzenie było pełne determinacji. – Obiecuję.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

POWIEŚĆ GRAFICZNA to nie zwykła powieść, więc aby ten wyjątkowy komiks mógł zadziałać w formie prozatorskiej, potrzeba było wielu modyfikacji. Dziękuję Ruwanowi Jayatilleke, Jeffowi Youngquistowi i Davidowi Gabrielowi za zaufanie i wiarę, że zdołam oddać w słowach ich najpopularniejszą, najmocniejszą serię ostatnich lat. Dali mi wszystkie narzędzia, a potem pozwolili mi pracować, dając dokładnie tyle wskazówek, ile trzeba, kiedy tylko ich potrzebowałem.

Przy tym przedsięwzięciu współpracowałem z dwojgiem redaktorów: Axelem Alonso, redaktorem naczelnym wydawnictwa Marvel, i Marie Javins, główną redaktorką książki. Axel przeszkolił mnie z tematu moralnej busoli Punishera i zasugerował kilka doskonałych zwrotów akcji; Marie zadała mi wszystkie właściwe pytania, uporządkowała moją prozę i przez wiele godzin wygładzała rękopis. Razem zawsze popychali mnie w odpowiednim kierunku.

Tom Brevoort, redaktor oryginalnej serii *WOJNA DOMOWA*, wniósł wartościowy wkład w początkowych stadiach powstawania tekstu. *Tie-iny* autorstwa J. Michaela Straczynskiego, Rona Garneya, Dana Slotta i Stefana Casellego posłużyły mi za ważne źródło materiałów do powieści. Rysunki Steve'a McNivena w głównej serii były dla mnie zarówno nieustającą inspiracją, jak i źródłem frustracji – naprawdę trzeba tysiąca słów, by uchwycić bitwę, którą można pokazać na jednym mocnym panelu.

Mark Millar, mój stary przyjaciel i jeden z najbardziej inteligentnych i autentycznych ludzi w świecie komiksu, ośmielił mnie, żebym wziął tę historię i zrobił z niej coś swojego. Mam nadzieję, że udało mi się to i nie rozpieprzyłem struktury –

żelaznej i zapierającej dech w piersiach jak w żadnym dotychczasowym komiksowym wydarzeniu – i że nie rozbroiłem potężnego ładunku emocjonalnego tej historii.

Moja żona Liz Sonneborn, niezawodnie wspierająca, kiedy do późna w nocy sporządzałem notatki, rwałem sobie włosy z głowy przez drugorzędne wątki poboczne i przemierzałem nasz dom tam i z powrotem, mamrocząc niejasne pytania, na przykład: „Czy to zbyt zagmatwane, żeby w jednej książce wystąpiły dwie postaci o pseudonimie Hawkeye?”. (Odpowiedź: Tak).

Wreszcie mam wielki dług wdzięczności wobec scenarzystów i rysowników, którzy współtworzyli Uniwersum Marvela na przestrzeni lat. *WOJNA DOMOWA* nie mogłaby powstać w żadnej formie bez ich wkładu. Mam nadzieję, że wspólnym wysiłkiem wpisaliśmy się w ich wizję.

O AUTORZE

STUART MOORE jest autorem i redaktorem książek, a także wielokrotnie nagradzanym redaktorem komiksów. Stuart pracuje też niezależnie jako redaktor linii powieściowej wydawnictwa Marvel Comics. W przeszłości redagował książki dla wydawnictwa St. Martin's Press i komiksy dla imprintów Virgin Comics / SciFi Channel i Marvel Knights. W DC Comics był redaktorem i współzałożycielem uznanego imprintu Vertigo, gdzie zdobył Nagrodę Eisnera dla najlepszego redaktora i Nagrodę Dona Thompsona dla ulubionego redaktora. Mieszka na nowojorskim Brooklynie z żoną, autorką książek Liz Sonneborn.